

BIBLIOTHECA
PW
SE
ERATOY

9914

KDN., 15. 10. 1. 53, 20,000



00692

T A D E U S Z K O Ś C I U S Z K O

OPRACOWAŁ
EDMUND JEZIEŃSKI

Z ILUSTRACJAMI



4.69.



W A R S Z A W A — 1918

NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH. SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA—
LUBLIN—ŁÓDŹ—GEBETHNER I WOLFF. KRAKÓW—G. GEBETH-
NER I S-KA. POZNAŃ—M. NIEMIERKIEWICZ.



*Przedruki nieuprawnione przez autora, wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i prze-
róbek zastrzeżone.*

*Copyright by Edmund Jezierski, nineteen hundred
eighteen.*

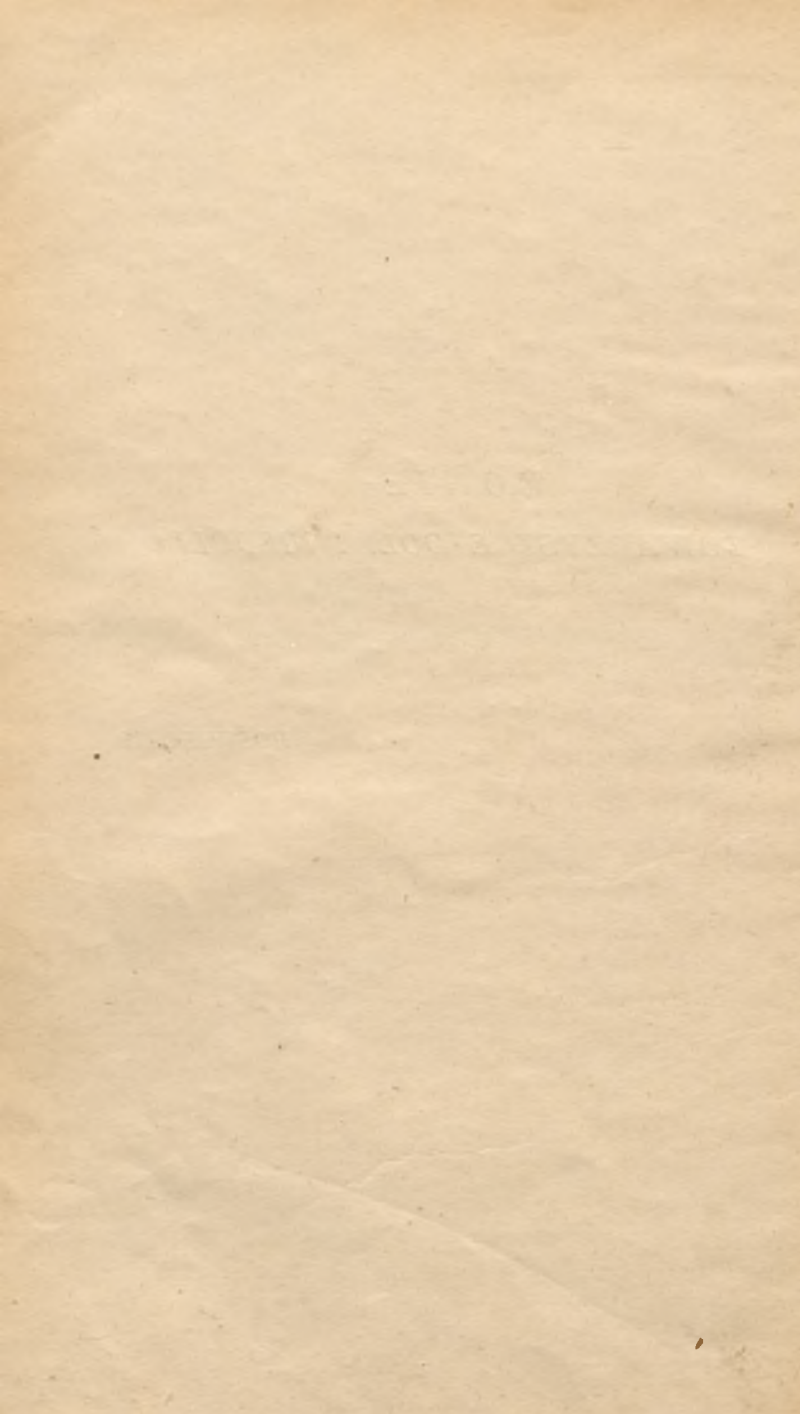
Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben die Kais. Deuts. Preseabt.
Warschau den 8/X 1917. T. № 7549. Dr. № 670.

TŁOZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 114.

Ż O N I E
TOWARZYSZCE DOLI I NIEDOLI



POŚWIĘCAM.





I.

Lata dziecinne.

Na pograniczu województwa brzeskiego i powiatu słonimskiego leży niewielki folwark Mereczow-szczyzna, należący do obszernych dóbr kossowskich. Położony w malowniczej miejscowości Polesia, nie odznaczył się niczym szczególnym w dziejach, oprócz chyba tym, iż przechodził z rąk jednych magnatów do drugich. A jednak, mimo to, nazawsze pamiętnym i czczonym przez naród polski zostanie.

W tym folwarku, w małym drewnianym dworku szlacheckim przyszedł na świat Tadeusz Kościuszko.

Nie w wspaniałym pałacu, nie w olbrzymim dworze urodził się największy nasz bohater, prawdziwy rycerz bez skazy i trwogi, którego umiłowanie bezgraniczne Ojczyzny na szczyt wyniosło i wiecznie trwały pomnik w sercach całego narodu zbudowało.

Śmiało mógł on o sobie powiedzieć słowami Czarneckiego: „Ani z soli, ani z roli, tylko z tego, co boli, wyrosłem“. A ból jego był bólem całego narodu, cierpienia Ojczyzny — jego cierpieniami.

Nie do magnackich ani senatorskich należał ród Kościuszków - Siechnowickich, choć już od wieków osiadł na roli. Nie należał też do rodów rdzennie polskich, choć z czasem, pod wpływem związków rodzinnych, spolonizował się tak dalece, iż niktby w nim dawnych pierwiastków się nie dopatrywał. Kolebką jego była Białoruś, przyłączona do Korony wraz z Litwą za Jagiełły, a potem ściśle z nią związana słynną w dziejach Unją Lubelską w r. 1569-ym.

Szlachta polska, przy zawieraniu tych wiekopomnych aktów, jakimi były unje, dawała kniaziom, bojarom i szlachcie, litewskim i ruskim, herby swoje, nadania i przywileje, równając ich we wszystkim z sobą.

Do liczby tych uprzywilejowanych nie należał protoplasta rodu Kościuszków. Według wszelkich danych spełniał on przy dworze w. księcia litewskiego Aleksandra funkcje dworzanina lub pisarza. Był nim niejaki Teodor, djak kancelarji książęcej, który za zasługi położone otrzymał od księcia herb polski, zwany „Roch Tertio“, oraz nadanie dóbr: Liniewiczze, Stupiczów, Horodno i Totowicze.

Lecz nie od niego nazwisko wziął ród, a od syna jego, Konstantego, zwanego zdrobniale Kostiuszką. Otrzymał on od króla Zygmunta I-go nadanie wioski Siechnowicze, która stała się rodową i od której przybrano nazwisko Siechnowickich.

W dalszych pokoleniach ród Kostiuszków-Siechnowickich polonizował się coraz bardziej, tak że już prawnicy nie mówili inaczej, jak po polsku, i wy-

znawali wiarę rzymsko-katolicką. Siedzieli oni na roli, nie pnąc się do wyższych godności i zaszczytów, piastując tylko niższe urzędy cywilne, gromadzili natomiast skwapliwie majątki, tak że do majątniejszej szlachty w powiecie się zaliczali. Rozproszyli się też po Litwie i Rusi, a rodowe Siechnowicze zawsze przy najstarszym pozostawały.

W r. 1721-ym przejął je po rodzicu Ludwik Tadeusz Kościuszko. Obarczone były one poważnymi długami, młody też dziedzic, nie mogąc uporać się z majątkiem, sprzedał go w r. 1729-ym stryjowi swemu, Faustynowi.

Uzyskaną ze sprzedaży sumę obrócił na prowadzenie procesu z Sapiehą o należne mu w spadku po matce pieniądze. W wyniku sprawy otrzymał tytułem zastawu folwark Mereczowszczyznę.

Osiadł w nim i gorliwie zajął się pracą na roli i prowadzeniem rozległych interesów. Oprócz tego otrzymał dyplom na miecznika brzeskiego. Był to tytuł czysto nominalny, gdyż w czasach owych w całej Polsce spokój panował i liczba wojsk była znacznie zmniejszona. Mimo to, jednak Ludwik Tadeusz Kościuszko, jakby przeczuwając, że potęga Rzeczypospolitej zależy tylko od wzrostu sił wojskowych, piał się coraz wyżej, aż wreszcie otrzymał rangę pułkownika buławy polnej od przedniej straży wojsk W. Księstwa Litewskiego.

Choć był to również tylko czczy tytuł, pułkownik gorliwie zajmował się losem paru chorągwi, kwatrujących w powiecie raczej dla parady niż z rzeczywistej potrzeby.

Gnuśniało wtedy wszystko w Polsce pod wpływem Sasów i karłał duch rycerskiego niegdyś narodu.

Niezależnie od tej funkcji wojskowej Ludwik

Tadeusz Kościuszko spełniał i różne urzędy publiczne, występując energicznie na sejmikach, zwłaszcza przeciwko tym, którzy jego zdaniem szkodę Rzeczypospolitej przynieść mogli. W owych czasach, gdy za pieniądze można było nabyć głosy i sumienia sejmikujących, Ludwik Tadeusz Kościuszko należał do nieprzekupnych. Ceniła go też za to szlachta wysoko i obdarzała zaufaniem swoim, obierając często na deputata Trybunału Głównego W. Księstwa Litewskiego.

W r. 1740-ym ożenił się z młodą panią, Teklą Ratomską, i osiadł w Mereczowszczyźnie. Młodzi małżonkowie żyli z sobą bardzo dobrze, czego dowodem są liczne listy. Przebijają z nich uczucie szczere a gorące, znać, że łączyła ich wspólna praca, wspólne interesa i dążenia.

Nie też dziwnego, że w takich warunkach rosło mienie, gromadził kapitały, coraz nowy folwark brał w zastaw. Lecz największym marzeniem jego było odkupienie rodowych Siechnowicz, pragnął w nich osiąść na stare lata.

Młode małżeństwo pobłogosławione zostało urodzeniem czworga dzieci, a mianowicie: Anny Barbary Krystyny, urodzonej w r. 1741-ym; syna Józefa, urodzonego w r. 1743-ym; córki Katarzyny, urodzonej w r. 1741-ym, i najmłodszego syna, Andrzeja Tadeusza Bonawentury, późniejszego Naczelnika narodu polskiego.

Według posiadanych dokumentów Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko urodził się dnia 4 lutego, w dniu św. Andrzeja, którego imię nosił jako pierwsze. Chrzest jego odbył się w dniu 12-ym t. m., przy czym obrzędu tego dokonał ksiądz Rajmund Korsak, przeor Dominikanów z Hoszczewa, rodzicami chrzestnymi zaś byli: Kazimierz Narkuski, starosta kuszlicki i Suchodolska z Protasewiczów, oraz Adam Protasewicz.

sewicz, podstarości powiatu pińskiego, z panną Anną Suchodolską, pisarzówną ziemską słonimską. Obrzęd chrztu odbył się w parafji kossowskiej, gdzie i wszystkie inne dzieci małżonków Kościuszków ochrzczone były.

Lata dziecinne spędził Tadeusz w Mereczowszczyźnie, pod czułą i serdeczną opieką matki, gdyż ojciec, pochłonięty w zupełności mnogimi sprawami publicznymi i własnymi, nie miał zbyt wiele czasu na zajęcie się wychowaniem dzieci.

Dni całe spędzała czwórka dzieci na wesołych igraszkach, już to w komnatach starego dworu, już to w cienistych zakątkach wielkiego ogrodu. Nie wiele tam pozostało pamiątek z owych czasów. Niszczący wpływ czasu i zmiany zaszły zmiotły je z powierzchni ziemi... Pozostał tylko dworek, będący miejscem urodzenia Kościuszki, pozostał tylko w starym ogrodzie wielki głąz, będący, według zachowanej wśród ludu tradycji, ulubionym miejscem zabaw małego Tadeuszka.

Nauki wielkiej w domu nie dali swym dzieciom rodzice. Nauczyli je czytać i pisać, to jest prawie wszystkiego, co sami umieli. Musiał też nauką ich zajmować się jakiś guwerner czy nauczyciel, gdyż siostry Kościuszki, oprócz polskiego, władały wcale dobrze modnym w owych czasach językiem francuskim. Nie mogli ich nauczyć go rodzice, gdyż ojciec zbyt pochłonięty był interesami, a matka mogła dać zaledwie elementarne początki, ile że sama nawet zbyt ortograficznie pisać nie umiała.

Był podobno — jak mówi Falkenstein — jakiś wuj, Jezuita, który bardzo często przebywał w starym dworze w Mereczowszczyźnie, a kochając siostrzeńca prawdziwie rodzinną miłością, dawał mu

pierwsze początki w nauce matematyki, w języku francuskim i rysunkach. Jedenastoletni Tadeusz, którego wrodzona żywość ledwo wstrzymana być mogła, słuchał z uwagą i przywiązaniem nauk swojego wuja i nieodstępny jego był towarzyszem. Żaden przedmiot, dotąd mu nieznany, nie uchodził jego uwagi, często zwracał swe zapytania to do ojca, to do wuja, gdy czego odrazu pojąć nie mógł, lub gdy mu się jakowa rzecz ciemną i wątpliwą wydawała. Cała jego istota zdawała się w momencie odmieniać, gdy po zmordowaniu się bieganiem w ogrodzie lub na łące, ujeżdżaniem koni uznojony, dowiedział się od witającej go siostry, że kochany wujaszek przybył do ich domu i o swych podróżach opowiadać będzie. Spokojnie i z uwagą przysłuchiwał się opowiadaniom jego i naukom, największą atoli chęć okazywał zawsze, gdy mu lekcje geometrii i algebry dawano, lub gdy czytał biografje ludzi wsławionych Plutarcha. Wyjątków z tego dzieła używał do tłumaczenia i ćwiczenia się w języku francuskim. Jego wrodzona miłość ku prawdomówności tak była wielką, iż częstokroć widoczną okazywał niechęć służącym, gdy mu na zapytania przez wyraz „nie wiem“ odpowiadali, a przy grze w niewinnych sprzeczkach z swoją siostrą starał się zawsze jej mniemaną niesłuszność przez niezawodne zasady matematyczne dowieść i wykazać.

Ważniejszą jednak od innych naukę wyniósł z domu rodzicielskiego Tadeusz Kościuszko. Wpoili w niego rodzice zasady moralne, dali mu hart życiowy i miłość, bezgraniczną miłość do ziemi rodzinnej, którą on z czasem na całą Polskę rozszerzył.

Stosunki, panujące w domu, zakrywały przed oczyma dzieci wiele złego, jakie się w czasach owych

w Polsce działało. Nie widziały tam tych hulanek i pijatyk, jakie panowanie Sasów w zdrowy do czasu tego organizm szlachecki wszczepiło. Nie były świadkami ciągłych zwad, najazdów, awantur przy prowadzeniu procesów. Nie były również świadkami nie-ludzkiego, a nawet wręcz okrutnego obchodzenia się z poddanymi włościanami, jakie w czasach owych w wielu domach się praktykowało. Przeciwnie, rodzice ich otaczali włościan szczerą opieką, troszcząc się o ich dobro, nie uciskając i nie wyzyskując, choć według praw ówczesnych mieli nad nimi prawo życia i śmierci.

Z domu też wyniósł Kościuszko owe pierwiastki bezgranicznej miłości do ludu, jaką się w następnych czasach odznaczał. Wychowaniu rodziców zawdzięczał ową wielką kulturę, jaką szlachta polska miała w krwi swojej i pojęciach, a którą się wybitnie odznaczała. Wyrazem tego była nadzwyczajna grzeczność w stosunkach nie tylko z równymi lub wyższymi w hierarchji społecznej, lecz i niższymi od siebie.

Ludwik Tadeusz Kościuszko, człowiek rozumny, zdawał sobie doskonale sprawę z potrzeby nauki dla synów, choć sam bardzo uczonym nie był. Wiedział dobrze, iż na nauce w domu poprzestać nie można, oglądał się też za zakładem naukowym, do którego mógłby oddać synów dla dokończenia edukacji.

Sprawa szkolnictwa w Polsce znajdowała się w czasach owych w nader oplakanyim stanie. Ster jej trzymali w rękach swych przeważnie Jezuici, opierający całą swą naukę na studjowaniu łaciny, na odczytywaniu klasyków, a unikający szerszego zakresu wiedzy.

Prawda, w czasach owych rozpoczął swą znakomitą reformę nauczania ks. Stanisław Konarski,

Pijar, rozumiejący potrzebę postępu w naukach, starający się we wszystkim dorównać zagranicy, przodującej wtedy w wielu gałęziach wiedzy, lecz reformy te zaprowadzono przeważnie w całym szeregu szkół pijarskich, rozsianych po całym kraju.

Miał ojciec Kościuszki do wyboru dwie szkoły: jedną O. O. Jezuitów w Brześciu, drugą zaś O. O. Pijarów w Lubieszowie.

Lecz choć z zakonem Jezuitów wiązało go wiele węzłów, choć w pobliżu ich klasztoru w Brześciu miał dworek, choć uważany był za ich dobrodzieja, gdyż w testamencie swoim zapisał im sumę większą, niż innym klasztorom, — nie oddał im synów na naukę.

Odstrecał go właśnie ten przestarzały system prowadzenia nauk, to ustawiczne ćwiczenie uczniów w łacinie, prowadzone podług przestarzałego planu generała zakonu Akwawiiwy z r. 1584-go. W szkołach tych ćwiczano pamięć, uczono retoryki, lecz wzbraniano rozumowań, krępowano własną inicjatywę i wolę.

Takiej nauki nie chciał dla synów Ludwik Tadeusz Kościuszko, gdyż sam wychowany w podobnej szkole, dobrze rozumiał jej błędy i szkodliwość dla narodu.

Wysłał też ich do szkoły w Lubieszowie, położonym nad rzeką Strumieniem, na Polesiu, przy gościńcu pocztowym, wiodącym z Pińska na Wołyń do Równego i Łucka.

Mieszcząca się tam od r. 1693-go szkoła Pijarów uległa już zupełnej reformie Konarskiego, i garnęła do siebie młodzież nie tylko z bliższych, ale i dalszych okolic.

Zamiłowani pedagogzy, jakimi byli Pijarzy, szkołę swą otoczyli specjalną miłością. W r. 1730-ym wystawili dla niej specjalny gmach, przy którego budowie zastosowali najnowsze wymagania techniki.

Szkoła ta przedstawiała się jak następuje. W obszernym dziedzińcu ciągnęła się z jednej strony oficyna murowana jednopiętrowa, rozdzielona bramą wjazdową na dwie części, a w niej mieściły się: konwikt, czyli stancja mieszkalna dla uczniów, oraz stolarnia, tokarnia, kuźnia, młyn, deptak, łaźnia, browar i t. d.

Naprzeciw niej wznosiła się szkoła, również murowana, jednopiętrowa, o pięciu wielkich salach do nauki, obok której stał budynek dwupiętrowy, ze zbiorami narzędzi do nauki fizyki, chemji, matematyki i z biblioteką szkolną.

Klasztor okalał ogród botaniczny z pięknymi alejami lipowymi, a w nim oranżerje. Dalej ciągnął się ogród owocowy, z rzadkimi i wyborowymi gatunkami drzew, otoczony wysokim ostrokołem dębowym, przecięty szeregiem kanałów zarybionych.

Oprócz tego klasztor posiadał w mieście sześć domów, wynajmowanych zwykle na mieszkania uczniom.

Oplata za naukę była minimalną, gdyż wynosiła zaledwie złp. 3 gr. 10, biedniejsi jednak i od tej opłaty byli zwolnieni. Z zebranych pieniędzy ksiądz prefekt kupował drzewo na opalanie sal szkolnych w zimie, świece do ich oświetlania, książki i papier, a nawet nieraz i obuwie dla biedniejszych uczniów. Było ich zawsze kilkunastu i otrzymywali oni bezpłatne mieszkanie i pożywienie w bursie, utrzymywanej z funduszu imienia książąt Wiśniowieckich.

Do tej właśnie szkoły zapisano w połowie 1755-go roku wielmożnych panów miecznikowiczów brzeskich, jak ich nazywano, i zaliczono ich do klasy najniższej, wstępnej, tak zwanej Infimy. Podobnie jak i inne takie szkoły, posiadała lubieszowska pięć klas, które nazywały się: Infima, Gramatyka, Syntaksis, Poetyka i Retoryka.

W każdej z tych klas, oprócz przedmiotów głównych, od których przybierały nazwę, uczono i innych, a mianowicie: ćwiczano uczniów w sztuce pisania listów i opowiadań po polsku, wykładano historję polską i powszechną, uczono arytmetyki, algebry, geometrii, fizyki, chemji, nauk przyrodzonych, języków: francuskiego i niemieckiego.

Nauka w szkole tej nie była suchą i monotonną, przeciwnie, nawet dość urozmaiconą. O. O. Pijarzy dbali o swoich uczniów, otaczali ich miłością i starali się o rozrywki godziwe dla nich. A więc w maju np. urządzano zazwyczaj dla uczniów klas wyższych wycieczki za miasto, połączone z praktyką mierniczą. Udawano się również na majówki, na które wychodzili wszyscy uczniowie z muzyką klasztorną i chorągwiami, w towarzystwie prefekta i nauczycieli. Rankiem, o wschodzie słońca, o godzinie 4-ej lub 5-ej, maszerowano w ordynku do którego z pobliskich lasów lub gajów, z zapasem żywności na dzień cały, niesionym i wiezionym. Za nimi ciągnął cały tabor Żydów z obwarzankami, piernikami i innymi łakociami. Bawiono się wesoło i ochoczo, wracano do konwiktu późnym wieczorem, a miłe wspomnienia pozostawały na cały rok.

W pierwszym roku pobytu w szkole mały Tadeusz, czy to z powodu niedostatecznego przygotowania, czy też z powodu choroby, pozostał na rok drugi w Infimie i następnie szedł już w naukach oddzielnie od brata, który przeszedł do Gramatyki.

Tadeusz uczył się gorliwie, słuchając nauk profesorów, czytając książki z dość zasobnej biblijoteki klasztornej, najulubieńszą jednak lekturą jego były żywoty wielkich mężów starożytności, napisane przez Korneliusza Neposa.

Zwłaszcza silne wrażenie wywarł na nim i najgłębiej utkwiał mu w pamięci żywot Tymoleona, Greka z czasów starożytnych, wojownika mężnego i obrońcy szczerego wolności obywatelskich.

Broniąc sponiewieranej wolności, zwalczył on tyranów, najprzód w rodzinnym swym mieście Koryncie brata swego rodzonego, Tymofanesa, a potem Dionizjusza, władcę wielkiego miasta Syrakuz na Sycylii, wkońcu zaś Icetasa, który później tymże miastem zawładnął. Zdobywszy zamek ufortyfikowany, będący główną siedzibą tyranów, Tymoleon zburzył go, a na placu po nim polecił pobudować gmachy dla ludu na zgromadzenia wyborcze i ustawodawcze. Grecy mieli na tejże wyspie jeszcze kilkanaście miast mniejszych, które z przerażeniem dowiedziały się o przybyciu z Kartaginy olbrzymiego, 70,000 wojska, celem podbicia ich. Tymoleon nie uląkł się tego, i choć zdołał zebrać zaledwie 5,000, mimo to jednak śmiało wystąpił do walki, i tak wielką liczbę nieprzyjaciół przełamał, pobił i rozpędził. Żeby zapobiec zaburzeniom, wynikającym z niesprawiedliwości i krzywd ludzkich, obmyślał mądre prawa i podawał je ludowi do rozważenia i uchwalenia.

Tego właśnie bohatera starożytności obrał sobie za wzór Tadeusz Kościuszko, przysięgając w głębi duszy, o ile mu sił i możliwości starczy, wstępować w jego ślady. Najcenniejsze, zdaniem jego, w Tymoleonie było to, iż mógł zwrócić narodowi odzyskaną wolność, nic z niej nad nią sobie nie biorąc.

Do samej śmierci przytaczał go innym za wzór cytując nieraz i zalecając czytanie jego żywota przyjaciółom.

W czasie pobytu braci Kościuszków w szkole raził ich cios straszliwy. W początkach kwietnia r.

1758-go zmarł w sile wieku ich rodzic. Zmarł nagle prawie, przy objeździe majątności swoich, w zastawnym folwarku Zdzitowie, położonym zaledwie o trzy wiorsty od Siechnowicz. Przyczyna śmierci jego nie jest znana, nieprawdą jednak jest puszczona w świat przez Leonarda Chodźkę, w życiorysie Kościuszki, potworna bajka o tem, iż Ludwik Tadeusz Kościuszko zamordowany został w r. 1768-ym w ohydny sposób przez włościan swoich, z którymi miał się obchodzić w sposób bezwzględny, a nawet okrutny, dzięki bezkarności, jaką się wówczas cieszyła szlachta. Wypadek ten miał się stać również powodem wyjazdu za granicę syna, Tadeusza...

Z nieprawdopodobnej bajki tej skorzystał znany wróg Polaków, historyk rosyjski Kostomarow, i uzupełniwszy ją całym szeregiem domysłów swoich, związał z rzezią humańską, z koliszczyzną, dodając, iż przy śmierci ojca był obecnym Tadeusz, i że dzięki temu dokonał się w nim zupełny przewrót moralny i że wtedy właśnie zrozumiał przyczyny upadku Polski.

Historja z łatwością dowiodła nieprawdziwości tych bajek, gdyż po pierwsze, według istniejących danych, Ludwik Tadeusz Kościuszko umarł w r. 1758-ym, nie mógł więc zostać zamordowanym w dziesięć lat później. Powtóre, zamordowanie obywatela tej co on miary nie uszłoby bezkarnie, i napewno liczne pozostałyby ślady tego w procesach sądowych oraz surowym, według ówczesnych praw, wyroku na morderców. Tymczasem istnieje mnóstwo dowodów, iż Ludwik Tadeusz Kościuszko był nadzwyczaj dobrym dla swoich włościan, że dbał i zabiegał o ich dobro, i że zostawił wdzięczną pamięć po sobie.

Przeczy tej bajce i ten fakt, iż w r. 1768-ym Tadeusz Kościuszko był w Korpusie kadetów, nie mógł

zatym być na Litwie. Nie był również i na pogrzebie ojca w r. 1758-ym, gdyż przebywał wówczas w szkole w Lubieszowie.

Ludwik Tadeusz Kościuszkowski zmarł, nie dopiąwszy upragnionego celu: przeniesienia się do Siechnowicz. Prawda, nabył je, lecz nie posiadając dostatecznej sumy na zapłacenie należności, pożyczył ją od pani Karoliny z Gieryngów Berentowej, wdowy po kapitanie wojsk Jego Królewskiej Mości, wzamian za to wypuszczając jej Siechnowicze prawem zastawu na lat trzy.

Nie dowodzi to bynajmniej, ażeby nie miał gotówki, przeciwnie, posiadał ją, lecz była ona rozpozyczoną na dłuższe terminy.

Nie przekroczył więc żywym Ludwik Tadeusz Kościuszkowski granic tak upragnionych Siechnowicz, lecz za to zwłoki jego spoczęły w kaplicy siechnowickiej, obok ojca i dziada.

Pozostała wdowa wyprawiła mu suty pogrzeb, sprowadzając z okolicznych klasztorów wielką liczbę zakonników, polecając odprawiać wszędzie uroczyste nabożeństwa żałobne z biciem w dzwony, rozdając biednym obfite jałmużny. Dostały też i klasztory poważniejsze sumy, gdyż nie zapomniał o nich w testamentie swoim Ludwik Tadeusz.

Po śmierci męża nie opuściła pani Tekla Kościuszkowska rąk bezradnie, lecz zabrała się energicznie do pracy, by nie tylko zachować dla dzieci puściznę po ojcu, lecz i powiększyć ją. Miała, prawda, przydanych opiekunów, lecz ci, mieszkając daleko, niewielką mogli być jej pomocą. Sama też objężdżała trzymane prawem zastawu folwarki, jak Merczowszczyznę, Zdzitów i t. d., pilnując uprawy roli i wybierając czynsze. Sprawę Siechnowicz załatwiła

w ten sposób, iż imię pani Berentowej spłaciła część długu, resztę zaś zobowiązała się oddać po roku. Dopelnivszy tego warunku, w r. 1759-ym przeniosła się na stałe do Siechnowicz, gdzie też w rok później przybyli ze szkoły w Lubieszowie obadwaj synowie, Józef po skończeniu Retoryki, Tadeusz zaś — Poetyki.

W r. 1762-im Tekla Kościuszkowa wydała za mąż najstarszą córkę, Annę, za Piotra Antoniego Estkę, a w kilka miesięcy potym i młodszą, Katarzynę, za Karola Żółkowskiego, starostę moknińskiego, przy czym obydwie wyposażyła należycie.

Załatwiwszy to, jak również i sprawę z Mereczowszczyzną, z której należną sumę odebrała narreszcie od Fleminga, nabywcy dóbr kossowskich, miała jeden tylko kłopot — z synami.

Starszy, Józef, próżny, goniący za czczymi honorami, po ukończeniu szkoły pijarskiej w Lubieszowie, ani już myślał o dalszej nauce. Zamiarem jego było poświęcić się gospodarstwu i pracy publicznej, marzeniem — godność deputata na sejmik. Zaprawiał się też do tego zawczasu, jeżdżąc z sejmiku na sejmik.

Inaczej sprawa przedstawiała się z Tadeuszem. Natury marzycielskiej, ogarnięty jedyną tylko myślą służenia Ojczyźnie, pragnął uczyć się dalej, kształcić umysł i ducha, by następnie oddać w zupełności na służbę Polsce.

Lat parę spędził w domu, pracując nad sobą. Czytał, myślał, rozwijając umysł, nie uchylając się jednak i od pomocy matce przy gospodarstwie. Naraz rozeszła się wieść o otwieraniu w Warszawie wyższego zakładu naukowego dla młodzieży szlacheckiej przez nowoobranego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Dotarła ona i do zakątka siechnowickiego, elektryzując działając na Tadeusza.

Zakład ten, zwany Korpusem kadetów, odpowiadał w zupełności marzeniom jego o wyższym wykształceniu, postanowił też za wszelką cenę wstąpić do niego.

Na skutek próśb jego matka postanowiła uciec się do protekcji — gdyż, niestety, i wtenczas nie bez protekcji zdziałać nie było można — dalekiego krewnego i przyjaciela ś. p. Ludwika Tadeusza, pisarza polnego wojsk litewskich, Józefa Sosnowskiego, pnącego się coraz wyżej po drabinie dygnitarskiej.

Protekcja jego odniosła skutek i młody Tadeusz Kościuszko zaliczony został w poczet uczniów nowoutworzonego Korpusu kadetów.

Wyjeżdżał do Warszawy pełen nadziei i różowych złudzeń na przyszłość. Otwierała się przed nim nowa era życia.

II.

W Korpusie kadetów.

Polska w czasach owych stała na śliskiej pochyłości, po której rychło ku przepaści stoczyć się miała. Naród rycerski ostatnie świadectwa swej waleczności składał za mężnego króla Sobieskiego. Dostawszy się pod rządy gnuśnych i rozpustnych Sasów, powoli zatracał pamięć o swej waleczności. Ufny w potęgę miecza, nie bawił się w dyplomację, daleki od jej knowań i podstępów.

A przytym zbyt wiele miał roboty wewnątrz kraju, małostkowej, prawda, by patrzeć na to, co się działo poza jego granicami. Rozbijała wolność szlachecka, pod wpływem „liberum veto“, przemieniła się w zupełną swawolę, którą w odpowiedni dla

siebie sposób wyzyskać potrafiła garść ambitnych magnatów, więcej o sprawach osobistych, niż Ojczyzny, myślących, a w wiecznej przytym wojnie z sobą zostających.

A tymczasem z dwóch stron, na zachodzie i wschodzie, wyrastali dwaj groźni współzawodnicy...

Carstwo moskiewskie, na którego tronie zasiadł car Piotr, zwany Wielkim, człowiek zdolny, lecz despotyczny i bezwzględny, wszelkimi siłami dążyło do tego, by zająć naczelne miejsce wśród państw Europy. Despotyczną wolą cara cywilizowane, choć tylko powierzchownie, dążyło wytrwale do tego, by zdobyć wybrzeże morskie z portem, które miało się stać dla niego „oknem do Europy“. Po długiej walce z królem szwedzkim, Karolem XII, przyczem z potrzeby zawarł sojusz z Augustem II Sasem, zdobył car Piotr pobrzeża Bałtyku i założył tam stolicę państwa, Petersburg.

Pełen azjatyckich podstępów, pomimo pozornej cywilizacji, rozumiał dobrze, iż Rosja może urosnąć tylko wtedy, gdy w Polsce panować będą anarchja i bezład, osłabiające ją. Dążył też sam do tego i przekazał to, jakby testamentem, następcom swoim.

To też gdy w czasie panowania Augusta II i po śmierci jego Polacy powołali na tron rozumnego Stanisława Leszczyńskiego, który mógł przywrócić dawną potęgę Polski, Rosja oparła się temu, nie wahając się nawet wprowadzić w granice Rzeczypospolitej wojsk swoich, celem usunięcia niedogodnego kandydata.

Z woli Rosji też zasiadł na tronie August III Sas, człowiek gnuśny i niedołężny, niedbający zupełnie o dobro państwa, rządy jego zdający na łaskę faworytów.

Zamęt rósł. W bezczynności gnuśniała szlachta, oręż rdzewiał w pochwach, a swawola wzmagała się. Toż wtedy właśnie powstało nader smutne dla nas przysłowie: „Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa“.

Z drugiej znów strony, na zachodzie, rosło silne państwo pruskie, powstałe z lennych niegdyś dziedzin krzyżackich i brandeburskich.

Panował tam wówczas Fryderyk II, zwany Wielkim, który wielkie zasługi położył dla wzrostu potęgi swego państwa, niestety, z naszą szkodą, i który w kwestji podtrzymywania anarchji w Polsce zgadzał się z władcami Rosji.

Zmarł August III, i powstał w Polsce zamęt. Szlachta nie mogła się zgodzić na obiór króla, godząc się tylko na jedno, iż ma nim być Piast, t. j. Polak rodowity a nie cudzoziemiec. Najwięcej szans miał jeden z książąt Czartoryskich, rodziny magnackiej, bardzo rozumnej i czującej potrzeby kraju. Lecz panująca wtedy w Rosji caryca Katarzyna II oparła się temu, narzucając Polsce na króla faworyta swego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, stolnika litewskiego, dalekiego krewnego Czartoryskich.

Pod wpływem przemożnej woli ambasadora rosyjskiego, a zwłaszcza licznych wojsk carycy, które prawie że obległy pole elekcyjne na Woli, uległa szlachta i przyjęła przemocą narzuconego jej króla.

Był to monarcha nadzwyczaj układowy i grzeczny, wykształcony po europejsku, wielki protektor nauk i sztuk, lecz chwiejny i zniewieściały.

Król podobnego pokroju mógł być wiele dobrego zdziałać, gdyby Polska, potężna wewnętrznym ładem, nie potrzebowała obawiać się sąsiadów swoich. Lecz w chwili, gdy znajdowała się ona w stanie zupełnej anarchji, gdy zewsząd czyhali na jej ziemie chciwi

sąsiedzi, Polsce potrzebny był król rycerski, mężny, któryby mógł poprowadzić hufce do boju. A znie-
wieściały król Stanisław August nie mógł podźwignąć miecza słabym ramieniem, na widok zaś krwi mdlał, jak niewiasta...

Nie dziwota też, że stał się tylko manekinem w rękach ambasadora rosyjskiego i sprzedajnych magnatów.

Otóż temu królowi w „pactach conventach“ postawiono warunek założenia szkoły rycerskiej, czyli tak zw. Korpusu kadetów.

Miłujący oświatę król znalazł gorliwych pomocników w Czartoryskich, gdyż i oni w oświacie widzieli jeden z najważniejszych czynników odrodzenia Polski. Zakrzętnęli się też energicznie około wcielenia w czyn tego warunku, nie szczędząc ani pracy, ani kosztów. A były one poważne, gdyż tylko w ciągu pierwszych dwóch lat istnienia korpusu wydał król na niego aż 2,136,023 złp.

Nową szkołę ulokowano w dawnym pałacu Kazimierzowskim, zbudowanym przez króla Jana Kazimierza. W gmachu tym, przerobionym zupełnie przez władze rosyjskie, mieści się obecnie uniwersytet warszawski.

Był to gmach wspaniały, dwupiętrowy, ozdobiony wielkim orłem na kopule. Szerokimi, wygodnymi schodami dostawało się na pierwsze piętro, do obszernej sieni, oświetlonej trzema wielkimi oknami, z której znów wchodziło się do szeregu sal. Jedna z nich, środkowa, była większą i wyższą od wszystkich, gdyż sięgała i drugiego piętra, miała zatem dwa rzędy okien w ścianie tylnej, a przy ścianach bocznych dwie galerje, podparte pięknymi kolumnami. W sali tej niegdyś gwarно było, rozbrzmiewała

huczna muzyka, napełniał ją tłum barwny i strojny znakomitych gości, gdyż służyła do balów królewskich. Miała też ona i ganek zewnętrzny, z którego roztaczał się przepiękny widok na ogród, ciągnący się ku Wiśle, na domki nadbrzeżne, na dalekie pola i lasy zawiśnię.



Gmach Korpusu kadetów w Warszawie.

Od strony Krakowskiego Przedmieścia, przed gmachem leżał ogromny plac, zamknięty bramą wjeżdżną, a na którym odbywały się wszystkie parady gwardji pieszej litewskiej. Z obu stron tego placu, w parę linii, wznosiły się domki, zwane koszarami gwardji, nim ją przeniesiono do Ujazdowa. Zamieszkiwali w nich, oprócz gwardji, profesorowie Korpusu kadetów, oficerowie żonaci, i inne osoby, do składu korpusu należące, a mające rodziny.

Kadeci znów dla ćwiczeń wojskowych, oraz zabaw mieli inny plac, bardzo obszerny, ciągnący się z tyłu pałacu, o dwóch kondygnacjach, z których wyższa zasadzona była kasztanami w dwa rzędy.

Sam pałac składał się z suterenu i trzech pięter.

W suterrenach mieściły się: sala jadalna, izba wielka, w której co sobota niemłoda kobieta myła i czesała głowy młodszym chłopakom; dalej mieszkania dwóch szwajcarów i różne składy. Na piętrach zaś, na najniższym mieściły się klasy w liczbie siedmiu, nad nimi mieszkania kadetów, nad tymi znowu mieszkania brygadjerów, komory brygadne, biblioteka i sale do pomieszczenia narzędzi fizycznych i astronomicznych.

Na codzień używali kadeci ubioru, złożonego z kurtki czyli koletu z sukna ponsowego, grubego, z guzikami mosiężnymi, podszytego kuczbają białą, z obszlegami granatowymi. Gorzej uczący się i świeżo przybyli nosili obszlegi białe.

Pierwszym więc odznaczeniem, na które trzeba było zasłużyć, były owe obszlegi granatowe; następnie, uczący się dobrze i mający dobry stopień z obyczajów, otrzymywali mały epolecik złoty z dwoma paskami granatowymi; później takiż epolecik z jednym tylko paskiem; dalej medal srebrny z napisem „Za pilność“, lub medal złoty z takimże napisem; później dawano im dzieła jakie kosztowne i t. p.

Dalszym ubiorem były: krótkie spodnie białe, sukienne, buty i halsztuk; kapelusz na głowę latem i zimą. Na święta znów lub dla parady nosili fraki granatowe, z lepszego już sukna, z podszewką białą i ponsowymi obszlegami dla tych, co na codzień granatowe mieli, dla innych zaś z białymi, guziki mosiężne żółte, kamizelka i spodnie sukienne białe, szpada uniformowa. Używanie płaszcza lub futra było zupełnie wzbronione.

Na naukę kładziono silny nacisk, przyczym uwzględniano prawie wszystkie jej działy. Zachowany plan nauk wskazuje, iż w korpusie wykładano

następujące przedmioty: przedewszystkim język polski w szerokim zakresie, gdyż specjalne godziny wyznaczone były na czytanie, ortografię i stylistykę polską, oraz na pisanie pięknych listów; następnie szły języki: łaciński, francuski i niemiecki; arytmetyka, geometria, algebra, fizyka, architektura cywilna i wojskowa, sztuka fortyfikacyjna, historia Polski, starożytna, powszechna i literatury, geometria, prawo cywilne i publiczne, analiza, ekonomja, kaligrafja, rysunki i tańce. Wykładali je następujący profesorowie: Wiszniewski, Weidlich, Gavard, Musonius, Łęski, Wulfers, Wasilewski, Hube, Michałowski, Kries, Chillet, Müller i inni.

Miarą zabiegów o zdobycie dobrych dla korpusu profesorów służyć może następujący przykład: Adam Czartoryski, ks. generał ziem podolskich i jeden z głównych opiekunów korpusu, na wiosnę r. 1767-go przybyły do Berlina na rewje i manewra pruskie z wielkim poczem i wspaniałością niemal królewską, ofiarował tam p. Barrière dyrekcję korpusu z pensją trzy razy większą, niżeli pobierał w Berlinie. Barrière odmówił.

Król był szefem korpusu i bardzo często i chętnie chodził w mundurze kadeckim; komendantem z rangą starszego porucznika był ks. Adam Czartoryski; wice-komendantem był hr. Fryderyk Moszyński, a generałem dowodzącym Wojna, starosta stanisławowski, szambelan króla; pułkownikiem, zajmującym się mustrą i wykształceniem wojskowym był Wodziński.

Przewodnią myślą króla i księcia Czartoryskiego była chęć stworzenia nietylko zastępu zdolnych i wykształconych oficerów, ale też i młodzieży, któraby na społeczeństwo oddziałać mogła, dając mu

przykład ogłady, światła i europejskiej cywilizacji. Pomimo ciężkich warunków finansowych,łożył król chętnie na szkołę, a książę Adam zajmował się nią gorąco, wszczepiając w młodzież obok nauki gorące patryjotyczne uczucie, którym przejęty był sławny katechizm, jakiego tu nauczano.

Musieli się go na pamięć nauczyć kadeci i co sobota przed podbrygadjerami powtarzać. Treść zasadnicza jego polegała na tym: kadet powinien mieć miłość Boga, przywiązanie do religji, powinien Ojczyznę swą kochać i jej dobro nadewszystko. Należy oddawać cześć starszym bez upodlenia siebie samego — padania do nóg, ściskania za nogi, całowania w ręce, podpisywania się w listach podnóżkiem, zbyt niskich ukłonów. Ostatnie pytanie: „Czy może być kadet bojaźliwym lub tchórzem“,—wymagało zaprzeczenia w następującej formie: „Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa, i rzeczy, które znaczą, są mi nieznajome“.

W miłości do Ojczyzny utrwał sławny „Hymn“ Krasickiego, wydrukowany w książce kaddeckiej, a następnie wyryty złotymi głoskami w wielkiej sali pałacu. Brzmiał on:

„Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe!
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!“

O potrzebie reform znów głosił następujący cięty dwuwiersz tegoż Krasickiego:

„Bo w Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże:
Chłopa na pał, panu nie, szlachcica na więzę“.

Zaraz po otwarciu korpusu przyjęto do niego młodzież już podrosłą, chłopców szesnasto i osiemnastoletnich, majątniejszych i uboższych, dobierając ich nawet co do postaci. Poblązanie księcia i buta szlachecka czyniły ją nader trudną do utrzymania w rygorze. Za to późniejsi uczniowie, w młodszym wieku brani, wdrażali się w karność, lepiej i łatwiej prowadzić się dali.

W Korpusie kadetów w istocie wychowywała się nadzieja lepszej przyszłości narodu. Jak mówi poeta:

„I ta jest między nami najdzielniejsza młodzież,
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież“.

Do takiej właśnie szkoły dostał się Tadeusz Kościuszko. Nie był on już dzieckiem, gdyż liczył wtedy lat 19, to też musiał wstąpić odrazu do klasy IV-ej lub V-ej, dowodem czego zresztą służy to, iż ukończył korpus w r. 1769-ym.

Przytym narazie nie były nawet otwarte klasy niższe, o czym zaświadcza dialog, p. t. „Kawaler młody, zamyślający być w korpusie, radzi się kadeta“, oznaczony datą 1 Augusta 1770-go r. Zawiera on następujący ustęp:

„Oto korpus nasz pierwiastkowy, ze starszych złożony, był podobny do pięknego ogrodu... lecz część największa nie udała się. Jedne z drzew nie urodziły, drugie same tylko przyniosły liście... próżne prawdziwego plonu, a co najważniejsza były w nich takie, które przykrym wonieniem zarażały szczep nowy, sączyły z siebie jad zaraźliwy, który naczynił szkody swemu wynalazcy... Ów gospodarz rozwalił swoje dzieło, a miejsce to zasadził drzewem młodym... Starszych trzymać nie chcą... Powiadają, iż król samych małych w korpusie trzymać postanowił,

które przedsięwzięcie ma nieomylnie wykonać, czego i komenda życzy“.

I rzeczywiście, konstytucja z r. 1768-go zastrzegła, że kadet, wchodzący do korpusu w roku ósmym, powinien przebywać w nim lat 9, zaś 12-letni ma bawić tylko lat sześć.

Kościuszko zaliczony został do korpusu w dniu 18 grudnia 1765-go r., i zapisany na listę kadetów pod numerem 79-ym, t. j. przedostatnim, gdyż wszystkich uczniów w korpusie było 80.

Zaraz w dniu pierwszym prezentował się, to jest przedstawił się komendantowi, wszystkim oficerom, profesorom, metrom i przyszłym kolegom swojej kompanji, przeczytał przepisy obowiązków kaddeckich i odpowiedział na zapytania: czego się uczył i nauczył? Według tych odpowiedzi dyrektor nauk zapisał go do odpowiedniej klasy. Nazajutrz odbyło się obleczenie w mundur granatowy z wielką ceremonją, ale bez broni, i przybysz stawał się „nowicjuszem“, przyjętym na próbę.

Zaraz na wstępie owiało go potężne tchnienie patrijotyzmu, pouczając go, iż poza domem własnym, poza zaściankiem rodzinnym, jest wielka, potężna Ojczyzna, której wszystko poświęcić należy.

Nic też dziwnego, że, znalazłszy się w podobnej atmosferze, Kościuszko zabrał się energicznie do pracy. Zachowane wspomnienia kolegów o nim głoszą, że odznaczał się uporem w zdobywaniu wiedzy, oraz w przewycieżaniu siebie. Chcąc wstawać o 3-ej rano np., przywiązywał Kościuszko sobie sznurek do ręki lewej, aby stróż, przechodząc korytarzem do palenia w piecach, mógł pociągnąć i obudzić go. Wieczorem zaś, dla odpędzenia snu, mył się lub wstawiał nogi w zimną wodę.

General Paszkowski w życiorysie Kościuszki utrzymuje, iż koledzy zwali go „Szwedem“, upatrując w nim porywczosć, chytrósć i upór Karola XII-go, króla szwedzkiego.

Tak upłynął rok cały. Po tym czasie dopiero, po skończonych egzaminach, rada korpusowa orzekła, którzy z kadetów warci są być przybranymi w kompletne mundury kadeckie. Oblóczyny te miały się odbywać w niedzielę, w kaplicy; koledzy przychodzili w patrontaszach, przy pałaszach i długich mundurach (t. j. nie w kurtkach czerwonych, codziennych), a nowicjusz bez broni.

Po wysłuchaniu uroczystej mszy na klęczkach przez nowicjusza, ksiądz dyrektor duchowny przekładał mu świętość obowiązków względem Ojczyzny; potem już w sali lub na placu brygadjer przed frontem oświadczał prośbę o uzbrojenie, brał nowicjusza pod lewe ramię, podbrygadjer pod prawe, a gefrejter rozpoczynał szereg zapytań, przypominających średniowieczny obrzęd pasowania na rycerzy.

Na pytanie: „Czego WPan żądasz?“ nowicjusz odpowiadał: „Byłem tak szczęśliwym, że mnie osądzono godnym noszenia munduru korpusowego; stawam teraz z prośbą, żebym był uzbrojony“.

Na pytanie znów: „Masz WPan szczere przedsięwzięcie tę broń, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę Ojczyzny swojej i swojego honoru?“ odpowiadał:

— „Nie inne jest przedsięwzięcie moje“.

Wtedy kadeci prezentowali broń, uderzano werbel, a najstarszy oficer przypasywał nowicjuszowi pałasz i podawał karabin z odpowiednim morałem.

Nowoprzyjęty kadet zaś miał mówić:

— „Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgroma-

dzonym, że postępkami swymi ich nie zawstydzę, ani też nowicjuszom, czekającym na ten zaszczyt, który odbieram, nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w aplikacji lub zaniedbanie powinności moich“.

To powiedziawszy, brał broń na ramię. Brygadjer pytał jeszcze:

— „Obiecujesz mi W Pan, że w pamięci będą u niego przyrzeczenia, któreś tu dał? Imieniem brygady i moim pytam się o to“. Na co nowicjusz odpowiadał:

— „Przyrzekam na honor“.

Prowadził go potem brygadjer na miejsce wyznaczone, nowoprzyjęty kadet stawał w szeregu, robił front i prezentował broń. Najstarszy oficer kazał wziąć broń na ramię, potem prezentować i każdy brygadjer odprowadzał swoją brygadę.

Wieczorem wyprawiano zabawę kosztem korpusu.

Ta przysięga, ten ślub młodzieńczy bronięcia zawsze Ojczyzny i honoru, wywierały nadzwyczajne wrażenie na umysłach młodzieży; napewno nie pozostało ono bez wpływu na umysł Kościuszki.

Na każdym kroku czytał, słyszał i widział coś, co go pouczało, że pojęcie Ojczyzna jest nadzwyczaj obszerne, że obejmuje sobą kraj cały...

Mówiła mu o tym i przedmowa, napisana przez komendanta, ks. Adama Czartoryskiego, do „Historji nauk wyzwolonych“ Carlancasa, będącej rodzajem niewielkiej encyklopedji, czy też zbiorem różnych nauk humanistycznych, jak literatura, filozofia, nauki społeczne. Rozczytywał się w niej Kościuszkę, jak o tym świadczy własnoręczny podpis na karcie tytułowej tego dzieła, przechowanego dotychczas.

Przedmowa ta zawierała cały szereg nader trafnych uwag i brzmiała jak następuje:

„Kogo los urodzenia i fortuny wytknął do czynnych obywatelstwa obowiązków, ten starać się powinien o wydoskonalenie siebie w tych wiadomościach. Aplikować się będzie do Historji, bo przykłady wzięte z dziejów starożytności i narodów uczyć go będą, jak o swoim radzić; do Prawa Natury i Narodów, bo te światła mu dadzą w tym czasie, w którym mu przyjdzie albo błędne ojczyste poprawiać ustawy, lub nowe wyroczyć; do Krasomówstwa... do Matematyki, bo ta bystrzy rozsądek; do Geometrji, która do służby wojskowej koniecznie potrzebna... Te maksymy przykładam w szczególności do Was, Młodzi zacna Korpusu kadetów. Wy tę w najopłakańszym, który tylko być może wymyślony, stanie zostającą Ojczyznę waszą powinniście zaludnić obywatelami gorliwymi o jej sławę, o uwiększenie jej mocy wewnętrznej i poważania postronnego, o poprawę rządów jej w gatunku swym najgorszych. Żebyście Wy, plód nowy, odmienili starą postać kraju swego. Takimi was chce pielegnować ten wasz Pan, Ojciec i Dobrodziej“.

Czyż wobec tego można się dziwić, że szkoła ta wielki wpływ wywierała na młodzież, szczególnie zaś na Kościuszkę?

Nauki w niej wykładane różniły się wielce od nauk w szkołach jezuickich i pijarskich, przyczym jednym z głównych dążeń było wyzwolenie młodych umysłów z pod władzy systematów teologicznych i skierowanie ich ku służbie społeczeństwu świeckiemu, przedewszystkim zaś — narodowi.

Byli w Korpusie kadeckim księża, nawet w gronie profesorów, była i kaplica, w której odprawiały się nabożeństwa, był i kapelan, który ze stopni ołtarza przemawiał do kadetów we wszelkie uroczystości, ale w rozkładzie lekcji nie było ani jednej go-

dziny, przeznaczonej na wykład katechizmu teologicznego. Nawet naukę moralności wykładał nie ksiądz, lecz sprowadzony z Królewca Marcin Nikuta, który jednocześnie miał uczyć i ekonomji.

W Muzeum ks. Czartoryskich — jak podaje prof. Korzon — przechowuje się sekstern z czterech arkuszy papieru z napisem: „Filozofia. Kościuszko“ i poświadczeniem przez księżną Wirtemberską, że pisany był u kadetów. Jest to fragment owego kursu etyki. Zawiera „pytania z Filozofji obyczajów: czyli jest i jaka być może nauka potrzebna o obyczajach“.

Odpowiedź składa się z pięciu „części“, z których czwarta wylicza różne narody, poczynając od izraelskiego, a kończąc na Polsce, i twierdzi, że nie zbywało na ludziach mądrością i miłością dobra pospolitego znakomitych, którzy, potrzebę tej nauki znając, przepisy onej podali, jako to oni pamięci godni Fredrowie, Opalińscy, Starowolscy, Lipscy, Powodowscy, Mądrojowscy (sic! — zapewne być miało: Modrzewscy) uczyli.

Pytania 12 i 13 traktują o namiętnościach: „wielorakie są i czyli równie w nas przemagają“, a więc jest to ustęp z psychologii. Odpowiedź, niestety, opiera się na Platona Tymeonie i na Galenusie, na ich nauce o kompleksji. Pytanie 16 roztrząsa cnotę, pytanie 23 o męstwie wywołuje odpowiedzi z przykładami na Leonidasie, Tarnowskim, Chodkiewiczu, Czarńieckim; nareszcie, po pytaniu 25-em ostateczna odpowiedź brzmi: „siebie samego zwyciężaj — największe zwycięstwo“.

Tej ostatniej maksymy trzymał się stale w życiu Kościuszko.

Wogóle miał Kościuszko nadzwyczaj wysoko rozwinięte poczucie o honorze. Świadczy o tym, mię-

dzy innymi, i następujący przykład. Na jednej z zabaw tańczących u króla, na którą wstęp mieli i kadeci, znany zawadjaka współczesny, Józef Gozdzki, wojewoda podlaski, uraził jednego z kadetów. Wywołało to oburzenie wśród kadetów i koledzy stanęli w obronie honoru znieważonego. Udali się do zwierzchności o poparcie w uzyskaniu satysfakcji, a gdy ta odmówiła, utworzyli zmowę, na której czele stanął Kościuszko, ażeby publicznie upokorzyć wojewodę. Miano już zamiar ten w czyn wprowadzić, gdy ktoś doniósł o tem królowi i rzecz cała wydała się.

Wezwał Stanisław August Kościuszkę do tłumaczenia się, i ten umiał sprawę tę tak przedstawić i umotywować, iż król zmusił Gozdzkiego do przeproszenia kadetów, Kościuszką zaś tak się zainteresował, iż często bardzo wzywał go do siebie do zamku na gawędę i czytanie.

Co do nauk, należał Kościuszko do liczby najlepszych uczniów, tak że już w rok po wstąpieniu do korpusu awansował na chorążego, a w dwa lata potem na wice-brygadjera.

Była to, prawda, służba koleżeńska, uczniowska, dowodziła jednak, bądź co bądź wielkiego zaufania zwierzchności, gdyż powierzono mu komendę nad 19 współtowarzyszami.

Po złożeniu ostatnich egzaminów w r. 1769-ym, został Kościuszko przy korpusie, jako oficer płatny, zapewne w szarzy brygadjera. Pobierał wtedy 200 złp. pensji miesięcznej i miał rangę kapitana.

Jak uroczyście odbywało się przyjęcie kandydata do korpusu, podobnie uroczyście odbywało się zakończenie nauk jego.

Na dzień oznaczony zbierała się do sali wielkiej rada, złożona z oficerów, dyrektora nauk i niektó-

rych profesorów, pod prezydencją najwyższego komendanta, jaki chciał zasiadać. Tam więc profesorowie dawali swe zdania o postępie i aplikacji uczniów w każdym oddziale nauk, oficerowie zaś, do których brygady kadet należał, o jego prowadzeniu i podług tego wypadła decyzja, wciągnięta w protokół, z podpisami zasiadających, na jakiej tablicy ma być zamieszczony kadet, z wyrażeniem opinii rady. Poczem podawano kadetowi protokół, w którym był wypisany akt urzędowy, na którym podpisać się był powinien, wyrażając wdzięczność za odebrane wychowanie w instytucie, za troskliwość nauczycieli i oficerów, z jaką rozum jego i obyczaje kształcili; nakoniec zapewnienie uroczyste, jako przez cały bieg życia bronić będzie honoru i sławy szkoły rycerskiej. Po dopełnieniu tego, książę Czartoryski wręczał dymisję, napisaną na arkuszu, z podpisem i pieczęcią królewską, całował w twarz i podawał hrabiemu Moszyńskiemu, ten z kolei generałowi Radowskiemu, ten pułkownikowi Elsnicowi, dalej obecnym brygadjerom i wice-brygadjerom, dyrektorowi nauk, profesorom, a na końcu kolegom. Tym sposobem, gdy ceremonia pożegnania się odbyła, na odjętej ze ściany tablicy zapisywano imię i nazwisko występującego, z wymienieniem daty aktu i opinii rady.

Tablice te, w liczbie czterech, umieszczone były na ścianach wielkiej sali, przeznaczonej na wszelkie liczne zgromadzenia. Pierwsza nazwana była złotą: na niej zamieszczano tylko takich, którzy zyskali zdanie o bardzo dobrej aplikacji i takimże prowadzeniu się — na jasnym tle złotymi literami zapisywano ich imiona; druga — srebrna, gdy albo przy obu tych kategorjach, albo przy jednej nie było zamieszczone słowo: bardzo, — pisana była srebrnymi literami; trze-

cia — średnia, na której opinja literami niebieskimi na tle żółtym wypisywana była; ostatecznie czarna, a na niej czerwonymi literami zapisywano imiona najgorszych uczniów, niedbałych albo przestępców.

Każdy przychodzący do sali mógł czytać te napisy. Opinja ta rady, w ten sposób wyrażona, miała wielki wpływ na dalsze postępowanie młodzieńca. Przykładem tego służyć może następujący fakt: gdy jeden z dygnitarzy koronnych, M., miał zostać generał-inspektorem, to jest, gdy rangę tę chciał sobie kupić, wystąpił ktoś z opozycją, że w szkole rycerskiej nazwisko jego na naszej tablicy się znajdowało. Musiał przychodzić do zwierzchności korpusu z prośbą i wielkich używać starań, ażeby go stamtąd wymazano.

Nazwisko Tadeusza Kościuszki błyszczało na tablicy złotej, gdyż nietylko, że był on najlepszym uczniem z pomiędzy tych, którzy korpus ukończyli, ale i największym i najznakomitszym, który sławę korpusu sławą swą rozjaśnił i uświetnił.

W czasie pobytu swego w korpusie doszedł do pełnoletności, nie chcąc jednak dla spraw majątkowych przerywać nauk, wystawił bratu swemu, Józefowi, nader obszerną plenipotencję, dn. 25 października 1767-go r., nie zważając na to, jakie to może za sobą pociągnąć skutki.

W ostatnim roku nauk w korpusie raził go cios dotkliwy: zmarła mu matka, którą szczerze i gorąco miłował, a na której pogrzebie nawet być nie mógł.

Tekla Kościuszkowa, osiadłszy w Siechnowiczach, zajęła się gorliwie interesami dzieci. Gdy doszedł do pełnoletności syn, Józef, zdała na niego część ich, przyczym gorliwie dopomagała mu pieniądze do zdo-

bycia godności deputata na kadencję nowogrodzką Trybunału.

Kosztowało to dużo, więcej znacznie, niż wyprawa Tadeusza do korpusu. Widząc więc, że pieniądze rozchodzą się nader prędko, postanowiła unieruchomić resztę kapitału. Przepojona zasadami męża, zdecydowała się lokować go w ziemi. Zaczęła rozglądać się wokoło za kupnem odpowiedniego folwarku i wkrótce nadarzyła się jej znakomita okazja. O kilka staj od Siechnowicz znajdował się folwark z dobrze zabudowanym dworem — Siechnowicze-Dawidow-szczyzna. Siedział tam daleki ich kuzyn, niemłody już, bezdzietny, lubo żonaty, Dawid Kościuszkowski, podczaszy piński.

Rozpoczęła z nim Tekla Kościuszkowska układy, które zakończyły się aktem sprzedaży, zeznanym dn. 20 czerwca 1768-go r. przez Dawida Kościuszkę na rzecz synowców Józefa i Tadeusza Kościuszków Siechnowickich, za sumę 40,000 złp., w złocie ważnym oddaną i odliczoną.

Końca tej tranzakcji nie doczekała się Tekla Kościuszkowska. Zachorowała na wiosnę r. 1767-go, a żadnego z synów nie było przy niej — Tadeusz był daleko, w Warszawie, Józef zaś uwijał się po powiecie, zajęty swymi czynnościami deputackimi. Jeździła do Brześcia, by zasięgnąć rady lekarza nadwornego Flemingów, Millera, i tam podreperowawszy trochę zdrowie, podyktowała list do „najukochańszego“ Józefka, żądając wiadomości o jego zdrowiu i powodzeniu. Na końcu własną ręką dodała:

„Dziecię moje najmilsze! Nie wiesz o mnie i nic nie piszesz, jak się mam. Byłam bez nadziei życia. Bóg mnie dla was zachował, żebym wam swoim błogosławieństwem na tym świecie błogosławiła. Je-

stem w Brześciu na kuracji; nie wiem, co maj pokaże. Imć Pan Miller deklaruje...”

List ten nie ma zakończenia; tylko pod dyktowaną częścią listu widnieje podpis: „Tekla Kościuszkowa M. W. B.”

Lecz ta poprawa zdrowia była tylko chwilową, gdyż już w maju r. 1768-go chora zmarła. Przy zgonie jej ani na pogrzebie nie był obecnym Tadeusz, zajmował się wszystkim Józef, i wydatki pogrzebowe, jak podzwonne, kondukt, pogrzeb i różne odprawowane msze św., policzył tak hojnie, gdyż aż 2,000 złp., że jeden z krewnych, Jan Nepomuccn [Kościuszkowski, sumę tę zakwestjonował przy ogólnym obrachunku braci i żądał jej zaprzysiężenia.

III.

Pobyć za granicą.

Król Stanisław August postanowił, żeby zarząd korpusu przedstawiał mu dwóch najcelniejszych uczniów, celem wysłania ich za granicę dla dalszego kształcenia się na koszt szkatuły królewskiej.

W roku 1769-ym przedstawiono dwóch kandydatów: Kościuszkę i Orłowskiego, którym król przeznaczył po 100 dukatów rocznie na koszt pobytu w obcych krajach.

Propozycję tę przyjął Kościuszkowski skwapliwie, choć miał zapewnione już w korpusie stanowisko, pozwalające mu piąć się coraz wyżej po drabinie dostojenstw.

Sklaniały go do tego dwa powody: pierwszy—gorąca, niczym niepoohamowana żądza wiedzy,—drugi—nieszczęścia, jakie przeżywała jego Ojczyzna.

A w Rzeczypospolitej źle się wtedy działo...

Osadzony na tronie polskim wolą i przemocą carycy Katarzyny II-iej, Stanisław August Poniatowski okazał się człowiekiem słabym, marnego charakteru, nie myślącym zupełnie o Ojczyźnie. Otaczał go szereg kreatur równych mu charakterem, pochłoniętych tylko myślą o tem, by jak najwięcej uszczknąć z dóbr Rzeczypospolitej na swoją korzyść. Ludzie zacni, miłujący prawdziwie kraj rodzinny, byli w mniejszości; nie mogli też wiele zdziałać wobec absolutnego postępowania ambasadora rosyjskiego, Repnina, rządzącego faktycznie Polską.

Wszelkie projekty reform, mające wpłynąć na uzdrowotnienie stosunków w Polsce i odrodzenie jej pod każdym względem, paraliżowane były przez mocarstwa „opiekuńcze“, w bezładzie w Polsce widzące swój interes i źródło przyszłych korzyści.

Tak było w projektem zniesienia wielce szkodliwego prawa „liberum veto“, czemu w imieniu carycy sprzeciwił się Repnin, na domiar żądając uregulowania granic, zawarcia przymierza zaczepno - odpornego i przyznania dysydentom prawa budowania świątyń i wymiaru sprawiedliwości w kwestjach wyznaniowych.

Nie czekając nawet na decyzję sejmu, przybył do Warszawy biskup grecko - prawosławny mohylowski, S. Konisski, domagający się zwrotu stu pięćdziesięciu cerkwi swego wyznania, zabranych niby przez unję.

Nie mógł król odmówić jego żądaniu, popartemu nader dobitnie przez Repnina, i biskup, otoczony chmarą kozaków, puścił się w podróż po wschodnich prowincjach Polski, celem odszukania swych kościołów, i odnalazł ich ni mniej, ni więcej, tylko... trzysta. Celem nawracania unitów na prawosławie popłynęli z Rosji popi szeroką falą, a o skutkach tego niema nawet co mówić.

Toż samo było i z regulacją granic. Wyznaczeni do tego generałowie Wejmann i Bibikow zażądali oddania tylko 50 mil. kwadr. ze 150,000 rodzin. Krążyły wieści, iż Stanisław August zobowiązał się do tego, przyjmując koronę z hojnych rąk carycy Katarzyny.

W samej stolicy, oraz na prowincji szerzyło się zepsucie, przyczym prym dzierżył w nim ambasador rosyjski, Repnin, kreatura nikczemna i zdeprawowana, sie-



7

Tadeusz Kościuszko
według portretu Grassi'ego.

jąca zarazę moralną na wszystkie strony. Płochy i lekomyślny król nie mógł wpłynąć na poprawę obyczajów.

Podobnie bezceremonjalnie postępowały i Prusy, dyktując swe żądania w sprawie ceł.

Gdy nie chciano ulec ich żądaniom, ustanowiły nad Wisłą, w okolicy Kwidzyna, komorę, obsadzoną baterjami, która wybierała 10 procentów cła od zboża, a 15 — od wszystkich towarów, z Gdańska wodą prowadzonych.

Repnin, widząc, iż stronnictwo Czartoryskich staje się popularnym w narodzie przez swe dążenia do zaprowadzenia reform, postanowił za wszelką cenę odsunąć ich od steru władzy i od wpływu na króla. W tym celu wytworzył własne stronnictwo, do którego weszły najmarniejsze kreatury, i przy ich pomocy paraliżował wszystkie najszlachetniejsze zamierzenia, łącząc się z opozycją przeciwko królowi i Czartoryskim.

Próżne były protesty zacnych obywateli przeciwko zamachom Repnina. Porwał się on na czyn zuchwały, niebywały w dziejach, a który tylko przy ówczesnych stosunkach w Polsce mógł mu ująć płazem. Opornych w sprawie dysydentów senatorów: Sołtyka — biskupa krakowskiego, Załuskiego — biskupa kijowskiego i Rzewuskiego — hetmana, wraz z synem Sewerynem, rozkazał porwać w dniu 13 października r. 1767-go i wywieźć do Kaługi. Ten sam los miał spotkać i Adama Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, lecz ten, ostrzeżony, ukrył się w porę.

Sejm, miast energicznego protestu, zdobył się tylko na wysłanie do Repnina delegacji z prośbą o uwolnienie aresztowanych, — naturalnie bez skutku...

Wtedy jeden tylko z senatorów, kanclerz Andrzej Zamoyski, doręczył królowi swe insygnia, mówiąc:

— Już niema narodu i sejmujących stanów po dopełnionym gwałcie przez posła obcego i gdy temu zaradzić, królu, nie możemy, ja twoim ministrem być nie mogę i dyploma mi dane zwracam...

Za przykładem Zamoyskiego nie poszedł żaden z ministrów. Lud dał najlepszy wyraz swych przekonań, odprowadzając Zamoyskiego w tryumfie do domu, a innych otaczając pogardą.

Naprawdę przeciwko porwaniu posłów protestował młody poseł ziem pruskich, późniejszy jeden z twórców legionów, Józef Wybicki.

— Ponieważ, panie marszałku—mówił on—nie dajesz mi głosu, pomimo prawa, którego nikt zmazać nie potrafi, a które posłowi wolnemu na każdym sejmie mówić pozwala, oświadczam, iż gdy wróconych na łono senatu uwiezionych senatorów nie widzę, nie widzę wolnego sejmu, ale tylko gwałt i przemoc obcą, przeciwko tej więc protestuję...

Protest ten był potrzebny, ażeby na nim następnie oprzeć zarzut o nielegalność sejmu... Wybickiemu udało się następnie skryć, pomimo nader skrupulatnych poszukiwań rosyjskich.

Niestety, wszystkie te protesty pozostały bez echa, i sejm, powolny rozkazom Repnina, uchwalił wszystko, na co on tylko zezwolił i na co pozwolić zechciał.

Oburzało to większość szlachty, która dała temu wyraz w licznych sejmikach protestujących. Lecz byli i tacy, którzy czynnie wystąpili przeciwko temu. Wykonawcą czynu był starosta warecki, Józef Pułaski.

Po porozumieniu się z niektórymi patryjotami, wyruszył na Podole z trzema synami, zgromadził w Barze kilkuset szlachty i ogłosił akt konfederacji, opartej ściśle na wierności wierze katolickiej, a w obronę dawnych praw i wolności Rzeczypospolitej.

Duchowym kierownikiem konfederacji był O. Marek, Karmelita, mąż natchniony i gorący patryjota. Cóż, kiedy siły nie starczały. Rosja w granice Polski rzu-

ciła silne zastępy wojska, z którymi musiały się zmagać niewyćwiczone, źle uzbrojone oddziały konfederatów.

Nietylko jednak wojska skierowały władze rosyjskie przeciwko temu ruchowi, lecz pchnęły nań całe tłumy czerni, podnieconej przez specjalnych agentów do rzezi i rabunku.

Bandy hajdamaków rznęły i paliły wszystko wokoło, i—jak głosi manifest konfederacji—„więcej dwukroć stu tysięcy dusz od tych bezbożnych zginęły fanatyków“.

Dopiero gdy rozmiary buntu przekroczyły granice, ruszyły wojska koronne i rosyjskie na uśmierzenie czerni, czego w krwawy i okrutny sposób dokonano.

Oddziały konfederackie próżne staczały walki z wojskiem rosyjskim, a w Warszawie knuto intrygi, prześcigając się w usługach Repninowi.

Prymas Podoski wszelkimi siłami dążył do detronizacji Stanisława Augusta, w czym pomagało mu wielu magnatów.

Spostrzegłszy, iż despotyczne postępowanie Repnina w Polsce nie świetne przynosi owoce, caryca Katarzyna, wplątana w wojnę z Turcją, odwołała go, a na miejsce jego wysłała księcia Wołkońskiego, który tą samą, co i poprzednik jego, szedł drogą, tylko w sposób mniej brutalny.

W takiej właśnie chwili zdecydowany został wyjazd Kościuszki z Warszawy.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż patrzak on na to wszystko, słyszał przeróżne sprzeczne zdania, i że serce jego szarpał ból srogi na myśl, iż nie mocen jest, by przyjść z pomocą nieszczęśliwej Ojczyźnie, by ratować ją z toni, zwłaszcza, iż nie znał jeszcze ku temu drogi właściwej.

Stał na rozdrożu: z jednej bowiem strony czuł

wdzięczność dla króla za udzielone mu wykształcenie, za wiedzę zdobytą, z drugiej znów strony potępiał go za ustępstwa żądaniom Rosji i napewno sercem był po stronie tych patryjotów, którzy opór żądaniom ambasadora stawiali.

Bolało go srodze pohańbienie, jakie Ojczyzna przeżywała, bolała go ohyda i znikczemnienie magnatów, a że czuł swą niemoc, z radością jechał do obcych krajów, by tam swą wiedzę i zdolności kształcić, by móc następnie z korzyścią służyć Ojczyźnie.

Wyraźnym dowodem, iż opuszczał kraj w stanie umysłu podnieconym, służyć może to, iż po śmierci matki nie dokonał z bratem podziału Siechnowicz i nie uregulował rachunków. Ufając zupełnie bratu, a może też nie chcąc tracić czasu na przewlekłe procedury prawne, pozostawił w swej mocy plenipotencję, wydaną w końcu r. 1767-go, biorąc tylko na poczet spadku nieznaczne sumy i zaciągając pożyczki.

Data wyjazdu jego nie jest dokładnie znana, przypuścić jednak należy, iż był to koniec r. 1769-go, albo początek 1770-go.

Szczegółów o tej podróży jego za granicę posiadamy bardzo mało. Niewiadomo np., czy bawił w Niemczech, lecz to jest wątpliwe, gdyż po niemiecku nie mówił wcale nawet i w późniejszym czasie.

O ile się zdaje, udał się prosto do Francji, gdzie spędził cały czas studjów, zapewne w szkole inżynierskiej i artyleryjskiej w Mézières, lub też w paryskiej École Militaire, założonej w r. 1751-ym na wzór berlińskiej, i na lekcjach prywatnych.

Dokładnych wiadomości co do tego brak, to tylko jedno nie ulega wątpliwości, iż Kościuszko z zapałem oddawał się nauce, czerpiąc jak można najwięcej ze źródła wiedzy.

Badał budowę fortyfikacji Brestu, a może i innych jeszcze portów francuskich, uczył się architektury od sławnego budowniczego Perroneta. Doszedł też do niepospolitej biegłości w inżynierji wojskowej.

Złożył tego świetne dowody później w Ameryce, złożył i w kraju ojczystym, przy fortyfikowaniu Warszawy.

Generał Paszkowski w swoich „Dziejach Kościuszki” pisze co następuje:

„Mnie zaś osobne zdarzyło się powziąć o tym przezeń samego dziwnie przyjemne wyobrażenie, gdy raz z niechcienia, dwoma pociągniętymi linjami dał mi widzieć, w jednej chwili, cały związek i układ powszechny tej sztuki, napomykając przytym ulepszenia i nowe pomysły, jakie do niej jeszcze wprowadzone być mogły“.

Nietylko jednak rysunek techniczny zajmował Kościuszkę, lecz również i artystyczny.

Zachowało się kilka rysunków, wykonanych kredką czarną, piórkiem oraz pastelami, znamionujących wybitne jego zdolności.

Ulubioną lekturę jego stanowiły pamiętniki sławnego wodza cesarskiego niemieckiego z XVIII-go w. Rajmunda hr. Montecuculi. Wprowadzały one zupełny przewrót w sztuce wojennej, poruszając w tym kierunku najżywotniejsze sprawy. Prawda, że w końcu wieku XVIII-go zaszło już wiele zmian, nie ulega też wątpliwości, że Kościuszko z zajęciem badał i studiował wszystkie najnowsze dzieła o sztuce wojennej.

Miał na to czasu dosyć, gdyż bawił za granicą lat pięć. Starczyło mu czasu na to, ażeby w najdrobniejszych nawet szczegółach posiąść tajemnice inżynierji owoczesnej, i ażeby szczegółowo przeczytać wszystkie dzieła, o niej traktujące. Tak długi pobyt za granicą

musiał wyczerpywać szczupłe zasoby pieniężne stosunkowo ubogiego oficera, jakim on był. Zapomoga królewska po dwóch latach przestała go dochodzić, a suma 7,000 złp., wzięta od brata, oraz pożyczone od ks. Czartoryskiego 650 czerwonych złotych topnieć zaczęły. Widmo nędzy coraz częściej jawiło mu się przed oczyma.

Mimo to jednak nie wracał do kraju Kościuszko, gdyż działały się tam rzeczy okropne, na które bez bólu serca, w poczuciu swej bezsilności, nie mógł patrzeć. Przejmował go straszliwy ból na myśl, że nie może wypełnić przysięgi kadeckiej, że nie może użyć oręża w obronie Ojczyzny, gdyż byłby zaledwie jednostką w tłumie tych, którzy ją pchali ku zgubie.

Okropne rzeczy działały się wtedy w Polsce.

Sąsiedzi, ośmieleni rozpaczliwym jej stanem, oraz pewni, że nie spotkają oporu, zaczęli powoli zajmować ziemie pograniczne. Pierwsza Austria na wiosnę r. 1770-go zajęła Spiż, obsadzając go wojskiem i zaprowadzając swoją administrację. Protest Stanisława Augusta przebrzmiał bez echa...

W ślady te poszedł król pruski, Fryderyk II-gi, obsadzając wojskiem Warmję, Prusy Wschodnie i pograniczne ziemie Wielkopolski.

Ta łatwość zagarniania ziem Polski dała myśl zbogacenia się terytorjalnie bez żadnych strat. Z projektem tym Fryderyk II-gi zwierzył się cesarzowi austriackiemu, Józefowi II-mu, poczym przedstawili go Katarzynie II-iej.

Nie spodobał się on bardzo chciwej carycy, która oddawna nosiła się z myślą zagarnięcia całej Rzeczypospolitej. Nie chcąc jednak wszczynać wojny z potężnymi przeciwnikami, po pewnym wahaniu przyjęła go.

W samej Polsce nikt prawie nie myślał o grożącym niebezpieczeństwie. Wojska królewskie i moskiewskie uganiały się po całym kraju za oddziałami konfederackimi, które z różnym szczęściem bohaterską, acz bezowocną walkę prowadziły, aż wreszcie z obozu pod Konieczną, dn. 9 sierpnia r. 1770-go ogłosiły akt bezkrólewia, detronizujący Stanisława Augusta, jako „intruza, uzurpatora i tyrana“.

Było to poważnym błędem, który pogorszyła jeszcze próba porwania króla d. 3 listopada r. 1771-go. Pomimo rycerskich walk, pomimo szalonych ofiar—dogasała już konfederacja, aż wreszcie po upadku Częstochowy, której mężny obrońca, Kazimierz Pułaski, wyjechał za granicę, po porażce pod Lanckoroną i zdobyciu Krakowa, pomimo poparcia Francji, upadła w r. 1772-im, zgnieciona ostatecznie przez Rosjan pod wodzą Suworowa.

Podczas tych wszystkich zamieszek i walk kuźnie dyplomatyczne mocarstw pracowały gorliwie, kując grot, który miał razić Polskę w samo serce. Prowadzono pertraktacje co do jej podziału, aż wreszcie po długich naradach, w d. 5 sierpnia r. 1772-go zawarto traktat podziałowy, który warto poznać choć w streszczeniu.

Zaczynał się on jak następuje:

„W imię Trójcy Świętej! Gdy duch fakeji, zaburzenia i wojna domowa, która od tylu lat wstrząsa Królestwem Polskim, i anarchja, która z każdym dniem wzrasta w nowe siły, niszcząc wszelką powagę regularnego rządu, wzniecają słuszne obawy zupełnego rozstroju tego państwa, grożą zakłóceniem stosunków ze wszystkimi sąsiadami, zniszczeniem zgody ich między sobą i rozpaleniem wojny powszechnej, jak już z tychże przyczyn powstała obecna wojna

między jej imperatorską mością Wszech Rosji a Portą Otomańską; gdy nadto sąsiednie państwa mają obowiązki strzeżenia pretensji i praw tak starych i prawowitych, które nigdy przez też Rzeczpospolitą uwzględnianymi nie były, a które mogłyby pójść w zastratę nazawsze, gdyby same mocarstwa nie wystąpiły i nie ujęły się za sobą, przywracając zarazem dobry porządek i spokój w Rzeczypospolitej i nadając jej warunki bytu politycznego, bardziej z interesami sąsiedztwa zgodne: jej imperatorska mość i t. d.“

Następuje oznaczenie granic. Linja rosyjska ciągnie się rzeką Dźwiną aż do zetknięcia się granic województwa witebskiego i połockiego, granicą tychże województw aż do zejścia się ich z granicą województwa mściśławskiego, linią prostą od punktu zejścia prowadzoną aż do źródeł Drucia we wsi Ordwie, nakoniec Druciem aż do Dniepru, z zachowaniem dawnych ku południowi oznaczeń.

Linja pruska obejmuje województwo pomorskie z wyjątkiem Gdańska, malborskie z Elblągiem i Warmją, chełmińskie z wyjątkiem Torunia. Rzeka Noteć, należąca w całości do króla pruskiego, stanowi granicę między Wielkopolską a posiadłościami pruskimi, granica na przestrzeni między Notecią a Wisłą idzie na Fordon i Sulicz aż do Wisły.

Linja austriacka idzie od granic śląskich Wisłą aż poza ujście Sanu do Wisły, od ujścia linią prostą na Frampol i Zamość, z Zamościa pod Hrubieszów do Buga, od Buga granicami „prawdziwymi Rusi Czerwonej“, w okolicy Zbaraża rzeczką Podhorce aż do jej ujścia do Dniestru.

W ten sposób Prusy zagarnęły 660 mil kwadr., Austria 1,509 mil kwadr., Rosja 1,693 mile kwadr., ogółem 3,862 mile kwadr., Polsce zaś pozostało tylko

9,438 mil kwadr., to jest trzy czwarte poprzedniej przestrzeni.

Artykuł trzeci traktatu warował użycie tak zwanych „bona officia“ Prus i Austrii na kongresie fokszańskim, zapewniając zarazem, że Rosja pretensji swoich do Mołdawowołoszczyzny się zrzeka. W artykule osobnym przyrzekają sobie mocarstwa wspólną pomoc i porozumienie w przeprowadzeniu podziału przez wysłanie osobnych posłów, dokładnymi insrtukcjami opatrzonych. Po zawarciu tego aktu gwałtu, mocarstwa wnet przystąpiły do wprowadzenia go w czyn.

Do Połocka wkroczył generał Kreczetnikow, wzywając ludność do złożenia hołdu carycy Katarzynie II-iej. Szlachta miejscowa odpowiedziała na to nikiemną, pełną uniżoności mową.

W zaborze austriackim znalazł się tylko jeden mąż śmiały i zacny, Kicki, starosta lwowski, który odmówił stanowczo złożenia hołdu.

W zaborze pruskim ogłosił Fryderyk II-gi manifest, grożąc surowymi karami tym, którzy nie pospieszą się ze złożeniem hołdu.

Jednocześnie zmieniono ambasadorów przy dworze polskim. Miejsce brutalnego posła rosyjskiego, Salderna, zajął baron Otto Stackelberg, posłem Austrii został baron Rewitzki, a Prus — Benoit. W dniu 18 września, po dokonanych już fakcie, doręczyli oni deklarację o swoich pretensjach, domagając się zwołania sejmu celem załatwienia wszystkich spraw.

Na zebraniu senatu jeden tylko kasztelan łęczycki, Lipski, radził zwołać pospolite ruszenie i bodaj zginać z honorem. Niewielu go poparło, natomiast większość, z biskupem wileńskim, Massalskim, na czele, radziła nikiemnie uległość zaborczym mocarstwom.

Zdecydowano się wreszcie zwlekać i uciec się

po ratunek do dyplomacji. Stanisław August wystosował listy do królów Francji i Anglii z prośbą o pomoc, nie pominął również uderzenia w błagalne tony i przypomnienia dawnych sentymentów opiekunce swojej, oraz perswazji w listach do Fryderyka II-go i cesarza Józefa.

Zwołane zebranie senatu już zaznało przemocy mocarstw. Z trzech stron wkraczały do Polski obce wojska, a senatorom z krajów zabranych nie pozwolono jechać na narady, tym zaś, którzy byli w Warszawie, wzbroniono brać w nich udział.

Uchwalono zwołać sejm, lecz prawdziwi obrońcy Ojczyzny, z biskupem krakowskim, Kajetanem Sołtykiem, i biskupem kamienieckim, A. Krasińskim, na czele, postanowili zrywać sejmiki i nie dopuszczać do obrania posłów.

Protest szedł za protestem, zrywano sejmiki, a wtedy Stackelberg ogłosił, że zrywający sejmiki ulegną sekwestrowi lub nawet konfiskacie majątku. Wybrano wreszcie 102 posłów, których większość wybrana była dzięki pieniądzom i pozostawała na żołdzie rosyjskim.

Niewielu posłów przybywało z instrukcją bronięcia do upadłego całości Ojczyzny i niezgadzenia się na żaden podział.

Nadszedł wreszcie pamiętny sejm r. 1772-go. Warszawa roiła się od wojsk dworów zaborczych. Komentantem miasta był austriacki generał Romanus, pruską załogą dowodził Lentulus, rosyjską zaś Bibikow.

Stackelberg, pobierający 120,000 rubli rocznie, utrzymywał dwór, jaśniejący przepychem, i brzękał otwartą kiesą, pełną złota. Polski dwór, zubożały spustoszeniem starostw, całkowitym prawie upadkiem dochodów, gasnął w cieniu. Inni panowie świecili

fałszywym szychem dawnej wielkości. Nad brzegiem otchłani odprawiano orgję śmiertelną, balami, grą i rozpustą przeplatając straszne wypadki polityczne.

Na marszałka sejmu podsunął się człowiek, wyzuty ze wszystkich uczuć polskich, człowiek, który w kałuży zepsucia zatracił ostatnią iskrę polskości, ostatnie godności narodowej drgnienie.

Był nim kuchmistrz wielki koronny, komandor zakonu Maltańskiego, Adam Poniński, człowiek nie tylko lekkomyślny i ambitny, ale szalony rozrzutnik, bez czci i wiary, gotów do największej nawet zbrodni, byle namiętności swoje zadowolić.

Niecnym zbrodniarz sam poddał Rosji myśl przeprowadzenia przez uchwały sejmowe sprawy podziału i podał środki działania. W tym celu, zdaniem jego, należało przeprowadzić konfederację sejmu pod jego łaską marszałkowską, aby przeszkodzić zerwaniu i uzyskać potrzebną ilość głosów.

Stało się, jak projektował: wbrew opozycji posłów litewskich, jak Rejtan i Korsak, wbrew opozycji Zaremby, Radoszewskiego, Sucheckiego, Tymowskiego i innych, Poniński zagarnął łaskę marszałkowską i ogłosił konfederację.

Próżno Rejtan, kładąc się na progu izby sejmowej, zaklinał o opamiętanie się, błagał o niezaprzędawanie Ojczyzny. Przeszli posłowie przez niego, z wyjątkiem szesnastu, lecz i tych liczba z czasem stopniała.

Wytrwałość Rejtana w obronie zagrożonej Ojczyzny była tak wielka, że przytomny temu generał pruski, Lentulus, podziw swój i uszanowanie w gorących wyrazach mu oświadczył.

Lecz cóż mógł poradzić nieszczęsny a szlachetny Rejtan wobec nikczemności i złej woli wielu, któ-

rzy zgubę Ojczyźnie zaprzysięgli i wolność jej za złoto sprzedali?

Po długich sporach, podczas których i król i Czartoryscy całości i wolności Polski bronili, nikczemny Poniński przeprowadził to wszystko, co posłowie żądali. Szlachetny Rejtan nie mógł przenieść ciosu, zadanego ukochanej nadewszystko Ojczyźnie: pod wpływem rozpacz stracił zmysły i w obłędzie życie zakończył samobójstwem w lat parę potem.

Wśród całego szeregu rozpustnych orgji toczyły się obrady sejmu, prowadzonego pod osłoną stojących w kraju wojsk trzech państw rozbiorowych. Skończyły się one zawarciem z trzema mocarstwami traktatów, potwierdzających dokonany rozbiór i zabezpieczających całość strzępu Rzeczypospolitej, oraz omawiających inne warunki porozumienia z mocarstwami.

Po skończeniu z jedną hańbą, przystąpiono do rozważania drugiej, niczym niezmywalną plamę rzucającej na tych, którzy ją przeprowadzali. Była to sprawa funduszków po-jezuickich.

Papież Klemens XIV-ty, bullą swą z dn. 21 lipca r. 1773-go, zniósł zakon Jezuitów. Po długich rozprawach zdecydowano się olbrzymie majątki Jezuitów w Polsce obrócić na cele oświatowe i oddać je specjalnej komisji edukacyjnej.

Próżno zacni senatorowie, jak Chreptowicz i Czartoryski, domagali się ścisłej rejestracji tych dóbr i złożenia wszystkich, uzyskanych ze sprzedaży pieniędzy na cele oświatowe. Nikczemny Poniński, przy pomocy oddanych sobie kreatur, przeprowadził swój plan i miljonowe te fundusze zostały przez nich rozdrapane.

Ostatnim czynem tego sejmu było ustanowienie

na żądanie posłów Rady Nieustającej, która razem z królem miała rozpatrywać sprawy Polski.

Czyż można się dziwić, iż wobec takich warunków nie kwapił się Kościuszko z powrotem do Ojczyzny?

Za granicą szeroko komentowano sprawę rozgrywających się w Polsce wypadków. Wyrażano się z pogardą o Polakach, którzy nie stanęli w obronie podeptanych praw swoich najświętszych i pozwolili na podział Ojczyzny bez najmniejszego oporu.

Wstyd przejmował Kościuszkę i ból nad znikczemnieniem rodaków, których hańbę odczuwał dotkliwie.

Bolała go wzgarda obcych, bolały nieszczęścia, na kraj się sypiące, bolała niemoc własna, niemożność przyjscia z pomocą Ojczyźnie.

Okoliczności jednak zmuszały go do powrotu do kraju. Jednym z głównych powodów był brak gotówki. Szczupłe zasoby zabranej gotówki wyczerpywały się, pensja królewska nie nadchodziła, a i brat nie nadsyłał pieniędzy z Siechnowicz.

Znalazłszy się w opłakanych warunkach pieniężnych, wracał Kościuszko do kraju w r. 1774-ym, niosąc Ojczyźnie zdolności swe i wiedzę, zdobytą za granicą latami długich studji i nauki.

IV.

W Ojczyźnie.

Wrócił Kościuszko, i przedewszystkim przedstawił się królowi, któremu zawdzięczał swe wykształcenie za granicą. Mile go przyjął Stanisław August, lecz żadnego stanowiska ani w Korpusie kadetów, ani w armji polskiej nie dał.

Prawda, posiadał Kościuszko rangę kapitana, lecz była ona tylko czczym tytułem, nie dającym żadnych realnych korzyści.

Armja polska, dzięki staraniom i zabiegom mocarstw opiekuńczych, była w czasach owych bardzo zredukowana, a przytym brak było pieniędzy na jej opłacenie.

„Pułki narodowe—pisze Kraszewski w „Polsce w czasie trzech rozbiorów“ — mężne były, ale im karności brakło i mnożyły nieład w kraju, zamiast pilnować porządku. Regimenty, lepiej nieco wyglądające, nie miały zdolnych oficerów, choć liczba ogólna starszyny wojskowej równała się liczbie żołnierzy. Razem wszystkich liczono wogóle 15,000.

Stan wojska polskiego już w r. 1751-ym, więc za Augusta III-go, znano w Europie i oceniano tak, jak wobec zmian zaszłych się przedstawiał. W tym roku już pisze jeden z rozważnych historyków: „Szlachta jest tarczą Polski, kraj nie chce mieć innej. Wojsko, które ona składa, starczy za twierdze i fortece, i zapewne mur ten dzisiaj, jak dawniej, osłoniłby ją, gdyby zmienili sposób wojowania w chwili, gdy sąsiedzi przyjęli odmienny. Teraz w całej Europie armje stanowią jedno ciało; Rosjanie ostatni nauczyli się korzystać z tej metody. Polacy jedni ją zaniedbują i tłumnie lecą do boju. Narody, otaczające ich, mają tylko milicje, złożone z tych poddanych swoich, którzy najmniej w narodzie znaczą, ale karność w wojskach jest ścisła i ona im da zawsze zwycięstwo nad Polakami, dopóki się oni nie nauczą, że za dni naszych wojsko bohaterów bez ładu nic ważyć nie może przeciwko armji ludzi pospolitych, umiejących podlegać i słuchać“.

Na przemagającą liczbę oficerów uskarżano się

powszechnie; nominacje dawały się panom i szlachcie bez względu na wiek i usposobienie. Tak Wincenty Potocki, o którym wówczas mówiono, iż nigdy prochu nie wachał, a umiał tylko dzielnie bawić damy, dostał pozwolenie kupienia sobie najpiękniejszego pułku. Sprzedał mu go książę podkomorzy razem z podkomorstwem za trzydzieści tysięcy dukatów. Potocki miał naówczas żenić się z Zamoyską, siostrzenicą króla, dostał więc naraz obie wstęgi i pułk księcia podkomorzego. Kazimierz Sapieha, mając lat piętnaście, mianowany był generałem artylerji litewskiej, dla matki swej, księżnej wojewodzicowej mściśławskiej.

Wojska, którego pozwolono utrzymywać 30,000, ledwie było za co opłacić 18,000. Podatki zalegały, a szlachta wzbraniała się je składać. Fryderyk II pisał wówczas: „Polska miała zaledwie 14,000 wojska, a finanse jej nie starczyły nawet na utrzymanie i tej małej liczby żołnierza“.

Rada Nieustająca, będąca pod wpływem Stackelberga, utrzymywała nawet, iż większa liczba wojska byłaby ciężarem dla Rzeczypospolitej i nieszczęściem dla niej, bo by w rękach hetmana (Branickiego) stała się jego ambicji narzędziem.

Do tego stopnia upodlenia doszła wreszcie ówczesna Rada, iż gdy generał Romanus oświadczył, iż wojska rosyjskie wkrótce opuszczą Warszawę, wysłała do carowej prośbę, aby ich pobyt przedłużyć raczyła.

Czyż w takich warunkach mógł Kościuszko choćby i marzyć o tem, ażeby zdobyć jakiekolwiek stanowisko w wojsku? Toż przecież, ażeby otrzymać w jakimkolwiek pułku komendę, odpowiednią randze kapitana, musiał ją sobie kupić od jakiegokolwiek oficera, wychodzącego z pułku, i zapłacić mu sumę, równą czteroletniej płacy skarbowej. A równało się to bagatelnej sumie 18,000 złp.

Kościuszko sumy takiej nie posiadał, nie mógł więc marzyć o kupnie takiej rangi.

Pozostawało mu tylko jedno: osiąść na wsi i oddać się gospodarstwu, by następnie móc swe służby nieść Ojczyźnie.

Do tego czasu Tadeusz nie przeprowadził działań majątkowych z bratem swym, Józefem, częściowo tylko wybierając pieniądze z należnej mu części.

Pomyślał więc o tym, ażeby sprawę tę załatwić, i w tym celu zjechał do Siechnowicz. Lecz doznał tam ze strony brata Józefa takiego przyjęcia, iż musiał opuścić dom rodzinny i szukać schronienia u krewnych.

Bo ów braciszek Józef był postacią ze wszech miar ciekawą, musimy też kilka słów poświęcić jemu.

Starszy o trzy lata od Tadeusza, był ulubieńcem matki, która przekładała go nad rodzeństwo. Człowiek płytki, powierzchowny, goniący tylko za czczymi tytułami i godnościami, po ukończeniu szkół pijarskich w Lubieszowie, osiadł przy matce na roli, szukając jednocześnie sławy i rozgłosu na sejmikach okolicznych, powiatowych.

Dzięki wiedzy, zaczerpniętej w szkole, umiał w razie potrzeby popisać się z cytata łacińską, potrafił nawet zdobyć się na kilka frazesów francuskich, co prawda z błędną ortografią, przyczym w listach swoich niezbyt pomyślnie borykał się ze stylem, logiką i ortografią.

Podobnież było i z przekonaniami politycznymi. W r. 1769-ym przystąpił do konfederacji Barskiej, ale w r. 1773-im wystąpił z niej. Używał tytułu oboźnego, choć zdaje się, że nie miał do tego najmniejszego prawa.

W roku 1771-ym był deputatem na kadencję wileńską trybunału i sejmikował w Brześciu w r. 1772-im.

A zaszczyty te w owych czasach kosztowały, i to słono. Dochody z Siechnowicz nie wystarczały nawet i na jego potrzeby, nie mówiąc o spłacie brata. Ażeby więc powiększyć swe dochody, podjął się zarządu większych dóbr Tryszyna ze Szpanowiczami i Gurną, należących do biskupstwa unickiego włodzimiersko-brzeskiego. Od biskupa nominata Adama Antonina Młodowskiego otrzymał nominację na stanowisko komisarza, lecz metropolita na to nie udzielił aprobaty.

Sprowadził się tam w czerwcu r. 1771-go, lecz akurat trafił na czasy wielce niespokojne. Po kraju całym snuły się oddziały konfederackie, za którymi znów uganiały się wojska rosyjskie. W Tryszynie i wioskach okolicznych rozlokowali się Kozacy i Baszkirowie, i trzeba ich było żywić, a oficerów częstować, co niemało kosztowało.

Imię pan Józef, choć zaliczał się do konfederatów, udał się z pokornymi prośby do ambasadora rosyjskiego, Stackelberga, o udzielenie salwogwardji na wyprowadzenie komend rosyjskich z Tryszyna. Nie skutkowało to jednak bardzo i dopiero stało się to za wstawiennictwem pisarza polnego litewskiego, Józefa Sosnowskiego.

Na domiar wszystkiego między metropolitą Rusi Wołodkowiczem a biskupem Młodowskim panowały ciągle niesnaski, których ofiarą padł Józef Kościuszko. Odbywały się ciągle zajazdy, połączone z grabieżą wszystkiego, co jakąkolwiek posiadało wartość. Łączyło się to z ciągłymi sprawami sądowymi, nader kosztownymi w owych czasach. Józef Kościuszko, wyrzucany z Tryszyna, jeździł w swych sprawach to do Brześcia, to do Warszawy, szukając protekcji i nie gardząc przytym rozrywkami, na które również szły poważne sumy. Nie mając dostatecznych do-

chodów, zaciągał pożyczki, tak że w niedługim czasie przewyższyły one wartość Siechnowicz.

Wobec takiej sytuacji, Tadeusz Kościuszko, osiadłszy w Sławinku pod Lublinem, u krewnego swego, Jana Nepomucena Kościuszki, urzędownie zapozwał brata o złożenie rachunków z dochodów, pobieranych z Siechnowicz, oraz o przeprowadzenie działów.

Złożył rachunki imię pan Józef, i z nich okazało się ni mniej ni więcej, jeno że Tadeusz winien jest bratu tylko... 39,132 złp. gr. 9.

Dołączone do tego rachunki i obliczenia procentów były tak przesadzone, że Tadeusz zaniósł do grodu brzeskiego manifest protestujący dnia 24 czerwca 1775-go r. i wezwał życzliwego sobie Jana Nepomucena Kościuszkę do polubownego rozsądzenia wszystkich pretensji.

Na prowadzenie spraw sądowych i na utrzymanie swoje zaciągał pożyczki, to u szwagrów swoich, Estki i Żółkowskiego, to u ciotki, Zuzanny Kościuszkówny. Sumy pożyczane były niewielkie, wystawiał też na nie kwity, upoważniające do zajechania nawet Siechnowicz, t. j. do objęcia ich w natychmiastowe posiadanie w razie uchybienia terminu.

Do zamieszkania w Sławinku skłoniło go również i to, że znajdował się blisko sióstr, zwłaszcza Anny Estkowej, serdecznie do brata przywiązanej. Mieszkały one: Anna we wsi Dołholisce, w parafji wisznickiej, nieopodal granicy z Koroną, dzierżawionej przez jej męża od Sapiehów, Katarzyna Żółkowska zaś we wsi Kuzawka nad Bugiem, należącej do dóbr sławatyckich.

Przejeżdżając ze Sławinka do sióstr, musiał Kościuszko przejeżdżać około majątku Sosnowica, należącego do wspomnianego już nieraz Józefa Sosnow-

skiego, pisarza polnego litewskiego, późniejszego hetmana.

Tam rozegrał się pierwszy w jego życiu dramat, który tak doniosłe dla niego miał znaczenie.

Józef Sosnowski, pisarz polny litewski i wojewoda smoleński, należał do bardzo popularnej wtedy kategorii magnatów dorobkiewiczów, nie uchylających się przed niczym, byle tylko upragniony cel osiągnąć.

Spokrewniony z rodziną Kościuszków, z ojcem Tadeusza pozostawał w przeróżnych interesach i zarówno Józefowi, jak i Tadeuszowi oddawał różne usługi, między innymi wpłynął na przyjęcie go do Korpusu kadetów.

Za dawnych lat należał do stronnictwa Leszczyńskiego, podczas jego walki z Augustem II-im o koronę. Jako pułkownik przedniej straży, rozbił na Żmudzi oddział rosyjski, pozostający pod wodzą jakiegoś kniazia, którego pieniądze jako łup zagarnął. Należał potym do wyprawy na Białoruś, gdzie wybierał kontrybucje, zwłaszcza od bogatszych „rusaków“. Po upadku sprawy Leszczyńskiego, zaczął się przy hetmanie polnym litewskim Denhofie, jako manualista. Odtąd już przemyślał tylko o zrobieniu kariery.

Człowiek sprytny, giętki, wysługiwał się wszystkim, od magnatów począwszy a na szlachcie skończywszy. Piął się też coraz wyżej po drabinie społecznej, zwłaszcza od czasu, gdy stał się pożytecznym księciu Czartoryskiemu i zięciowi jego, Flemingowi. Nie cofał się przed niczym, gdy szło o zdobycie pieniędzy, nawet przed oszukaństwem. Tak samo było i z jego działalnością polityczną. W r. 1769-ym z lekkim sercem rozstał się z „familją“ Czartoryskich, stając się zaufanym sługą Repnina, któremu wystawił

suto opłacone zobowiązanie piśmienne, że we wszystkim według żądań jego na przyszłym sejmie postępować będzie.

Zyskownym było dla niego to wysługiwanie się Rosjanom, gdyż dzięki ich protekcji otrzymał w r. 1771-ym województwo smoleńskie, pozwalające mu zasiadać w senacie, a gdy został uniżonym sługą u ambasadora Stackelberga, otrzymał za to pisarstwo polne, a potem i hetmaństwo polne, wreszcie prezydjum w Departamencie Wojskowym Rady Nieustającej, gdzie służalczość swą i uległość względem Stackelberga do ostatnich posuwał granic.

Nie wiedział zapewne o tym wszystkim Kościuszko, gdyż przy swoich uczuciach patryjotycznych byłby dom jego ominął zdaleka. Wdzięczny za otrzymaną za jego protekcją naukę w Korpusie kadetów, zjechał do Sosnowicy, ażeby złożyć mu podziękowanie.

Przyjęcie spotkało go nader serdeczne i gościnne. Sosnowski nie miał żadnych powodów, ażeby być niegrzecznym względem młodego kapitana, przybywającego z zagranicy,—należeli przecież do jednej sfery szlacheckiej, a świeżo zbogacony z chudopachołka Sosnowski nie mógł bardzo zważać na dzielącą ich różnicę majątkową.

Po przedstawieniu go żonie i córkom, zaprosił go Sosnowski do jak najczęstszego bywania w Sosnowicy. Z zaproszenia tego nie omieszkął skorzystać Kościuszko, gdyż rzucony na niego czar przez piękne oczy jednej z wojewodzianek, Ludwiki Sosnowskiej zbyt był potężny, by mógł wyrzec się tego.

Sosnowica stała się dla niego pałacem zaczarowanym, pełnym uroku i tajemnego piękna, w którym najcudniejsze chwile życia swego spędzał...

Raz zaproszony, przyjeżdżał często, codziennym

niemal stając się gościem. Wieści głoszą, iż dla nauki języka francuskiego, to znów dla nauki rysunków, w które wtajemniczał obydwie wojewodzianki.

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, iż głównym magnesem przyciągającym w tym wypadku była miłość, wielka, potężna i jak świat stara—miłość.

Niepiękny, lecz rozumny i wykształcony, zapalony marzyciel, snujący w poetyczny sposób swe



Ludwika Sosnowska.

plany i rojenia, przybywający z szerokiego świata i przynoszący jego tchnienie, czyż nie mógł spodobać się przebywającej stale na wsi wojewodziance? A czyż na niego nie mogła wyrzeć wrażenia panna piękna, również marzycielka, rzucona na tło starego parku sosnowickiego, z zachwytem nieomal słuchająca każdego jego słowa?...

Na tle pięknych drzew parku w Sosnowicy nastąpiły wzajemne wyznania. Szczególnie pamiętną w ich uczuciach stała się jakaś altana, „kolebką“ zwana, do której kryli się z uczuciami swoimi przed oczami ciekawych.

Tam snuli słodką nić marzeń, dni całe zapelniając zajmującą gawędą.

Budziły się dla niego jasne, promienne zorze, zwłaszcza, iż Ludwika odpłacała mu wzajemną, bez-

interesowną miłością, a w siostrze jej i kuzynkach miał gorliwych i wiernych sprzymierzeńców, ułatwiających widzenia, dopomagających przy spotkaniach młodej parze.

Mile więc upływał mu czas w Sosnowicy na niewinnych rojeniach i marzeniach, gdy naraz cios straszliwy raził parę zakochanych, rozłączając ich nazawsze.

Sprawcą jego był ojciec Ludwiki, już wtedy hetman polny litewski.

Zajęty ambitnymi dążeniami i myślami swymi, prowadził w tym czasie rokowania z Lubomirskim, wojewodą kijowskim, o wydanie córki Ludwiki za syna jego, Józefa, starostę romanowskiego.

I w tym wypadku, oprócz ambicji, jedną z głównych ról grały pieniądze. Wojewoda kijowski, książę Stanisław Lubomirski, dziwak nawpół obłąkany, gracz i hulaka, przegrał pewnego razu do Sosnowskiego piękne dobra, Świniogrodczynę. Wszczęły się targi i spory o oddanie tych dóbr, aż wreszcie stanęła ugoda, iż otrzyma je syn Stanisława, Józef Lubomirski, wraz z ręką Ludwiki, córki Sosnowskiego.

W trakcie prowadzenia tych układów haniebnych a tak zwykłych w czasach owych dowiedział się Sosnowski o miłości Kościuszki i Ludwiki.

Kto go o tym zawiadomił—niewiadomo. Jedne wersje głoszą, iż zrobił to król, do którego o pomoc w swych zabiegach miał się zwrócić Kościuszko, prosząc o wstawienie się do wojewody. Inni znów utrzymują, iż książę generał ziem podolskich, Adam Czartoryski, do którego w tymże samym celu uciekać się miał Kościuszko. Wreszcie są domysły, iż uczyniła to służba domowa, i te są najprawdopodobniejsze.

Dowiedziawszy się o wszystkim, wpadł hetman w srogi gniew i nakazał żonie zabrać natychmiast obydwie córki i wyjechać z nimi do odległego majątku Ratna.

O rozstaniu się z Kościuszką krążą różne opowieści. Jedna z nich głosi, iż przybywszy do Sosnowicy z zamiarem oświadczenia swych uczuć rodzicom, przyjęty został przez hetmana, który w uniesieniu zawołał:

— Synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków.

Inni znów scenę tę spowijają w błyszczącą tkanekę romantyzmu i każą Kościuszcze porywać pannę, by wziąć z nią ślub w pobliskiej parafji.

Zawiadomiony o tym ojciec uczynić miał zasadzkę na uwodziciela. W wynikłym starciu Kościuszko otrzymać miał dotkliwą ranę, z której się długo leczyć musiał.

Podają nawet nazwisko jednego ze sług hetmana, Wojewódzkiego, który miał otrzymać nagrodę pod postacią kawała ziemi za przeszkodzenie ucieczce.

Wszystko to są legendy, osnute na romantycznej miłości Kościuszki. Faktem jest tylko, iż przybywszy do Sosnowicy, jak zwykle z wizytą, zastał dom pustym, a z min służby łatwo mógł się domyślić, co jest tego przyczyną.

Wrócił do domu pełen bólu i smutku, a działo się to w końcu września lub na początku października r. 1775-go.

Z burzą i goryczą w sercu wracał Kościuszko do Sławinka. Odepchnięty od ukochanej, pogardzony i rozłączony z nią; pozbawiony możności służenia w wojsku i niesienia swej wiedzy i pracy ukochanej Ojczyźnie; ograbiony przytym przez brata, który wcale

się z przeprowadzeniem działań nie kwapił, podając fantastyczne rachunki, czuł się bezsilnym, nieszczęśliwym, niezdatnym do niczego.

Do tej depresji moralnej przyczyniało się i to, na co musiał patrzeć w Ojczyźnie, i to, co słyszał wokoło: brutalne rządzenie się w Warszawie ambasadora Stackelberga, pomiatającego już nie tylko senatorami, ale i królem, dyktującego swe warunki sejmowi, a jednocześnie i pouczającego patryjotyzmu tych wszystkich znikczemniałych magnatów, którzy pod przewodnictwem Ponińskiego do grobu kładli Polskę, posłusznie wykonywając wszystkie rozkazy trzech mocarstw zaborczych.

Czytał napewno wszystkie krążące wówczas gęsto ulotne wydawnictwa satyryczne, wydrwiwające nikczemność i cynizm owych przewodników i zwierzchników narodu, od których jednak zależała cała jego przyszłość.

Czyż można się dziwić, że w takich warunkach w głowie jego zrodziła się myśl opuszczenia Ojczyzny i udania się za granicę, gdzie szersze przed nim otwierały się horyzonty?

Lecz nie była to ucieczka przed zemstą Sosnowskiego, jak podają niektórzy... O nie!... Z zupełnym spokojem i skupieniem zabrał się do uporządkowania swoich zawikłanych interesów pieniężnych i przez dwa dni, 9 i 10 października r. 1775-go, zeznał w Sławinku przeróżne akta prawne.

Jednym z nich udzielił szwagrowi swemu, Piotrowi Estce, jak najobszerniejszej plenipotencji do prowadzenia wszelkich spraw z bratem Józefem, do przeprowadzenia działań i objęcia części Siechnowicz, prawnie mu należnej.

Drugim znów aktem zeznał sumę długów, na-

leżnych od niego szwagrom, zarówno Estce jak i Żółkowskiemu, przyczem na pokrycie choć części tych należności puszczał im w dwuletni zastaw obroną przez siebie część Siechnowicz — Dawidowszczyznę.

Szwagier Estko wyświadczył mu wielką przysługę, dopożyczając jeszcze 1440 złp., tak że suma należnych mu pieniędzy wynosiła 10,260 złp.

Ogólna suma długów wynosiła poważną sumę 24,120 złp., nie licząc pretensji brata Józefa, nad których redukcją pracował sąd polubowny.

Załatwiwszy to wszystko, pożegnawszy się ze wszystkimi, puścił się Kościuszko w drugą swą podróż za granicę.

Dla oszczędności jechał z flisakami szwagra swego, Żółkowskiego, galarem, Wisłą.

Wyjeżdżał z sercem zakrwawionym, raz przez stratę ukochanej, która dla dumy ojca i pieniędzy innemu ślubować musiała, powtórę przez nieszcześcia umiłowanej Ojczyzny, której bronić i służyć nie mógł.

Jechał Wisłą, a przed oczyma jego rozwijały się precudne krajobrazy ojczystego kraju... I naraż, jak zgrzyt piekielny, pod Kwidzynem kordon pruski, broniony przez baterję dział a strzegący dostępu do Gdańska...

Wryło mu się to w pamięci, jako ostatnie pożegnanie nieszczęśliwej Ojczyzny.

V.

O wolność Ameryki.

Podczas gdy w Polsce przy pomocy magnatów mocarstwa szykowały uroczysty pogrzeb wolności i niepodległości, przeciw czemu nie zrywał się ani

jeden głos protestu, na drugiej półkuli, w Ameryce, gromada kolonistów, fanatycznych miłośników wolności, chwyciła za broń, by w śmiertelnej walce z potężną metropolją zdobyć sobie zupełną niepodległość.

Od chwili odkrycia Ameryki dążyły do niej ludy Europy, przyczem emigracja ta kierowaną była przeważnie w dwóch kierunkach. Do Ameryki środkowej lub południowej, gdzie nadzwyczajne bogactwa naturalne pozwalały żyć bez troski i trudów, gdzie pełno było zarówno przygód, jak i złota, kierowali się przeważnie awanturnicy z południa Europy.

Inaczej było w Ameryce północnej. Tam przybywali pierwsi osadnicy nie dla złota, nie dla przygód nadzwyczajnych, lecz z chęcią znalezienia wolności dla myśli. Wszyscy prześladowani za przekonania religijne lub polityczne w Europie udawali się do Nowego Świata, ażeby tam znaleźć upragniony spokój i wolność.

Tworzyli oni kolonje, w których osiadłszy, oddawali się w spokoju pracy, wolni od wszelkich prześladowań. Kolonje te rosły z czasem, potęgniały, aż wreszcie liczba ich doszła do trzynastu.

Ludność biała tych kolonji tworzyła dziwną mieszaninę, składającą się z emigrantów różnych narodowości w Europie, w większości z Anglików i Szkotów. Byli tam jednak i Francuzi-hugonoci, i Irlandczycy, i Holendrzy; w kolonji zaś Rhode Island przebywała nawet spora gromadka Żydów. Większość jednak stanowiła rasa angielska. Co do ilości mieszkańców, to w r. 1760-ym liczono białych około 1,200,000 i murzynów około 400,000, a w r. 1775-ym było już 2,000,000 białych i 500,000 murzynów.

Królowie angielscy, opierając się na fackie odkrycia tej części lądu amerykańskiego przez żeglarza

angielskiego, Cabot'a, w r. 1497-ym, nadawali kompanjom lub lordom ziemie, których nie posiadali i nie znali, określając granice swego daru czasem tylko stopniami szerokości geograficznej, wypatrzonymi na mapie.

Francuzi znów utrzymywali, że mają lepsze prawa, gdyż odkryli i zajęli Kanadę, za panowania Franciszka I, w r. 1523-im. Hiszpanie, panujący w Ameryce środkowej i południowej, zachowywali się obojętnie, gdyż wybrzeża te nie posiadały dla nich żadnej wartości, nie wskazując obecności ani złota, ani srebra.

Każdy też, kto miał tylko odwagę, zajmował pustkowia, karczując lasy, uprawiając rolę i budując sobie domy. Staczali przytym zacięte walki z odwiecznymi mieszkańcami tych ziem, czerwonoskórymi Mohikanami, Irokezami, Czyrokezami i innymi, broniącymi swych siedzib przed najeźdźcami.

Wystawiając przywilej nadawczy, królowie angielscy przyznawali osadnikom i ich potomkom prawa obywateli angielskich, nie krępowali ich swobody, pozwalali na samorząd najrozleglejszy; mianowali wprawdzie gubernatora do każdej kolonji, lecz ten porozumiewał się ze zgromadzeniem jej przedstawicieli, stanowiącym rodzaj parlamentu, gdyż wierzenia sekciarskie, a bardziej jeszcze ciężka praca i ustawiczna walka z przyrodą, utrzymywały osadników w nastroju demokratycznym. Nawet w kolonjach, w których kwitło niewolnictwo, nie wytworzyła się próżnująca i wiodąca życie zbytckowne arystokracja. Nikt nie ubiegał się tam ani o tytuły lub ordery, ani o przywileje osobiste. Wysoki urzędnik pracował razem z parobkami swoimi i, wracając do domu, zatykał kosę na wozie lub za powozem. Washington, bogaty właściciel dóbr ziemskich w Wirginji, całe

miesiące spędzał w puszczach bezdrożnych, robiąc pomiary, jako geometra.

Rząd królewski utrzymywał bardzo szczupłą siłę zbrojną: po kilku lub kilkunastu żołnierzy w forteczkach, broniących przystępu do ważniejszych portów. Bezpieczeństwa publicznego strzegli sami osadnicy, w razie spotkania z nieprzyjacielem walczący bardzo odważnie.

Energja i dzielność objawiały się u nich również w sprawach oświaty. Uczni, albo wysokiego wykształcenia pisarze nie przyjeżdżali do osad, trudniących się pracą ręczną i przemysłem lub handlem. Zaledwie znajdowali się nauczyciele dla nauki czytania, pisania, arytmetyki i religji. Przyjmowali oni działwę do swoich szkółek prywatnych, lecz zgromadzenia przedstawicieli w każdej kolonji utrzymywały jakąś szkołę publiczną z równie skromnym programem nauki elementarnej. Bogaci plantatorzy miewali domowych nauczycieli, najczęściej pastorów. Mimo tak niedostatecznych środków wychowawczych, zdolniejsi uczniowie zdobywali z czasem rozległą wiedzę, dzięki samouctwu.

Jako przykład takiego genialnego samouka może służyć Benjamin Franklin (ur. w r. 1706-ym w Bostonie, um. w r. 1790-ym), który stał się znakomitym uczonym, filozofem i krzewicielem oświaty. Najmłodszy z pośród 17-ga dzieci ubogiego mydlarza, wychodźcy z Anglji, wyznania kalwińskiego, pobierał naukę elementarną zaledwie przez dwa lata, bo już w 10-ym roku życia musiał się zabrać do pracy w warsztacie ojca.

Przebywając w porcie, nauczył się doskonale pływać i kierować łodzią; pragnął zostać marynarzem, lecz ojciec, nie chcąc go puścić na morze, oprowa-

dził go po różnych warsztatach, ażeby zachęcić go do obrania jakiegokolwiek rzemiosła; wreszcie pozwolił mu iść do drukarni, świeżo założonej przez drugiego syna, i podpisać kontrakt terminatorski na lat 9, aż do 21-go roku życia. Malec rwał się do książek, przeczytał Plutarcha i kilkadziesiąt dzieł teologicznych, stanowiących bibliotekę domową, a z własnych oszczędności kupował opisy podróży i wydawnictwa historyczne Burtona. Stosunki drukarni z księgarzami nastroczały mu sposobność pożyczania nadchodzących nowości literackich. Zaczął uprawiać się w pisanie, urabiając styl przez ćwiczenia wierszowane, które przekładał nad prozę. Napisał bezimiennie artykuł i podłożył pode drzwiami drukarni; miał tę przyjemność, iż go wydrukowano w gazecie. Powziąwszy urazę do brata za połajanki i bicie, uciekł z przyjacielem swoim do Filadelfji, gdzie znajdowały się dwie drukarnie. Przewyższał wszystkich robotników znajomością fachu i pracowitością; żywiąc się wyłącznie roślinnymi pokarmami, mógł wiele oszczędzać z płacy zarobkowej. Gubernator Keith przyszedł do drukarni, żeby się z nim poznać; zapraszał go do siebie i namawiał do założenia własnej drukarni, któraby lepiej odbijała obwieszczenia i blankiety rządowe, oraz pieniądze papierowe. Czcionki i ulepszone narzędzia trzeba było zakupić w Londynie, więc Franklin wybrał się w podróż na okręcie rządowym. Lecz między doręczonymi mu pakietami nie było żadnego listu polecającego, ani obiecaney akredytywy pieniężnej. Okazało się, że Keith, dla zdobycia popularności, szafuje obietnicami, których nie dotrzymuje.

Przykry ten wypadek nie przeraził jednak Franklina. Poradził on sobie ze sprawą utrzymania, pra-

cując w drukarni, utrzymywał nawet przyjaciela swoim kosztem, wydrukował kilka rozpraw swoich o moralności, poznał się z ludźmi rozmaitych wyznań i uzdolnień umysłowych, przejął się ich poglądami, a napatrzwszy się wielkiego miasta, powrócił do Filadelfji z kupcem, u którego przyjął służbę, jako subjekt. Nauczył się rachunkowości i obchodzenia się z towarami, lecz niedługo zajmował się tym nowym zawodem, gdyż ów kupiec umarł. Franklin jął się znowu drukarstwa. Jeden z towarzyszy, mając bogatego ojca, zaproponował mu spółkę, celem założenia własnej drukarni. Interes poszedł świetnie, zwłaszcza gdy Franklin sporządził nieznaną tam prasę do sztychów i zaczął wyrabiać ozdobniejsze klisze do pieniędzy papierowych. Otworzył sklep z materjałami piśmiennymi, założył swoją „Gazetę Pensylwańską“ i zaczął wydawać od r. 1732-go kalendarz p. t. „Almanach Biedaka Ryszarda“ z tak mądrymi artykułami, że był rozkupywany w 10,000 egz. i przedrukowywany w Europie, czasem na wielkim arkuszu, jako pożyteczna nauka dla ludu.

Okazał też Franklin wielką zdolność do organizacji społecznej. Upatrzwszy z dziesięć osób zamiłowanych w pracy umysłowej, zaproponował im zbieranie się na rozprawy o przedmiotach naukowych, o kwestjach filozoficznych i politycznych. Co trzy miesiące ktoś obowiązany był przeczytać jakieś własne opracowanie, a w tydzień później słuchacze powinni byli wypowiedzieć swoje uwagi lub zarzuty grzecznie, bez uporu, z dążeniem do wykrycia prawdy, zgodnie z ustawą, którą Franklin sam ułożył. Tym sposobem zawiązał się klub naukowo-polityczny, nazwany: „Junto“.

Żeby zaś ułatwić nabywanie książek, potrzebnych do zdobywania wiadomości, a kosztujących drogo,

Franklin wymyślił sposób założenia biblioteki publicznej. Namówił 50 osób do złożenia 40 szylingów jednorazowo i do płacenia po 10 szylingów rocznie; z czasem przybywały dary, a w r. 1742-im liczne już koło płacących nazwało się „Towarzystwem Bibliotecznym Filadelfijskim“. Podług tego wzoru tworzyły się biblioteki w innych miastach. Wkrótce Filadelfja zasłynęła nową instytucją: „Towarzystwem Filozoficznym Pensylwańskim“, zorganizowanym również przez Franklina. Jemu też zawdzięczają istnienie „Towarzystwo Straży Ogniowej“ i wielki szpital pensylwański.

Żeby podnieść poziom wychowania publicznego, Franklin obmyślił pod nazwą Akademji nowe stowarzyszenie: 24 kuratorów, dobranych z pomiędzy najszanowniejszych i zamożnych mieszkańców miasta, złożyło odrazu 5-letnią składkę w sumie 800 funtów szterlingów; przyjęli oni ustawę szkolną, która wkładała na nich obowiązki zwiedzania zakładów naukowych, opiekowania się uczniami, „jak własnymi dziećmi“, nawet po ukończeniu nauk, przez ułatwienie wstępu do zawodów handlowego i urzędniczego. Niezwłocznie, bo w r. 1750-ym, założono wyższe szkoły: Łacińsko-grecką, Matematyczną i Angielską z opłatą wpisów, a czwartą, tak zwaną Miłosierną, dla 60-ciu chłopców i 30-tu dziewcząt ubogich bezpłatną, z kursem 3-letnim.

Wówczas Franklin był już sam znakomitością naukową; od r. 1747-go wysnuwał teorię elektryczności; dowiódł, że piorun jest iskrą elektryczną i dla ochrony od niej mieszkań ludzkich wynalazł w r. 1753-im piorunochrony. Badając własności powietrza, ulepszył budowę pieców i nakreślił pochod burz, przeciągających nad Ameryką północną. W uczeniu tak waż-

nych dla fizyki odkryć i wynalazków, mianowało go członkiem swoim najprzód Królewskie Towarzystwo w Londynie, a potem akademje wszystkich krajów europejskich nadsyłały mu podobne dyplomy.

Niestrudzona energia jego wystarczała jeszcze i na polityczną służbę swoim współobywatelom. Sprawował urzędy sekretarza zgromadzenia prawodawczego i pocztmistra Pensylwanji; obrany został na członka zgromadzenia w r. 1752-im; od rządu angielskiego otrzymał w r. 1753-im urząd pocztmistrza generalnego na wszystkie kolonje, nader zyskowny.

Przed wojną siedmioletnią, gdy Francuzi z Kanady zaczęli posuwać swoje osady z biegiem rzeki Ohio, poczytując porzecze Missouri i Mississipi za swoją „Luizjanę“, a dostarczając broni palnej Indjanom, ośmielali ich do częstych napaści na fermy w północnej Pensylwanji, Franklin w gazecie swojej przedstawiał konieczność utworzenia związku kolonji, ilustrując tę myśl rysunkiem węża, pokrajanego w kawałki, i podpisem: „Połączyć się, albo umrzeć“. Znać trafił do przekonania czytelnikom swoim, bo zaraz w r. 1754-ym został wydelegowany, jako przedstawiciel Pensylwanji, na zjazd pełnomocników sześciu kolonji Nowej Anglii do miasta Albany. Przedłożył tu projekt utworzenia wspólnego naczelnego rządu z prezydentem, przez króla mianowanym, i wielką radą z delegatów od każdej kolonji w liczbie dwu do siedmiu, stosownie do wysokości podatku, jakiby opłacano do skarbu unji. Nie zdołał odrazu przekonać ani delegatów, ani gubernatorów, ale wróciwszy do Filadelfji, potrafił zorganizować milicję ochotniczą do obrody granicy, nie zmuszając do udziału w niej kwaków.

Gdy przybył z wojskiem angielskim generał

Braddock i zarządził uciążliwą rekwizycję potrzeb wojskowych. Franklin, wysłany do niego na układy, wyzwolił współobywateli od niezwyklego dla nich ciężaru w ten sposób, że podjął się dostarczenia 150 wozów. Zebrał je, poręczając właścicielom zwrot, gdy zaś te wozy wpadły w ręce nieprzyjaciela po przegranej bitwie, znalazł się w srogich opałach, lecz poratował go rząd angielski, wywdzięczając się za przysługę.

Dalszy przebieg wojny spowodował rozterkę pomiędzy osadnikami a lordami-właścicielami Pensylwanji, dwoma braćmi Pennami, którzy nie chcieli ze swoich gruntów opłacać podatków, uchwalonych przez zgromadzenie. Wyprawiono Franklina do Londynu w tej sprawie, oraz w innych, później wynikłych, a wymagających porozumienia się z ministrami. Od-tąd zaczyna się w jego życiu nowy okres służby dyplomatycznej w Europie — najprzód dla Pensylwanji, a wkońcu dla całej Unji Amerykańskiej, trwający z krótkimi przerwami blisko 30 lat, aż do przedśmiertnej choroby. Pierwsze poselstwo trwało lat 5 (od 1757—1762) i zjednało mu wdzięczność zgromadzenia, wyrażoną w sowitej nagrodzie pieniężnej 5,000 f. szt. Wojna zakończyła się tryumfem Anglji i korzystnym dla osad wyrugowaniem rządów francuskich z Kanady. Ale po wojnie wynikły zatargi kolonistów z rządem angielskim i Franklin został wysłany do Londynu powtórnie w r. 1764-ym. Tych zatargów ani gorliwość, ani zręczność jego załagodzić nie mogła.

Kolonje amerykańskie, używając wszelkich swobód i opieki potężnego mocarstwa, cennej dla nich, szczególnie na morzu, chętnie uznawały Anglję za swoją macierz i nie skarżyły się na jej dotychcza-

sową politykę handlową. Polegała ona na tym, że koloniści obowiązani byli sprzedawać swoje produkty wyłącznie kupcom angielskim, a wszelkie wyroby sprowadzać wyłącznie z Anglii. Czynili to bez szermowania, dopóki nie mieli własnego przemysłu, płacąc wywozem za przywóz, poddając się przepisom aktu nawigacyjnego, mocą którego towary pozauropejskie mogły być do Anglii przywożone tylko okrętami angielskimi, zaś europejskie — angielskimi lub krajowymi, t. j. tego kraju, skąd pochodzi towar; również do kolonji angielskich płynąć mogły tylko takie okręty, na których załoga w trzech czwartych składała się z rodowitych Anglików.

Popierając interesy przemysłowe metropolji, tłumili Anglicy we wszelki sposób rozwój rzemiosł i przemysłu w Ameryce, ogłaszając przeróżne przepisy obostrzające. Lecz wykonanie tych srogich przepisów było słabe przy braku urzędników i straży. Osadnicy umieli urządzać sobie kontrabandę i prowadzili kon-szachty tak z Hiszpanami, jak z Holendrami.

Po zawarciu pokoju pierwszy minister angielski, lord Bute, musiał podać się do dymisji; następcą jego został Grenville, pracowity, sumienny, lecz niedaleko widzący mąż stanu. Objąwszy zarząd skarbu, porównywał on ogromne ciężary, ponoszone przez Anglików, z nieznacznym dochodem, otrzymywanym z Ameryki, i dowiedział się o rozmiarach kontrabandy, oraz o praktykowanych w Ameryce sposobach omijania praw handlowych i nawigacyjnych. Celem ukrócenia tych nadużyć, urządził policję morską, wysyłając okręty strażnicze; powiększył liczbę urzędników celnych i zalecał im pilność w ściganiu przemytników, upoważniając do robienia rewizji w sklepach i mieszkaniach. Nie spodobały się bardzo ko-

lonistom te zarządzenia, lecz opierać się im nie śmieli.

Grenville potym poszedł dalej. W r. 1764-ym zapowiedział w parlamencie wniesienie prawa o papierze stemplowym dla Ameryki. Obłożenie tą opłatą wszystkich aktów, kwitów, nawet papierów drukowanych miało dać rocznie 100,000 funtów szterlingów i pokryć chociaż trzecią część wydatku na 10,000 wojska, które miało być utrzymywane dla obrony kolonji od nieprzyjaciela zagranicznego. Odkładał na przeciąg roku ogłoszenie tego prawa, lecz gdy tylko projekt ten doszedł do Ameryki, adwokat Jakób Otis z Bostonu wydał dzieło p. t. „Obrona i udowodnienie praw kolonji“, w którym gorąco zaprzeczył rządowi i parlamentowi prawa nakładania podatku na kolonistów bez ich przyzwolenia. Książkę tę zgromadzenie Massachusetts'u przesłało ministrowi, a Pensylwanja wyprawiła Franklina, który mu radził wezwać kolonje do dobrowolnego opodatkowania siebie.

Grenville zgodziłby się na inne źródło dochodu, ale żądał poręczenia za wszystkie kolonje; nie otrzymawszy zaś go, przeprowadził swój projekt przez parlament i ogłosił, że prawo stemplowe ma być wykonywane od 1 listopada 1765-go r. Wiadomość o tym przyszła do Ameryki w czasie, gdy obradowało Zgromadzenie wirginijskie. Świeżo obrany przedstawiciel mieszczański, młody adwokat Patrick Henry, natychmiast zaproponował rezolucje protestujące. Przyjęto je, wydrukowano i rozesłano do wszystkich kolonji. Zyskały powszechne uznanie. Z Bostonu znów rozesłano propozycję Otisa urzędującego w New-Yorku zjazdu delegatów zgromadzeń wszystkich kolonji.

Przybyli tylko z dziewięciu, i w dniu 19 paździer-

nika wydali imieniem całego kongresu manifest, obalający wszelkie prawa podatkowe Anglików, z powodu iż kolonje angielskie nie mają i skutkiem wielkich odległości mieć nie mogą przedstawicieli swoich w parlamencie.

Pospólstwo występować zaczęło energicznie przeciwko nowemu prawu: w Bostonie zburzyło dom Olivera, który się podjął sprzedaży papieru stemplowego, i zmusiło go do złożenia przysięgi, że nie przyjmie tego papieru od rządu i nigdy sprzedawać go nie będzie.

Podobne manifestacje odbywały się i w innych kolonjach, co tak przestraszyło mianowanych przez rząd składników stempla, iż, po nadejściu terminu, prawo zostało niewykonanym. Urządzono też manifestacje: w kościołach dzwoniono pogrzebowo, gazety wyszły w żałobnych obwódkach lub z trupimi głowami zamiast stempla, a papier stemplowy pozostał nietkniętym.

Czyny te nie wywołały w Anglii żadnego zgorzienia wśród ludności, gdyż zasada, na której obronę swą opierali Amerykanie, że podatek nie może być postanowiony bez przedstawicieli narodu, drogą była Anglikom od lat pięciuset.

Minister Grenville otrzymał od króla dymisję w lipcu 1765-go r., i młody lord Buckingham stanął na czele nowego ministerjum, więc sprawa amerykańska weszła do parlamentu z przychylnymi wnioskami, popartymi przez Pitta i przez poczynającego swój zawód polityczny wielkiego mówcę, Edmunda Burke. Prawo o papierze stemplowym zostało zniesione, ale z zastrzeżeniem władzy parlamentu nad kolonjami w całej rozciągłości (w lutym r. 1768-go).

Radość Amerykanów z powodu odwołania prawa

stemplowego była żywą, ale krótkotrwałą. W następnym roku odnowiła się uraza.

Król angielski, Jerzy III, nie lubił Buckinghama, który zrobił ustępstwo „buntownikom“. Odprawił go, a wezwał do rządu Pitta, którego nie lubił również, ale znał jako przeciwnika stronnictwo, jako wyznawcę bezwzględnej patryjotyzmu w służbie krajowi. Pitt stawiał się na wezwanie, wynurzył królowi nieograniczoną gotowość do usług, przyjął ofiarowaną sobie godność lordowską hrabiego Chatham i uformował ministerjum mieszane. Niestety zaraz potem zachorował tak ciężko, że musiał wyjechać do kąpieli w Bath, gdzie nikogo, prócz żony, nie dopuszczał do siebie i na zapytania kolegów nie dawał żadnej odpowiedzi. Pozbawieni jego kierownictwa ministrowie rządili każdy podług swojego zdania. Podskarbi Townshend, dawniejszy kolega Grenville'a, podniósł jego pomysł w odmiennej nieco postaci. Uzyskał od parlamentu uchwałę, że w portach amerykańskich ma być pobierane cło od herbaty, papieru, farb i szyb szklanych. Spodziewał się stąd około 40,000 funt. szterl. dochodu rocznego na płace dla urzędników i sędziów; więcej jednak zależało mu na zaznaczeniu panowania Anglii nad kolonjami. Dlatego też osadził główny urząd celny w Bostonie, a ponieważ mieszkańcy tamtejsi okazali największą burzliwość i śmiałość, więc od ministra wojny, lorda Hillsborough, uzyskał zarządzenie, aby 2 pułki piechoty i 4 okręty wojenne dodane były gubernatorowi Bernardowi do poskromienia oporu. Burzyciele mieli być wysyłani do Anglii na sąd.

Zawiodły jednak te rachuby i przewidywania. Po roku cło przyniosło czystego dochodu tylko 295 f. szt., gdy przewożenie i utrzymywanie wojska pochło-

nęło 175,000 f. szt.; co gorsza, zamiast uległości, szerzył się coraz wytrwalszy opór. Zgromadzenie przedstawicieli Wirginji dało hasło wszystkim kolonjom: nie używać oclonych towarów angielskich. Gubernator zakazał obrad nad tym wnioskiem, ułożonym przez Masona, a przedstawionym przez Washingtona. Zamknięto salę posiedzeń, ale przedstawiciele zebrali się w pobliskim domu prywatnym i rezolucję swoją podpisali. Przyjęły ją wszystkie komitety, a Samuel Adams z Bostonu organizował wszędzie „komitety korespondentów“ do tamowania przywozu towarów z Anglii. Tysiące mężczyzn i kobiet, przybrawszy nazwę „synów i cór wolności“, wyrzekały się noszenia wykwintnej odzieży, kupowania jedwabiu, chociażby we wstążkach, picia herbaty, jadania baraniny, ponieważ wełna potrzebna była do wyrobu tkanin domowych.

Celnicy nie mogli pełnić swych obowiązków, wyszydzani lub wprost napastowani przez tłumy; okręty angielskie nie były wpuszczane do portów; wielki wiaź filadelfijski, pod którego konarami zbierali się członkowie stowarzyszenia na narady, stał się słynnym „drzewem wolności“.

W Bostonie wojsko doznawało jak najgorszego traktowania: mieściło się w gmachach i na placach publicznych, ponieważ odmówiono mu kwater w domach prywatnych; urządzano awantury „durniom homarom“, t. j. czerwonym mundurom, na ulicach, a razu pewnego, w dniu 3 marca 1770-go r., gdy kompanja grenadjerów stała w szyku, otoczył ją tłum i obrzucił kawałkami lodu, drewnami, kamieniami, przypuszczając, że strzelać nie ośmieli się.

Wyczerpała się cierpliwość żołnierzy. Siedmiu z pośród nich dało ognia i padły trzy osoby zabite

i osiem rannych. Na huk strzałów przybiegł gubernator z pułkownikiem i odprowadzili żołnierzy do fortu, po wszystkich jednak kolonjach lotem ptaka rozbiegła się wieść o „rzezi bostońskiej“. Aresztowano wnet komendanta kompanji, kapitana Prestona, lecz stawiony przed sądem został uniewinniony, a sędzia przewodniczący, ogłaszając wyrok, surowo zganił napastników i ubolewał, że sprawa ta okrywa całe miasto wstydem.

W czasie tym w Londynie umarł Townshend i upadło ministerjum mieszane. Król dobrał sobie powolnego ministra, lorda North, otyłego flegmatyka i żartownisia. Pragnął on załagodzić wynikły zatarg, zwłaszcza iż popierali go Pitt i Burke, zalecając odwołanie wojska z Ameryki, obawiał się jednak urazić króla, który rozzuchwalenie kolonistów przypisywał cofnięciu prawa stemplowego. Wymyślił zatem następną kombinację: znieść cło na wszystkie towary, oprócz jednej tylko herbaty, co miało przynieść skarbowi niewielką sumę 12,000 funtów szterl. rocznie; ale Amerykanie i tę sumę płaciliby tylko pozornie, ponieważ Kompanja Wschodnio-Indyjska zobowiązała się dostarczać im herbatę po cenie o 25% niższej. Parlament przyjął to prawo w marcu 1770-go r.

Sądziли wszyscy, że teraz musi nastąpić zgoda, gdy przedmiot sporu został usunięty. Amerykanie jednak toczyli walkę dalej, utrzymując, że herbata oclona, chociażby najtańsza, będzie dla nich „trucizną niewoli“.

Franklin wyłożył ten ich pogląd w satyrze p. t. „Edykt pruski, przywłaszczający władzę nad Brytanią“, w którym niby Fryderyk II przedrzeźniał rozumowania polityków angielskich i, przytaczając szereg praw, wydanych od czasów Wilhelma III-go. na-

kładał na Anglję cła, zakazując obrabiania żelaza, wyrabiania kapeluszy i t. p.

Zmyślony ten edykt wysłany był niby przez jakiegoś korespondenta z Gdańska, dnia 5 września 1773-go r. Fryderyk z Bożej łaski, król pruski etc. etc. etc. nazywał Anglję kolonją niemiecką i Anglików wychodźcami z państwa, które należało do przodków jego. Opierając się na tym, wymagał od nich, aby „napelniali jego królewskie kufry“, aby płacili $4\frac{1}{2}\%$ wartości wszelkich towarów jemu i następcom jego, a rewizja celna ma się odbywać w Królewcu, i t. d.

W zakończeniu ostrzegał wszystkich mieszkańców tej wyspy, aby nie stawiali żadnego oporu przy wykonywaniu tego edyktu, gdyż opór taki poczytany będzie za zdradę i każdy podejrzany o nią będzie odstawiony w kajdanach z Brytanji do Prus, sądzony i ukarany śmiercią podług prawa pruskiego.

Czuwali zatym „synowie wolności“ po dawnemu i, gdy przyszły okręty Kompanji Wschodnio-Indyjskiej, nie dopuścili wyładowania herbaty w Nowym Jorku i Filadelfji, nie pozwolili odbiorcom w Charlestonie przyjąć jej na sprzedaż, a w Bostonie, przebrawszy się za Mohikanów, podpłynęli łodziami w liczbie 50 osób do 3 okrętów, weszli na nie i w oczach zebranego na wybrzeżu tłumu wrzucili do morza 342 skrzynie z herbatą, ocenioną na 18,000 funtów szt., poczym spokojnie wrócili do miasta.

Stało się to dnia 16 grudnia 1773-go r.

Po tym fakcie rząd angielski uznał potrzebę zastosowania środków energicznych, wniósł więc do parlamentu prawo o porcie bostońskim i zyskał bez rozpraw zatwierdzenie onego. Od dnia 1 czerwca 1774-go r. port ten miał być zamknięty, a cały ruch żeglarski handlowy miał się odbywać w pobliskim

mieście Salem, dopóki Kompanja Wschodnio-Indyjska nie otrzyma odszkodowania za zniszczony swój towar. Wykonanie tego postanowienia zlecono generałowi Gage, komenderującemu 4 pułkami wojska królewskiego w Ameryce i mianowanemu gubernatorem kolonji Massachusetts. Zaraz potym parlament skasował w niej obieralność urzędników i przepisywał wyjątkowe sądownictwo w procesach, jakie z wykonania prawa wyniknąćby mogły.

Gdy zarządzenia te doszły do Ameryki, zgromadzenie wirginijskie natychmiast wyraziło najgorętsze współczucie dla kolonji Massachusetts, jako dla siostry gnębionej uciskiem; uchwaliło noszenie odzieży żałobnej i postanowiło spędzić dzień 1 czerwca na poście i modłach do Boga, aby oddalić raczył klęski wojny domowej, a wlał męstwo w serca do obrony praw gwałconych. Dla robotników portowych, tracących zarobek, zbierano składkę.

Zgromadzenie przedstawicieli Massachusetts'u, po przybyciu nowego gubernatora z wojskiem, przeniosło się do m. Salem. Generał Gage chciał je rozwiązać, lecz znalazł drzwi do sali zamknięte na klucz. Odczytał wprawdzie swój rozkaz na schodach, lecz bez skutku, zgromadzenie bowiem na wniosek Samuela Adamsa, postanowiło rozesłać do wszystkich kolonji wezwanie, aby przysłały swoich delegatów do m. Filadelfji, w Pensylwanji, na wspólną naradę.

Zjechało się 50 delegatów z 12 kolonji i rozpoczęli obrady w izbie stowarzyszenia cieśli, przy czem na prezesa obrali Randolpha, na sekretarza Thomsona, i w ten sposób utworzył się w d. 5 września 1774-go r. Kongres związkowy Ameryki Północnej.

Z większą znacznie powagą, niż zgromadzenie pojedynczych kolonji, kongres ten wyraził powszech-

ne współczucie dla Massachusetts'u z powodu cierpień, zadanych przez „niesprawiedliwe, okrutne, tyrańskie zarządzenia parlamentu brytyjskiego“, pochwalał roztropność i stałość, okazywane dotychczas przez współobywateli, zachęcał do wytrwałości nadal, lecz nie zrywał węzłów poddaństwa, wyrażał bowiem nadzieję, że naród brytyjski powoła lepszych mężów do steru państwa, niż obecni ministrowie. Zredagował w dniu 14 października deklarację Praw, jednomyślnie przyjętą. Zakazał przyjmowania przywożonych z Anglii towarów od d. 1 grudnia, ale wywozić amerykańskie do Anglii pozwolił do 10 września przyszłego roku, dla uregulowania obrachunków z kupcami angielskimi. Opracowano nader wymowne i wzruszające odezwy do króla, do wszystkich kolonji i do narodu angielskiego. Na tym zakończył kongres czynności swoje, zapowiadając wznowienie obrad w tym samym miejscu na dzień 10 maja 1775-go r.

Wysłane do Europy odezwy te rozumnym umiarkowaniem pozyskały uznanie Pitta, Burke'a i wielu Anglików, a jeszcze większe Francuzów. Tymczasem ani w Bostonie, ani w całej Nowej Anglii ludność nie okazywała wstrzeźliwości względem poborców, urzędników i sędziów, groziła im lub wypędzała z miejsc urzędowania.

Czyniono też przygotowania do walki orężnej. Zaczęto zakupywać broń i zapasy żywności z pieniędzy składkowych oraz tworzone oddziały „ludzi momentalnych“, którzy przyrzekali stawić się na pierwsze wezwanie z bronią w ręku. Opanowali oni forteczkę, zwaną „Wilhelm i Marja“, posiadającą tylko 5 żołnierzy załogi, a w kolonji Rhode Island zabrali uprzęż artylerji. Podobnie i w Wirginji, w mieście Richmond, zawiązał się komitet do formowania milicji;

wstąpili do niego: Patrick Henry, Jerzy Washington i Jefferson.

Doszła wieść o tym do gen. Gage i ten wysłał z Bostonu oddział wojska do miasta Concord, celem zniszczenia założonego tam składu potrzeb wojskowych. Wykonano rozkaz jego, lecz gdy wojsko wracało, rzucili się na nie mieszkańcy i wywiązała się bitwa pod Lexingtonem w dniu 19 kwietnia 1775-go r. Padło 273 Anglików, zanim nadeszła im na pomoc większa siła z Bostonu. Amerykanie stracili mniej, gdyż tylko 90 ludzi. Była to właściwie utarczka bez znaczenia militarnego, lecz stała się ona epokową ze stanowiska historycznego... Przelaną krwią Amerykanie położyli kres dotychczasowemu sporowi prawnemu. Wszczynali walkę oręzną w obronie pogwałconej wolności.

Wojna anglo-amerykańska w pierwszym roku swego rozwoju miała jeszcze charakter wojny domowej pomiędzy Anglikami. Wprawdzie kongres, zebrawszy się powtórnie w Filadelfji, orzekł, iż kolonje muszą być postawione na stopie wojennej, i mianował wodza naczelnego nieistniejącej jeszcze armji, ale nie wyłamywał się z poddaństwa. Sam wódz, Washington, wyznawał, że wówczas obcą mu była myśl o niepodległości kolonji.

Obrany wodzem jednomyślnie przez delegatów południowych, jakoteż i północnych, a nawet staraniem Bostończyka Samuela Adamsa, Jerzy Washington ur. się w r. 1732-im i był jednym z najbogatszych plantatorów w całej Ameryce angielskiej. Odziedziczył po ojcu 700 akrów ziemi w Wirginji, żył szczęśliwie z bogatą żoną we dworze Mount Vernon; miał setki niewolników-murzynów; sprzedawał swój tytuł do Londynu, Bristolu, Liverpoolu; mógłby też z uro-

dzenia zaliczać się do arystokracji, gdyż ród swój wywodził od Williama Hernburna w hrabstwie Durham, w Anglii, w wieku XIII-ym żyjącego. Nie pysznił się jednak ani urodzeniem, ani fortuną; był skromnym człowiekiem pracy. W szkółce elementarnej nauczył się czytania, pisania i prowadzenia ksiąg; w 17-ym roku życia umiał tyle z geometrii i trygonometrii, że mógł podjąć się pomiarów gruntu dla lorda Fairfax; w 22-im roku wysłany na czele 200 ludzi nad rzekę Ohio do budowania forteczek przeciwko Francuzom, pełnił służbę wojskową przez trzy lata, jako oficer milicji wirginijskiej w randze majora i pułkownika; uratował ją po porażce angielskiego gen. Braddocka w r. 1755-ym, za co otrzymał od prezesa zgromadzenia przedstawicieli podziękowanie, którego wysłuchał w milczeniu, zarumieniwszy się skromnie, poczym wrócił do wiejskiego zacisza. W zatargu z Anglią powodował się poczuciem prawa i troską, aby przez nakładanie podatków parlament angielski nie uczynił kolonistów „niewolnikami posłusznymi i pogardzanymi“.

W liście do jednego z przyjaciół swoich pisał w tej sprawie: „O co spieramy się? Czy nie chcemy płacić jednego penny od funta herbaty, ponieważ ten podatek jest za ciężki? Nie, spieraliśmy się zawsze tylko o prawo, które nam przysługuje z mocy prawa natury i ustawy naszej. Sądzę, że parlament angielski nie ma prawa wsuwać ręki do kieszeni mojej tak samo, jak ja nie mam prawa wsuwać ręki do kieszeni pańskiej. Wolałbym, przyznając, pozostawić przyszłym pokoleniom rozstrzygnięcie zatargu, ale kryzys nadszedł i teraz trzeba albo utrzymać prawa nasze, albo poddać się wszelkim ciężarom, jakimi nas zechcą obarczyć, aż przerobią nas

przez praktykę i przyzwyczajenie na niewolników posłusznych i pogardzanych“.

W obronie tej wolności gotów był iść na obronę Bostonu z tysiącem ludzi, których miał zaciągnąć na koszt własny.

Choć widział wojsko regularne angielskie i francuskie w małych oddziałach, choć brał udział w wojnie przed 20 laty, ale wojakiem nie był ani z trybu życia swojego, ani z wykształcenia, wyznał tedy przed kongresem obawę, że może nie podołać trudnościom naczelnego dowództwa; po pewnym wahaniu jednak przyjął je, zrzekając się wyznaczonej płacy po 500 dolarów miesięcznie.

— Będę prowadził dokładny rachunek moich wydatków — oświadczył — nie wątpię, że kongres mi je zwróci. Oto wszystko, czego żądam.

Jakoż w r. 1783-im złożył zeszyt o 66 stronicach, wykazujący wydatki jego w sumie 64,355 dolarów za czas lat ośmiu, a więc niższy o $\frac{1}{3}$ od płacy jego. Żonę pożegnał listownie, zarząd majątku powierzył krewnemu i wyjechał do formującego się obozu pod Cambridge. W dniu 2 lipca 1775-go r. objął nad nim komendę.

Pod rozkazami swoimi miał 4 generałów-majorów, 8 brygadjerów i 1 generał-adjutanta. Z nich Davaj, Warren i Putnam zyskali już sławę bitwą pod Bostonem, na górze Buuker, dnia 17 czerwca, w której Amerykanie nie utrzymali wprawdzie placu, lecz odparli dwa szturmy Anglików, zabili im 220 i zranili 880 żołnierzy.

Pierwszym zadaniem strategicznym było oblężenie, a raczej blokowanie Bostonu od strony lądowej, gdyż w porcie stała flota angielska. Generał-lejtnant Gage miał tu 4,000 marynarzy i 7,000 woj-

ska lądowego. Całkowita zaś siła Washingtona doszła w jesieni do 20,000 głów, ale w zimie zmniejszyła się do 13,500 i składała się z milicjantów, obowiązanych do służby tylko przez 6 tygodni; po tym terminie każdy mógł wrócić do swego warsztatu lub roli, chyba że został dobrowolnie, zachęcony żołdem. Z takim tedy niewyćwiczonym i niewdrożonym wojskiem musiał Washington bronić Anglikom wychylania się z miasta. Dokazał jeszcze więcej, gdyż zręcznie przeprowadzonym atakiem zmusił ich do ustąpienia; zabrało się z nimi 1500 rodzin „lojalnych“ amerykańskich. W dniu 17 marca 1776-go r. odpłynęli oni do Halifaxu, a chwilę tę wyzwolony Boston upamiętnił wybiciem medalu.

Walka przeniosła się do New-Yorku, ale już w odmiennym charakterze.

Parlament angielski, odrzuciwszy pojednawcze rady Pitta, który przyznał w Izbie Lordów, że „nie ma narodu ani zgromadzenia żadnego, któreby przewyższyło Kongres Generalny filadelfijski gruntownością rozsądku i sądu, bystrością i mądrością konkluzji wśród okoliczności tak zawikłanych“, oraz Burke’a, wydał groźne uchwały: uznał ludność kolonji wraz z kongresem i wodzem za buntowników; nakazał zaciąg 28,000 ludzi do marynarki i 55,000 do wojska lądowego; jednakże do powstrzymania surowości tych praw upoważnił komisarza królewskiego, o ile do niego udawać się będą koloniści ze skargami w sprawach publicznych, lub osobistych. Przez zimę odbywały się werbunki i zawierane były z kilkoma książętami niemieckimi umowy o dostarczenie najemnych bataljonów i pułków; wiosną zwożono je okrętami do Nowego Jorku. Zamiast odwołanego gen. Gage’a wodzem został generał-lejtnant William Howe.

Zawarcie przez Anglików przymierza z Indjanami i wysłanie wyprawy do Charlestonu podrażniło jeszcze bardziej, a zdobycie Bostonu ośmieliło Amerykanów do przyjęcia rad Paine'a.

Kongres zebrał się ponownie w „bogatej“ Filadelfji, i od dnia 7 maja rozważał wniosek Ryszarda Henryka Lee ogłoszenia niepodległości. Najpochopniejszą do śmiałej decyzji okazała się Wirginja, uchwalając na swoim zgromadzeniu, między 27 maja a 22 czerwca, słynną „Deklarację praw Wirginji“, w której rozwinęła do najszerszych a nigdzie dotąd nie dosięganych zakresów pojęcie wolności w urzędzeniu stosunków społecznych, państwowych i religijnych.

Tymczasem na kongresie w Filadelfji odczytywano i przyjmowano punkt po punkcie akt niepodległości, opracowany przez Tomasza Jeffersona, z poprawkami Franklina i Jana Adamsa, w imieniu przedstawicieli już nie kolonji, lecz stanów Zjednoczonych Ameryki.

Przez trzy dni roztrząsano każdy wyraz tego aktu, a dnia 4 lipca 1776-go r. członkowie kongresu w liczbie 55 położyli swe podpisy pod nim, zakładając fundamenty nowego, dziś tak potężnego i szczęśliwego państwa. Niewielka sala, w której to się stało, otrzymała nazwę Izby Niepodległości.

Wdniu 9 lipca akt ten z rozkazu Washingtona odczytano przed frontem wszystkim brygadam w Nowym Jorku, a następnie ogłoszono z ambon ludowi po kościołach i z trybun na wszystkich zgromadzeniach.

Zasługuje na uwagę fakt, iż jeden z członków „56“, Jan Dickinson, uchylił się od podpisania aktu, a kongres przecież nie uznał tej odmowy za „liberum veto“, jak to uczynił sejm polski w r. 1652-im

Zresztą Dickinson pod żadnym względem nie był podobny do Sicińskiego, nie tamował w niczym czynności kongresu, a gdy spostrzegł niesympatyczne dla siebie usposobienie ludu, usunął się do życia prywatnego. Z kolegami różniły go nie pojęcia ani pragnienia, lecz wątpił tylko o możliwości zwycięstwa w wojnie z potężną Anglią.

Niebawem też wszyscy przekonać się mieli, jak trudnym było wcielenie w czyn wiekopomnego Aktu niepodległości. W 10 dni zaledwie po ogłoszeniu jego przybył z potężną flotą i pełnomocnictwem komisarza generalnego admirał Ryszard hr. Howe, brat generała. Zrazu chciał on sprawę załatwić pokojowo i w tym celu wysłał list do „Wielmożnego Jerzego Washingtona (G. W. Esquire)“. Że zaś na kopercie pominął tytuł jego „wodza naczelnego“, list nie został przyjęty. Ogłosił wtedy proklamację do narodu, lecz gdy i to nie odniosło skutku, rozpoczął działania wojenne.

Ten poryw o zdobycie niepodległości Ameryki przyjęty został życzliwie przez niektóre państwa europejskie, szczególnie zaś przez Francję, która, oprócz strony ideowej, widziała w tym i interes polityczny, przez osłabienie potężnej a wrogiej sobie Anglii.

Wysłany do Francji z polecenia kongresu kupiec Silas Deane, celem zakupienia 200 armat, 25,000 karabinów, kul, prochu i namiotów dla 25,000 wojska, znalazł drogę do ministra Vergennes'a, utorowaną w tajemnicy przez dowcipnego Beaumarchais, który podczas pobytu w Londynie poznał się z agentami amerykańskimi, i sam będąc autorem wielce rewolucyjnych komedji, p. t. „Cyrulik sewilski“ i „Wesele Figara“, sympatyzował z całym ruchem amerykań-

skim. Pełniąc przez kilka miesięcy służbę dyplomatyczną przy ambasadzie francuskiej, potrafił rozjątrzyć świeże urazy Bourbonów do Anglii.

Nie śmiał wprawdzie de Vergennes zrywać jawnie traktatu paryskiego z r. 1782, ale dał Beaumarchais'mu 1 milion liwrów i obiecał drugi milion od Hiszpanji na założenie domu handlowego, który miał dostarczać broni, amunicji i wszelkich rekwizytów wojennych powstańcom amerykańskim niby drogą zwykłej sprzedaży na własne ryzyko. Deane po przyjeździe do Paryża otrzymał najpomyślniejsze oświadczenia od Beaumarchais'go i wstęp do urzędnika ministerjum spraw zagranicznych, Gérarda, który miał służyć za pośrednika między nim a ministrem.

Zanim się urządził ten dom handlowy, działający pod firmą „Rodrigo Hortalez et C^o“, w ogromnym pałacu de Hollande na przedmieściu Temple, w końcu maja lub na początku czerwca z Hawru wypłynęli do Ameryki pierwsi ochotnicy europejscy: kapitan warszawskiego korpusu kadetów, wydoskonalony w szkołach wojskowych Francji, inżynier Tadeusz Kościuszko i Romond de Lisle, ażeby ofiarować kongresowi usługi swoje.

VI.

W walce o obcą wolność.

Po opuszczeniu kraju rodzinnego, wodą czy lądem, udał się Kościuszko do Francji, gdzie z czasów dawniejszego swego pobytu posiadał kolegów i znajomych. Przy ich pomocy spodziewał się znaleźć kawałek chleba i stosowne zajęcie, którego mu ziemia ojczyzna dać nie mogła.

W Paryżu dowiedział się już szczegółów o targu kolonji amerykańskich z metropolją, o którym jeszcze w Polsce głuche go dochodziły wieści. Nie namyślając się długo, choć jako wykwalifikowany inżynier mógł z łatwością otrzymać odpowiednie i korzystne stanowisko w armji angielskiej, która poszukiwała zdolnych oficerów inżynierji i suto im płaciła, przyjął niepewną i chwiejną propozycję Ameryki, gdyż tam miano walczyć o wolność, której był gorącym czcicielem.

Wiedział dobrze, o co chodziło powstającym kolonjom, i sercem całym łączył się z nimi, choć jednocześnie ból go przejmował przy porównaniu z losami ojczyzny.

Tam nie umiano odeprzeć z godnością żądań mocarstw ościennych, czyniących zamach na wolność niepodległej nikomu Polski. Tam sceptyczny uśmiech przewijał się po ustach magnatów, gdy posłyszeli pełen bólu serdecznego krzyk protestu z piersi Rejtana, i miast myśla o ratunku Polski, zajęci byli obliczaniem korzyści, jakie przy tej tranzakcji odniosą. Bólem go przejmowały i te pełne godności słowa, jaką nacechowane były odezwy tych kramarzy, tych kolonistów, tych ludzi prostych i niskiej kondycji. W Ojczyźnie jego godności tej nie umiał zachować nawet król, będący niby wybranцем narodu, nie mówiąc już o magnatach, którzy wraz z nim byli pierwszymi sługami carycy Rosji.

Porównywał to wszystko i jeszcze większa gorycz zalewała mu serce. Czuł się niepotrzebnym Ojczyźnie, a umiłowana jego z nakazu ojca, dla pieniędzy, miała zostać żoną innego, szczęśliwszego rywala, choć duszą była przy nim.

Przybił wreszcie okręt, wiozący Kościuszkę

w niezbyt wesołym usposobieniu do wybrzeży Ameryki. Istnieje anegdota, opowiadająca o pierwszym spotkaniu Kościuszki z Washingtonem.

Miało się ono odbyć zaraz po przybyciu Kościuszki i zameldowaniu się w kwaterze głównego wodza.

— Czego tu pan szuka? — miał spytać Washington swym lakonicznym sposobem, którego szorstkość łagodził ojcowski wyraz, z jakim na młodych zwykł był spoglądać. (Tu należy zaznaczyć, iż Washington miał 44 lata, a Kościuszko 30, więc różnica nie tak znów wielka, by można było mówić o ojcostwie).

— Przychodzę walczyć jako ochotnik za niepodległość amerykańską — odrzekł Kościuszko, a odpowiedź jego była tak niepodobną do zarożumiałych żądań innych cudzoziemców, że uderzony tą skromnością wódz dodał zaraz łagodniejszym tonem:

— Czymże mogę panu służyć?

— Spróbuj mnie.

Cała ta anegdota jest zmyśloną, gdyż po pierwsze Washington zbyt był zajęty walką z wojskami angielskimi, by mógł przyjmować oficerów, a powtórnie nie miał jeszcze wtedy na to prawa, które kongres pozostawił sobie, a udzielił mu je dopiero 12 grudnia r. 1776-go.

Kościuszko, po przybyciu do Ameryki, zapisał się w Wydziale Wojny i dopiero po rozpatrzeniu podania jego przez kongres, w dniu 31 sierpnia roku 1776-go otrzymał wraz z Romondem de Lisle polecenie opracowania planów fortyfikacji Billingsportu mających zabezpieczyć to miasto, siedzibę kongresu, od ataku floty angielskiej przez zagrodzenie rzeki Delaware.

Z zadania tego wywiązał się bardzo dobrze,

przyczym Wiśniowski tak opisuje to pierwsze dzieło Kościuszki:

„Plan polegał na zamknięciu koryta rzeki (o 3 mile poniżej Filadelfji) umiejętnie szeregiem ostrych palisad i na wzniesieniu obszernych szańców na przylądku Billynge, u którego rzeka ostry łuk tworzy i skąd się dziś miasteczko Billingsport w jej żółtych nurtach przegląda, a ta fortyfikacja nietylko nad rzeką panowała, ale i nad całą okolicą. Śpieszne sypanie szańców na linji, śmiałą i wprawną ręką nakreślonej, i forma redut, baterji, parapetów, rowów, kazamat i glacis, których sam Vauban nie byłby się zawstydził—wszystko to było dla Amerykanów rodzajem nowego objawienia“.

Za pracę tę Kościuszko otrzymał wynagrodzenie w wysokości 50 funtów szterlingów od Rady Bezpieczeństwa stanu Pensylwanja w dniu 24 października, jednocześnie zaś złożył tym dowód swego uzdolnienia fachowego, co zjednało mu przychylną atestację Wydziału Wojny i w następstwie nominację od kongresu na „inżyniera w służbie Stanów Zjednoczonych“, z pensją 60-iu dolarów miesięcznie i rangą pułkownika już dnia 18 października 1776-go r.

Jednocześnie z nim taką samą rangę wraz z wynagrodzeniem otrzymał i Romond de Lisle, wspólnie z nim pracujący.

Tymczasem działania wojenne w Ameryce nie szły tak pomyślnie. Anglicy wylądowali na Długiej Wyspie, której część zajmuje miasto Nowy Jork. Washington usiłował odpierać ich, lecz wojsko, z ciąągów 6-miesięcznych i posiłkowych milicji złożone, pierzchnęło, nie słuchając rozkazów, nie zważając na groźby, że każdy uciekający będzie rozstrzelany.

„Synowie wolności“, którzy tak pięknie rozpra-

wiali w Filadelfji o honorze i ofierze z życia, pierzchali z pola bitwy w popłochu. Pokonany raz w dniu 27 sierpnia, Washington odprowadził swoich marnych wojaków za rzekę i znużony dwudniową, bezsenną pracą, pisał do kongresu, że trzeba koniecznie uformować armję regularną, zaciągniętą na cały czas wojny, albo przynajmniej na termin dłuższy. Tymczasem wszystkie wysiłki skierował ku temu, żeby zasłonić miasto, ale na widok zbliżających się żołnierzy angielskich dwie brygady jego pierzchły w nieładzie bez wystrzału.

Washington przyjechał na spienionym rumaku galopem, lecz powstrzymać ich już nie zdołał. Ogarnięty rozpaczą, chciał się już sam jeden rzucić na nieprzyjaciela, szukając śmierci, lecz adjutanci schwyтали konia jego za uzdę i odprowadzili go z placu boju.

Pokonane wojska cofnęły się na wzgórze Haarlemu, a do miasta dnia 15 września weszli Anglicy, zakładając w nim główną kwaterę swoją. Mieszkańcy, chcąc uniknąć represji, poddali się im z oznakami uległości i wierności.

Jeszcze jedną niepomysłną utarczkę stoczył Washington w dniu 15 października pod White Plains, poczym swą garstkę „obdartusów“ musiał odprowadzić poza rzekę Delaware. Szczupła i tak armja jego topniała z dniem każdym niemal, dezorganizacja wkradała się coraz większa, i wreszcie nie mógł już zasłonić Filadelfji i kongres w dniu 12 grudnia przeniósł się do Baltimore.

Zabrano się do fortyfikowania Filadelfji od strony lądu, a Washington w dniu 8 grudnia pisał do prezesa kongresu, nie znając widocznie nazwiska Kościuszki:

„Jeżeli będzie powzięta decyzja ufortyfikowania miasta, musi ktoś biegle w tej sztuce obejrzeć natychmiast miejscowość i zabrać się do wytknięcia linji i robót. Mam wiadomość, że obecnie jest w Filadelfji znakomity inżynier francuski; jeśli prawda, to on będzie najstosowniejszym“.

Inżynierem tym mógł być zarówno Kościuszko, jak i Romond de Lisle, kolega jego. Zato dość wyraźnie mówi o Kościuszcze list Washingtona z dnia 20 grudnia, w którym uskarża się na brak inżynierów i niezbyt pochlebnie wyraża się o inżynierach francuskich:

„Z pomiędzy panów Francuzów, których nominacje do tego korpusu widziałem, żaden, zdaje mi się, nie ma wyobrażenia o rzeczy. Jest jeden w Filadelfji, który, jak mi powiadano, jest zdatny, ale tego nie widziałem ani razu“.

Anglicy nie kusili się nawet o zdobywanie Filadelfji, co Washington przypisywał niezamierzaniu rzeki Delaware. W styczniu 1777-go r. kongres wrócił do Filadelfji, o której zabezpieczenie Washington troszczył się gorąco. Kościuszko też zajęty był przy robotach fortyfikacyjnych aż do końca kwietnia, przy czym zapoznał się z generałem Putnamem, komenderowanym przez wodza naczelnego do fortyfikowania Filadelfji, i generałem Horacjuszem Gates, bawiącym z powodu choroby na urlopie w tym mieście.

Tymczasem, wobec niepowodzeń orężnych, Washington wystąpił do kongresu z żądaniem powiększenia siły zbrojnej i utworzenia wojsk stałych chociaż na czas wojny. Prawda, zachodziła obawa, że naruszy to republikańskie zasady wolności, jakimi się Stany Zjednoczone zamierzały rządzić, lecz Washington skarżył się:

„Nieprzyjaciół, jak sądzę, poniesie porażkę w razie napadu, jeżeli tylko żołnierze nasi zechcą być nieco mężnymi. Ale doświadczenie nauczyło mnie, niestety, że można tylko pragnąć zwycięstwa; trudno go oczekiwać. Z tym wszystkim mam nadzieję, że w naszych szeregach znajdą się tacy, co będą walczyli, jak przystoi na mężów, i dowiodą, że zasłużyli na wolność“.

Potrzebę armji stałej, karnej i wyćwiczonej, na miejsce milicji niesfornej, przysyłanej tylko jako doraźne posiłki, tłómaczył:

„Obawy przed armją stałą są, zdaniem moim, dalekie... lecz brak tej armji będzie pewną i nieuchronną ruiną“.

Skarżył się również na brak dyscypliny wśród wojska, oraz na to, że oficerowie przy zaciągach musieli porozumiewać się tylko z władzami Stanów, odległymi nieraz o paręset mil, a Washington nie miał prawa nie tylko udzielać im nominacji i dymisji, ale nawet i przedstawiać zasłużonych do nagród.

Kongres wziął to pod rozwagę i rozstrzygnął całą tę sprawę mądrze i patryjotycznie. Niezależnie od uchwalonego zaciągu 88-iu bataljonów, przyczem przy trzyletnim terminie służby każdemu żołnierzowi dawano na rękę po 20 dolarów i po 100 akrów gruntów po ukończeniu służby, pozwolono Washingtonowi zaciągnąć 16 bataljonów z większym etatem generałów, z korpusem inżynierów, z odpowiednią artylerją.

Uchodząc z Filadelfji w dniu 12 grudnia, kongres dał Washingtonowi zupełną władzę rozkazywania i rządzenia we wszystkich sprawach, odnoszących się do Wydziału Wojny, oraz do działań wojennych.

Była to nieomal że dyktatura, która złożona w niepewne i nieuczciwe ręce łącznie mogła cały na-

ród w nową oddać niewolę. Lecz Amerykanie wierzyli Washingtonowi i Kościuszkowi mógł się tylko zdumiewać nad tym, czyniąc porównanie, iż sejm polski napewno nie byłby tak pochopnym i łatwym do podobnych uchwał, narażających ich zdaniem „wolność“.

Washington, dziękując za zaufanie, zapewniał, że nie zapomni o swych obowiązkach obywatelskich i schowa miecz do pochwy, jak tylko ojczyzna wolną będzie.

Uchwała kongresu bez wątpienia była mądrą i zacną — ale mało skuteczną, gdyż dla ludu żadna jego uchwała nie miała mocy prawa, wedle logiki zarówno angielskiej jak i anglo-amerykańskiej. Członkowie jego, lubo przez współobywateli uproszeni do obradowania nad sprawami publicznymi, nie byli przecież obrani legalnie przez ludność wszystkich Stanów. Trudności tej niepodobna było usunąć rychło, ponieważ nie istniała ustawa wyborcza, która stanowi zwykle część ustawy rządu, czyli konstytucji, również nie istniejącej jeszcze wówczas.

Ludność poddawała się o tyle woli swoich przywódców, o ile odpowiadało to jej uczuciom i przekonaniom, ale nie płaciłaby podatków, gdyby spróbowali jej to rozkazywać. Kongres też ani próbował dotykać kwestji podatkowej; w potrzebie pieniędzy odwoływał się tylko do kredytu i wypuszczał pieniądze papierowe. Ponieważ jednak nie ogłosił, gdzie i od kogo okaziciel otrzymać może wypłatę, więc ludność nie chciała przyjmować tego papieru, nie wierzyła bowiem, aby wymianę na złoto lub srebro mógł zapewnić skarb, formowany jedynie ze składek dobrowolnych i nie wystarczający już od dwóch miesięcy na żołd dla milicji. Próbował rząd postrachem wię-

zienia nadać tym pieniądzom kurs przymusowy, lecz i to niewiele pomogło.

A Washington tymczasem walczył z niepowodzeniami. „Jest wielka różnica — pisał — między uchwaleniem bataljonów a rekrutowaniem ludzi“. Wistocie, pomimo obszernej władzy, znajdował się w położeniu rozpaczliwym. Tylko gorliwym usługom gubernatorów Wirginji i Connecticut zawdzięczał utrzymanie wojska, zmniejszającego się z dniem każdym w zimie.

Całą siłę zbrojną, która we wrześniu doprowadzona była do 27,000, obliczał zaledwie na 11,016 ludzi. Przy sobie zaś w kwaterze głównej miał garstkę, niespełna 1500 obdartusów, milicji, zaciągniętej na 6 tygodni za wysokie porękawiczne 10 dolarów, o której mówił, że „zje prowiant i odejdzie w najgorętszym czasie“.

Było wtedy bardzo zimno. Na rzece Delaware szła gęsta kra, wróżąca, iż rychło zamarznie ona i da wygodną komunikację wojskom angielskim wprost do Filadelfji. Bohaterstwem też prawdziwym było siedzenie w lesie lub polu, pod namiotem, gdy deszcz lub śnieg siekł w oczy, a wichura mroziła aż do kości. A jakiegoż hartu ducha trzeba było, gdy stojące przy wodzu i noszące szumne nazwy aż 9 regimentów siły liczyły raptem... 1400 do 1500 ludzi.

Trzeba było mieć potęgę woli, siłę ducha, genjusz i miłość Ojczyzny taką, jak Washington, ażeby w takim wypadku nie opuścić rąk bezradnie.

Nie uczynił też tego i, pomimo rozpaczliwej sytuacji, atakował jeszcze nieprzyjaciela. Doszła do niego wiadomość, iż w Trentonie, mieście stołecznym stanu New-Jersey, stoi oddział heski generała Howe. Wnet posłał rozkaz sekretny pułkownikowi armji

regularnej, istniejącej dopiero w sferze projektów. Cadwaladerowi, by stanął tam na godzinę przed wschodem słońca dnia 25 grudnia i zaskoczył Niemców w ciężkim śnie po uroczach świątecznych.

Napotkano jednak nieprzewidziane trudności. Skutkiem mrozu kra się zwiększyła do tego stopnia, że przeprawa armat przez Delaware trwała do godziny 3 rano, żołnierze zaś skończyli przeprawę o godzinie 4, tak że uderzyć do ataku można było dopiero o godzinie 8 rano, t. j. wtedy, gdy nieprzyjaciel mógł się przygotować do dania odporu.

Mimo to jednak powodzenie towarzyszyło temu zuchwałemu pomysłowi: mały oddział heski złożył broń i w liczbie 23 oficerów i 886 żołnierzy oddał się do niewoli; komenderujący oddziałem pułkownik Rahl i 7 oficerów jego zostało rannych, a 30 legło zabitych.

Gen. Howe nie mógł puścić płazem takiego figla, celem więc ukarania śmiałków, skoncentrował wszystkie siły swoje z zamiarem wydania stanowczej bitwy. Przewidział to Washington i zawezwał do Trentonu dwóch generałów: Mifflina i Cadwaladera, rozporządzających 3,000 żołnierzy. Po bliższym jednak zastanowieniu, okazało się, iż te siły nie wystarczą, że armja angielska może z łatwością otoczyć te pulki i zgnieść je.

Wpadł wtedy Washington na dowcipny pomysł. Na miejscu dotychczasowego obozowiska swego zostawił rozłożone ogniska i widety przy moście, sam zaś z wszystkimi siłami ruszył w nocy, boczną drogą na Princeton, z tym wyrachowaniem, iż mimo 50-milowej odległości zdąży zaskoczyć arjergardę nieprzyjacielską.

W dniu 3 stycznia 1777-go r., o wschodzie

słońca uderzył na 3 pułki piechoty i oddział lekkiej jazdy, gotujące się do wymarszu. Wynikła zacięta walka, w której legło 500 Anglików, 300 zaś dostało się do niewoli, prócz tego śpieszące z Maidenhead posiłki nie mogły przedostać się przez rzeczkę, gdyż most został rozebrany.

Zwycięstwa te wydały owoce. Przedewszystkim podniosły ducha w całym narodzie, następnie zaś zmusiły gen. Howe do ustąpienia prawie z całego stanu New-Jersey, a armji amerykańskiej zapewniły spokojne leże zimowe w Marristown.

Okrzyk tryumfu, rozbrzmiewający w całych Stanach Zjednoczonych, potężnym echem odbił się w Europie, budząc uwielbienie, szczególnie we Francji.

Lecz zwycięstwa te nie samo tylko uwielbienie dały w zysku. Owocem ich były i więcej realne i pożądane dla powstańców amerykańskich formy. „Dom handlowy“ Beaumarchais wysyłał w wielkiej ilości armaty, broń i materiały wojenne, w czym pomagali mu i inni handlarze i dostawcy. Ochotnicy z najpierwszych rodzin, za przykładem Lafayette’a, dążyli do Ameryki, by walczyć za jej wolność, a idea niepodległości amerykańskiej stała się sprawą rodu ludzkiego. Przekonano się, że manifesty kongresu są słowem życia, są czynem i rzeczywistością.

Zaczęto się sprawą ich zajmować gorąco, nie przypuszczając nawet, że stanie się ona powodem przewrotów nieomal w całym świecie.

Niezależnie od filadelfijskiego, był jeszcze i drugi teatr działań wojennych, oddzielony od pierwszego doliną rzeki Hudson, mającą swe źródła w pobliżu jeziora Champlain. Tam Anglicy skierowali swe woj-ska z Kanady pod wodzą gen. Burgoyne.

Była to pozycja nadzwyczajnej doniosłości, bro-

niły też jej dwie fortece: pierwsza Crown Point, na brzegu jeziora Champlain, druga zaś—Ticonderoga, przy wąskiej cieśninie, łączącej to jezioro z drugim, mniejszym, św. Jerzego.

Fortece te stanowiły jakby klucz do wszystkich kolonji Nowej Anglji, t. j. do stanów: Maine, New-Hampshire, Connecticut, Rhode Island, New-York i Massachusetts. W razie opanowania tej sieci wodnej, Anglicy odcieliby całą Nową Anglję od reszty Unji, od Filadelfji i od armji, operującej nad Delaware.

Dowództwo nad tymi, tak ważnymi pozycjami oddano generał-majorowi Schuylerowi, zamożnemu właścicielowi tartaków z Albany, i brygadjerowi Arnoldowi, zdolnemu dowódcy milicji z Massachusetts'u.

Kongres rozumiał dobrze znaczenie tej pozycji i dlatego mianował w dniu 25 marca gen. Gates komendantem t. zw. armji północnej, z poleceniem udania się do fortecy Ticonderoga, przyczym Washington przesłał mu cały szereg instrukcji i uwag.

Gen. Gates, udając się na to stanowisko, zabrał z sobą Kościuszkę, któremu dał następujące polecenie:

„Zbadać stan tej twierdzy i złożyć raport zarazem, jakie rozmiary mogą być nadane fortowi Independence; nareszcie, czy możliwe jest wprowadzenie dział wielkiego wagomiaru na górę, zwaną Głową Cukru?“

Kościuszko energicznie zabrał się do pracy i w krótkim czasie złożył raport, w którym wątpliwe do tego czasu, a tak ważne pytanie co do góry Głowa Cukru rozwiązał w następujących wnioskach:

„1) Stoki tej góry, acz urwiste, mogą być przy użyciu dużych partji roboczych skopane w ten sposób, że najcięższe działa dadzą się wprowadzić; 2) szczyt, lubo ostry i szpiczasty, może być podobnym

sposobem splantowany w krótkim czasie i utworzy dobrą pozycję do ustawienia baterji; nareszcie 3) ustawiona tutaj baterja będzie miała taką wysokość i tak małe odległości, iż ubezpieczy całkowicie dwa forty, most komunikacyjny i przyległą przystań dla statków.

Lecz próżną była praca Kościuszki, gdyż w chwili złożenia tego raportu stanowisko gen. Gatesa zajął gen. Schuyler, który znów był zdania, iż projektowane roboty były niewykonalne na tej zasadzie, iż żaden inżynier francuski, angielski lub amerykański nie przypuszczał nawet do czasu tego możliwości ustawienia baterji na szczycie Głowy Cukru. Szkoda było, według niego, czasu na jakies wątpliwe próby, gdyż „był zupełnie przekonany, że z dwoma lub trzema tysiącami ludzi można skutecznie bronić fortu Independence i ubezpieczyć wawóz“.

Zebrano 120 ludzi całą siłę roboczą i zabrano się do umocnienia Ticonderogi i jej okolic.

Cóż miał tam do roboty Kościuszko, gdy tak wzgardliwie odrzucono plan jego? Wyjechał w inne miejsce, gdyż dozorcą robót był pułkownik Hay, a plan opracował inżynier pułkownik Baldwin. Jak dobrymi były te roboty, najlepiej świadczy list adjutanta gen. Schuylera, Wilkensona, przysłanego na inspekcję: „Niech Kościuszko wróci tu, na miłość Boga, i to jak można najprędzej“.

Wrócił Kościuszko, lecz praca jego była już spóźniona. Na jeziorze Champlain ukazał się generał angielski Burgoyne z flotą i wyborowym wojskiem angielsko-heskim, w liczbie 7,000 żołnierzy i 4,000 czerwonoskórych Indian, z zadaniem sforsowania linji rzeki Hudson i połączenia się z dążącym od południa generałem sir Henrykiem Clintonem.

Anglicy lepiej, choć bezwiednie, ocenili pracę

Kościuszki. Gen. Burgoyne przedewszystkim wykonał tak wzgardliwie przez gen. Schuylera odrzucony plan jego i, po opanowaniu fortu Independence, urządził na północnym stoku Głowy Cukru drogę jezdnią i wieczorem dnia 5 lipca wprowadził tam armaty na wysokość 500 stóp nad Ticonderogą. W twierdzy wszczęła się panika. Komendant Saint-Clair, spostrzegłszy, że cała pozycja jego w perzynę obróconą być może, porzucił swoje 200 dział, amunicję, magazyny odzieży i żywności bez walki i pierwszej zaraz nocy, w bezładnym pośpiechu, ścigany przez nieprzyjaciela, wykonał bardzo forsowny i ze stratami odwrót ku ujściu rzeki Mohawk do Hudsonu, ażeby znaleźć schronienie na wyspie Van Schaik.

Zwrócono się wtedy znów o pomoc do Kościuszki i wykonał on obwarowanie obozu tak prędko, że już 22 lipca wojska znajdowały się na bezpiecznych pozycjach.

W całych Stanach Zjednoczonych wybuchło oburzenie na Saint-Claira i Schuylera, których kongres kazał stawić przed sądem wojennym, a dowództwo nad armją północną powierzono znówu generałowi Gates.

Kościuszko tymczasem nie ustawał w pracy. Na wszystkich drogach, którymi posuwać się mogła armja angielska, pourządzał przeróżne przeszkody, przytym dość zaznał niewygód i biedy, skoro z Wilkensonem sypiał pod jedną kołdrą, nie posiadając własnej.

Generał Gates, objąwszy dowództwo, zajął się energicznie wraz z pomocnikiem, generał-majorem Arnoldem, powiększeniem wojsk swoich, tak że doprowadził je do 13,000.

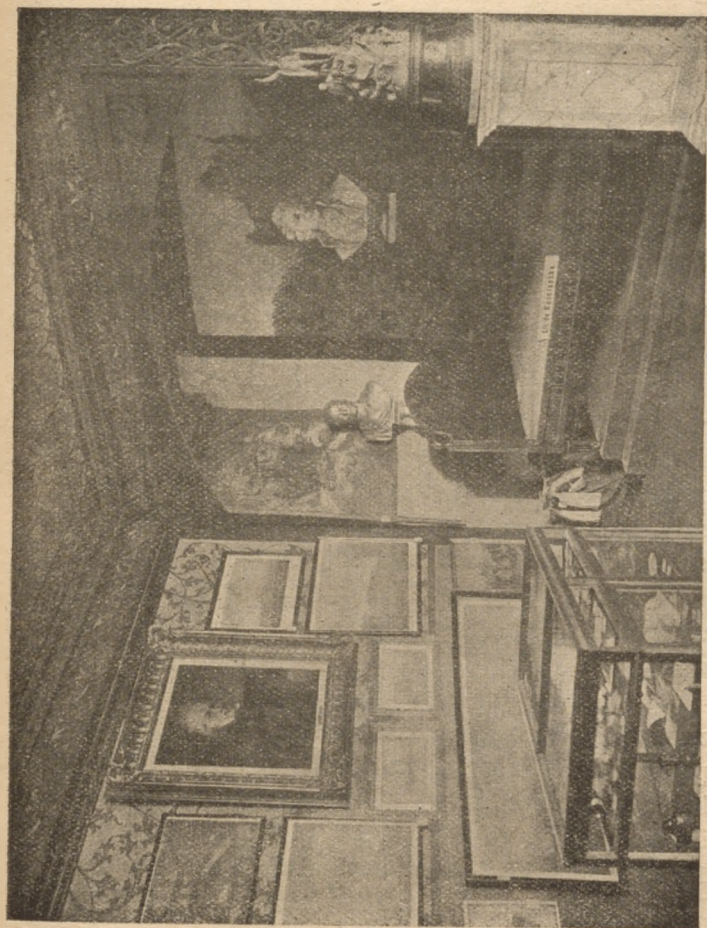
Ażeby podnieść duch wojska, generał Gates po-

stanowił posunąć się na północ, ku pozycejom angielskim. W tym celu wysłał przodem pułkowników Kościuszkę i Hay'a, polecając im upatrzeć miejsce na obóz obronny na prawym, wyższym i górzystym brzegu rzeki Hudson. Wynalazł miejsce takie Kościuszkę w pobliżu wioski zwanej Saratoga, na wzgórzu Behmusa, noszącym nazwisko właściciela zbudowanej na nim karczmy. Góra ta ciągnęła się równolegle prawie do samej rzeki i pozostawiała niewielką przestrzeń dla jedynej drogi, prowadzącej od jeziora Champlain na południe.

Tu dopiero w całej pełni zabłysnął talent Kościuszki. Plany fortyfikacji Saratogi zachowały się po dziś dzień. Rozbiły się o nie wszelkie usiłowania generała Burgoyne celem zniesienia armji północnej. Przedewszystkiem w żaden sposób nie mógł się porozumieć z generałem Clintonem, oblegającym fort Montgomery nad tą samą rzeką Hudson. Następnie dalsze posuwanie się armji angielskiej w znacznym stopniu zostało utrudnione z powodu zasiek, rozmaitych przeszkód i walki z milicją amerykańską, prowadzącą pomyślnie walkę partyzancką. Każdy oddział, który odłączył się od głównych sił, celem zdobycia żywności i furazu, zostawał rozbity lub zniesiony. Tak było z pułkownikiem Baumem, który poniósł srogą klęskę pod Bennington, takież sam los spotkał drugi oddział pod Hoosick w dniu 16 sierpnia.

Topniały siły generała Burgoyne, zwłaszcza gdy opuścili go Indianie i Kanadyjczycy, wreszcie po nader niepomysłnej bitwie w dniu 7 października, gdy generał Clinton z pomocą nie przybywał, po paru dniach namysłu rozpoczął odwrót.

Wyruszył wśląd za nim generał Arnold i ścigał bez wytchnienia, tak że generał Burgoyne, wi-



Fragment z wystawy Kościuszkowskiej w Warszawie.

dząc swe położenie bez wyjścia, gdyż żywności pozostało mu zaledwie na 6 dni, poddał się w dniu 17 października 1777-go r. generałowi Gatesowi. Dostało się wtedy do niewoli 5,791 żołnierzy.

Tryumf Amerykanów był ogromny. W znacznym stopniu zawdzięczano go dobrze ufortyfikowanej przez Kościuszkę pozycji. Bo czyż bez niej niewyćwiczone należycie zastępy milicji, pomimo całego swego patryjotyzmu i zapału, mogłyby stawić czoło regularnym i wyćwiczonym żołnierzom angielskim?

Przyznał to wyraźnie generał Gates, gdy składano mu z tego powodu powinszowania i komplementy.

— Wstrzymaj się, doktorze — rzekł — bądźmy rzetelni! Na wojnie tak samo, jak w medycynie, wiele czynią naturalne przyczyny, niezależne od woli naszej. W obecnym wypadku wielkimi strategikami były pagórki i lasy, które młody inżynier polski umiał zręcznie obrać pod mój obóz.

Tak samo i w depeszy do kongresu napisał wyraźnie: „Pułkownik Kościuszko wybrał i oszańcował pozycję“.

Od tego czasu zwycięstwo pod Saratogą zawsze związane jest z imieniem Kościuszki, które po dziś dzień z wdzięcznością wspominają młode pokolenia amerykańskie. Zwrócił też na nie uwagę i Washington, gdyż z obozu pod Whitemarsch w dniu 10 listopada 1777-go r. napisał do prezesa kongresu, Laurensa, co następuje: „Gdy zaczępiłem o ten przedmiot (konieczność biegłych inżynierów z powodu memorjału generała Duportail), pozwalał sobie nadmienić, iż, według otrzymanych przeze mnie dobrych informacji, inżynier armji północnej — zdaje mi się, że się nazywa Kościuszko — jest człowiekiem nauki

i wyższych zalet. Wedle atestacji, jakie mam o nim, zasługuje bardzo, aby go mieć na pamięci“.

Ta klęska angielska wywarła ogromne wrażenie w Europie i dała nader doniosłe dla Amerykanów wyniki. We Francji urzędnik ministerjum spraw zagranicznych, Gérard, zawiadomił Franklina, że król Ludwik XVI-ty uzna Stany Zjednoczone za państwo niepodległe, nie żądając za to żadnego wynagrodzenia, żadnych przywilejów, chociażby handlowych, kładąc tylko warunek, bynajmniej nie uciążliwy, a nawet przyjemny, aby się zobowiązały bronić swej niepodległości do ostatka i nie przyjęły nigdy zwierzchnictwa Anglii nad sobą. Na takiej podstawie został ułożony i podpisany traktat dnia 6 lutego 1778-go r., którego nieuniknionym następstwem musiała być korzystna dla Ameryki wojna francusko-amerykańska.

Z dumą i godnością zwracał się kongres amerykański do mocarstw europejskich, nie zebrząc i nie licząc na ich pomoc. Wiedząc dobrze, że łączą go wspólne interesy z Francją, wysłał tam trzech delegatów, którzyby tę wspólność interesów na korzyść Ameryki potrafili wyzyskać. Najwięcej przyczynił się do pomyślnego załatwienia sprawy czcigodny Benjamin Franklin, który, zjawiając się na dworze w Wersalu wśród kapiących od złota i brylantów dworaków w swym czarnym, prostym ubraniu, potrafił zdobyć sobie życzliwość i sympatję wszystkich.

Washington, który przeniósł wiele przykrych chwil z powodu warcholstwa Conway'a, dążącego do odebrania mu dowództwa i oddania go Gatesowi, dość obojętnie przyjął wiadomość o pomocy zbrojnej Francji, uściskał jednak serdecznie Lafayette'a, który mu pierwszy przyniósł wiadomość o traktacie, i w dniu 7 maja maja rozkazał ogłosić ją uroczyscie w wojsku.

Radość bezgraniczna ogarnęła wszystkie stany na wieść o tak potężnym sprzymierzeńcu, lecz kongres hamował te objawy radości, głosząc w odezwie swojej, że dużo jeszcze trzeba będzie ponieść trudów i walk stoczyć.

Na kilka dni jeszcze przed nadejściem zawiadomienia o traktacie, kongres z dumą odrzucił pokojowe propozycje Anglii, dlatego, że nie było w nich mowy o uznaniu niepodległości Stanów, czym usprawiedliwił zaufanie Francji i umocnił podstawę przymierza.

Przymierze francusko-amerykańskie wywołało w Londynie zamieszanie. Gdy oznajmił o nim ambasador francuski, zapanowało w parlamencie zdanie, że należy zaniechać wojny. Lord North polecił wprowadzić ambasadorowi angielskiemu wyjechać z Paryża, lecz poprzestając na zerwaniu stosunków dyplomatycznych, poddał sprawę pod obrady parlamentu. Znaczna część członków parlamentu chciała uznać niepodległość Stanów Zjednoczonych. Książę Richmond przygotował projekt adresu Izb do króla z prośbą, aby odwołał armję i flotę angielską z Ameryki.

Gdy wieść o tym doszła do lorda Chatham, chociaż bardzo chory, kazał się nieść do Izby lordów na posiedzenie dnia 7 kwietnia. Z wysiłkiem, wspierając się na ramionach syna, Williama Pitta, i zięcia, lorda Mahon, doszedł do swego miejsca. Przed rokiem jeszcze doradzał pojednanie się z Amerykanami na zasadach bezwarunkowej dobroci i sprawiedliwości, nie szczędząc ministrom gorzkich zarzutów, że przeciw współrodakom wynajmowali wojska. Dziś atoli wrzał oburzeniem na myśl, że Anglja ma się ukorzyć przed Francją. Po wysłuchaniu wnio-

sku Richmonda powstał i głosem słabym, za ledwo dosłyszalnym, wśród ciszy najgłębszej, zaprotestował przeciwko rozbiorowi państwa Wielko-Brytańskiego, przeciwko zrzeczeniu się Ameryki, najpiękniejszej części spadku, objętego przez królów z domu Hanowerskiego.

— Czyliż kraj, który przed 17-tu laty był postrachem świata — wołał — dziś upadł tak nisko, że powie swemu odwiecznemu wrogowi: zabierz wszystko, co posiadamy, tylko pokój nam daj!...

W wyrazach pełnych uszanowania przekładał Richmond, że wielkie imię Chathama nie może dokonać rzeczy niepodobnych. Starzec podniósł się raz jeszcze, wybełkotał kilka słów niezrozumiałych i padł, rażony apopleksją. Wyniesiono go z sali nieprzytomnego, dogorywającego. Zmarł w kilka tygodni potem, a protest jego odniósł skutek: rząd angielski wypowiedział wojnę Francji, a następnie i Hiszpanji.

Takie były wyniki zwycięstwa pod Saratogą, do którego głównie przyczynił się Kościuszko.

W krótkim czasie po tej bitwie Kościuszko poprosił o urlop, a uzyskawszy go, podążył, jak mógł najspieszniej, do Trentonu.

Co było przyczyną tego?...

Ciągnęło go tam serce, ciągnęła myśl, że zobaczy przybysza z Ojczyzny, i to nie byle jakiego, lecz wsławionego już w walkach o jej wolność.

Po długiej tułaczce po ziemiach obcych, przybył w dniu 20 sierpnia r. 1777-go do Ameryki jeden z wodzów konfederacji Barskiej, nieszczęsny Kazimierz Pułaski. Na decyzję jego w znacznym stopniu wpłynął Benjamin Franklin, z którym zapoznał się w Paryżu za pośrednictwem hrabiego de Noailles.

— Spodziewam się — rzekł do niego wielki Ame-

rykanin, ściskając dłoń—że panowie Polacy, którzy w całym świecie cieszą się sławą dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla biednej mojej Ojczyzny

— W narodzie naszym—odrzekł mu Pułaski—obrzydzenie jest do wszelkiej tyranji, a zwłaszcza do cudzoziemskiej—więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, to jest jak gdyby nasza własna sprawa.

Cóż miał więcej powiedzieć nieszczęsny wygnaniec?

Czyż miał przyznać się do tego, iż Polska, ulegając w zupełności obcym wpływom, nie miała nawet posłów swoich przy obcych dworach, choć posiadali ich najmniejsi nawet książęta niemieccy? W długiej tułaczce życiowej pozostawało mu tylko jedno: ponieść Ameryce swą krew ofiarną.

Bez długiego namysłu podążył na drugą półkulę z wiernym towarzyszem wygnania, Rogowskim. Z trudem im przyszło zastosować się do warunków republikańskich. Im, synom najwolniejszego narodu, gdzie jednak wolności tej używała, a nawet nadużywała jedna tylko warstwa narodu, dziwnym się wydawało, że wszyscy tam równymi byli, że byle łyk w rządzie zasiadał, a nawet wojskiem dowodził.

Zaraz po przybyciu w szczęśliwszych od Kościuszki znaleźli się warunkach. Przedewszystkiem na Amerykanach wielkie wrażenie wywarły ich stroje bogate, tak że odrazu tytułować ich zaczęli hrabiami, przeciw czemu nie protestowali, ujęci dziwną próżnością.

Za pośrednictwem Lafayette'a dostali się do obozu pod Wilmington i przedstawieni zostali Washingtonowi. Obóz ten wywarł na Pułaskim nadzwyczaj ujemne wrażenie. Była to raczej wieś ogromna, oto-

czona wałami i rowami, w której mieściła się armja amerykańska, licząca od 10—11 tysięcy ludzi. I armja ta, z powodu braku jednolitych mundurów, sprawiała nader ujemne wrażenie, i podobna była raczej do jakiegoś oddziału partyzanckiego, niż do armji regularnej. Większa część żołnierzy ubrana była w szare kurty, a niektórzy tylko w płóciennie oponcze; jedni w butach, drudzy w trzewikach, a niektórzy zupełnie boso—słowem lichota i zbieranina wielka, i gdyby nie karabiny i ładownice, łatwoby ich można było wziąć za spędzoną gromadę prostego chłopstwa.

Lecz zaraz po pierwszej bitwie zmienił swe zdanie Pułaski.

— Nie mają butów—rzekł do Rogowskiego—ale mają serca, a z tym, bracie, można iść daleko choć na bosaka.

W niedługim jednak czasie Washington przegrał bitwę nad rzeką Brandymine, w dniu 11 września. W bitwie tej obaj Polacy brali udział jako ochotnicy obok Lafayette'a, w następnej zaś, również przegranej, pod Germantown dnia 4 października, Pułaski, mianowany już brygadjerem, przeleciał przez cały obóz na czele swoich dragonów, rąbiąc, co się napotoczyło, tak że cała klinga pałasza jego była od krwi czerwona. Po tej porażce kongres musiał znów uchodzić z Filadelfji, Anglicy zajęli miasto, a armja amerykańska stanęła obozem w miejscowości odległej o mil dwadzieścia.

Straszną była ta długa, mroźna i głodna zima, która jednak największą sławą okryła Washingtona.

Toż, pomimo okropnych warunków, potrafił utrzymać pod bronią obdartusów swoich, w obozie, zbudowanym przez nich samych z drzew puszczy.

Pułaskiego wysłano do Trentonu, gdzie miał po-

magać generałowi Wayne w znoszeniu wycieczek nieprzyjacielskich. Znosił i on tam biedę i niedostatek, gdyż wojsko nie otrzymywało w porę płacy, a żywność przywożono nieregularnie.

Tam też dążył Kościuszko, ażeby zobaczyć się z rodakami. Widzenie to tak opisuje Rogowski:

„Jakoś w końcu Decembra, na święta Bożego Narodzenia, zdarzyła nam się pociecha. Tadeusz Kościuszko, będący w obowiązkach inżyniera przy północnej armji na granicach Kanady, dowiedziawszy się, że Pułaski konsystuje w Trentonie, przyjechał do nas za urlopem w gościnę. Kościuszko nie miał miny zawiesistej, jak pan Kazimierz, ale widać było na jego twarzy poczciwość i otwartość szlachecką, a przytym był człowiek niezmiernie słodki i pełen wiadomości: kompanja więc jego i dyskurs wielką nam przyjemność sprawiły. Choć równego wieku z Pułaskim, nie znali się z sobą w kraju, bo pierwszy jeszcze ślęczał nad książką, kiedy już drugi Rosjanom pensa zadawał; ale tu oto na cudzoziemskiej ziemi pokochali się mocno, przyjaźń dozgonną sobie obiecując. Po dziesięciu dniach zabawy, podczas której, mimo biedy, wysadziliśmy się na traktament staropolski, odjechał Kościuszko do swego korpusu i od-tąd go już oczy moje nie spotkały, dopiero w bitwie pod Dubienką r. 1792-go“.

Nie długo jednak było danym trwać dozgonnej przyjaźni dwóch polskich tułaczy: Pułaski, nie widząc się już z Kościuszką, zginął w krwawej bitwie pod Savannah, dnia 9 października r. 1779-go, Kościuszko zaś wrócił do Ojczyzny, by być wykonawcą marzeń Pułaskiego, by walczyć o niepodległość Polski.

Różnili się z sobą bardzo: podczas gdy Pułaski był przedstawicielem zasad staroszlacheckich, obda-

rzony butą, nie łatwo słuchał cudzych rozkazów, przyczem trudno mu było pogodzić się z demokratycznym ustrojem Ameryki,—Kościuszko przeciwnie, demokrata do szpiku kości, wolny był od wszelkich przesądów kastowych, a za pierwszy warunek powodzenia uważał posłuszeństwo i karność. Łączyło ich jedno przepotężne uczucie miłości do Ojczyzny, choć może różnie je pojmowali, i ono to spajało serca ich nierozzerwalnymi węzłami.

Zasługą wielką Pułaskiego dla Ameryki była reorganizacja kawalerji, uczynienie z niej niezwyciężonej prawie jednostki bojowej. Miewał nieraz zatargi z władzami wyższymi, zwłaszcza, gdy zadrażnięto jego dumę szlachecką. Wracał jednak do służby, aż wreszcie znalazł się pod Savannah, miastem obleżonym przez angielskiego generała Prevosta.

Z małym oddziałem kawalerji georgijskiej puścił się obces w lukę między okopami angielskimi, żeby wpaść w środek miasta i tym sposobem zrobić nieprzyjaciółom dywersję, a mieszkańcom uciechę.

„Pułaski krzyknął: „forward!“ — pisze Rogowski — a my za nim, dwieście koni, kopnęliśmy się galopem, że aż ziemia się zatrzęsała. Pierwsze dwie minuty szło znakomicie: lecieliśmy, jak na stracenie, ale gracko, po szlachecku. Dopiero gdyśmy mijali owe dwie baterje, między którymi była luka, wstrzymał nas ogień krzyżowy i zmieszał się hufiec. Padł Pułaski. Kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew buchała, snadź od innego strzału. Żył jeszcze blisko godziny, ale gadał tylko słowa przerywane: to o Polsce, to o przyszłości, to o jakiejś Franciszce“.

Amerykanie miejsce, gdzie padł, upamiętnili wysokim obeliskiem; jest też w Georgji miasto, zwane Pułaski, a imię jego po dziś dzień jest wspominane

w Ameryce ze czcią, obok imion najszanowniejszych twórców Unji.

Należy mu się ta wdzięczność za krew przelaną w sprawie wolności narodu. Tak samo i w Polsce imię jego należy do najbardziej czczonych, a portret tuż obok podobizny Kościuszki widnieje.

Z urlopu powrócił Kościuszko jakby orzeźwiony, umocniony w swej chęci pracy i walki, tak podziało na niego widzenie się z rodakami, które powiało nań miłym tchnieniem Ojczyzny.

Wrócił znów do armji północnej, lecz już nie pod komendę generała Gatesa, który objął stanowisko prezesa w Wydziale Wojny. Zajmowano się wtedy nader doniosłą sprawą ufortyfikowania rzeki Hudson w miejscu, gdzie się przeciska przez Wyżynę.

Wysłano tam w styczniu r. 1778-go komisję specjalną, złożoną z generałów Putmana i Jakóba Clintona, oraz gubernatora Clintona, która zdecydowała, iż najstosowniejszym miejscem pod twierdzą będzie wyniosła skała West-Point; innego zdania był inżynier francuski Radière, który z wielkim uporem dowodził, że stosowniejszym byłby Fort Clinton.

Sprawę całą oddano pod rozpatrzenie Radzie i Zgromadzeniu stanu New-York, i te dopiero, po szczegółowym zbadaniu brzegów, wydały decyzję, że fortyfikowanym ma być West-Point.

W prowadzeniu robót tych z różnych powodów zaszła zwłoka, aż wreszcie powierzono je Kościuszce, który przybył do armji północnej w dniu 26 marca. W dwa dni potym naczelne dawództwo nad tą armją objął generał Mac Dougall, który w dwa tygodnie później pisał do kongresu:

„Pan Kościuszko, zdaniem tych, którzy oglądali roboty w West-Point, ma więcej praktyki od pułkow-

nika Radière, i sposób jego obchodzenia się z ludźmi jest o wiele przyjemniejszy, niż tego ostatniego; to właśnie skłoniło generała Parsons'a i gubernatora Clintona do żądania, aby pierwszy mógł prowadzić dalej roboty w West-Point“.

Zaraz potem nastąpiła zmiana dowództwa armji północnej, na czele której stanął znów generał GATES, z nader szerokimi pełnomocnictwami co do wykończenia fortyfikacji. Nie wpłynęło to jednak w niczym na zmianę stanowiska Kościuszki, gdyż Washington, wydając swoje rozporządzenia wykonawcze, pod dn. 22 kwietnia przesłał następującą decyzję:

„Ponieważ pułkownik Radière i pułkownik Kościuszko nigdy nie zgodzą się na jedno, więc sędzę, że lepiej będzie kazać Radièrowi, żeby wracał, tymbardziej, że, jak pan powiadasz, Kościuszko lepiej się nadaje do charakteru i ducha ludu naszego“.

Zabrał się Kościuszko energicznie do pracy i, według słów generała Armstronga, miał zasługę, iż nadał fortacy taką siłę, iż odstraszyła nieprzyjaciela od wszelkiego pokuszenia się o zdobycie panowania nad krainą Wyżyn.

W miarę powodzenia armji amerykańskiej, po odzyskaniu Filadelfji, działania wojenne przesunęły się na północ, i Washington zwrócił uwagę na umocnienie krainy Wyżyn. Zwiedził West-Point i obejrzał bacznie fortyfikacje, przyczem, zdaje się, po raz pierwszy widział się z Kościuszką.

Skromny, nie ubiegający się o niczyje względy i nie narzucający się nikomu Kościuszko nie umiał, czy nie chciał wyzyskać sytuacji, i dzięki temu brali nad nim górę inni, mniej może zdolni, lecz za to zapobiegliwsi generałowie.

Zdaje się potwierdzać to zachowany dotychczas

list Washingtona do inżyniera naczelnego armji, generała brygady Duportail.

„Fort Clinton, West-Point, dn. 19 września r. 1778-go.
Panie.

Przeczytałem podany przez Pana memorjał, dotyczący obrony North Rivers'u w tej miejscowości i, po obejrzeniu jej, aprobuje w zupełności to, co Pan proponujesz w tej materji. Pułkownik Kościuszko, mianowany od kongresu zawiadowcą fortów i baterji, postąpił już o tyle w ich budowaniu, iż zmiana jakakolwiek w ogólnym planie robót zabrałaby za dużo czasu, a pochlebna atestacja, jaką Pan dałeś co do uzdolnienia Kościuszki, usuwa obawy pod tym względem; lecz wszelkie poprawki w granicach ogólnych dyspozycji, jakie mogą być potrzebnymi, racz Pan wskazać pułkownikowi Kościuszcze, aby je wykonał. Co się tyczy projektowanych na półwyspie robót, ponieważ te nie podlegają wyż wzmiankowanym przeszkodom, zażądaj Pan od pułkownika Kościuszki, żeby podał swoje plany do aprobacji Pańskiej przed rozpoczęciem robót konstrukcyjnych, lub żeby je nakreślił odrazu wedle własnych Pańskich pomysłów. Jestem etc...”

Kto był ów Duportail, któremu Washington polecał wydawać rozkazy Kościuszcze?

Według prof. T. Korzona, był to jeden z czterech inżynierów z wojska francuskiego, umówionych do służby amerykańskiej przez Franklina i Deana, mianowany pułkownikiem dnia 8 lipca 1777-go r., a więc równy rangą, a młodszy służbą o dziewięć miesięcy od Kościuszki. Washington, zapytany przez Wydział Wojny o opinię, odpowiedział dnia 10 listopada 1777-go r. bardzo wstrzemięźliwie o uzdolnio-

niu tych czterech inżynierów, jako nieznanym sobie i nieujawnionym dotychczas w służbie amerykańskiej, wymienił zaś Kościuszkę, jako inżyniera wielkich zalet. Było to już po Saratodze. Nic znakomitego, nic pomnikowego nie zrobił też i później Duportail. Jednakże znajdujemy go wkrótce na stanowisku naczelnego inżyniera armji, a w kilka miesięcy później należy on do rady wojennej w Valley Forge, w randze generała-brygadjera. Przypuszczać należy, iż do tak szybkiego awansu przyczyniła się bytność jego w głównej kwaterze wodza naczelnego, jak i protekcja ziomka Lafayette'a.

Nie zważał na to wszystko Kościuszko. Spokojny, uległy wobec coraz zmieniających się zwierzchników, dobry i łagodny względem podwładnych, prowadził roboty swoje, pochłonięty jedną tylko ideą — służenia wolności, a nie ubiegania się o zaszczyty i mamonę.

Pracą swoją około ufortyfikowania West-Point wystawił sobie pomnik wiecznotrwały. Według Sygurda Wiśniowskiego fortyfikacje te przedstawiały się, jak następuje:

„Na miejscu, gdzie dziś jest akademja wojskowa, założona w r. 1802-im, zbudował cytadelę z koszarami na 600 ludzi, opartą na skale, która się wznosi 180 stóp ponad rzeką. Wał w kształcie nieregularnego wielokąta miał 21 stóp grubości 14 wysokości. Na cześć gubernatora stanu cytadeli tej dano nazwę Fort Clinton. Panuje nad nią góra, uwieńczona fortem Putnam. Dalej ku południowi na pagórkach skały forty Webbs i Wyllys; siedem najmniejszych redut, oznaczonych numerami 1—7, groziło nieprzyjacielowi krzyżowym ogniem. Wreszcie na dole istniała bateria nadwodna, wprost fortu Cons-

titution, położonego na drugim brzegu, a przez rzekę pomiędzy dwoma tymi punktami był przeciągnięty dla zatamowania żeglugi olbrzymi łańcuch, którego ogniwa miały po 2 stopy długości, po $2\frac{1}{2}$ cala grubości i ważyły po 140 funtów. Kilka z takich ogniw przechowuje się w Akademji na pamiątkę“.

Według obliczeń Washingtona dla obrony tych fortyfikacji potrzeba było 2,500 żołnierzy.

Dalej znów, w dół rzeki, w odległości 6 mil ang., wznosiły się obok siebie dwa forty: Montgommery i Clinton, strzegące drugiego łańcucha poprzecznego, a jeszcze dalej w podobnej odległości dwa przeciwległe forty: Stony Point i Verplanck Point, strzegące przeprawy „królewskiej“ przy wielkiej drodze. Poza tymi fortami kończyła się kraina Wyżyn i rzeka Hudson rozszerzona płynie już swobodnie do Nowego Jorku.

Najlepszą miarą doskonałości tych fortyfikacji służyć może i to, że w r. 1779-ym, od 21 lipca aż do końca grudnia West Point służyło Washingtonowi za główną kwaterę, a załoga fortecy, zostająca pod wodzą Mac Dougalla, tworzyła centrum armji amerykańskiej pomiędzy lewym skrzydłem generała Heath a prawym Putnama.

Przyszły wtedy właśnie ciężkie bardzo czasy dla walczących o swą wolność Amerykanów. Szczupła armja ich znużyła się, a zasoby ich były na wyczerpaniu. Brakło pieniędzy, brakło żywności. Kongres ratował się, jak mógł w tej opresji wypuszczaniem pieniędzy papierowych, lecz choć była ich wielka ilość, kurs ich spadał coraz niżej, tak że w końcu doszedł do 200 dolarów papierowych za jednego w złocie. W końcu grudnia 1779-go r. były wypadki takie, że za rachunek wysokości 732 dola-

rów papierowych przyjmowano z przyjemnością 23 dolary w złocie. Było też i tak, że przez dwa dni armja amerykańska nie miała nic żywności w obozie.

Sam Washington, w liście do doktora Cochrane, naczelnego chirurga armji, tak opisywał swoje zwykłe menu obiadowe:

„Co się na moim stole zwykle podaje? Od czasu przybycia naszego do tego błogosławionego miejsca (do West-Point) zwykle szynka, a czasem łopatka wieprzowa zajmowała jeden koniec stołu; kawał pieczeni mieścił się na drugim końcu, a półmisek fasoli lub jarzyn, w niewidzialnej prawie ilości, przyozdabiał środek. Jeżeli kucharz chce się koniecznie popisać, mamy nadto jeszcze dwa pasztety z wołowiny, lub dwie misy raków. Każda z nich stawia się z obu stron środkowego półmiska i tym sposobem przestrzeń między półmiskami, dochodząca niemal do 20 stóp, zmniejsza się do połowy... Jeżeli te panie zadowolą się podobną ucztą i zgodzą się jeść na talerzach, które były niegdyś blaszanymi, ale dziś już są żelazne (zmiana powstała jednak nie wskutek czyszczenia), bardzo rad będę ujrzeć je u siebie“

Tak się żywił wódz naczelny, a przytym jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce. Jakże musiał skromnie żyć ubogi pułkownik inżynierji, nie należący nawet do sztabu! A jednak ze szczupłych zasobów swoich wspierał on jeszcze jeńców angielskich, którzy wdzięczną pamięć o tym zachowali.

Sygurd Wiśniowski we wspomnieniach swoich opowiada co następuje: „W czasie wędrówek swoich zachorowałem na febrę w Queensland w Australji; zaopiekował się mną troskliwie, zabrawszy do swego domu, sklepikarz, dlatego, że dziad jego, będąc żołnierzem angielskim, dostał się do niewoli i byłby

zginął z głodu w West-Point, gdyby go własnym chlebem nie żywił polski generał „Koskcusko“. Dola jeńców była ciężką w istocie, jak o tym przekonywał list Washingtona do Arnolda o jeńcach, którzy uciekali z West-Point z powodu zdzierstwa stróżów za dostarczaną wodę.

Tymczasem w stosunkach między Kościuszką a wyższą władzą wojskową zaczęły zachodzić pewne nieporozumienia. Bez uprzedniego zapytania się Kościuszki zabrano mu robotników, zajętych przy robotach fortyfikacyjnych, następnie, jako protegowany generała Gates'a, nie był Kościuszko mile widzianym przez Washingtona, który w tym generale widział rywala; przyczyniała się do tego niewątpliwie przesadna może wstrzeźliwość i skromność naszego bohatera, którego pomawiano nawet o mizantropję.

Czując urazę o nadużywanie praw zwierzchniczych przez Washingtona, oraz o niezbyt uprzejmy styl, zachowany w listach, inny zupełnie od tego, jakim pisywał do innych oficerów, którym chciał okazać swą życzliwość, Kościuszko zwrócił się do niego z prośbą o przeniesienie na południowy teatr wojny pod komendę generała Gates'a.

Sytuacja nie była tam zbyt bezpieczną. Anglicy zdobyli Charleston, co zagrażało utratą południowej Karoliny, a może i wszystkich Stanów południowych. Zdecydowano wysłać tam większe siły i w dniu 13 czerwca 1780-go r. kongres powierzył główne dowództwo armji czy dywizji właśnie generałowi Gates.

Na żądanie Kościuszki odpowiedział Washington listem następującym:

„Do pułkownika Tadeusza Kościuszki,
inżyniera w West-Point.

Główna Kwatera, Peek's kill, 3 sierpnia 1780-go r.
Panie.

Rzemieślnicy są zabrani z placu West-Point tylko do szczególnej i czasowej posługi. Ponieważ jest koniecznym, aby ktoś z departamentu inżynierji pozostawał na tym placu stale, a Pan przez długi swój pobyt najlepiej obeznałeś się z naturą robót i planami do ich wykończenia: więc było zamiarem moim, abys je Pan prowadził dalej. Korpus piechoty został zorganizowany przed otrzymaniem listu pańskiego. Armja południowa, skutkiem ujęcia do niewoli generała Duportail tudzież innych panów tego fachu, nie posiada inżyniera, a gdy Pan wyrażasz, jak się zdaje, życzenie udać się tam raczej niż pozostawać w West-Point, więc ja, jeśli Pan wolisz to, niż obecne swoje przeznaczenie, nie będę miał nic przeciwko pańskiemu przeniesieniu. Jestem etc..“

Na list ten Kościuszko odpisał niezwłocznie:

„Wybór, jaki raczyłeś pozostawić mi, Eksce-lencjo, w liście wczorajszym, jest wielką łaską, a ponieważ wykończenie robót na tym placu w ciągu niniejszej kampanji wśród obecnych okoliczności jest, moim zdaniem, niemożliwe, wolę przeto udać się na południe, niż tutaj pozostawać nadal. Upraszam o zaszczycenie mnie rozkazami i listem rekomendacyjnym do Wydziału Wojny, gdyż będę przejeżdżał przez Filadelfję. Będę służył Waszej Ekscelencji za kilka dni, żeby złożyć należne uszanowanie. West-Point, 4 sierpnia“.

Innym zupełnie był stosunek do Kościuszki generała Gates'a. W liście do Jeffersona, wkrótce po otrzymaniu nominacji, pisał on:

„Wchodząc na ten nowy i, jak Lee powiada, nader trudny teatr wojny, zwracam pierwszą myśl na wybór naczelnego inżyniera, generalnego adjutanta i generalnego kwatermistrza. Kościuszko, Hay i ty zapełnilibyście wybornie te pozycje, jeśli was nakłonić potrafię do ich przyjęcia. Doskonale przymioty tego Polaka, które ty znasz najlepiej, są już teraz należycie ocenione w głównej kwaterze i mogą skłonić inne osoby do stawiania przeszkód jego przyłączeniu się do nas; gdyby jednak przyrzekł nam raz, moglibyśmy na nim polegać“.

Na skutek przeprowadzonej korespondencji z Kościuszką i Washingtonem, pierwszy został przyłączony do armji południowej, do której wyjechał w połowie sierpnia, a miejsce jego zajął inżynier Francuz, Gouvion, z majora awansowany na pułkownika.

Prawdopodobnie pozostawił część rzeczy swoich w West-Point, o czym świadczy następujący rozkaz Washingtona do pułkownika Heath z dnia 31 października: „Słyszę od generała Irvine, że tam została skrzynia pułkownika Kościuszki, zawierająca głównie papiery publicznej natury, które generał Greene był postanowił przenieść z domu pani Warren do miejsca bezpieczniejszego, ale może zapomniał to uczynić skutkiem zajęcia i pośpiechu. Jeżeli ta skrzynia została, racz ją wziąć w swoją opiekę i każ ją przenieść do miejsca bezpiecznego, gdyż rysunki i papiery, zawarte w niej, są ważne dla sprawy publicznej“.

Przewiezienie tych papierów było nader pilne i ważne, gdyż w murach West-Point knuła się zdrada. W dniu 3 sierpnia Washington mianował komendantem twierdzy i wszystkich fortów od Fishkill aż do Kings

Ferry generała Arnolda, bohatera z pod Saratogi. Pomimo dotkliwej rany w nodze, domagał się on tej komendantury, ażeby móc wydać w ręce Anglików całą krainę Wyżyn. Na szczęście dnia 25 września przypadkowo ujęto majora André, adjutanta generalnego armji brytańskiej, z planami i papierami, objaśniającymi stan wojsk i załóg amerykańskich. Generał Arnold zdołał uciec, a majora André powieszono w dniu 2 października, w obozie pod Tappan.

Nie uśmiechał się wcale los Kościuszce. Nie zdążył nawet dojechać do miejsca nowego przeznaczenia swego, gdy generał Gates rozgromiony został w dniu 16 sierpnia przez Anglików pod Camden, w południowej Karolinie, tak nieszczęśliwie, że, z polecenia kongresu stawiony przed sądem, skazany został na usunięcie od komendy na przeciąg czasu dwóch lat.

Dowództwo naczelne armji południowej objął w dniu 16 października gen. Greene, jeden z najzaufańszych oficerów Washingtona, a jako pomocnik dodany mu był inspektor armji, gen. Steuben, Prusak, pochodzący ze szkoły Fryderyka II-go.

Szczupłe siły nie pozwalały na prowadzenie energicznych działań wojennych, potrzeba było poprzestać na partyzantce. Gen. Greene wystąpił z projektem uformowania tak zw. latającego wojska, zaaprobowanego przez Washingtona, który zalecał budowanie płaskich łodzi, mających się składać na wozach i używać do przepraw przez liczne a głębokie rzeki, płynące z gór Alpallache do Oceanu.

Kościuszeko, przebywając w głównej kwaterze, nie miał przez długi czas prawie żadnej czynności wojskowej, gdyż generał Greene przybył tam dopiero dnia 2 grudnia r. 1780-go. Zaraz prawie po

przybyciu, dnia 8 grudnia, wydał mu pierwsze polecenia:

„Pojedziesz pan z majorem Polk i zbadasz okolicę od ujścia Little River wzdłuż brzegów rzeki Pedee na długości 20—30 mil, szukając dobrych pozycji dla wojska. W raportach swoich podasz mi topograficzny obraz kraju, naturę gruntu, zły lub dobry gatunek wody do picia, ilość produktów w posiadaniu gospodarzy, liczbę młynów, środki komunikacji wodnej na rzekach i t. d. Dowiesz się pan także o strumieniach, płynących naokoło bagien, o brodach w rzekach i o trudnościach przepraw. Wszystko to racz mi pan donieść jak najprędzej“.

Kościuszko energicznie zabrał się do uciążliwej pracy, wymagającej jeżdżenia po puszczach i bagnach w porze zimowej, robienia pomiarów i zdjęć, i wykonał ją w przeciągu miesiąca.

Ta praca jego miała wielki wpływ na dalszy przebieg kampanji, gdyż dostarczyła gen. Greene zupełnie pewnej i gruntownej znajomości kierunku, jakoteż głębokości rzek i brodów tudzież sposobów przeprawiania się przez głębokie wody.

Przyznawał to Johnson, przyznawali i inni uczestnicy wojny z Anglią.

Czas swej przymusowej bezczynności, oraz miesiąc pracy poświęcił Kościuszko dokładnemu zbadaniu terenu przyszłych bojów. Stany południowe różniły się wielce naturą swoją od Stanów północnych. Na znacznych przestrzeniach, zwłaszcza nadbrzeżnych, ciągnęły się płaszczyzny gliniaste, zwane sawannami, lub rosły lasy iglaste, pełne trudnych do przebycia moczarów. Olbrzymie rzeki leniwie toczyły swe nurty, tworząc mnóstwo jezior. W miarę posuwania się ku południowi zmniejszała się gęstość za-

ludnienia, przyczym przeważnym zajęciem była uprawa roli.

Ludność była więcej mieszana, gdyż, oprócz Anglików, byli tam Francuzi i Irlandczycy, przyczym rząd angielski miał tam wielu zwolenników, staczających zacięte walki z republikanami. Domy plantatorów i niewielkie, nader rzadkie miasta otoczone były wałami, palisadami i zasiekami.

Główną siłę roboczą plantacji stanowili murzyni niewolnicy, i Kościuszko, którego oburzyła wielce broszura Payne'a, opisująca niedolę chłopów polskich, z łatwością mógł uczynić porównanie doli ich z murzynami, które nie wypadło na korzyść Amerykanów południowych.

Po wywiązaniu się z jednego zadania, na barki Kościuszki włożono wnet drugie—mianowicie budowanie płaskich łodzi pontonowych do wożenia za wojском, które, rozłożone obozem przy wodospadzie rzeki Pedée, generał Greene wdrażał do karności. W obozie tym brakło żywności i pieniędzy.

Nie lepiej się działo i w innych obozach. Dochodziło tam do buntów, tak że generał Wayne musiał armję pensylwańską, liczącą 1300 ludzi, prowadzić aż do Filadelfji, celem wymuszenia sprawiedliwości u kongresu, który przyznać jej musiał słuszność. Gdy wybuchł bunt w innej brygadzie, musiał Washington uciec się do surowości. Wysłał generała Howe z 500 ludźmi celem przywrócenia porządku dwóch podżegaczy zaś powieszono.

Zbliżały się ciężkie chwile dla powstańców. Na nic miały iść wszelkie wysiłki, wszelkie ofiary. Skarb narodowy był na wyczerpaniu, a wszystkim stanom groziła ruina ekonomiczna. Zacięta walka o wolność rozbić się miała o dwie przeszkody: o roz-

przeżenie i szczupłość sił zbrojnych, oraz o brak pieniędzy.

Z bólem patrzył na to Washington, ogarniało go zwątpienie, azali zdoła do końca doprowadzić świętą walkę o wyzwolenie, i wreszcie po długim namyśle doszedł do przekonania, iż dalszej walki bez obcej pomocy prowadzić nie może.

I oto zalecił wysyłanemu przez kongres do Francji podpułkownikowi Janowi Laurens, ażeby wyjednał u króla francuskiego powiększenie wojska posiłkowego do 15,000 żołnierzy i pożyczkę pieniężną, która może być spłacona po wywalczeniu niepodległości, gdy pomnoży się ludność i dobrobyt przy rozmaitości płodów natury i korzystnych warunkach handlowych. Jeżeliby zwiększenie posiłków wojskowych miało się wiązać ze zmniejszeniem zasiłku pieniężnego, żądał raczej pieniędzy, niż wojska.

Szczęście sprzyjało walczącym Stanom, gdyż Ludwik XVI-ty nie tylko dał poręczenie na 6,000,000 liwrów, oprócz poprzednich 3,000,000 pożyczki w Holandji, ale i kazał generałowi Rochambeau, oraz admirałowi hr. de Grasse połączyć się z Washingtonem. Prócz tego Hiszpanja i Holandja wzięły udział w wojnie, a reszta państw europejskich, nie wyłączając Prus, przystąpiła do „zbrojnej neutralności“, utworzonej przez Rosję, a skierowanej przeciwko panowaniu Anglii na morzach.

Teraz wszystko zależało na czasie, trzeba było wytrwać, ażeby doczekać się, i to jest największą zasługą Amerykanów.

W takich warunkach generał Greene musiał porzucić na walce partyzanckiej. Bo czyż mógł przeciwstawić garść swych żołnierzy, liczącą 2,397 ludzi, w większości z milicji, świetnym zastępom Anglików, pozostających pod wodzą lorda Cornwallisa?

Znalazł świetnego pomocnika w osobie śmiałego partyzanta, Morgana, niegdyś furmana.

Z tysiącem ludzi rzucił się on w dniu 17 stycznia 1781-go r. pod Cowpens na oddział słynnego pułkownika Tarletona i rozbił go zupełnie, biorąc do niewoli 500 jeńców, oraz znaczne zapasy broni, amunicji i żywności.

W pogon za śmiałym partyzantem puścił się ze znacznymi siłami sam lord Cornwallis i nad rzeką Yadlein stanął naprzeciwko Greene'a, z którym zdążył się Morgan połączyć.

Zguba Greene'a zdawała się nieuniknioną, gdyż przez wzburzoną rzekę niemożliwym było się przeprawić. Lecz dzięki Kościuszce, który miał już gotowe pontony czy promy, oddział amerykański w ciągu nocy zdołał się przeprawić na drugi brzeg i w ten sposób uszedł narazie niebezpieczeństwa.

Zaczął się pościg. Dwa dni trwała przeprawa lorda Cornwallisa, który następnie tak szybko podążał naprzód, iż w parę dni potym zbliżył się do arjergardy Greene'a. Znów na drodze znalazła się rzeka wezbrana. Wojska Cornwallisa posuwały się naprzód tak szybko, że nawet nie gotowały strawy, pochłonięte jedną myślą dopadnięcia przeciwnika. W dniu 13 lutego zdawało się im, że dopadną nieprzyjaciela i zadadzą mu srogą klęskę, gdy naraz radosne okrzyki arjergardy amerykańskiej dały im do zrozumienia, iż przeprawili się już oni przez rzekę Dau, dopływ Roanoke'u, i są bezpieczni od ich pościgu.

I tym razem było to zasługą Kościuszki, który nie tylko że urządził szybką przeprawę przez rzekę, ale i usypał oddzielny szaniec pod Irvins Ferry dla osłony ostatnich oddziałów przed natarczywością ataków nieprzyjaciela.

To niepowodzenie odebrało chęć Cornwallisowi do prowadzenia dalszego pościgu i zawrócił w inną stronę.

Washington przesłał Greene'owi powinszowanie, że wszystkie bagaże, działa i zapasy żywności, pomimo gwałtownego pościgu nieprzyjaciela, zostały uratowane, a historia odwrót ten zaliczyła do szeregu najsłynniejszych czynów całej wojny anglo-amerykańskiej.

Nie spoczywał Kościuszko po tej rozprawie. Wnet potem przystąpił do fortyfikowania Halifaxu, gdy od generała Greene'a otrzymał wezwanie, ażeby przybył pod forteczkę Ninety Six czyli Dziewięćdziesiąt sześć, nazwaną tak z powodu, iż leżała o 96 mil od granicznej twierdzy Prince George.

Po całym szeregu zaciętych, choć niepomysłnych bitew, w których stracił artylerję, generał Greene, którego siły wzrosły do 5,000 ludzi, zamierzył zdobywać tę forteczkę.

W czasie ulewnego deszczu, dnia 22 maja, pod gradem kul objechali całą forteczkę i obejrzeni wszystkie jej obwarowania. Było to miasteczko o kilkunastu domach, otoczone wałem i fosą i bronione przez dwie fortyfikacje: po lewej ręce szaniec gwiaździsty o 16-tu wysuniętych kątach, po prawej — silny fort z dwoma wewnątrz blokhauzami, otoczony ostrokołem, ale zasilający się wodą ze strumienia opodal płynącego. Załoga składała się z 600 ludzi pod wodzą komendanta, starego wojaka Niemca, Krügera, który na wezwanie do poddania się odpowiedział odmownie.

Musiano wobec tego przystąpić do systematycznego oblężenia. O pół mili angielskiej, w lesie, rozłożyły się obozem wojska amerykańskie, a Kościuszko w nocy na 23 maja usypał dwie flesze w odległości

240 jardów od szanca gwiaździstego. Przeciwnik nie zasypiał sprawy i zaraz dnia następnego o świtanu zrobił wycieczkę z porucznikiem Roney na czele, wyparł robotników z flesz przy pomocy ognia działowego i karabinowego i zabrał narzędzia saperów, zanim nadbiegła pomoc.

Nie zraziło to Kościuszki. Zaraz następnej nocy wystawił dwie baterje, umocnione kłodami o 100 jardów dalej i otworzył przekopy, kierując je od strony północnej ku szancowi gwiaździstemu, a po kilku dniach stanęły gotowe dwie paralele z baterjami w odległości 220 i 100 jardów, wysokości na 20 stóp, a zatył górujące nad parapetem twierdzy. Celem obrony oblężeni podnieśli poziom swoich wałów, nakładłszy worów z piaskiem. Pracować trzeba było w warunkach nader trudnych, gdyż grunt był niezwykle twardy, robota ciężka, prowadzona dzień i noc, przez trzy zmiany robotników. Zachodziły nieporozumienia i z milicjantami, którym skończył się termin służby. Z ledwością zdołał przekonać ich i do pozostania i wytrwania zachęcić.

Naraz praca Kościuszki spotkała się z niespodziewaną krytyką. Wystąpił z nią kapitan Henryk Lee, być może znakomity partyzant, lecz nieświetny inżynier. Nadciągnawszy ze swoim legionem, ganić począł dokonane przez Kościuszkę roboty, jako nieskuteczne.

Choć zarzuty jego nie opierały się na żadnej realnej podstawie, pozwolono mu na zbudowanie reduuty naprzeciwko fortu prawego skrzydła, oraz na uzbrojenie jej w jedną armatę. Cóż, kiedy jednak i jego genjalne pomysły nie dały żadnego realnego skutku.

Kościuszkę nie przejmował się bardzo i nie zwa-

zał na tak surową krytykę partyzanta, przekonany, iż to, co czyni, jest dobre. W dniu 14 czerwca założył trzecią paralelę, odległą o 30 jardów od fosy i wznosił nową baterję na wysokość 30 stóp. W trzy dni potym okrążoną została zasieka forteczna, przebitą mina i dwa przekopy zbliżyły się na 6 stóp do fosy, pomimo dzielnego oporu obleżonych. Strzelcy, zasiadłszy w dwóch wieżach, z grubych kłód zbudowanych, tak zwanych Mayhana, spędzili z parapetu artylerzystów angielskich.

Następnego dnia, z decyzji Rady wojennej, przystąpiono do szturm. Podpalona mina wyleciała w powietrze, lecz nie dała wielkiego skutku. Przy pomocy faszyn utorowano sobie drogę przez fosę, lecz ściąganie worów z piaskiem z wałów przy pomocy haków dłuższego wymagało czasu, a tymczasem komendant Krüger uderzył z boku na szturmujących. Próżno generał Greene, Kościuszko i oficerowie zagrzewali żołnierzy amerykańskich do dania odporu — po 10 minutach walki na bagnety pierzchnęli w popłochu. Jednemu kapitanowi Lee udało się dostać do fortu lewo-skrzydłowego, lecz musiał się cofnąć, odwołany przez generała Greene'a, który wobec zbliżania się lorda Rawdonea'a z odsieczą, nie mogąc się z nim zmierzyć z powodu słabych sił, wołał się cofnąć.

Było to jedno z ostatnich dzieł inżynierskich Kościuszki w Ameryce. Prawda, skończyło się ono niepowodzeniem, lecz czyż może być odpowiedzialnym inżynier za brak wyćwiczenia i dyscypliny żołnierza armji polowej?...

Toż o pracach jego, pomijając niechętną, dyletancką krytykę kapitana Lee, pisał jeden z uczestników wojny: „Pułkownik Kościuszko, młody i dystygowany szlachcic z Polski, kierował robotami obleż-

niczymi, a przy pilności i wytrwałości swojej posuwał je z takim pośpiechem, że, lubo grunt był nadzwyczajnie twardy i sytuacja w najwyższym stopniu nieogodna, ukończył jednak trzecią paralełę dnia 14 czerwca“.

Generał Greene wyrażał się o Kościuszcze jak następuje:

„Do liczby najużyteczniejszych i najmilszych dla mnie towarzyszków broni należał pułkownik Kościuszko. Z niczym nie daje się porównać gorliwość jego do służby publicznej, a w rozwiązywaniu poważnych zadań, jakie się nam nastęrczały wśród drobnej, ale czynnej wojny, nie mogło być nic pożyteczniejszego nad jego uwagę, czujność i staranność. Przy wykonywaniu zaleceń moich we wszelkich wydziałach służby zawsze był on chętny, zdatny, słowem — nieprzystępny żadnej pokusie przyjemności, nieustrudzony żadną pracą, nieustraszony na wszelkie niebezpieczeństwo. Bardzo się też wyróżniał bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań, albo pretensji dla siebie samego i nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i zalecenia cudzych zasług“.

Takim jest wierny obraz naszego bohatera, skreślony ręką obcą, ręką człowieka, który umiał ocenić go i zrozumieć całą wartość moralną tego skromnego a jednak wielkiego męża, do którego podobnych niewielu zna historia.

Potrafił też Kościuszko być przydatnym armji amerykańskiej nietylko jako inżynier. Nie mając do wykonania żadnych robót fortyfikacyjnych, sam stawał na czele oddziału i wiódł go do boju, na rekonesans, na wycieczkę. A czynił to zawsze spokojnie, z zimną

krwią i męstwem, nie cofając się przed największym niebezpieczeństwem.

Tak było i w bitwie, stoczonej w dniu 8 września pod Ertaw Springs. Armja amerykańska z początku święciła tu zwycięstwo, lecz zdobycie obozu angielskiego i połączony z tym rabunek i pijaństwo stały się początkiem przegranej. Pod wpływem trunków rzucono się do mordowania jeńców. Próżno Kościuszko chciał powstrzymać tę rzeź; ocalił życie 40-tu szeregowcom i jednemu oficerowi, reszta padła pod ciosami rozszalałej tłuszczy.

Skorzystali z tego Anglicy, i zawróciwszy, uderzyli na upojonych trunkiem i zwycięstwem Amerykanów i odparli ich, później jednak, wobec poważnej straty 693-ch ludzi, nie mogąc się ważyć na przyjęcie bitwy, cofnęli się do Charleston.

Celem nabrania sił i wypoczynku, rozłożył się generał Greene obozem w zdrowej miejscowości, na pagórkach nad rzeką Santée i tu, w dniu 30 października, otrzymał radosną wiadomość o poddaniu się lorda Cornwallisa. Wnet obóz cały rozbrzmiał hukem salw armatnich i karabinowych, oraz okrzykami tryumfu.

Był to początek końca wojny anglo-amerykańskiej, która zakończyć się miała zupełną niepodległością Stanów Zjednoczonych.

Na wybrzeżach zatoki Chesapeake, wrzynającej się w najludniejszą i najzamożniejszą część Stanów, od początku roku szkodliwe spustoszenia szerzył zdrajca generał Arnold, stojący na czele 1600 żołnierzy angielskich i niemieckich, oraz wojsk posiłkowych generała Philipps'a.

Zrujnowali prawie całą Wirginję, majątek Washingtona, Mount-Vernon, spalili, zniszczyli plantacje, a wszystkich murzynów zabrali. Napróżno Lafayette,

stojący na czele znacznie większych sił, usiłował Arnolda pochwycić, by wykonać zawczasu wydany wyrok śmierci przez powieszenie. Zdrajca ów miał oparcie w armji generała Cornwallisa, mającego główną kwaterę swoją około tej zatoki i panującego z niej nad całym południem.

Washington, oczekując na posiłki francuskie, w głębokiej tajemnicy opracował plan całej akcji i przygotowywał się do jej wykonania. Porozumiewał się z generałem Rochambeau, jakoteż z admirałem Barrasem i hrabią de Grasse. Sir Henry Clintona, naczelnego wodza angielskiego, złudził listem, wysłanym w ten sposób, żeby się do rąk jego dostał przez schwytanie gońca. Połączył się następnie z generałem Rochambeau tak szybko, że Anglicy z Nowego Jorku ani zagrozić mu drogi, ani Cornwallisowi dać pomocy nie mogli.

Przybył pomyślnie do głównej kwatery Lafayette'a w Williamsburgu w dniu 15 września, a jednocześnie flota francuska, zajawszy wnijscie do zatoki Chesapeake, dostarczyła mu 3,000 żołnierzy, 50 dział wielkiego kalibru i 16 moździerzy. W ten sposób siły jego dosięgły 18,000 głów i trzykrotnie prawie przewyższały wojska lorda Cornwallisa.

Przystąpiono do oblężenia Yorktownu. Pierwsza paralela w odległości 600 jardów od fortyfikacji nieprzyjacielskich była gotowa 6 października; 9-go zaczęło się ostrzeliwanie z wielkich baterji—amerykańskiej na prawym skrzydle i francuskiej na lewym; ogień ich był tak silny, że armaty angielskie nazajutrz umilkły i cofnęły się z ambrazur; 14-go zdobyto dwie reduty. Daremnie Cornwallis próbował wymknąć się wodą—zamykała mu drogę flota francuska. Wobec tak rozpaczliwej sytuacji, zażądał kapitulacji. Otrzymał ją

pod warunkiem złożenia broni. Ze zgryzoty zachorował, więc czynność wykonawczą spełnił w dniu 19 października r. 1781-go pomocnik jego, O'Hara. Wyjechawszy przed front, skierował się do generała Rochambeau i podał mu swoją szpadę, lecz ten wskazał ręką na Washingtona. Rad nie rad musiał więc dumny Anglik oddać broń wodzowi „buntowników“, który, przyjmując ją, powiedział wytworny komplement:

— „Nie może być godniejszą żadna ręka“.

Dostało się wtedy do niewoli 7,000 żołnierzy angielskich.

Dla Anglii był to cios stanowczy. Gdy przyszła wieść o tym do Londynu, dowcipkujący zwykle minister angielski, lord North, rozkrzyżowawszy ręce, zawołał:

— Boże, więc już wszystko skończone!...

Król angielski, Jerzy III-ci, nader flegmatycznego usposobienia, zapomniał napisać na depeszy, o której godzinie i minucie otrzymał ją, co było oznaką wielkiego wzruszenia. Wreszcie w dniu 24 lutego r. 1782-go parlament uchwalił adres o zaniechaniu wojny z Amerykanami.

Nie zakończyły się jednak na tym działania wojenne Amerykanów. Na całym południu pozostawały jeszcze w ręku Anglików dwa ważne miasta: Savannah w Georgji, oraz Charleston w południowej Karolinie. Pokrzepiony potężnie pod względem moralnym generał Greene postanowił wystąpić przeciwko temu ostatniemu miastu i w dniu 18 listopada wysłał przodem Kościuszkę, celem obrania odpowiedniej pozycji.

Po dokładnym rozejrzeniu się w okolicy, wskazał Kościuszko na miejscowość zwaną Round O, jako na podstawę operacyjną. Posiadała ona bogate plan-

tacje ryżu i piękne lasy, odległą zaś była od Charlestonu o 50 mil angielskich. Założono tam obóz w dniu 7 grudnia i stamtąd robiono wycieczki, zanim się dała urządzić ściślejsza blokada.

Kościuszko przez cały rok 1782-gi znajdował się w polu pod Charlestonem. Dowodził tam oddziałem przodowym wojska, przyczym poczynął sobie nader dzielnie. Świadczą o tym dwie wiadomości, podane do gazet przez kapitana, Jana Marklanda, który od r. 1781-go pozostawał w jego bezpośredniej komendzie.

Pisał on:

„Dnia 14 stycznia r. 1782-go przodowy oddział pod dzielnym Kościuszką zajmował linję i przez ciąg kilku miesięcy czynny miał udział w trapieniu nieprzyjaciela. W owym czasie w jednej z utarczek mały oddziałek amerykański, szarmydlując, zdołał wciągnąć w zasadzkę nieprzyjacielską dragonję, poniżej kwatery sztabowej, o 4 mile od Charlestonu, zabił 8 lub 10 ludzi oraz większą część koni i przyprowadził 2 jeńców, którzy bardzo się temu dziwowali, że Amerykanie ani jednego człowieka nie stracili i powrócili do kwater swoich w pobliżu od nich, pod Ashley Ferry“.

Na początku listopada Markland otrzymał komendę oddziału (wciąż pod Kościuszką) za wyprawę, która miała na celu pochwycenie u jazdy nieprzyjacielskiej koni na James Island. Oddział ten składał się ledwie z 20 ludzi i udało mu się, bez żadnej straty, zdobyć 60 koni, które zostały w całości odstawione do głównej kwatery generała Greene.

Dnia 14 listopada, na krótko przed opuszczeniem Charlestonu przez Anglików, pułkownik Kościuszko, kapitan Vilmot, porucznik Markland i inni oficerowie z 60 mniej więcej ludźmi wyruszyli na

wyprawę, by zaskoczyć partję angielską, zajętą rąbaniem drzewa na James Island pod fortem Johnson. Partja ta wychodziła o świtaniu do swej roboty, a co wieczór wracała do fortu. Kościuszko ze swoim oddziałem przyszedł na to miejsce o godz. 2 po północy i stał w ukryciu aż do przyjścia owej partji, złożonej z dragonów angielskich, przypuścił ją na bliską odległość, a gdy dał ognia, zaczęła się ona cofać ze stratami. Potym Amerykanie, uszykowawszy się, uderzyli na przodującą piechotę, która wystąpiła na spotkanie. Wywiązała się zacięta walka; Anglicy, nacierani gorąco przez Amerykanów, cofali się, lecz otrzymywali wciąż posiłki, tak iż doszły do 300 ludzi z armatą polową. Wtedy cofnęli się Amerykanie w dobrym porządku, prowadząc jednego jeńca.

Dziełem Kościuszki były wzniesione wokoło Charlestonu okopy, po śmierci zaś pułkownika Laurensa w potyczce, dn. 2 września, ważne jego obowiązki zostały powierzone Kościuszce.

Wreszcie w dniu 14 grudnia r. 1782-go Charleston oddane zostało Amerykanom.

O godzinie 11 rano wszedł Kościuszko z wojskiem do miasta, a o godzinie 3 generał Greene wprowadził gubernatora i zgromadzenie Stanu do ratusza. Przed zachodem słońca flota angielska, złożona z 300 żagli, opuściła port, by nazawsze pożegnać się z odzyskującą swą wolność prowincją. Na pokładach jej znalazła schronienie cała załoga, z energicznym komendantem Leslie.

Nowy rząd wolny ogłosił zaraz amnestję, znośzącą wszystkie kary na torysów. Radość panowała ogólna, a jednoczyły się w niej wszystkie Stany.

Ostateczne warunki pokoju podpisano dopiero w dniu 20 stycznia r. 1783-go w Wersalu, lecz woj-

ska angielskie stały w Nowym Jorku aż do 25 listopada t. r., dopóki nie załatwiono wszystkich formalności dyplomatycznych.

Po ukończeniu wojny powstało jedno, nader ważne pytanie: co robić z wojskiem?

Republikański ustrój Stanów nie pozwalał na utrzymywanie armji stałej. Żołd był zaległy za półtora roku i kongres nie miał pieniędzy do uregulowania zaległości. Oficerowie, celem obrony swoich interesów, zawiązali związek, który wyznaczył delegację do traktowania z kongresem. Do związku tego Kościuszko nie należał. Przyczyną tego może było, iż znajdował się wtedy dość daleko od miejsca obrad, a może i to, iż z przykładu własnej Ojczyzny wiedział o zgubnym wpływie wszelkich konfederacji, oraz iż jako cudzoziemiec wołał trzymać się zdaleka wobec aktów prawodawczych.

Oczy wszystkich zwrócone były na Washingtona. Czekano, co on pocznie, a nawet niejaki Nicola, pułkownik oddziału inwalidów, w liście swoim podsuswał mu myśl ogłoszenia monarchicznej formy rządu.

Lecz Washington do ostatka okazał się wielkim mężem, niczym nie skalanym. Pamiętał wszystkie swoje przyrzeczenia, złożone Wydziałowi Wojny, iż mieczem tylko dla wywalczenia wolności posługiwać się będzie, i zobowiązania tego dotrzymał. Wpłynął wymową swoją na oficerów, iż pozostali w granicach obowiązku, a przed kongresem poparł ich żądania gorąco, dodając cierpkie zakończenie, na wypadek, jeśliby odrzuconymi zostały:

— Wówczas poznam co to niewdzięczność, a to smutne doświadczenie zatruje resztę dni moich.

Lecz kongres nie okazał się niewdzięcznym.

Uchwalił, że z chwilą rozpuszczenia wojska otrzyma każdy szeregowiec żołd czteromiesięczny, a każdy oficer — pięcioletni, z podwyższeniem rangi o jeden stopień. Przrzeczone również dawniej grunta otrzyma każdy wedle rangi swojej.

Uchwałą tą uczuł się dotkniętym Kościuszko. Nie szło mu o wynagrodzenie pieniężne, zaboląła go sprawa awansu. W ciągu lat ośmiu ustawicznych trudów i głodów pozostawał wciąż w randze pułkownika, podczas gdy inni, szczęśliwsi, oddawna otrzymali wyższe rangi. Prawda, teraz miał otrzymać awans na mocy uchwały ogólnej, lecz taki zbiorowy awans nie zadowalał go, gdyż widział w tym upośledzenie, a przynajmniej zaniedbanie osobistych zasług swoich. Zwrócił się więc listownie do Washingtona z żądaniem patentu z awansem osobistym. Przyznał mu słuszność Washington i uczynił zadość sprawiedliwości. Do prezesa kongresu przesłał list następujący:

„Rocky Hill, 2 października r. 1783-go.
Panie.

Mam zaszczyt przesłać Waszej Ekscelencji kopję listu, otrzymanego od pułkownika Kościuszki w przedmiocie awansu jego. Awans ogólny, obecnie w kongresie stojący na porządku dziennym, jeśli nastąpi, stosowałby się i do niego; lecz ten, zdaje się, nie odpowiada życzeniom jego. Jako cudzoziemcowi, przypuszczam, odpowiadałby lepiej jego widokom i interesom awans oddzielny, a znając wartość i zasługi jego, tudzież zgodne świadectwa wszystkich, którzy go znają, mogę tylko zalecić go, że godnym jest tej łaski kongresu. Mam honor etc.“...

List ten suchy, urzędowy, najlepiej rozwiewa legendę o serdeczności i zażyłości, mającej rzekomo

panować między Kościuszką a Washingtonem. W innym tonie pisał on listy pożegnalne do inż. Dupontaila i innych Francuzów.

Kongres, po otrzymaniu listu Washingtona, wydał w dniu 13 października t. r. następującą rezolucję:

„Zważywszy raport komitetu o odezwie naczelnego wodza z dnia 2 b. m. i list sekretarza Wydziału Wojny z dnia 8 sierpnia, postanawia się, że sekretarz wojny ma wydać pułkownikowi Kościuszcze patent na szarżę generała-brygadiera i oświadczyć temu oficerowi, że kongres jest przejęty wysokim uznaniem dla jego długich, wiernych i cennych wielce zasług“.

Koledzy inaczej ocenili działalność Kościuszki i w nader przyjemnej formie wyrazili mu uznanie swoje. W dniu 19 czerwca 1783-go r. zawiązali w obozie pod Newburg „Towarzystwo Cyncynatów“, i bez upominania się, niespodziewanie, zaliczyli do niego Kościuszkę wraz z dwoma innymi cudzoziemcami.

Zadaniem tego Towarzystwa było: trwać w serdecznej przyjaźni, święcić na zgromadzeniach swoich pamięć wielkiej wojny, przyczyniać się do krzewienia wolności między ludźmi, utrzymywać życzliwe stosunki pomiędzy Stanami Unji, wspierać swych członków w potrzebie. Członkowie mieli nosić znak: na niebieskiej z białym wstędze złotego orła z brylantowymi oczyma i tarczą na piersiach, ozdobioną wizerunkiem Cyncynata, witanego przez senatorów rzymskich, oraz napisem: *Omnia relinquit servare Rempublicam*. Na drugiej stronie było wyobrażone: wschodzące słońce, gród z otwartą bramą, narzędzia rolnicze, dwie splecione uściskiem ręce nad sercem; w otoku zaś świecił napis: *Societas Cincinnatorum, instituta a. D. MDCCLXXXIII*.

Znak ten nazywano ogólnie orderem Cyncynata. W projekcie ustawy znajdował się artykuł, pozwalający przekazywać go najstarszemu z synów. Wzbudziło to zupełnie słuszną obawę, iż z Towarzystwa może wytworzyć się arystokracja dziedziczna, zagrażająca równości republikańskiej. Wynikłe z tego powodu obawy uspokoił Washington, obrany pierwszym prezesem, wykreślając z ustawy ten niebezpieczny artykuł.

W dniu 5 maja 1784-go r. odbyło się pierwsze posiedzenie Towarzystwa, a trwały one długo, aż poza pierwszą połowę XIX-go wieku.

W dniu 23 grudnia 1783-go r. Washington złożył uroczyste w ręce kongresu w Annopolis całą władzę swoją, poczym, pożegnawszy się z oficerami, odjechał do wiejskiej siedziby swojej Mount Vernon, nad brzegami Potomahu, by miecz zamienić na lemiesz.

Kościuszko mógł iść w ślady jego, gdyż miał wydzielony kawał ziemi w Ameryce, lecz wszystko ciągnęło go do Ojczyzny, którą przed ośmiu laty porzucił z sercem rozdartym, pełnym bólu i rozpacz.

Niewiele pisywał listów do kraju i z niewieloma osobami utrzymywał stosunki. Do liczby ich należał szwagier jego, Piotr Estko, ks. Adam Czartoryski i Julian Ursyn Niemcewicz.

Z ks. Adamem Czartoryskim niewiele zamienił listów, choć ten dość żywo interesował się jego losem. Świadczy o tym list, pisany przez ks. Adama w dniu 23 października 1778-go r. do korespondenta jego w Paryżu:

„Czy nie zechcesz podjąć się prośby do Franklina, aby zażądał wiadomości o losie p. Kościuszki, jednego z tych młodych oficerów, których król wychowywał w Paryżu; znajduje się on w służbie Sta-

nów Zjednoczonych w Ameryce; przed dwoma laty miałem list od niego, ale od tego czasu nie o nim nie słyszę“.

Krążyły wieści, iż w dniu 5 maja 1781-go r. pisała do niego z Równego ukochana Ludwika, podając długą a romantyczną opowieść o losach swoich. Po bolesnym rozstaniu uciekła przy pomocy poczwiernej ochmistrzyni Kaczkowskiej do klasztoru Kamedulek, położonym w bezludnym ustroniu wśród lasów niedaleko Kowla; za radą przełożonej pisała do króla o pozwolenie pozostania aż do śmierci w klasztorze; pewnej nocy burzliwej żalosne jęki kobiece, dochodzące z cmentarza, wzruszyły jej litość, a gdy wybiegła w towarzystwie starszej zakonniczki celem niesienia pomocy, porwali ją nieznani ludzie i zawieźli do zamku; tam nazajutrz ukazał się ojciec i zapowiedział natychmiastowy ślub z właścicielem tego zamku, księciem Józefem Lubomirskim. „Oświadczyłam, że tylko ciebie kocham, że wyrzekłam się posiadania twojej osoby, lecz nie twojej miłości. Kapłan zdawał się to pojmować, ubolewał nade mną, lecz wyższa jakaś władza nim potęga“. Odbył się ślub przymusowy. „Tu myślą goniłam za tobą, bo jak moja dusza była przy tobie, tak moje serce należy do ciebie, a tylko moją niezłączoną z duchem osobę oddałam księciu. Wyznałam to jemu przed ślubem, wyznaję to tobie, Tadeuszu, po ślubie. Po kilku miesiącach przybył tu Niemcewicz, uwiadomił mnie, że żyjesz, dał do przeczytania twój list, a ja nawzajem pośpieszam Cię zawiadomić przez Juljana, że jestem sercem niezmiennie i dozgonnie Twoją — Ludwiką“.

Trudno twierdzić kategorycznie, że list ten jest falsyfikatem, podanym przez Gordona w jego „Prze-

chadzkach po Ameryce“. Wiele szczegółów wskazuje na jego autentyczność, choć nadany mu został styl i charakter literacki. Faktem jest, iż Ludwika Sosnowska wyszła za mąż z rozkazu ojca za Józefa ks. Lubomirskiego, że mieszkała w Równym i że zachowała dla Kościuszki miłość idealną.

Względy materialne również nie stały na przeszkodzie powrotowi Kościuszki do Ojczyzny. Prawda, iż Siechnowicze, ze względu na długi, mógł uważać za stracone, lecz posiadał swój zółd skapitalizowany, a wynoszący poważną sumę 12,280 dolarów. Nie otrzymał go w całości na rękę, lecz posiadał zobowiązanie, gwarantujące mu wypłatę procentu w stosunku 6% w Paryżu, aż do czasu wypłaty kapitału. Dawało mu to 736 dolarów (6000 złp.) rocznie. Z takim dochodem mógł żyć w Polsce i służyć jej, nie żądając nic wzamian za to.

Oprócz funduszu, wywoził z Ameryki jeszcze poważną naukę, jak walczyć należy nawet ze słabymi siłami, nawet bez pieniędzy, gdy się chce wywalczyć wolność Ojczyźnie.

Toż po kilkunastu latach, gdy mówił o panowaniu Stanisława Augusta, wyrzekł:

„Usprawiedliwia się, że pieniędzy nie było — a na co? Albo mięsa i chleba nie było w kraju, które za kwitami obywatele chętnieby dawali? Rewolucja amerykańska daje przykład wojowania bez pieniędzy, skoro tylko rząd ma staranność o opatrzenie w odzież i obuwie żołnierza“.

Wyniósł też z tej długiej walki w Ameryce pojęcia szczerego republikanizmu, równającego wszystkich w obliczu prawa, nie znającego żadnych różnic kastowych. Współczuł gorąco niedoli murzynów, ciemniejących w Ameryce, i to tym większe obudziło

w sercu jego współczucie dla chłopów polskich, bliskich mu krwią i duchem.

Takąż samą wolność wyznawał w rzeczach wiary, najwyższe też zadanie widział w uszczęśliwieniu człowieka na ziemi.

Przekonań swych nie wpajał w nikogo, nie narzucał nikomu drogą agitacji lub przymusu, natomiast najwyraźniej zaznaczał je przy każdej okazji, a w czyn wprowadzał w r. 1794-ym, gdy z woli narodu otrzymał najwyższą władzę.

W lipcu r. 1784-go porzucił wolną ziemię Amerykanów, by powrócić do swej znękaney, upadającej Ojczyzny.

VII.

W domu rodzinnym.

Po powrocie z Ameryki znalazł Kościuszko w Polsce wielkie zmiany i, trzeba przyznać, na lepsze. Po haniebnych i niktzemnych frymarkach poprzednich sejmów, czyniących wszystko pod presją ambasadów mocarstw opiekuńczych, uchwalających podział Ojczyzny za judaszowskie srebrniki, oddających losy jej na „opiekuńczą“ gwarancję imperatrowej rosyjskiej,—nastąpiła w narodzie całym jakby reakcja ku lepszemu, jakby dążenie do odrodzenia się i odzyskania dawnej potęgi i chwały.

Większość narodu odwróciła się z pogardą od haniebnych przywódców sejmów podziałowych, napiętnowała ich, powołując do następnych sejmów ludzi lepszych, zacniejszych.

Skoro tylko przemieły pierwsze wrażenia żalu i bólu, jakie uczuwać musiały wszystkie serca zacne z powodu upadku Ojczyzny, zaczęto zastanawiać się natychmiast poważnie nad położeniem Rzeczypospolitej i, zamiast oddawać się bezmyślnej rozpacz, chwy-

cono się skutecznych środków do podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i społecznym.

Do czasu tego Polska była krajem wyłącznie nieomal że rolniczym i główne źródło dochodów czerpała ze sprzedaży płodów surowych. Urodzajność ziemi nie wymagała starannej uprawy, przyczyniały się do tego również i warunki społeczne, oraz brak ceł i małe podatki. Lecz po rozbiorach sytuacja znacznie się zmieniła, zwłaszcza iż Prusy nałożyły uciążliwe cła na Wiśle i Warcie od wszelkich płodów surowych, wywożonych przez Gdańsk, starając się przytym wszelkimi sposobami przeszkadzać rozwojowi handlu polskiego.

Wszelkimi sposobami wyzyskiwały one sytuację, pobierając za wszystko ogromne cła i narzucając swą wolę handlowi i rolnictwu polskiemu. Dzięki różnym machinacjom szlachta polska, która do czasu tego wszystkie nieomal potrzeby swoje zaopatrywała z zagranicy, ujrzała się odciętą od bezpośrednich z krajami obcymi stosunków i zdaną na łaskę celników i rządu pruskiego.

Jedyną racjonalną w tym wypadku drogą była praca nad podniesieniem krajowego przemysłu i handlu, wyszukanie nowych źródeł solnych, po zabranii Wieliczki przez Austriaków, oraz poprawa środków komunikacyjnych.

Jednym z pierwszych do pracy w tym kierunku przystąpił Stanisław August.

Za przykładem króla powstały wielkie fabryki żelazne za staraniem biskupów krakowskich, Stanisława Załuskiego i Sołtyka, szczególnie zaś kancelarza wielkiego koronnego, Jana Małachowskiego.

Główny jednak ruch w sprawie rozwoju handlu i przemysłu polskiego rozpoczął się po r. 1772-im,

a głównym promotorem jego był przedsiębiorczy acz nieszczęśliwy Antoni Tyzenhaus, podskarbi wielki litewski. Obdarzony wielkim zaufaniem Stanisława Augusta, po objęciu zarządu ekonomji królewskich na Litwie, zaczął gorączkowo pracować nad podniesieniem przemysłu i oświaty.

Cóż jednak, kiedy te wszystkie fabryki, zakłady i instytucje, położone głównie w Grodnie i jego okolicach, nosiły na sobie piętno pośpiechu i dyletantyzmu. Ożywiony najlepszymi chęciami podskarbi chciał w przeciągu lat paru zapłacić lukę, którą całe wieki niedbalstwa wytworzyły. Nie posiadając przytym ani znajomości rzeczy, ani potrzebnego wykształcenia fachowego, sprowadzał z zagranicy cudzoziemców, którzy za drogie pieniądze pracę swoją i wiadomości sprzedawali i zapewne nieraz pokładane w nich zaufanie zawodzili, wytworzenie zaś miejscowej klasy robotniczej było bardzo trudne z powodu uciążliwych stosunków poddańczych. Chłop, wzięty od pług, pracował niechętnie w fabryce, bo wiedział, że wolności tym sobie nie kupi, a znaczniejszy jego zarobek stanie się własnością pana.

Pośpiech, z jakim działał Tyzenhaus, różnorodność przedsiębiorstw, które zakładał, a zresztą to, co się u nas zwyczajnie dzieje, brak ścisłości rachunkowej i dozoru, wszystko to, razem wzięte, przyprawiło go o zgubę i bankructwo. Mimo to przykład jego i króla wydał owoce. Powstały w niedługim czasie warzelnie soli w Busku i Ciechocinku, wielkie kuźnie żelaza w Suchedniowie i Samsonowie, fabryki fajansów, rozszerzono kopalnie węgla w województwie krakowskim; nawet lud imał się pracy około rozwoju naszego przemysłu.

Dotychczas pogardzany i nisko traktowany stan

mieszczański zyskiwał coraz więcej na powadze i znaczeniu, gdyż szlachta, potrzebując do przedsiębiorstw swoich ludzi fachowo wykształconych, których pomiędzy sobą nie miała, jak również i kapitałów, choć może niechętnie musiała się łączyć z mieszczaństwem. W wielu przedsiębiorstwach obok Zamoyских, Potockich i Poniatowskich brali udział mieszczaństwo tacy, jak Piotr Tepper, Dekert, Rafałowicz lub Ziman, na barkach swoich dźwigając największe brzemie pracy. Jeden z najbogatszych panów ówczesnych polskich, Prot Potocki, nie uważając tego za ujmę dla siebie, lekcje buchalterji pobierał u Krugela i na Krakowskim Przedmieściu założył sklep z towarami angielskimi, oraz wielki dom bankowy.

Pod wpływem tych zmian budzić się poczynają w narodzie nowe prądy, zaczęto głosić nowe hasła, dążące do zjednoczenia przy warsztacie wspólnej pracy wszystkich warstw narodu, narazie na polu ekonomicznym. Oslawiony Poniński, imający się również handlu i przemysłu, na sejmie r. 1774-go przeprowadził ustawę, głoszącą, że „szlachcie, wszelkiego rodzaju kupiectwem się bawiący, szlachectwa swego utracić nie będzie“, oraz przywrócenie przez delegację cła generalnego, obalające jeden z najważniejszych przywilejów stanu szlacheckiego.

Jednocześnie z troską o rozwój przemysłu i handlu, zwrócono uwagę na stan dróg komunikacyjnych w kraju, wiedząc dobrze, że jedno z drugim w parze idzie. W tym kierunku wiele zdziałali obywatele, nie szczędząc kosztów na budowę i utrzymanie dróg, które obcy turyści uważali nawet za lepsze od niemieckich.

Tworzono również świeże drogi wodne, łącząc ca-

łym systemem kanałów morze Czarne z Bałtykiem.. Oczyszczano rzeki, czyniono je splawnymi, budowano porty.

Równolegle z ruchem ekonomicznym zwrócono w całym kraju uwagę na nader zaniedbany stan oświaty. Reformy, rozpoczęte przez ks. Konarskiego, musiały wydać owoce. Stanisław August, jak już przedtym mówiliśmy, założył szkołę kadetów w Warszawie, a za jego przykładem ks. Karol Radziwiłł założył szkołę artylerji w Nieświeżu, podkomorzy koronny Potocki szkołę kadetów w Niemirowie i Tyzenhaus w Grodnie. Lecz były to wszystko zakłady o charakterze przeważnie wojskowym, przyczym prywatne zakłady nie przetrwały długo.

Tymczasem ogół szkół krajowych w najnędzniejszym znajdował się stanie. Reforma nauk w kolegiach pijarskich, wprowadzona przez Konarskiego, zmusiła i Jezuitów do pewnych zmian. I oni mieli swoje collegia nobilium, i oni wprowadzili naukę języka francuskiego, cośkolwiek geografji i fizyki, ale metoda dawniejsza pozostała. Podobnie jak na schyłku wieku XVI-go, tak i teraz zastanawiano się w szkołach jezuickich nad tym: „Czy na wiosnę, czy w jesieni świat ten stworzony?“ „Kto był Melchizedech?“ lub „Czy manna na puszczy równo dobrym i złym smakowała?“ W daleko gorszym stopniu stały nauki w starożytnej Alma Mater, akademji krakowskiej. Ta niegdyś przodowniczka w naukach humanistycznych, słynna na całą Europę, broniąc się przed wszelkim postępem w nauce, trwała niezachwianie przy dawnym systemie; historji nie uczyła wcale nie przyjęła nawet systemu Kopernika, chociaż był on niegdyś najślawniejszym jej uczniem. Bardzo znaczne fundusze zmarnowano bądź przez złą admi-

nistrację, bądź skutkiem olbrzymich wydatków na kanonizację św. Jana Kantego, która kosztowała milion złp., a w naukach zaniedbano się do tego stopnia, że ks. Putanowicz, „Pisma świętego doktor i profesor“, opisując życie świętego, nie wahał się nazwać królową Jadwigę córką Kazimierza Wielkiego, a Polskę jednym z najmocniejszych królestw Europy. Próżne były usiłowania światłych biskupów krakowskich, Żaluskiego i Sołtyka, zmierzające do reformowania uniwersytetu. Wszystkie ich zamierzenia paraliżowali zacofani akademicy krakowscy, zazdrośnie strzegący swych przywilejów i skrzętnie gaszący wszelkie inne światła, któreby ciemnotę, panującą w uniwersytecie, uwydatnić mogły.

W takimże stanie znajdowały się i inne zakłady naukowe w Polsce w chwili ustanowienia Komisji Edukacyjnej. Miała ona przed sobą do wykonania olbrzymie zadanie, miała jednak i potężne środki materialne. Niestety jednak na czele tej pożytecznej instytucji z samego początku jej istnienia stanął godny towarzysz Ponińskiego, biskup wileński, Massalski, który w znacznej części fundusze i dobra jezuickie zmarnował lub na potrzeby własne i rodziny roztrwonił. Maczali w tym ręce i inni, a nawet i król czerpał z tego źródła.

Sejm z r. 1776-go, chcąc o ile możności temu zapobiec, odebrał zarząd funduszami komisjom rozdawniczym, ustanowionym przez delegacje, i oddał je pod opiekę Komisji Edukacyjnej. Józef Wybicki, wysłany do Wilna na wizytację szkół litewskich, odkrył tam ogromne przeniewierstwa, znalazł mianowicie, że Massalski 300,000 złp. zabrał z funduszu szkolnego, że Poniński otrzymał tytułem darowizny place i domy po Jezuitach i rozdawał je Żydom, co wszystko,

pomimo że było dowiedzionym i stwierdzonym, przepadło później bezpowrotnie.

Komisja Edukacyjna zabrała się energicznie do pracy, zaprowadzając przedewszystkim ład i porządek w administracji funduszków, następnie zaś rozpoczęła pracę swoją od wykształcenia nauczycieli i ułożenia odpowiednich książek szkolnych. W tym celu na wniosek Ignacego Potockiego utworzono Towarzystwo Elementarne, które wyznaczało znaczne nagrody za napisanie dobrych książek; szkoły Komisja Edukacyjna podzieliła na sześć wydziałów w Koronie i cztery na Litwie, aby nadzór ułatwić, i postanowiła zreformować akademię krakowską, gdzie młodzież specjalnie do zawodu nauczycielskiego sposobić się miała. W tym celu wysłano ks. Hugona Kollataja, jako wizytatora akademji. Nadspodziewanie zastał on u profesorów wszelką powolność i uległość dla rozkazów w komisji, tak że zreformowawszy to, co uważał w tej chwili za najpotrzebniejsze, mógł od r. 1778-go wprowadzić wykłady na wydziale filozoficznym podług nowego systemu.

Dzieło w ten sposób rozpoczęte ukończono jednak dopiero w r. 1780-ym. Na katedrach zasiedli uczeni i zdolni Polacy, jak: Jan Śniadecki, Czerwiakowski, bracia Szasterowie i Szeidt; urządzono należycie wydział medyczny, ale kładąc widocznie główny nacisk na nauki matematyczne i przyrodnicze, zaniedbano np. pomiędzy innymi historję. Po akademji krakowskiej przyszła kolej na wileńską, która jednak nie we wszystkim poddała się reformie. I tam utworzono także wydział lekarski, powołano w tym celu profesorów z Grodna, z zniesionej już wtedy szkoły medycznej Tyzenhausa, założono ogród botaniczny i klinikę, do Anglii i Francji wysłano ks. Strzeleckiego po zakup narzędzi astronomicznych, słowem, uczy-

niono wszystko, co tylko na razie uczynić się dało, aby oba uniwersytety krajowe postawić na stopie ówczesnych wymagań naukowych. Celem wykształcenia nauczycieli utworzono dwa seminarja w Krakowie i Wilnie.

Ta cała reforma szkolna, przeprowadzona w bardzo krótkim przeciągu czasu, była tak rozumną i trafną, że jeszcze i obecnie za wzór służyć może. Niemiec, pruski radca Klewik, nazwał ją w raporcie swoim: „przedziwnymi prawami rządu polskiego“.

W parze z pracą rządu szły i dążenia osób prywatnych, które również zakładały szkoły, tworzyły fundacje na cele oświatowe, oraz zakładały, podobnie jak biskup Załuski, biblioteki.

Te wielkie reformy edukacji publicznej i moralnego podźwignięcia społeczeństwa wywarły wielki wpływ na stan oświaty i rozwój piśmiennictwa krajowego. Z Francji, w której w owych czasach kwitowały nauki i sztuki, za wpływem króla, rozmiłowanego w mistrzach francuskich, płynęły ożywcze prądy. Brano, prawda, bez wyboru, i czasem szcych zwykły przyjmowano za złoto, lecz mimo to korzyści były wielkie. Dawne, poważne obyczaje sarmackie rugował zwolna lekki ton towarzystw francuskich, strój narodowy i język ulegały przeistoczeniu, ateizm i niedowiarstwo wypędziły staropolską gorliwość wiary, dochodzącą aż do fanatyzmu w epoce Sasów. Społeczeństwo, przyzwyczajone długo do opieki duchowieństwa, zaczęło się wyzwalać z pod jego przewagi, interesy świeckie, podniesienie handlu i przemysłu więcej znajdowały zwolenników niż nauki moralne, głoszone z kazalnicy, wyobrażenia i pojęcia o wolności nabierały innego znaczenia i odbijały się głośnym echem w obradach sejmowych, pragnienie oświaty

stawalo się hasłem całego stronnictwa postępowego w Polsce.

Wszystkie te prądy odbijały się i w obyczajach, szczególnie zaś w literaturze, zawisłej tak bardzo od stanu i usposobienia społeczeństwa. Po złotych czasach literatury polskiej za czasów ostatnich Jagiellonów, za Wazów chylić się ona poczęła ku upadkowi. Za rządów Jana Sobieskiego zdawało się, że zabłyśły dla niej jaśniejsze chwile, lecz czasy saskie znów pograżyły ją w mrok. Dopiero reformy epoki Stanisława Augusta wprowadziły ją na nowe tory, odradzając niejako, wyprowadzając nowe, na wzorach francuskich kształcone, talenty.

Stanisław August, lubiący się szczycić nazwą Mecenasa, chętnie popierał wszystkich, pracujących na polu literatury i sztuki, zwłaszcza o ile należeli do rzędu panegirystów.

Pod jego wpływem stworzył Naruszewicz swe pomnikowe „Dzieje Polski“, w tym samym kierunku pracował i Albertrandy. Poezja też mnogich miała adeptów, z których najznakomitszymi byli: Trembecki, Węgierski, Kniaźnin, Karpiński, Zabłocki, ks. Bohomolec i ks. Ignacy Krasicki.

W malarstwie Stanisław August również wielkie położył zasługi, sprowadzając z zagranicy znakomitych artystów Bacciarellego i Canalettego, oraz kształcąc Smuglewicza i innych malarzy polskich.

Pojawili się też uczeni Polacy, kładący podwaliny pod dalsze studia i badania nad geografją i historją Polski.

To właśnie rozbudzenie uśpionych do czasu tego sił umysłowych Polski, podniecenie ich do pracy, która z czasem tak piękne owoce przynieść miała, stanowią wielką i kto wie czy nie jedyną zasługę Stanisława Augusta.

Podczas gdy i król i najlepsi obywatele pracowali tak gorliwie nad rozpedzeniem ciemnoty i przesądów, gdy dążono do tego, by naród cały na nowe wprowadzić tory, w kierunku politycznym zapanował pewien zamęt pojęć, łączący najsprzeczniesze nieraz z sobą żywioły w celu obalenia narzuconego przemocą porządku rzeczy. Z widowni jeden za drugim schodzili dawni działacze, i ci, których winą była zguba Polski, i ci, którzy myśleli o jej ratowaniu. Miejsca ich zajęli ludzie nowi, wiodący podobne walki i spory.

Partji rządowej, opierającej się na Radzie Nieustającej, a dążącej do przeprowadzenia wszelkiego rodzaju reform, powściągnięcia nadużyć oraz podniesienia dobrobytu państwa, przeciwstawiła się opozycja z hetmanem Branickim, Sewerynem Rzewuskim i Ignacym Potockim na czele.

Czując, iż reformy sejmu dążą do ukrócenia zbyt wybujałych dążeń niektórych oligarchów, opozycjoniści zamiast programu politycznego stanęli w obronie niby zagrożonej wolności republikańskiej.

Próżno wołał do króla Rzewuski:

— Panie! wolność mi wziąć tę buławę. Zostanie przy mnie cnota i będę w potrzebie i za rozkazem obywateli hetmanit obywatelom bez buławy, jak dziś hetmanię wojsku przy buławie!

Słusznie mu na to odpowiedział poseł starodubowski, Bouffał:

— Kraj rozerwany, czemuż go te gorliwości sentymenta nie broniły?

Przeszedł sejm do porządku dziennego nad tą opozycją i, mimo protestów Branickiego i Rzewuskiego, władzę nad wojskiem powierzono departamentowi wojskowemu Rady Nieustającej, i postanowiono, aby

żołnierze nie hetmanowi, lecz Rzeczypospolitej przysięgę na wierność składali, przyznając jednocześnie królowi prawo nominacji na wszystkie stopnie wojskowe aż do najmniejszych oficerów i subalternów.

Zniósł następnie sejm komisję w celu przyspieszenia sprawiedliwości, źródło niesłychanych zdzierstw Ponińskiego i komisję rozdawniczą dóbr pojezuickich, przekazując tę czynność komisji edukacyjnej, a Andrzejowi Zamoyskiemu polecił opracowanie projektu do nowego kodeksu praw cywilnych i karnych, nazywanego „zbiorem ustaw sądowych“. Zniesiono tortury przy śledztwie i udzielono amnestji księciu Karolowi Radziwiłłowi.

Na tym skończyła się napozór owocną praca sejmu, gdyż wniesiona pod obrady kwestja podatkowa, domagająca się wobec niedoboru komisji skarbowej podwyższenia podatków na utrzymanie 30-tysięcznej armji, zjednoczyła zarówno opozycję, jak i stronnictwo rządowe, i obcięto budżet wojskowy, zezwalając na zmniejszenie 30,000 armji, dozwolonej przez mocarstwa rozbiorowe, do 18,000.

Lecz to, co sejm r. 1776-go uchwalił, zburzone zostało przez sejm w r. 1780-ym. Uchwałami swymi obalił on Tyzenhousa i doprowadził do ruiny wszystkie jego usiłowania i prace, podjęte w celu podniesienia przemysłu krajowego. Odrzucono również na zawsze projekt „zbioru praw sądowych“, owoc czterech lat mozolnej pracy kanclerza Zamoyskiego i jego pomocnika, Wybickiego. Zacořana w swych pojęciach szlachta nie mogła się zgodzić na zamieszczone w projekcie przepisy, łagodzące smutną dolę włościan i nadające pewne przywileje mieszczanom, a zdaniem ich godzące w złotą wolność szlachecką.

Następne sejmy schodziły na wiecznych sporach

i swarach, przyczym wywlekano na światło dzienne różne sprawy brudne. Tak np. wiele hałasu narobiła sprawa biskupa krakowskiego, Sołtyka, który dostał obłędu po rozbiorze Polski, oraz sprawa awanturnicy Dogrumowej.

Opozycja korzystała z tylu okazji, ażeby toczyć z królem i Radą Nieustającą walki, przynoszące raczej szkodę niż pożytek Rzeczypospolitej.

Uczciwsi z magnatów, rozumiejąc dobrze, że w takich warunkach nie można myśleć o uzdrowotnieniu stosunków w Rzeczypospolitej, szukali zbawienia Ojczyzny nie u góry, lecz u dołu, w masach szlacheckich, w mieszczaństwie, odsuniętym od życia publicznego, i w chłopstwie, pogardzonym i w ciężkiej pogrążonym niewoli.

Na prośbę Wielhorskiego słynny J. J. Rousseau napisał dziełko o reformie Rzeczypospolitej, w którym, pomimo dziwacznych pomysłów swoich, radził, aby mieszczan i chłopów zrównać stopniowo ze szlachtą, a przedewszystkim rozciągnąć nad nimi natychmiast ścisłą opiekę prawną i przygotować ich w ten sposób do uzyskania równości i wolności. Taką samą myślą kierował się Zamoyski przy układaniu swego zbioru praw, a za nimi niektórzy z panów, jak Zamoyski, Chreptowicz, Brzostowski, książę Stanisław Poniatowski, a nawet i smutnej pamięci biskup wileński Massalski.

Z pośród całego szeregu projektów reformy Rzeczypospolitej, podawanych przez najznakomitszych statystów ówczesnych, jak Konarski, Czartoryscy i Wielhorski, powszechną na siebie zwrócił uwagę projekt Stanisława Staszycza, mieszczanina, nauczyciela domowego dzieci Andrzeja Zamoyskiego.

W dziele swoim, p. t. „Uwagi nad życiem Jana

Zamoyskiego“, domagał się z rzadką na owe czasy odwagą zaprowadzenia dziedziczności tronu, sejmu nieustającego, któryby rozstrzygał większością głosów, podwyższenia dochodów przez opodatkowanie szlachty i powiększenia siły zbrojnej. W zakresie reform społecznych domagał się reprezentacji miejskiej w sejmie, zniesienia pańszczyzny i wolności dla ludu wiejskiego.

„Gdy tak w narodzie—kończył swoje wywody—powstanie nienaruszona jedność i zgoda, gdy Rzeczpospolita już nie co dwa lata tylko przez sześć niedziel, ale zawsze czynną trwać zacznie, prawo wezwie równo cudzoziemców, jak Polaków, tak chłopą, jak szlachcica, katolika, lutra, kalwina, Żyda, Greka i Turczyńa, zgoda wszystkich ludzi do sadowienia się, do objęcia gruntowej własności i obywatelstwa w Polsce. Z drugiej strony sejm nieustanny nada im wszystkim równą, obywatelską wolność, zniszczy szczególne przywileje jednych szkodzące drugim, znienawidzi próżniaki, potłumi stany nieużyteczne i z cudzej pracy żyjące, zachęci rolnictwo i rękodzielnie, zamieniienne pańszczyzny na wymiar roboty, określi powinności chłopą dla dziedzica i dziedzica dla chłopą, uwolni od poddaństwa chłopskie dzieci, a na to miejsce zapewni dla Rzeczypospolitej jednego syna na służbę wojskową, przymusi Żydów do rolnictwa i rzemiosł, zamknie wszystkich zakonów nowicjaty, tę przepaść niezliczonych rodzaju ludzkiego pokoleń, do wszystkich urzędów cywilnych sam tylko jeden stan szlachecki zdatnym uczyni, do urzędów wojskowych i inne stany przypuści, lecz szlachcic próżniak, również jak każdego innego stanu próżniak, prześladowanym zostanie. Szlachcic zaś rolnik, kupiec, rzemieślnik szlachectwa nie straci“.

Takie zasady głosił syn mieszczański, a przedostawały się one do najszerzych warstw społeczeństwa, budząc nowe myśli, torując drogę dla reform, które swój wyraz we wspaniałych postanowieniach sejmu czteroletniego znaleźć miały.

W takiej właśnie chwili powrócił do kraju Kościuszko. Po krótkiej bytności w Warszawie, udał się do siostry swojej, Anny Estkowej, która wraz z mężem przywitała go radośnie.

Przez cały czas pobytu Kościuszki w Ameryce pracował gorliwie zacny pan Piotr Estko nad oczyszczeniem z długów ojcowizny jego. Znaczniejsze długi spłacił z własnej kieszeni, tak że gdy Kościuszko przyjechał, oddał mu Siechnowicze-Dawidowszczyznę, nieodebrawszy nawet sumy, w jakiej ją trzymał prawem zastawnym.

I choć suma należności Estki dorównywała prawie wartości Siechnowicz, Kościuszko osiadł w nich ze spokojnym sumieniem, wiedząc dobrze, że na spłacenie wszystkich długów posiada certyfikat amerykański.

Po wielu latach tułaczki po obcych ziemiach, po latach pracy i niewygód, postanowił Kościuszko osiąść na zagonie ojczystym, by wypocząć, by siłę nabrać, by być gotowym na pierwsze zawołanie Matki-Ojczyzny.

Pobyt na wsi uprzyjemniał mu nader serdeczny stosunek, łączący go z siostrą Anną Estkową, zamieszkałą w Dołholisce, o 10 mil odległej od Siechnowicz. Zamieniali z sobą serdeczne listy, w których czuć było całą miłość siostrzaną i braterską.

Szczególnie silnie zaznaczyła się ona z powodu śmierci zacnego Piotra Estki, zaszłej w dniu 30 kwietnia 1787-go r. w Winnicy. Pisał do siostry

Kościuszkowski: „Moja ty siostrzyczko! Przyjedź do mnie, proszę cię. Weź pojazd od starostów do Brześcia, ja tam w niedzielę będę dla kuracji mojej, gdyż Müller kazał mi przyjechać, inaczej pojechałbym do ciebie. Rozumem trzeba się rządzić, słaba sama jesteś, ja słaby, chcesz-że ty wpędzić mnie do grobu dziwactwem twoim? Zdrowie swe trzeba zachować dla dzieci swych, dla mnie. Bądź pewna, że nic mnie tu nie utrzymuje w Polsce, jak ty tylko; masz-że ty przyczyniać dla mnie zmartwienia i w słabości dodawać mi większej?

Posyłam cztery szanki jęczmienia na zasiew dla ciebie i rzeczy stolnikowicza. Bywaj zdrowa. T. Kościuszkowski“.

W podobnym tonie utrzymane są wszystkie listy, wymieniane między nimi, pełne czułości i troski o przeróżne interesy.

Czułe i dobre serce miała Anna Estkowska nie tylko dla jednego Tadeusza, podobnym uczuciem otaczała i starszego brata, Józefa, który zupełnie postępowaniem swoim nie zasługiwał na to. Zaprzepaściwszy całą puściznę swoją, żył z łaski siostry i szwagra, nie pogardzając również i sprzedawaniem rzeczy, do Tadeusza należących.

Przyznawał się do tego aktem następującym, świadczącym o zupełnym jego upadku:

„Ja zeznaję tym moim dokumentem W-mu J. P. Thadeuszowi Kościuszkowski, Generałowi Stanów Złączonych Amerykańskich, bratu memu, danym na to, iż gdy bez bytności w kraju brata mego w okolicznościach dla mnie trudnych pod takse cały mój majątek poddać przymuszony, a mając zawsze od śmierci matki naszej w ręku moich całą ruchomość niedzielną, na nas obydwóch spadającą, jako to: srebra,

miedź, cynę, futra, na moją potrzebę obróciwszy, ma-
ło co bardzo na część brata mego zostawiwszy, czu-
ję być obowiązkiem moim takse tego wszystkiego,
co tylko pamięć znieść może, naznaczyć, którą, gdy-
by tego potrzeba wyciągała, i zaprzysiąc obiecuję.
A naprzód co do srebra, z którego najmniejszej
częstki brat mój nie wziął: 2 rzędy sute warte były
4,000 złp.; 2 rzędy pół-sute 1,000 złp.; inne srebra
mniejsze, zlewki, 500 złp.; cyna, miedź, żelazo, że
tego przynajmniej część czwarta bratu memu dosta-
ła się, więc reszta warta była zawsze 200 złp. Bie-
lizna, płótna domowe i kupne, bielizna stołowa, z któ-
rej się memu bratu nic nie dostało—300 złp. Pościelenie
różne najmniej warte były 200 złp. Bydło zaś, ko-
nie, owce i sprzęty stajenne, pojazdy, porządki po-
kojowe i inne — tych, jak pamięcią zasięgnąć nie
mogę, tak takse onych do uwagi sądu oddaję. To
tylko sumieniem wyznać mogę, iż w domu tak rząd-
nym, gospodarnym, jak był dom naszych rodziców,
cała ruchomość, pozostała po śmierci matki naszej,
warta była zawsze 10,000 złp. Który to takowy do-
kument przy uproszonych WW. JPP. pieczętarzach
ręką moją własną podpisuję. Datt. w Douholisce r.
1786-go, miesiąca Augusta 8 dnia. Józef Kościuszko
ex-oboźny brzeski“.

W niespełna trzy lata potym umarł Józef Ko-
ściuszko i pochowany został dn. 15 maja r. 1789-go
w Wisznicy, przyczym pozostawił masę długów, tak
że długo jeszcze miał Kościuszko kłopoty z jego wie-
rzycielami.

Tegoż samego roku umarła druga siostra Ko-
ściuszki, Katarzyna Żółkowska, a owdowiały szwagier,
siedząc na Siechnowiczach-Żółkowszczyźnie, nie był
dla niego zbyt miłym sąsiadem.

Pobyt w Siechnowiczach związany był dla Kościuszki z całą masą kłopotów natury finansowej i gospodarczej.

Oprócz wierzycieli ś. p. Józefa, przed których naleganiami uciec się musiał aż pod opiekę prawa, gnębiły go i inne długi, tak że cały dochód z Siechnowicz szedł na zapłatę procentów, na jego zaś osobiste potrzeby pozostawało tak niewiele, że musiał coraz nowe zaciągać pożyczki, przeważnie znów od siostry, Anny Estkowej.

Przyczyny tych długów nie należy szukać w utracjuszoństwie i życiu nad stan. Przeciwnie, według świadectw ówczesnych, żył Kościuszko skromnie i oszczędnie, nawet ubogo.

W „Pamiętnikach Soroki“ znajdujemy taki opis:

„Wszedłszy z sieni, po prawej ręce pokój duży; z niego izba druga przepierzona dzieliła się na pokój sypialny i garderobę. W pierwszym pokoju stał stół ordynaryjny stary i kilka stołków drewnianych; przy drzwiach szafa staroświecka kredensowa; w sypialnym pokoiku stało łóżko na środku i przy łóżku stolik niewielki, na którym książki, kałamarz i papier; do podawania kawy taca, ręką pana K. z jabłoni toczona, kilka półmisek i talerzy własnej jego pracy, składały mebel cały. Gospodarstwem kobiecym zarządzała stara ciotka pana K., liberja składała się z dwóch osób: lokaja i furmana. Za domem



Tadeusz Kościuszko.

ogródek miał kilka drzew fruktowych i górę leszczownikami porośłą, na której pan K. porobił ścieżki i altany; była i sadzawka, zarosła ajerem (tatarakiem); w niej płodziły się dzikie kaczkę, które, żeby nie były płoszone, troskliwie pielęgnował. Pan K., oddany zaciszy wiejskiej, gospodarzył rzadnie i czule; dla sąsiadów równie w rolnictwie, jak we wszystkich szczegółach życia swego był jedynym wzorem. Szanowany i lubiony od obywateli, przesiadywał najwięcej w domu“.

Że Kościuszko zajmował się rolnictwem z zamiłowaniem, mamy wiele dowodów, w czymże więc leżała przyczyna, iż dochód czysty z Siechnowicz nie wynosił rocznie więcej nad 992 złp.?

Zdaje się, że główną przyczyną tego było nader ludzkie obchodzenie się z poddanymi, nie pozwalające na eksploataowanie ich pracy, na kary cielesne, tak rozpowszechnione w owych czasach.

Zmniejszenie pańszczyzny i usunięcie bizuna, tego niezbędnego nieomal czynnika wszystkich prac rolnych, musiało wydać owoce pod postacią zmniejszenia plonu, a przez to i dochodów.

Pragnieniem jego było uczynić wszystkich włóścian wolnymi, lecz w przeprowadzeniu tego widział przeszkodę w ustroju całego społeczeństwa i gospodarstwa narodowego. Za właściwe więc narazie uważał zmniejszenie dni pańszczyźnianych do dwóch dla gospodarzy całej wsi, odrzucając dni czeladzi, a więc zmniejszył robociznę w porównaniu z dawnym inwentarzem do połowy, i nie pozwalał wymagać żadnej od kobiet.

Chociaż to było niepraktyczne, gdyż zmniejszało zyski, lecz za to dodatnio świadczyło o szlachetności jego, o tym, że szumne hasła, głoszone przez

wielu, wprowadzał w czyn pocichu i bez chwały. Nie ulega też wątpliwości, iż pod rządami jego ani jeden chłop siechnowicki nie poczuł na grzbiecie swoim ekonomicznego batoga.

Nie wiodło się również Kościuszce i z procentami od sumy, należnej mu od rządu Stanów Zjednoczonych. Prawda, miał od niej otrzymywać po 6,000 złp. rocznie, nawet poseł Stanów Zjednoczonych przy dworze angielskim, Pickney, przesłał mu całkowitą należność aż po dzień 1 stycznia r. 1789-go w trakcie filji holenderskiej Banku Stanów Zjednoczonych na Lipsk, lecz ta zaginęła gdzieś i Kościuszko nie otrzymał ani grosza.

Przyczyną tego było, o ile się zdaje, nieuregulowanie kredytu owego Banku. Dopiero dekretem z dnia 4 sierpnia 1790-go r. rozstrzygnięto tę kwestję i wszyscy posiadacze papierów kredytowych mieli otrzymać całkowitą wartość nominalną. Mógł też Kościuszko zażądać wtedy uregulowania swojej należności, lecz rozwijające się od r. 1791-go w szybkim tempie wypadki krajowe tak pochłoneły uwagę jego, że nie miał nawet czasu zająć się uregulowaniem swoich spraw finansowych. I tu okazał się wiernym swej zasadzie: Ojczyzna przede wszystkim.

Uregulował ją dopiero w r. 1798-ym, gdy po zwolnieniu z niewoli rosyjskiej udał się do Ameryki.

Siedząc w zaciszu domowym, zawierał Kościuszko znajomości i stosunki z sąsiadami, przyczym najzażyłsze węzły łączyły go z dzierżawcą Siechnowicz Wielkich, wojskim W. Ks. Litewskiego, Michałem Zaleskim.

Był to człowiek obrotny, rozumny, nader wymowny, który podczas praktyki adwokackiej dorobił się dużego majątku. Parokrotnie obierany na posła

sejmowego, miał bardzo szeroki pogląd na bieg różnych spraw społecznych, i choć zasadniczo różnił się w wielu kwestjach od Kościuszki, jak np. w sprawie wyzwolenia włościan, rozszerzenia praw mieszczan, wzmocnienia władzy monarszej i wogóle reform, zamieszczonych w ustawie Trzeciego Maja, lubił z nim dysputować Kościuszko, a nawet ożywioną prowadził korespondencję.

Być może, iż jednym z głównych czynników przyciągających była żona jego, kobieta miła, młoda, nader sympatyczna, do której Kościuszko zwracał się z czcią wielką i szacunkiem.

Oprócz wojskiego Zaleskiego przyjaźnił się Kościuszko z Niesiołowskim, wojewodą nowogródzkim, komisarzem wojskowym, lub jego synem, szefem regimentu w wojsku litewskim.

Korespondowali z sobą i Kościuszko nieraz odjeżdżał dość daleko od swoich Siechnowicz, by odwiedzić ich, gdyż mieszkali w województwie nowogródzkim.

We wspomnieniach Kniaziewicza znów znajdujemy, że Kościuszko lubił towarzystwo i chętnie go szukał; że miał upodobanie w grach takich, jak gotowania, cenzurowany, mruczek i t. p. Przyjechawszy do jakiegoś szlacheckiego domu, zwłaszcza gdzie były panienki, zwykle napędzał do takich zabaw młodzież i sam się do nich mieszał. Był bardzo grzeczny, kłaniający się, potulny i wyglądał na ubogiego, niepoczesnego szlachcica.

Zapuszczał się, jako gość mile widziany, w różne strony ziemi brzeskiej, kobryńskiej i nowogródzkiej. Pomimo zasad równości demokratycznej również chętnie zajeżdżał przed pałace i utrzymywał stosunki przyjazne z książętami. Tak bywał u Sa-

piehów, właścicieli dziedzicznych Dołholiski; podobnie dłuższy czas gościł w Puławach, u księcia generała ziem podolskich.

Prócz tego utrzymywał dość żywą korespondencję z dawną swą miłością, Ludwiką Sosnowską, już wtedy księżną Lubomirską. Była ona już matką i radziła dawnemu ukochanemu, aby się ożenił z jakąś drugą osobą. On też wcale nie jest daleki od projektów małżeńskich, obmyśla je, obserwując życie małżeńskie sąsiadów; lecz granicy marzeń przez cały czas pobytu w Siechnowiczach nie przekroczył.

Pomimo wszelkich kłopotów finansowych, pomimo ciężkiego stanu interesów, w jakich się znalazł, Kościuszko nader bacznie śledził bieg interesów krajowych.

W stopniowym postępie ku lepszemu, pomimo troskliwej opieki nad królem i Rzeczpospolitą Stackelberga, na sejmach występowano z coraz donioślejszymi wnioskami. Tak na sejmie grodzieńskim, w dniu 3 listopada 1784 r., poseł krakowski, Aleksander Linowski, pierwszy rzucił projekt armji ze 100,000 żołnierzy.

Nieśmiało był on zredagowany, mówca wyznawał niemożność takiego przedsięwzięcia za jednym skinieniem „przy rozwolnionym rządzie i ubogim skarbie“, ale widział możność powiększania wojska przez systematyczne pomnażanie regimentów.

W następnym zaś roku ukazało się pamiętne dzieło Staszica „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“, o którym już pisaliśmy.

Książka ta sprawiła wielkie wrażenie i stworzyła nieomal ze całą literaturę polemiczną, przygotowując grunt do przyszłych reform.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Kościusz-

ko czytał wszystkie dzieła w sprawie reform, prze-mysliwał nad nimi, rozważał i opracowywał sposób przeniesienia na grunt polski niektórych urządzeń amerykańskich.

O sprawach tych dużo rozmawiał z sąsiadem swoim, wojskim Zaleskim, a ślady tego pozostały w listach.

Dowodzą one, że Kościuszko bardzo gruntownie i głęboko poznał wady polityki polskiej, czyli raczej źródła niezdarności politycznej swoich współrodaków. Był to brak dumy i ambicji narodowej, niewyrobienie indywidualności narodowej wobec innych narodów, a stąd pozwalanie sąsiadom i niesąsiadom, pozornym sprzymierzeńcom albo i jawnym wrogom na wdzieranie się do najważniejszych spraw życia wewnętrznego.

Sam też, siedząc w Siechnowiczach, opracowywał swoje „Uwagi“, w których punktem wyjścia jest zamiar zabezpieczenia wolności w państwie, w Rzeczypospolitej przez militaryzm.

„Żołnierz regularny i zawerbowany gwałtem, po większej części z chłopów, których rodzice i sami oni nie mają od rządu żadnego prawa, zabezpieczającego ich osoby i majątek, nie są przywiązani do kraju, nie są interesowani w dobru powszechnym— (żołnierz taki), w subordynacji utrzymany, słucha tylko swej starszej zwierzchności, która użyć go może według swego sposobu myślenia. Przykłady są wiadome, jak wojsko bywało czasem przeciwko swemu krajowi i za ambicją upodobanego sobie generała kajdany kładło na obywateli. Wojsko, za przekonaniem cudzym idąc, (nie będzie) broniło wolności, lecz tylko od przemocy zewnętrznej. Supponujemy, czego broń Boże, aby kilku generałów, zniósłszy się, ze-

chciało w naszym kraju uczynić spisek. Oprócz oficerów kilku, nie niema w kraju, coby się oprzeć mogło zuchwałej ambicji i rozjuszanej rozpuście. Więc potrzeba wyciąga, aby obywatele sami opatrzyli sposób obrony swojej... uformowaniem milicji. Po wszystkich województwach, ziemiach, powiatach (powinny być w gotowości) jeden regiment pieszy i drugi kawalerji. Oficerowie powinni być obierani na sejmikach. Każdy żołnierz powinien mieć wydanych sobie kilkadziesiąt ładunków i nosić mundur województwa. Regiment szykować się ma we dwa szeregi: w pierwszym szlachta, w drugim żołnierze z mieszczan i chłopów. Exercerunek zasadzać się ma na najniezbędniejszych obrotach i czynnościach: „W lewo, w prawo zachodź! Gotuj! Cel! Pal!“

W tym projekcie swoim Kościuszko przeprowadził reformę pospolitego ruszenia na wzór milicji amerykańskiej, powołując do niego ludzi wszystkich stanów.

Widzimy z tego również, iż nie zaniedbywał, siedząc w zaciszu domowym, spraw wojskowych, jakby szykując się do tego, iż po krótkim wypoczynku Ojczyzna powoła go na służbę swoją, że nadejdzie czas, iż będzie mógł jej poświęcić i zdolności, i wiedzę, i nawet krew swoją.

VIII.

Na służbie Ojczyzny.

Wybiła stanowcza dla Polski godzina, w której mogła i powinna była przypomnieć się światu, wyjść z bezwładności i haniebniej opieki rosyjskiej. Współzaborca, Prusy, pokłóciły się z Austrią i Rosją, poszkodowane mocarstwa, Turcja i Szwecja, podno-

siły broń do walki. Zaczęto się pytać o Polskę, przyznawano jej napowrót pewne znaczenie polityczne.

W samej Polsce tymczasem utworzyły się dwa stronnictwa: jedno, dążące do przymierza z Rosją, wrzęgnięcia się do tryumfalnego wozu carycy Katarzyny i wysłużenia u niej pewnych korzyści politycznych,—drugie zaś, zwrócenia się przeciwko Rosji, korzystania z chwili zamętu w celu odzyskania niezawisłości politycznej i przeprowadzenia reform potrzebnych.

Pierwsze stronnictwo sprowadzało naród cały do roli dorabiającego się wyzwolenia niewolnika, szło wbrew wiekowym krzywdom, wbrew sponiewieranej godności narodowej, nie wychodziło poza małoduszny program tych, którzy, nie wierząc w możność rozbudzenia sił narodowych, grzęźli w ślepym uznaniu niepokonalności Rosji a poczuciu własnej słabości.

Przywódcą jego był król, żywiący nadzieję powiększenia swej władzy królewskiej. Na zjeździe w Kaniowie, gdzie chylił się do stóp potężnej carycy, przyjął na siebie rolę zależnego królika, który z generałami mocarza uganiał się o lepsze w oddawaniu usług zaborczej potędze. Za królem szli zauszownicy jego, stronnicy i krewni, ludzie, których forytował w Radzie Nieustającej i innych wydziałach rządowych; ludzie, którzy byli stałymi agentami na żołdzie Rosji, którzy wzrosli na grabieży dóbr publicznych i którzy wiedzieli, że wszelkie reformy muszą się zacząć od usunięcia ich od steru władzy. Należała też do nich i część opozycji, pełna ambicji, która spodziewała się po Rosji reform, lecz tylko na wyłączną swoją korzyść. Należeli też i fanatyczni zwolennicy wolności, dochodzącej aż do anarchji, w przymierzu z Rosją widzący gwarancję tej wolności.

Do drugiego stronnictwa garnęli się wszyscy ci, którzy w ciągu lat pokoju i bezwładności politycznej nie strawili strasznych upokorzeń, nie zapomnieli o krzywdzie, narodowi przez swoich i obcych wyrządzonej, którzy, w ciągu lat poznawszy lepszą oświatę i wiedzę zagraniczną, pragnęli zdobycze swoje w Polsce zastosować, którzy wreszcie pojmowali, że sprawa reformy najściślej z sprawą niepodległości jest połączona, że więc żadnej reformy korzystnej za pomocą gospodarzącej od lat tylu, a hołdującej najcięższej niewoli Rosji przeprowadzić nie można.

W stronnictwie tym znaleźli się naturalnie ci wszyscy, którzy na podległość narodu narzekali, którzy z istniejącej opieki rosyjskiej zadowoleni nie byli, którzy nie korzystali z jej hojnych dla nikkczemności politycznych ofiar, a którym Rosja, jako ciemiężycielka, dała się we znaki. Na Rosję, która w dalszym ciągu, po rozbiórce, gospodarowała w Polsce, spadł cały ciężar nienawiści powszechnej, podczas gdy Austria i Prusy, zagarnawszy część swoją, nie mieszały się wcale do spraw polskich. Powszechne więc usposobienie zwracało się przeciw Rosji, krzyczeli na nią wszyscy nie splamieni udziałem w rozdrapaniu dobytku Ojczyzny; polityka antyrosyjska usankcjonowana była przez uczciwą opinię powszechną, jak rosyjska szła wbrew tej opinii.

Przy stronnictwie tym grupował się znaczny zastęp ludzi młodszych i starszych, którzy rozpatrywaniem stosunków krajowych i porównywaniem ich z zagranicznymi przekonali się, że Polska wcześniej lub później z karty Europy zniknie, jeżeli nie przeprowadzi podwójnego dzieła odrodzenia się wewnętrznego i odzyskania utraconej niezawisłości politycz-

nej, jeżeli nadarzającej się sytuacji na korzyść tego przedsięwzięcia nie wyzyska.

Wszyscy na jedno się zgadzali, że potrzeba znacznego wojska, silniejszego rządu, sojuszów zagranicznych, by zrzucić gwarancję i odpowiedzieć za skutki tego zrzucenia. Było to wynikiem nowej oświaty, nowych studjów, nowego zupełnie kierunku u młodszych, wynikiem zacnego postanowienia u starszych. W całej prawie Polsce powiał ten sam duch reformy, pewny siebie, gorączkowy, jaki wiał u Francuzów, gdzie miał doprowadzić do krwawej rewolucji.

Ożywieni świętą wiarą w słuszność swej sprawy, zjednoczyli się wszyscy zacni ludzie pod sztandarem patryjotycznym, choć jeszcze nie mieli ani tak wybitnego i sformułowanego programu, ani tak zorganizowanych szyków, jak je miało stronnictwo rosyjskie, nie mieli jeszcze znanych przywódców, bo ci dopiero z czasem znaleźć się mieli.

I podczas gdy stronnictwo rosyjskie, wzorowo zorganizowane, występowało z programem, pochodzącym z braku wiary, z braku sumienia obywatelskiego — stronnictwo patryjotyczne było raczej zastępem dźwigającego się narodu, ruchem samodzielnym, naturalnym.

Stronnictwo patryjotyczne było niezawodnie objawem postępu i odrodzenia, ale takiego, na jaki stać było naród, zgangrenowany długim nierządem, ciemnotą, upadkiem cnót publicznych i uciskiem obcych, demoralizujących mocarstw.

Za głowy stronnictwa uchodzili: dwaj bracia Potoccy, Ignacy i Stanisław, Adam ks. Czartoryski, Stanisław Małachowski i ks. Hugo Kołłątaj. Pierwsi dwaj celowali świetną wymową, znakomitym wykształceniem, szlachetną ambicją; Małachowski czystością

i prawością charakteru; Czartoryski odznaczał się dobrymi chęciami, a ks. Hugo Kołłątaj znany był już, jako reformator akademji krakowskiej, na stanowisku referendarza litewskiego rósł w wpływy i znaczenie w miarę posuwającej się naprzód radykalnej roboty sejmowej. Za tymi koryfeuszami stał liczny zastęp młodej, oświeconej, najszlachetniejszymi zamiarami ożywionej generacji, a słuszość sprawy, której bronili, zapal, który szerzyć umieli, tworzył z każdym dniem nowych stronników.

Wszystkie stronnictwa zgadzały się w wielu punktach z sobą. Wszystkie rachowały na sejm najbliższy, wszystkie pragnęły powiększenia wojska, a więc i powiększenia podatków.

Zebrał się wreszcie pamiętny sejm r. 1788-go. Głos publiczny wzywał Stanisława Małachowskiego na marszałka. Wskazywał go piszący pod pseudonimem „Anonima“ Kołłątaj, jako najodpowiedniejszego kandydata, zgadzał się król, Rada Nieustająca i Stackelberg. Konfederacja wszakże miała, podług planu króla i Stackelberga, powstać na sesji Rady. Sprzeciwił się temu najenergiczniej Małachowski, żądając, aby i konfederacja, i wybór marszałka przeszły przez wota całego sejmu. Groźby Stackelberga nie ugięły umysłu zacnego obywatela; cofnął żądanie swoje wszechwładny poseł, po raz pierwszy do umiarkowania zmuszony.

Skład sejmu tego nader mieszany przedstawiał widok. Obok głównych winowajców rozbioru Polski zasiadali ludzie młodzi, po raz pierwszy występujący. Zarzucony już przez wielu strój narodowy znów odzyskał przewagę, tak że po francusku nosili się przeważnie senatorowie.

Za podniesieniem laski przez posła poznańskie-

go, Kwileckiego, powszechny głos wezwał na marszałka Stanisława Małachowskiego. Następnego dnia izba poselska połączyła się z senatorską, Małachowski odczytał projekt konfederacji, który jednogłośnie przyjęto. Konfederacja wiązała się przy wierze świętej, całości Rzeczypospolitej, rządzie wolnym, osobie króla i magistraturach istniejących, „w celu“ powiększenia siły zbrojnej ofiarą majątków, „zachowując sobie“ te ulepszenia wewnętrzne, których potrzebę uzna, a nie wdając się „w prywatne interesa“.

Marszałkiem konfederacji koronnej został obrany już marszałek sejmowy, litewskiej — Kazimierz Nestor Sapieha, generał artylerji litewskiej. Do zwykłej ich przysięgi dodano, aby na żądanie senatora lub posła sekretne zarządzali wotowanie, z wyjątkiem sprawy podatków. Zręczny ten dodatek był lekarstwem na brak odwagi cywilnej w kraju, zawojowanym przez wpływy stronnice i obce. Wyjęto podatki, przy których wotowaniu zbawienne współzawodnictwo szczodrości wymagało jawnego głosowania. Nie potrzebujemy dodawać, iż głosować miano większością podług zwyczaju konfederacji.

Król i stronnicy Rosji gotowali się właśnie do podania skonfederowanym stanom projektu przymierza z carycą, gdy poseł pruski, Buchholtz, wystąpił z notą, która inaugurowała urzędownie nową politykę Prus wobec Polski.

W nocy tej zawiadamiał Buchholtz o krokach swego dworu w Petersburgu przeciw zamierzonemu przymierzowi polsko-rosyjskiemu czynionych. „Jeżeli to przymierze — głosiła nota — ma na celu utrzymanie całości Polski, nie widzi król pruski żadnej potrzeby zawierania go, gdyż całość Polski gwarantują trzy mocarstwa; widzieć zaś musi zamach na siebie

uczyniony. Jeżeli przymierze to ma na celu wojnę z Turcją, widzi w nim oczywiste Rzeczypospolitej niebezpieczeństwo i złamanie układów z mocarstwami, które trwałość karłowickiego pokoju dla niej gwarantowały. W razie pierwszym ofiaruje król ze swojej strony przymierze Rzeczypospolitej, w razie drugim myśleć musi o środkach, zabezpieczających równowagę europejską i całość krajów swoich. Zamierzonej aukcji wojska polskiego król pruski nie może jak być przychylnym, byle ta przeciw Turcji na szkodę własnego kraju zwróconą nie była“.

Zręczna nota pruska sprawiła wielkie wrażenie. Na sesjach prowincjonalnych, które 13 października nastąpiły, poruszono sprawę aukcji wojska i ustanowienie nowych podatków.

Dnia 20 października wniósł stary konfederat barski, Michał Walewski, wojewoda sieradzki, w pełnym sejmie projekt uchwalenia stutysięcznej armji, który z niewymownym zapalem przez powszechną przyjęto aklamację. Dnia 24 tegoż miesiąca wniesiono projekt uchylenia departamentu wojskowego, a ustanowienia komisji wojskowej, złożonej z pięciu wojskowych i dwunastu osób cywilnych pod kolejną prezydencją czterech hetmanów. Pierwszy ten zamach na konstytucję zagwarantowaną popierało stronnictwo hetmanów i Szczęsnego Potockiego razem z patryjotami, w chęci opanowania stworzyć się mającej siły wojskowej. Komisja wojskowa, płód nieudolny i ciężki, przyjęta została sekretną większością 14-tu głosów.

Dnia 27 października odpowiedzieli obaj marszałkowie na notę Buchholtza w imieniu konfederacji. Dziękując za „wspaniałe dworu berlińskiego sentymenta“, zaręczali obaj marszałkowie, że projekt

przymierza z Rosją nigdy ani w Radzie Nieustającej, ani w sejmie skonfederowanym traktowany nie był, że sejm ma powiększenie wojska dla obrony kraju na celu, że w razie gdyby mu aljans przedłożonym został, postąpi sobie jawnie, „stosując się do niepodległości swego samowładztwa, do przepisów roztropności i do winnych na przyjazne króla pruskiego sentymenta względów“. „A kiedy wola ogólna narodu, zawsze prawa i zawsze publiczna, stała się duchem obrad niniejszego sejmu—kończy nota—przyłożą się stany Rzeczypospolitej, aby w umyśle Jego Królewskiej Mości króla Prus zjednały sobie chwalebny oświecenia i patryjotyzmu zaszczyt“.

Stackelberg otrzymał z Petersburga rozkaz, aby o przymierze nie napierać. Tym energiczniej wystąpił za to poseł w obronie zagwarantowanej formy rządu z r. 1775-go, gdy Matuszewicz, poseł brzesko-litewski, zaczął Radę Nieustającą jako zgubną wolności i zażądał, aby sejm dla kontrolowania jej trwał nieprzerwanie.

„Najjaśniejsza imperatorowa—pisze Stackelberg w lodowatej nocy z dn. 5 listopada—nie zniesie najmniejszej zmiany w konstytucji 1775-go r., uważając każdą zmianę za zgwałcenie traktatu“.

Po odczytaniu noty Stackelberga przemówił król za bezwzględny dla niej posłuszeństwem.

„Chcę miłości narodu—była treść mowy króla—ale nie chcę jej nabywać czym innym tylko prawdą. Jeżeli nie zechcemy zachowywać traktatów, narazimy się na zemstę. Znam odwagę narodową, ale jestem przekonany, że roztropność nie każe nam porywać się do walki, choćby nam tego nie zabraniała świętość narodowych warunków. Siły i wojska nie mamy. Żądamy innej formy rządu, zamiast stopniowo

ulepszać. Raptowne rewolucje są niebezpieczne. Mówię wyraźnie i głośno, że nie masz potencji żadnej, którejby interesy mniej się spierały z naszymi, jak Rosji. Przypominam, że do terażniejszego zamysłu wzmocnienia naszych sił narodowych Rosja nie tylko nam żadnej nie czyni przeszkody, ale owszem najchętniej zezwala. Nie trzeba więc drażnić jej, ale najlepszą z nią zachowywać przyjaźń“.

Większość izby przyjęła mowę i notę z oburzeniem. Król śpiewał starą piosnkę, którą od lat kilkunastu niecierpliwość młodego pokolenia uspokajano. Dla ukołysania umysłów zawiesił król sesję sejmową do 10 listopada. Tymczasem wyprawiono dnia 7 listopada z sesji prowincjonalnych obu marszałków do króla z żądaniem, aby sesji samowolnie nie zawieszano, sejm dla obmyślenia sum na wojsko potrzebnych przedłużono, kilka pułków polskich na Ukrainę dla bezpieczeństwa obywateli tamtejszych od buntów chłopskich posłano, a na ubliżającą narodowi notę Stackelberga odpowiedziano żądaniem ewakuacji wojsk rosyjskich i wysłaniem ambasadorów na dwory zagraniczne.

Król na sesji 10 listopada poparł przedłużenie sejmu do 15 grudnia, wniesione przez Świętochowskiego, posła wołyńskiego, usty kanclerza Jacka Małachowskiego, znanego stronnika Rosji. Stronnictwo hetmanów i Szczęsnego Potockiego nie sprzeciwiało się wcale nowemu prądowi opinii, rade, że się zwróciła przeciw królowi i Radzie Nieustającej.

Jakoż atak dni następnych głównie króla i Radę miał na celu. Weyssenhoff i Kublicki, posłowie inflanccy, i Suchodolski, poseł chełmski, napadli z gwałtownością instytucję Rady Nieustającej. Wniosek, aby komisję wojskową wyswobodzić z pod władzy

Rady, poparło całe Szczęsne i hetmanów stronnictwo. Dnia 14 listopada rozpoczęły się obrady nad odpowiedzią Stackelbergowi. Stanisław Potocki wystąpił z całą gwałtownością przeciw gwarancji rosyjskiej. Suchodolski wołał: „Lepiej raz umrzeć, niż konać!“ Nawet senatorowie, Mniszech, marszałek wielki koronny, i Krzysztof Szembek, biskup płocki, przemawiali za komunikowaniem noty Stackelberga i odpowiedzi polskiej dworom zagranicznym. Eustachy Sanguuszko, poseł lubelski, żądał, aby z odpowiedzią podano notę o ewakuację wojska rosyjskiego z Ukrainy. Michał Czacki, poseł czernihowski, domagał się, aby albo dać odpowiedź godną niepodległego narodu, albo na ostrzu pałasza szukać udzielnosci Rzeczypospolitej.

Skutkiem tak gorącego wystąpienia była nota z dnia 17 listopada, obstająca poważnymi słowami przy niepodległości prawodawczego działania sejmu i oświadczająca nadzieję, że carowa odmiany konstytucji z r. 1775-go, ku ulepszeniu wewnętrznego rządu zmierzające, przychylnie powita. „Negocjacje z najjaśniejszą imperatorową i ze wszystkimi sąsiedzkimi dworami w tym względzie upatruje sejm za najprzystoitszy środek“. „Wyrazy mniej oczekiwane—kończy nota—wzbudziły czułość narodu, a dzień odstąpienia przyjaźni tak wielkiej monarchini w chęciach swych odalając, Rzeczpospolita poczytałaby go za dzień powszechnego żalu“.

Jeżeli te wyrazy miały na celu zbyt szanowanie sąsiedzkiego stosunku, to druga nota, żądająca bezzwłocznej ewakuacji wojsk rosyjskich, przemawiała tonem stanowczym, nie podlegającym żadnej dwuznaczności.

Nie ulega wątpliwości, że Kościuszko z nad-

zwyczajnym zajęciem śledził przebieg prac sejmu, zwłaszcza w sprawie zwiększenia zastępów wojskowych. Otwierało się dla niego pole do pracy, mógł nieść nareszcie służby umiłowanej Ojczyźnie. Już teraz nie potrzebował się troszczyć o kupno szarży generalskiej, gdyż przy powiększeniu wojska otwierał się cały szereg awansów oficerskich na różne stopnie, i to już nie przez kupno szarż, lecz na podstawie nominacji królewskiej.

Sprawę jego poruszyli również i współpowietnicy, brześcianie, zalecając w instrukcji posłom swoim, Matuszewicowi i Kazimierzowi Nestorowi Sapieże, ażeby polecili stanom Kościuszkę i Zabiellę do szarż wojskowych.

Znalazł również Kościuszko nader gorliwą protektorkę w dawnej miłości swojej, Ludwice z Sosnowskich Lubomirskiej. W dniu 18 października pisała ona do króla co następuje:

„Najjaśniejszy Panie!

Trzeba być przekonaną, jak jestem, o dobroci serca Waszej Królewskiej Mości, aby ośmielić się zanieść do Niego prośbę ze szczerością i zaufaniem zupełnym, bez względu na uczucie delikatności, któreby mnie od tego wstrzymywało. Znane są Waszej Królewskiej Mości dawne stosunki między mną i panem Kościuszką, które go na czas długi oddaliły i były źródłem jego nieszczęść. W wynagrodzeniu czuję się obowiązana zająć się jego losem. Poważam się więc najusilniej prosić Waszą Królewską Mość o umieszczenie go w wojsku, do czego teraz właśnie nadarzy się niejedna zręczność. W Ameryce służył on zaszczytnie w tym zawodzie, a jeżeli gorliwą była jego służba u cudzoziemców, to o ileż z większą jeszcze gorliwością będzie się starał być użytecznym własnej Ojczyźnie.

Proszę Waszą Królewską Mość o pobłażanie, gdyby prośba moja wydała się zuchwałą, i zaklinam Go, aby została w tajemnicy; znając zaś dobroć Waszej Królewskiej Mości, pochlebiam sobie, że bezskuteczną nie będzie“.

Przykre wrażenie sprawia ta protekcja i prośba magnatki za chudym pachołkiem, choć zasłużonym w Ameryce generałem, jakim był Kościuszko. Złożyć go należy na karb fatalnych stosunków, które się przez długie lata w narodzie zakorzeniły, a które dopiero sejm wielki miał wypłenić.

List ten świadczy tylko o niewygasłej miłości księżny Lubomirskiej do Kościuszki; nie poprzestała też na nim tylko... poruszyła wszystkie literalnie sprężyny, ażeby dopiąć swego, i coraz listownie zawiadamiała Kościuszkę o przebiegu swych starań.

Wstawiali się co prawda za nim i inni, jak poseł inflancki, Kublicki, który wyrażał się o nim pochlebnie, że szukał sławy w niedawno zakończonej wojnie amerykańskiej. Poparł go Fryderyk Moszyński, przypominając przytym, że Kościuszko był wychowawcą Korpusu kadetów.

Polecał go i Czartoryski, generał ziem podolskich, łącznie z innymi generałami korpusu, „którzy, za granicą będąc, musieli się dystyngować w swych talentach“. Na następnej sesji znów Sapieha zastrzegł, że chociaż nie chce poruszać spraw osobistych, ma wszakże obowiązek z mocy instrukcji, od sejmiku otrzymanej, zalecić Zabiellę i Kościuszkę, a czyni to tym chętniej, że „Kościuszko ma wielkie osobiste przymioty swoje i, kiedy się nauczył krew lać za cudzą ojczyznę, zapewne jej oszczędzać nie będzie za własną“.

Również o pierwszeństwo dla kadetów przy roz-

dawaniu szarż upominali się posłowie Mierzejewski i Fr. Moszyński.

Według wspomnień Soroki, Kościuszko w roku 1788-ym jeździł do Warszawy z wojskim Zaleskim i na jednej z sesji był obecny. Słyszał też zalecenia posłów i dziękował im ukłonem, stojąc na samym końcu ław poselskich. Przedstawiał się również i królowi, któremu ofiarował jakiś sztych.

Wrócił potym na wieś, gdzie oczekiwał wieści ze świata, wieści, któreby mu upragnioną nominację przyniosły, a którą mu nadesłać miała ukochana niegdyś Ludwika.

Toż otrzymał od niej w maju list następującej treści:

21 maja r. 1789-go w Sosnowicach.

„Rzuć okiem, drogi przyjacielu, na datę tego listu, a ujrzysz, że jestem w miejscu wspomnień. Nie mogę go też opuścić bez dania Ci wiadomości o sobie i nie wyraziwszy życzenia, abym je otrzymała od Ciebie.

Od dwóch tygodni bawię tutaj. Wbrew spodziewaniu, nie zastałam mojej matki i przepędziłam sześć dni sama, oczekując jej z dwojgiem dzieci moich. Pomyślisz, żem się nudziła...

Przeciwnie. Oddana myślom swoim, wśród obrazu wiosny rozkwitającej, przebiegłam miejsca, nastroczające mi wspomnienia to przykre, to przyjemne. Pierwszych więcej daleko, jak wiesz to dobrze, drogi przyjacielu. Dostyc, że pobyt mój tutaj zawsze mnie rozrzewnia i przepędzam całe godziny na rozpamiętywaniu przeszłości. Podczas nieobecności mojej matki chciałam pojechać do Wisznic, dlatego — wyznaję to otwarcie — aby być w Twoim sąsiedztwie, liczyłam bowiem na to, że może przypadek nastroczy

mi przyjemność spotkania się z Tobą. Ale ponieważ matka pisywała mi z Ratna, że już przyjeżdża, musiałam przeto zmienić zamiar. Teraz pogadajmy trochę o Tobie samym. Przed wyjazdem moim z Warszawy była mowa o Tobie, drogi przyjacielu, a król, wspominając o rycinie, którą mu dałeś, rozczulał się nad Tobą (rozczulanie się, jak wiesz, przychodzi mu bardzo łatwo), chwalił zachowanie się Twoje w Ameryce i rzekł, że trzeba Ci koniecznie zapewnić stopień wojskowy. Obecna księżna R. Radziwiłłowa, która często mówi mi o Tobie, podtrzymywała dobre usposobienie króla, popierając Twoją sprawę.

Przed opuszczeniem Warszawy rozmawiałam o Tobie ze wszystkimi przyjaciółmi, a możesz być pewny, że masz ich wielu. Oczekują tylko tego przedwiecznego etatu wojska, o którym ma być mowa dopiero w końcu czerwca.

Wczoraj jeszcze pisałam do generała artylerji, który chociaż stracił część swej wziętości u narodu, ma ją za to u króla—do księżnej Radziwiłłowej, do małogoskiej. Pan Stanisław, marszałek i wszyscy Potoccy są mymi agentami, którym działać polecę przy zbliżaniu się tego etatu wojska. Ale, jako najlepsza przyjaciółka Twoja, radzę Ci, abyś koniecznie wtedy był w Warszawie, bo nieobecni często nie miewają racji. Co do Twojego siostrzana, drogi przyjacielu, mówiono o nim mojemu mężowi, który rzekł: bardzo dobrze. Sądzę jednak, że trzeba czekać etatu wojska, dla awansu między oficerami. Przypuszczam, że mąż mój wtedy będzie w Warszawie i łatwo Ci przyjdzie kazać mu go przedstawić. Powiedz mi tylko, drogi przyjacielu, w jakim stopniu chciałbyś go umieścić. Pragnęłabym, aby służył w pułku mego męża; czuwałabym wówczas zdaleka nad jego

młodością i konduita. Opieka, którą otoczę siostrzana, niech przekona wuja, jak drogą jest i pozostanie aż do śmierci jego pamięć. Piszę Ci to wszystko, drogi przyjacielu, w kolebce, którą znasz; dotychczas bowiem lękam się, aby mnie matka moja nie podpatrzyła.

Nazwisko Twoje nie przechodzi nigdy przez jej usta; jest ono wymazane z jej alfabetu, lecz doskonale za to przechowało się w moim. Rozmawiam często o Tobie z mymi kuzynkami, panną Teklą Sosnowską, którą bardzo kocham, i ze starościanką. Gdyby pierwsza była majątniejszą, chciałabym, żebyś się z nią ożenił, bo to osoba nadzwyczaj dobra i zawsze ładna. Odpowiedź swą, drogi przyjacielu, prześlij mi pod adresem mojej siostry w Horynce. Pojutrze opuszczam Sosnowicę i to z żalem, chciej mi wierzyć. Matka moja tak dobrą jest dla mnie, że chociaż niema między nami zupełnego zaufania z powodu odmiennego widzenia rzeczy, chętniebym jednak oddała za jej szczęście całe lata życia, bo te nudne interesa i gospodarstwa kłopotczą ją i podkopują jej zdrowie. W połowie czerwca z Horynki wyjechać mam do Spaa, aby zobaczyć się z synem moim, Henrykiem, i księżną marszałkową, jeżeli pan mój i władca—to jest ta istota, którą mężem nazywamy — przyśle mi swoje zezwolenie i pieniądze. Pragnę tego bardzo, ale nie wiem jeszcze, jak się stanie. Poczciwy Plater ma być twoim mentorem. Napisz mi więc zaraz, drogi przyjacielu, pod adresem mojej siostry. Radabym, abys był przekonany, że w nikim pod słońcem los Twój nie budzi żywszego i prawdziwszego zajęcia, niż we mnie. Nie myślę nigdy o Tobie bez pewnego wzruszenia serca i duszy. I rzecz to bardzo prosta: dusza moja nie

jest niewdzięczną, a Tyś w niej rozwinął pierwsze uczucie tkliwości. Nieszczęścia Twoje zawsze mnie żywo obchodziły i chciałabym własnym szczęściem okupić szczęście Twoje i zadowolenie. Mów mi dużo o sobie, drogi przyjacielu, co robisz, z kim żyjesz, czy się myślisz żenić. Niechaj żaden z dni Twoich, które, jako filozof, tak dobrze umiesz zapełniać, nie upłynie bez wspomnienia o najlepszej Twojej przyjaciółce. J. L. L.“.

Czyż list ten nie daje dostatecznych dowodów trwałości uczuć dawnych kochanków, pomimo tylu lat rozłąki? Z czułością wielką myślała Ludwika Lubomirska o tym, który w duszy jej rozwinął pierwsze uczucie tkliwości. Troszczy się o niego, zabiega o los jego, a nawet uczucia swe przenosi na siostrzaną jego, nad którego młodością i konduityą czuwać zamierza. Miłość ta jest czystą, bez cienia zazdrości, gdyż doradza ukochanemu, by się ożenił, a nawet swata mu kuzynkę swoją, Teklę Sosnowską, osobę „zupełnie dobrą i zawsze jeszcze ładną“.

A tymczasem sejm pracował gorliwie nad kwestjami skarbowymi, sądowymi, dyplomatycznymi, oraz nad 100,000 zaciągiem wojskowym. Przy każdych rozprawach prawie polecano sejmowi Kościuszkę i innych generałów, którzy w służbie zagranicznej odpowiednio nauki nabyli.

Domagano się również i powrotu do kraju służącego w wojsku austriackim ks. Józefa Poniatowskiego i przyjaciela jego, Wielhorskiego.

Wreszcie w dniu 28 września wystąpił Seweryn Potocki z obszerną rekomendacją dziewięciu kandydatów, wśród których był i Kościuszko. Na sesji dnia 1 października podano listę kandydatów na generał-majorów, według której król, pominąwszy Wit-

ta, Jabłonowskiego i Czapskiego, zamianował pięciu: ks. Józefa Poniatowskiego, Suffczyńskiego, Zabiellę, Kościuszkę i Orłowskiego.

Znalazł się więc wreszcie Kościuszko na służbie narodowej, nie kupując szarży generał-majora, za którą musiałby zapłacić co najmniej 100,000 złp., z płacą 12,000 złp. rocznie.

Nominacja ta jednak nie we wszystkim odpowiadała pragnieniom Kościuszki. Zaliczono go do wojska koronnego, gdy marzeniem jego była służba na Litwie, z którą zżył się i którą ukochał. Starał się o przeniesienie, lecz w dniu 13 listopada 1789-go r. otrzymał odpowiedź odmowną. Godząc się z losem, wybrał się natychmiast w drogę, oddając Siechnowice pod zarząd siostry, Anny Estkowej.

Było to ostatnie rozstanie z nimi, gdyż już nigdy potym nie miał ich oglądać.

Stosownie do dokonanego w dniu 20 listopada 1789-go r. podziału, wojska koronne dzieliły się na cztery dywizje: pierwszą, wielkopolską, dowodził generał Malczewski; drugą dowodził generał Alojzy Brühl; trzecia, małopolska, nie miała jeszcze wyznaczonego dowódcy; czwartą dowodził czasowo Szczęsny Potocki.

Kościuszko wraz z Mycielskim dowodzić mieli brygadami w dywizji pierwszej, pod komendą Malczewskiego.

Na pierwszą kwaterę wyznaczono mu Włocławek, nad Wisłą położony, w pobliżu prowincji, zagarniętych przez Prusy przy podziale. Nieswojo czuł się tam Kościuszko, wśród ludzi obcych mu zupełnie i dalekich, wśród niezbyt miłych stosunków służbowych.

Zwracał się w listach do znajomych z prośbą

o pomoc w przeniesieniu go na Litwę, przyczym troszczył się wciąż o Siechnowicze, o gospodarkę w nich, o chłopów.

Wyraz tego znajdujemy w licznych listach, które w czasach owych dość gęsto do siostry pisywał.

Zajęcia nie miał zbyt dużo; należało do niego ściąganie oficerów „do pełnienia przepisanej powinności“, przyjmowanie dostarczanych rekrutów i rekwizytów wojskowych. Odwiedzał też często Warszawę, już to w interesach służbowych, już też prywatnych i spotykał się tam z Amerykaninem Jonesem, oraz poznał się z przywódcami stronnictwa reformy, jak Ignacym Potockim, wówczas marszałkiem wielkim litewskim, i Hugonem Kołłątajem, podkancelarzem koronnym. Zaznajomił go z nimi Julian Ursyn Niemcewicz, poseł sejmowy, nadzwyczaj czynny i głośny w literaturze, współredaktor „Gazety Narodowej i Obcej“, z powodzeniem konkurującej wtedy z monopolową „Gazetą Warszawską“ ks. Łuski, eks-Jezuity, oraz autor dramatów patryjotycznych, wystawianych wtedy w teatrze i wielkim cieszących się powodzeniem.

Z Kołłątajem nawet zawiązał Kościuszko stosunek ściślejszy i był przez niego wielce ceniony. Świadczy o tym następujący urywek z korespondencji:

„Gdyby potrzeba było słów na szczere tłumaczenie się, ile szacuję przyjaźń JWP. Dobrodzieja, którego wprzód kochałem, szanowałem i uwielbiałem, nim los zdarzył poznać jego osobę, zapewne przykładałbym najusilniejszego starania, abym w częstych odezwach tłumaczył serce i sposób myślenia mego. Lecz nie na oświadczeniach chcę kończyć, czym zaczął. Wiem, że JWP. Dobrodziej zna mię z spraw osobistych; ja też nawzajem w krótkim obcowaniu

przekonany zostałem, że przywiązanie się do Jego osoby nie tylko czyni mi honor, ale zasługę w oczach narodu i ludzkości“.

Sejm tymczasem pracował gorliwie, zwłaszcza że poseł pruski, Buchholtz, podniecał stronnictwo reform nadzieją odrodzenia Polski.

Zdecydowano się wysłać posłów do wszystkich dworów europejskich. W dniu 19 stycznia uchwalono zniesienie Rady Nieustającej, 25 stycznia postanowiono zaciągnąć 10-miljonową pożyczkę zagraniczną, poczem zdecydowano cały szereg podatków. Ofiarność zaczęła budzić się w narodzie, a król pierwszy dał do niej przykład, składając 80,000 złp. na wojsko.

Oprócz wielu spraw wewnętrznych, stronnictwo patryjotyczne dążyło usilnie do zawarcia z Prusami przymierza, skierowanego głównie przeciw Rosji, a pośrednio i przeciw Austrii.

Powaga, jaką wtedy Prusy cieszyły się w Europie, gotowość ich do boju, oraz względy, jakich ze strony Austrii i Rosji doznawały, czyniły przymierze z państwem Fryderyka Wielkiego prawdziwą kotwicą zbawienia, bo od stanowiska Prus zdawały się zależeć losy Europy. Alians z Prusami był wreszcie i pod względem materialnym nadzwyczaj popularnym u szlachty, bo obiecywał korzyści dla przeciążonego cłami handlu zbożowego.

Już w grudniu r. 1789-go uchwalono w zasadzie zawarcie przymierza, opatrując deputację stosownym pełnomocnictwem. Dnia 17 lutego 1790-go r. przyjechał świeży poseł, Lucchesini, z nowymi instrukcjami z Berlina, dokąd się był udał. Ofiarował on przymierze odporne i niżenie cła wiślanego z 12-tu na 6 procent, żądając odstąpienia Gdańska i Torunia. Popierający żądania Lucchesiniego poseł angielski,

Hailes, obiecywał Polakom przyjęcie Rzeczypospolitej do federacji Anglii, Turcji, Szwecji i Prus.

Wiadomość o traktacie turecko-pruskim z dnia 31 stycznia r. 1790-go sprawiła niemałe wrażenie. Obiecywano sobie pewną wojnę na wiosnę, która od zajęcia Śląska górnego i Galicji rozpocząć się miała. W dniu 3 marca zawiadomił izbę posel szwedzki Eugerström, że Szwecja ofiarowanych przez carową warunków pokoju przyjąć nie może i wojnę dalej prowadzić będzie.

Rozpoczęte dn. 8 lutego r. 1790-go sesje tchnęły duchem świeżo rozbudzonych nadziei. Powołano za granicą służących oficerów polskich. Król zagrzewał gorąco do spraw podatków i wojska, ofiarował klejnoty swoje, wartości 500,000 złp. Liczne dary poszły za jego przykładem. Na wniosek Zalewskiego, posła trockiego, uchwalono nowe podwójne podymne. Warszawa złożyła 1,200,000 złp. jednorazowego podatku. Wbrew posłom stronnictwa Branickiego ustanowiono komisarjat, komisji wojskowej poddany, mający się zająć zakupem broni, amunicji i innych przyborów wojennych. Komisji wojskowej zlecono zakładanie magazynów żywności i prochu, nie mniej jak najśpieszniejsze rekrutowanie. Komendę szesnastotysięcznego korpusu, przeznaczonego na granicę galicyjską, oddano świeżo nobilitowanemu Ludwikowi księciu Wirtemberskiemu, zięciowi księcia Adama Czartoryskiego i krewnemu króla pruskiego.

Stronictwo Branickiego użyło całej swej przewrotności, aby przymierze pruskie utrudnić. Odstąpienie Gdańska i Torunia, o którym mówiono, podało łatwą broń na przyjaciół Prus. „Nowy to podział Polski“ — mówiono. Zabezpieczając się przeciw temu zarzutowi, tym słuszniejszemu, że Prusy żądały

nagrody przed czasem, że oddanie Gdańska i Torunia mogło tylko nastąpić jako zamiana na zdobytą Galicję, wystąpiło stronnictwo patryjotyczne z odłączeniem traktatu przymierza od traktatu handlowego, usuwając w ten sposób kwestję Torunia i Gdańska na czas dalszy. Wtedy zażądało stronnictwo Branickiego obu traktatów, jako nierozłącznych i nieodbycie potrzebnych. Poparł je interes handlowy szlachecki a sesja 15 marca, na której rozprawiano o traktacie, była bardzo burzliwą.

Król Stanisław August, występujący dnia 15 marca po raz pierwszy jako jawny stronnik Prus i patryjotów, mówił: „Jeżeli przez niedojście aljansu szkody wielkie i trwałe poniesie Polska, z waszego wyroku, z waszą będzie winą. Od większości zdań się nie odpiszę, bo hasłem moim jest: Król z narodem, a spodziewam się, że będę słyszał napowrót hasło: Naród z królem“.

Projekt przymierza z Prusami przeszedł znaczną większością głosów, stronnictwo Branickiego zostało sromotnie pobite na głowę. Mimo wszystko, przymierze to było bardzo korzystne w wytworzonych warunkach dla Polski. Projekt gwarantował obu państwom całość, zastrzegając przytym przyjazne załatwienie kwestji granicznych, oraz wzajemne wspomaganie się w wojnach odpornych: Prusy na przypadek wojny obowiązane były dać na pomoc Polsce 14,000 piechoty i 4,000 kawalerji, a Polska wzamian miała dać 8,000 kawalerji i 4,000 piechoty, przyczym w razie potrzeby siły te miały być znacznie powiększone.

Na skutek listu Stanisława Augusta, król pruski cofnął propozycję co do oddania Gdańska i Torunia.

W sejmie tymczasem wrzała praca, skierowana przeważnie przeciwko Rosji i jej stronnikom. Odbie-

rano im dobra, nieprawnie zagrabione, obkładano podatkami, a chcąc wzmocnić wpływ unji, gnębionej przez prawosławie, metropolitę unickiego, Rostockiego, zaproszono do senatu.

W takich warunkach nie miał już co robić w Warszawie Stackelberg, który z wszechwładnego pana zeszedł do roli mało znaczącego rezydenta, znienawidzonego powszechnie. Odwołano go, a dopiero w trzy miesiące potym zjechał w charakterze rezydenta Bułhakow, przyjaciel Branickiego.

Pogłoski o wojnie Prus z Austrią coraz głośniejszymi być poczęły, a podstawę do nich dawało to, że poseł pruski w Warszawie, Lucchesini, prowadził układy z przywódcami sejmowymi i marszałkiem Małachowskim w sprawie miejsca obozów i liczby wojsk polskich, które do Galicji wkroczyć miały.

Pośpiech zapanował w formowaniu nowych korpusów, przyczem powiększono ilościowo liczbę dywizji, stojących w pobliżu granicy austriackiej.

Dzięki temu Kościuszko wyrwał się z niemilego mu Włocławka i, jako przeniesiony do dywizji małopolskiej, zamieszkał w Lublinie.

Spodziewana wojna i na niego wpływ wywarła: jakby odrodził się, nowego nabrał ducha. Energicznie, z zapalem zajął się mustrowaniem żołnierzy, ćwicząc ich w różnych zwrotach i użyciu broni. Dopominał się przytym o wydanie mu prochu na ćwiczenia, oraz ażeby mógł odbywać je wraz z artylerją.

Dbął o żołnierzy bardzo, zabiegał, ażeby wszystko mieli, co im potrzebne. Przewidywał wszystko, starając się zapobiec trudnościom. Gdy nadszedł rozkaz przygotowania się do wymarszu w stronę Podola, z powodu rozlokowania tam znacz-

nych sił rosyjskich, pisał do Stanisława Potockiego, generała artylerji, co następuje:

„Potrzebaby opatrzyć w lenung ludzi. Także zimowy mundur potrzebny im będzie i fundusz jakowyś do wyżywienia koni w drodze, bo trudno będzie sprowadzać z magazynów dalekich, a po drodze o żadnych nie słyszę. Zawsze a zawsze trudność będzie, powiadam, dostania furażu w marszu, póki nie ustanowią, aby każdy obywatel zatrzymał u siebie, co dać powinien z prawa, a oddał za paletem Komisji Cywilno-Wojskowej. Wiadoma może oddawna myśl moja względem furażu. Mieć potrzeba choć jeden oryginał swój, a nie kopjować wszystkiego, jak zwykliśmy, z drugich krajów zwyczaję, które ani okolicznościom naszym dogodne, ani stosowne rządowi naszemu“.

W czasie tym spotkała go przykra nagana od pisarza polnego Rzewuskiego i Komisji Wojskowej. Przyczyną jej było naruszenie granicy austriackiej przez transport artylerji, dążący z Warszawy na Wołyn, przyczem dzięki temu, że woźnice byli pijani, kilka koni padło i armaty całą noc leżały poprzewracane.

Winą Kościuszki było tylko, że nie doniósł Komisji o tym zajściu, zwłaszcza iż to była cudza komenda. Wkrótce też potym zyskał uznanie i Rzewuskiego, i Komisji za wzorową staranność o brygadę, dobre jej utrzymanie i wyćwiczenie.

Naganę tę otrzymał w drodze na Podole, do Międzyboża, gdzie stał na kwaterze aż do końca lipca r. 1791-go.

Nawiązał też wtedy stosunki z generał-majorem Józefem Orłowskim, niegdyś kolegą z Korpusu kadetów, a obecnie komendantem twierdzy kamienieckiej. W listach swoich otwierał mu duszę, skarżąc się na osamotnienie, na potrzebę życia rodzinnego.

IX.

Nowa miłość.

W Międzybożu serce jego raziła nowa miłość.

Z okna kwatery swej spostrzegł w przeciwnym oknie piękną i hożą twarzyczkę osiemnastoletniej dziewczyny. Rozpytując się znajomych, dowiedział się, iż jest to panna Tekla Żurowska, córka chorążego żydaczowskiego, właściciela jednej wsi na Podolu, a drugiej w Galicji, bawiącego w Międzybożu dla kuracji u słynnego lekarza, Hakenszmita.

Zawiązanie znajomości nastąpiło bardzo prędko, a że Kościuszko umiał uczucia swe wypowiadać sentymentalnie, zupełnie w stylu epoki, a przytym opromieniony był sławą bojową, zdobytą w Ameryce, nie dziwnego więc, że spodobał się pannie. Na uczucie jego odpowiedziała wzajemnością, a zarówno matka jej, jak i krewna, Tekla Orlewska, sprzyjały mu.

I choć dzieliła ich przestrzeń niewielka, nastąpiła wymiana czułych listów i przyrzeczeń, zwierzeń i wyznań, przyczem doszedł do tego, że z pannienką był na „ty“ i zamieniał niewinne pocałunki.

Lecz cóż!... rozkwitającemu uczuciu stanął na przeszkodzie znów ojciec. Pan Maciej Żurowski należał do ludzi bardzo wymagających, a przytym nader chętnie skłaniających ucho ku plotkom, jakie mu jedni na drugich znosili.

A podobnie życzliwych Kościuszcze ludzi nie brakło: przedewszystkiem należeli do nich dr. Hakenszmit i podporucznik Giżycki. Opowiadali Żurowskiemu niebываłe rzeczy o tym, jak Kościuszko porywał Ludwikę Sosnowską, tak że chorążego lęk zdjął, by nie uczynił tego samego z jego jedynaczką.

Powtóre, należał pan chorąży do kategorii ludzi, mierzących bliźnich nie według zasług ich i wartości duchowych, lecz według wartości materialnych.

Nie zrażała go bynajmniej poważna różnica wieku między osiemnastoletnią panią a 45-letnim generałem, gotów nawet był ją wydać za człowieka znacznie starszego, byle tylko pod względem majątkowym, ilością posiadanych włości odpowiadał jego pragnieniom.

Według jego pojęć niczym był dla niego generał wojsk amerykańskich i polskich, okryty już laurami sławy, gdy nie posiadał niezbędnego dodatku, w postaci znacznego mienia. Choć sam należał do szlachty średniozamożnej, marzył o posiadaniu zięcia magnata. Czynił więc różne przykrości Kościuszcze, który, strącony z wyżyn swych marzeń, pisywał do matki ukochanej następujące, pełne bólu a zarazem i pokory listy:

„Nie mogę, Bóg widzi, nie mogę zamilczeć ani przesłać kartki, bo co słyszę i czytam, piorun we mnie uderzył. Względem plotek można się zaspokoić. Rotmistrz Potocki, który jest z tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że mam dziedzictwem wieś i sam trzymam ją. Nie każesz już mnie pisać, moja matusiu: znać, żeś się nakłoniła do perswazji; znać, że już od niej oddalony nazawsze zostaje; znać, żeś prędko o swej przyjaźni zapomniała. Czynię zawsze według rozkazu matki mojej i jej, która zawsze w moim sercu będzie. Już nie będę pisywać i nie będę bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bo bym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże Was jednak Opatrzność Najwyższa błogosławi, a więcej już i pisać nie mogę“.

Nie pomogło jednak powoływanie się na różne

wpływowo osobistości, które go znały, jak na Potockiego i kasztelana kamienieckiego, Morskiego, którzy zaświadczyć mieli o jego stanie majątkowym, oraz o szacunku, jakim się cieszył wśród ogółu. Nie pomogło i to, że sejm, w uznaniu zasług, w roku 1791-ym przyznał Kościuszcze, Orłowskiemu i Brodowskiemu 45,000 złp. gratyfikacji do podziału.

Oddalony potrzebą wyjazdu na manewry pod Bracław, a potem na kwaterę do Niemirowa, przestał widywać ukochaną, poprzestając tylko na korespondencji.

Lecz pan chorąży na wszystkie zabiegi odpowiedział nie tylko odmownie, ale całym aktem oskarżenia, na który Kościuszko tłómaczył się w liście obszernym.

Z miłości do Tekluni upokarzał się nawet, tłómacząc się z kalumnji, rzucanych na niego przez osoby nieżyczliwe, może interesowane. Przyznawał się do miłości swojej, błagał wprost, ażeby pozwolono mu pojąć ukochaną za żonę.

Nie pomogło to jednak: pan chorąży pozostał nieugiętym, i by usunąć córkę od niego, postąpił podobnie, jak hetman Sosnowski—wywiózł ją za kordon, do swego majątku galicyjskiego.

Rozpaczliwym listem, pisanym do matki, żegnał Kościuszko Teklę. Musiał mu niezbyt przyjemny list napisać na pożegnanie pan chorąży, gdyż pisał w swym liście:

„Nie widzę już żadnego sposobu po takim liście, na którego wspomnienie samo krew się we mnie wzburza. Odpis mój najłagodniejszy, bo jest mężem Twoim, a ojcem mojej Teklusi, ale cała krew we mnie zlodowaciała na list przeczytany. Mój Boże! co za myśl okrutna, abym rwać miał prawo natury i pomimo ojca wyrwać z domu mnie kochaną“. Przyrzekał w liście tym córce, że nigdy a nigdy o niej

nie zapomni. „Zawsze będę z wami, chociaż nieprzytomny, myślą i sercem, które będzie stateczne“.

Spokojnie później zwracał się do Tekluni z następującymi radami: „Trzeba cierpieć na świecie; bez zmartwienia miejsca niema i słodzić nam tylko trzeba przychodzące“—radził też jej zabawiać się czemśkolwiek, rysowaniem albo książką, czyli ogródkiem.

Sam na swoje zmartwienie miał najskuteczniejsze lekarstwo—służbę Ojczyźnie, którą umiłował nadewszystko, nad Ludwikę i Teklunię nawet.

Powolywała go ona na pole zapasów wojennych. Listy swoje pisywał już na wsiadającym, by podążyć w Kijowskie, gdzie objąć miał dowództwo nad kolumną wojska, przeznaczoną do operowania przeciwko jednemu z korpusów rosyjskich w nadciągającej wojnie.

Grzmot dział i wrzawa bitewna stłumić miały w sercu jego ból, wywołany niskim czynem pana chorążego Żurowskiego, przekładającego włości i pieniądze nad wartość moralną człowieka.

Zawiódł się jednak w swych rachubach pan Żurowski. W pięć lat potem Teklunia wyszła również za oficera, który wtedy przy Kościuszcze funkcje porucznika sprawował i zaszczycony był mianem przyjaciela, mianowicie za Karola Kniaziewicza.

Nie posiadał on nawet wioski, tak jak Kościuszko, ani przewyższał go świetnością paranteli. Był tylko o 16 lat młodszy od generała.

X.

Odrodzenie.

Cudowny kwiat odrodzenia Ojczyzny, zasiany po straszliwych przejściach porozbiorowych na niwie urodzajnej, pielęgnowany troskliwie przez prawdzi-

wych miłośników Polski, wzeszedł wreszcie i rozkwitł wspaniale w r. 1791-ym, wydając jako owoc wspaniałą konstytucję 3 maja.

Praca sejmu wielkiego postępowała. Punkt za punktem rozpatrywano nowe ustawy, mające ratować Ojczyznę z ostatecznego jej upadku. Walczono zjadale z opozycją stronnictwa rosyjskiego, stawiającego niezliczone przeszkody patryjotom, lecz wreszcie postawiono na swoim.

Coraz bardziej w liczbę rosnące kółko patryjotów, zbierając się na narady w największej tajemnicy w domu Stanisława Małachowskiego, zdecydowało, iż prace około reformy Rzeczypospolitej postępują zbyt wolno, i że jedyną radą w tym wypadku jest raptowne wprost przeprowadzenie całej reformy, czyli zamach stanu.

Grono to, do którego należeli znani: Ignacy Potocki, Tadeusz Mostowski, Hugo Kołłątaj, Józef Weysenhoff, Julian Niemcewicz, a po części i uczony Jan Śniadecki, a następnie przystąpili bracia Michał i Tadeusz Czaccy, Stanisław Sołtyk, Matuszewicz, Wybicki i Zabiello, postanowiło opracować szczegółowy projekt konstytucji i zebrać większą liczbę posłów, którzyby ją poparli.

Że zaś pozyskanie króla do związku było niemożliwym, postanowiono dokonać tego za pomocą księdza Piatollego, Włocha, którego Ignacy Potocki podsunął Stanisławowi Augustowi na sekretarza, a który, jako człowiek obszernej nauki i postępowych wyobrażeń politycznych, umiał pozyskać wpływ na króla. Odtąd narady nad przyszłą konstytucją odbywały się w gabinecie Piatollego, do którego z pokojów swoich przychodził sam król.

Pomimo, że liczba obradujących nad konstytucją

urośla wkrótce do sześćdziesięciu, nikt nie wydał tajemnicy, wobec jednak nadeszłych z zagranicy wieści, zdecydowano się przyspieszyć czyn stanowczy. Dzień 5 maja przeznaczono zrazu na ogłoszenie konstytucji, lecz gdy wtajemniczony przedtym w całą sprawę kanclerz wielki koronny, Jacek Małachowski, zdradził ją przed Bułhakowem, posłem rosyjskim, król zażądał przyspieszenia zamachu.

Wtedy na ten czyn wiekopomny obrano dzień 3 maja.

W przeddzień, w pałacu Radziwiłłowskim, przed licznym zebraniem odczytano projektowaną konstytucję, a głośnie okrzyki: „Niech żyje konstytucja!“ przywitały projektowaną ustawę, jako zbawienie narodu.

Zaskoczyło to stronnictwo rosyjskie zupełnie niespodziewanie, i podczas gdy w domu Stanisława Małachowskiego naradzali się zwolennicy konstytucji nad ostatecznym wcieleniem jej w czyn, w domu Bułhakowa prowadzili narady jej przeciwnicy. Udział w nich brali: kanclerz Jacek Małachowski, biskupi Kossakowski i Massalski, hetman Branicki, Raczyński i poseł kaliski Suchorzewski. Lecz widząc, że opozycja zbyt słabą jest liczebnie, wykierowali namiętnego Suchorzewskiego na oponenta, by przeciwko nowej ustawie gorąco występował.

Z samego rana dnia 3 maja na ulicach Warszawy zapanował ruch oddziałów wojskowych pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego, mających przestrzegać porządku, a zwłaszcza powstrzymywać zbyt entuzjizm zgromadzonego tłumu. A stał on już przed zamkiem od wschodu słońca, z niecierpliwością oczekując na wynik prowadzonych obrad.

Galerje sali sejmowej w zamku zapełniły się

tłumem arbitrów, a posłowie wcześniej, niż zwykle, zajęli swe miejsca. Było ich 157-iu, a w tłumie tym tonęła garść opozycjonistów, licząca zaledwie dwadzieścia osób, zwłaszcza iż pierwsi mieli poparcie publiczności.

Chmurny stał pod ścianą hetman Branicki, a gdy zbliżył się do niego jeden z najpoufalszych rębaczów jego, mówiąc:

— A cóż, panie Ksawery, machniemy — odrzekł mu krótko:

— Wara!...

O godzinie jedenastej posiedzenie zagał marszałek Małachowski, zawiadamiając sejm, iż ważne depesze, od posłów polskich za granicą nadeszły, winny pójść naprzód pod rozwagę zgromadzenia. Kilku posłów prosiło o głos, między nimi Suchorzewski i Sołtyk. Udzielono go Sołtykowi, jako przedstawicielowi starszego w kolei mówienia województwa, i ten, wspomniawszy o zastraszających depeszach, domagał się odczytania ich i przedsięwzięcia energicznych środków ratunku.

Zaledwie skończył, rozległ się nanowo głos Suchorzewskiego:

— Proszę o głos... mam wyjawić wielkie i okropne rzeczy...

Lecz Stanisław August, chcąc skierować dyskusję na odczytywanie depesz, zabrał głos, a gdy skończył, dano go Suchorzewskiemu. Ten, precyzyjnie się przez tłum, rzucił się przed tronem na ziemię i, szarpiąc na sobie odzież w fanatycznym uniesieniu, wołał:

— Uknowana jest rewolucja na zgubę wolności, podobna do szwedzkiej... Dlatego wystawią nam w depeszach obawy bliskiego rozbioru kraju... Roz-

siano wieść, że oponujących nawet zabić chcą. Co mówię, dowiodę i o sąd proszę... Zgadza się, aby użyć wszelkich sposobów dla odwrócenia zaboru, ale nie podług projektu, który na konferencji niektórych jest ułożony. Chcę ojczyzny bronić dlatego, żem wolny, ale jeżeli będzie despotyzm, gardzę nią i oświadczam się nieprzyjacielem Polski; ratować jej przez włożenie kajdan na wolnych nie myślę...

I w dalszej mowie starał się Suchorzewski zjednać sobie mieszczan, u których, jako redaktor projektu o miastach, mógł posiadać jakąś popularność, zaplątał się wreszcie w opowiadanie plotek i pogłoszek o zamachach na życie opozycji, a zakończył żądaniem odczytania depesz.

Po tym tragicomicznym epizodzie, przystąpił wreszcie sprawozdawca deputacji zagranicznych, Tadeusz Matuszewicz, do odczytania owych „zatrważających“ listów ambadorskich. Nie podawały one wprawdzie faktów o wyraźnych zamysłach podziału, przedstawiały tylko położenie polityczne jako takie, z którego podział z łatwością wyniknąć może, jeżeli Polska o sobie nie pomyśli. Konstataowały ścisłe przymierze Rosji i Austrii i zgodne obu państw w sprawie Polski postępowanie, donosiły o obawach Anglii co do wojny z Rosją, o powolnym zbliżaniu się Prus do dworu petersburskiego.

— Jeżeli przyjdzie do pokoju — kończył Matuszewicz — sami siebie, jeżeli nie będziemy gotowi, w ręce nieprzyjazne wydamy; jeżeli — do wojny, do której się jedni z ochotą nie biorą, a która się drugim już sprzykrzyła, ta, długo czy krótko potrwa, zawsze pomnażając koszta wojujących, pomnoży ich pretensje i chciwość, dla której nic wygodniejszego być nie może, jak kraj rozległy, bez rządu skończo-

nego, z siłą niestraszną; a takim krajem będzie Polska, jeżeli miłość Ojczyzny, wszystkie serca zjednoczywszy, grożącym nie zaradzi wcześniej niebezpieczeństwom...

Po odczytaniu depesz przemówił Ignacy Potocki, wzywając króla, aby odkrył widoki swoje, dążące do ratowania Ojczyzny.

— Zastanawiałem się od kilku miesięcy — odrzekł król — nad sposobami, jakichby się jać potrzeba było. Powiem prawdę, na pochwałę dobrze myślących obywateli, że byłem od wielu zachęcany, proszony, zaklinany, abym przedsięwziął środki skuteczniejsze od tych, które dotąd używane były. Urodził się z tego projekt, który mi był pokazany, a który już jest zgodny z wolą wielu sejmujących. Ten, gdy w stanach przeczytany zostanie, spodziewam się i życzyć powinienem, aby był przyjęty, bo jeżeli rychło nie zaradzimy sobie, może że gdy za dwie niedziele albo wojna, albo pokój wyniknie, jakiegokolwiek przedsięweźmiemy środki, już zapóźne będą...

Wśród powszechnych okrzyków: „Prosimy o projekt!“ rozpoczął odczytywanie sekretarz Siarczyński.

Projekt składał się z jedenastu artykułów, osnutych większą częścią na znanych już z przeszłego roku „Prawach kardynalnych i konstytucyjnych“, podanych przez deputację do formy rządu, a dzisiaj w konsekwentnej formie opracowanego już projektu występujących.

Projekt zaprowadzał tron sukcesyjny przez rodzinę, wyznaczał Fryderyka Augusta, elektora saskiego, za następcę panującego króla, oddawał władzę prawodawczą w ręce sejmu zawsze „gotowego“, t. j. każdej chwili po ukończeniu sesji zwołać się dające-

go, a mianowicie izby poselskiej; senatowi zastrzegął moc wstrzymania uchwał sejmowych do najbliższego sejmku. Władzę wykonawczą ma król ze strażą z sześciu ministrów złożoną w ręce; każdy minister odpowiada osobą i majątkiem przed sejmem. W obradach sejmowych stanowi większość głosów, konfederacje i liberum veto znoszą się. Co 25 lat podlega konstytucja rewizji na sejmie konstytucyjnym nadzwyczajnym. Szlachta pozostaje przy swoich przywilejach i pierwszeństwie. Miastom potwierdza się świeżo uchwaloną ustawę. Chłopom zapewniono opiekę rządową, a wszelkie ugody między nimi a dziedzicami uznano za prawnie obowiązujące.

Projekt ten zgromadzenie przyjęło jednym okrzykiem zapamięta. Należało jednakże pozwolić na dyskusję, ażeby mogła się wygadać opozycja. Otworzył ją sam marszałek Małachowski, wskazując na konstytucje angielską i amerykańską, z których co najlepszego wzięto, aby do polskiej zastosować formy.

Król, polecając ze swej strony ustawę, jako pożyteczną, żądał zdania sejmku w sprawie sukcesji, na której opierają się pacta conventa. Wtedy wystąpił po raz drugi rozszalały Suchorzewski, wlokąc za sobą małego synka swego i wołając:

— Nie dbam o życie, zabiję siebie i to moje dziecko tu na miejscu, wśród obrad sejmowych, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje!

Koledzy jego z trudem wydarli mu wystraszone chłopię.

Mielżyński, poseł poznański, groził w niebogłosy protestacją przeciw ustawie, wojewoda mazowiecki, Małachowski, nazywał ją złamaniem praw dawnych. Gdy się wrzawa uciszyła, zabrali nareszcie posłowie głosy za i przeciw projektowi. Złotnicki

powoływał się na *pacta conventa*, Ożarowski, kasztelan wojnicki, żądał deliberacji nad sprawami wojska i skarbu, jako istotnymi, i porzucenia odczytanego projektu; kasztelan przemyski, Czetwertyński, rozrzewniał się do łez nad grobem wolności. Poseł wileński Korsak, znany z swej zacności i patryjotyzmu, ale nie wtajemniczony snąc w projekty reformatörów, żądał wydrukowania projektu i oddania go pod rozprawę.

Projektowanej ustawy bronili kolejno: Ignacy Zakrzewski, poseł poznański, Linowski, poseł krakowski, Stanisław Potocki, poseł lubelski, Zboiński, poseł dobrzyński, Minejko kowieński, Pius Kiciński liwski, Rzewuski — podolski.

Posłowie ci wzięli na barki swoje objaśnienie szczegółowe wszystkich punktów ustawy, a obdarzeni znakomitą wymową, rozwinęli świetnie teorię, że naród, chcąc uchronić się od zguby, winien wyjść z dawnego bezrządu.

I tak polemizował Zakrzewski z fałszywym pojęciem wolności i wykazywał zgubność elekcji; Linowski znów w intrygach i przestrobach posłów cudzoziemskich, aby konstytucji nie ogłaszać, widział najsilniejszy motyw, aby ją przyjąć; Stanisław Potocki usprawiedliwiał nielegalność wniesienia, twierdząc, że gwałtowne przypadki gwałtownych wymagają środków; Minejko powołał się na instrukcję swego województwa, pozwalającą na tron sukcesyjny; Kiciński piorunującą mową przypomniał czasy gwałtów moskiewskich.

— Czegoż to mamy czekać? — wołał — czy żeby pan Bułhakow oświadczył nam imieniem imperatorowej, żeśmy nie narodem samowładnym, ale podległą jej prowincją, że nie konfederacja, nie sejm, ale on

imieniem gwarantki sprawami Polski zatrudniać się będzie? Czy żeby hetman kozacki na czele dońskiego i zaporoskiego rycerstwa przybył tu ogłosić nam przeznaczone miejsce w politycznym Europy składzie, żeby albo sam, jak pogłoski od kilku lat straszą, albo z jego ręki ktokolwiek inny, może jaki Polak odrodny, Moskwie zaprzędany, jej powagą przy rozdzieleniu narodu wsparty, króla dziś panującego z tronu zepchnął? abyśmy, opierając się nierychło i bezsilnie gwałtom obcym, brani byli na Syberję lub do Kamczatki? Potencje, patrzące dotąd z zazdrością i bojaźnią na wzrost olbrzymi zbyt szczęśliwej Rosji, zagrzewające nas do postanowienia się wspólnie z nimi w stopniu obronnym i niepodległych narodów godnym, tracą nadzieję widzenia nas narodem rządym i zgodzą się znowu zapewne na przywrócenie nas rosyjskiej opiece. Boże nie daj, żebym doczekał patrzeć kiedykolwiek jeszcze na tak unieszczęśliwioną ojczyznę. Wszystko nam jest jedno, czy ginąć od nieprzyjaciela, czy od własnych rodaków, gdyby się znaleźli tacy, którzyby usiłowali wrócić Rzeczpospolitą do dawnego położenia...

Nie dziwnego, że po tak porywającej mowie mógł ostatni z mówców zawołać:

— Nie wyjdę, dopóki ustawa ogłoszona nie będzie! — bo poparł go ogólny krzyk:

— I my nie wyjdziemy!...

Wtedy przemówił król, wzywając marszałka, aby rozpatrzył zdanie izby. Małachowski wezwał opozycję, aby wstała. Nikt się jednak nie ruszył, bo nie chciała opozycja okazać szczupłości swej liczby. Zamiast powstać z ławek, wysunęła ona znowu dwóch mówców: Chomińskiego, posła oszmiańskiego, i Sanguszkę, wojewodę wołyńskiego. Kazimierz Sapieha,

dotychczas milczący, domaga się powtórnego odczytania projektu konstytucji, lecz opozycja przerwała drugie czytanie.

Wtedy zawezwał króla poseł inflancki, Zabiello, aby, nie zwlekając dłużej, poprzysiągł konstytucję. Tysiączne głosy popierają tę prośbę; posłowie ruszają się ku tronowi, aby ją złożyć. Suchorzewski rzuca się na ziemię i woła:

— Po moim trupie!...

Lecz usunięto zagorzałca, a marszałek po trzykroć zapytał o zgodę na projekt. Gdy mu zgodny chór odpowiedział, odczytał królowi rotę przysięgi biskup krakowski, Turski, a król wśród uroczystej ciszy powtórzył ją za biskupem.

— Juravi Domino et non me poenitebit — odezwał się król po odmówieniu roty.—Wzywam kochających Ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawienego dopełnić dzieła.

I wśród okrzyków zapалу ruszył tłum posłów i arbitrów do świątyni św. Jana. Sesja trwała godzin dziewięć i właśnie też zachodziło pogodne słońce wiosenne. Obu marszałków sejmowych wniósł lud na rękach do kościoła. Obaj, zagajając wykonanie przysięgi, przemówili kolejno do zgromadzenia. Pierwszy przemówił zaledwie słów kilka, drugi, uważany długo za stronnika i narzędzie hetmana Branickiego, zagorzały obrońca wolności, a na sesji jeszcze za rozważeniem projektu przemawiający, uczuł potrzebę dłuższego przemówienia.

— Wiadomo — mówił młody Sapieha — żem nie wiedział o istocie projektu konstytucji naszej, a tym mniej o sposobie, jakim będzie przechodził... Widzę

w tej ustawie wiele przepisów, do których mojego nie mogę przechylić zdania, ale gdy już przyszedł moment ostatni decydowania się, gdy tak znaczna część sejmujących nieodstępna się od tego prawa oświadcza, gdy go król zaprzysiął — w odstąpieniu od nich widzieć nie mogę tylko smutny obraz rozdzielenia się narodu, a przeto i zguby Ojczyzny. Pomyłki w ustawach rządowych samowładztwo narodu doświadczeniem oświecone łatwo sprostować może; lecz skutku wojen, zniszczenia przez wojska zagraniczne, pod pretekstem godzenia nas wchodzące, gdzież jest przykład, aby się dla Polski znalazła nagroda?...

Po tym przemówieniu, malującym zacną i wzniosłą duszę, a zarazem bystry i polityczny rozum Sapiehy, odczytał Turski przysięgę zgromadzonym. Gęsty tłum z uniesieniem powtarzał słowa zbawcze. Poczym Gorzeński, biskup smoleński, zaintonował „Te Deum laudamus“, wśród huku dział przed zamkiem.

Po powrocie do izby poselskiej, podpisali posłowie, z wyjątkiem opozycji, ustawę rządową i uchwalili, aby ją wszystkie zaprzysięgły magistratury. Tegoż samego dnia zaprzysięgła ustawę komisja wojkowa, a nazajutrz skarbową.

Ogłoszenie konstytucji za granicą wywarło wrażenie piorunujące, zwłaszcza w mocarstwach rozbiorowych. Wprowadzenie jej w czyn wyrывało z rąk ich łatwą zdobycz, groziło odrodzeniem narodu polskiego, który z czasem z orężem w ręku mógł się upomnieć o zabrane dzielnice.

Prusy połączyły się w tym celu z Austrią, a Rosja odrazu wrogie zajęła stanowisko, domaga-

jąc się, ażeby Prusy sprawę Polski porzuciły, a nawet razem z Rosją względem niej postępowały.

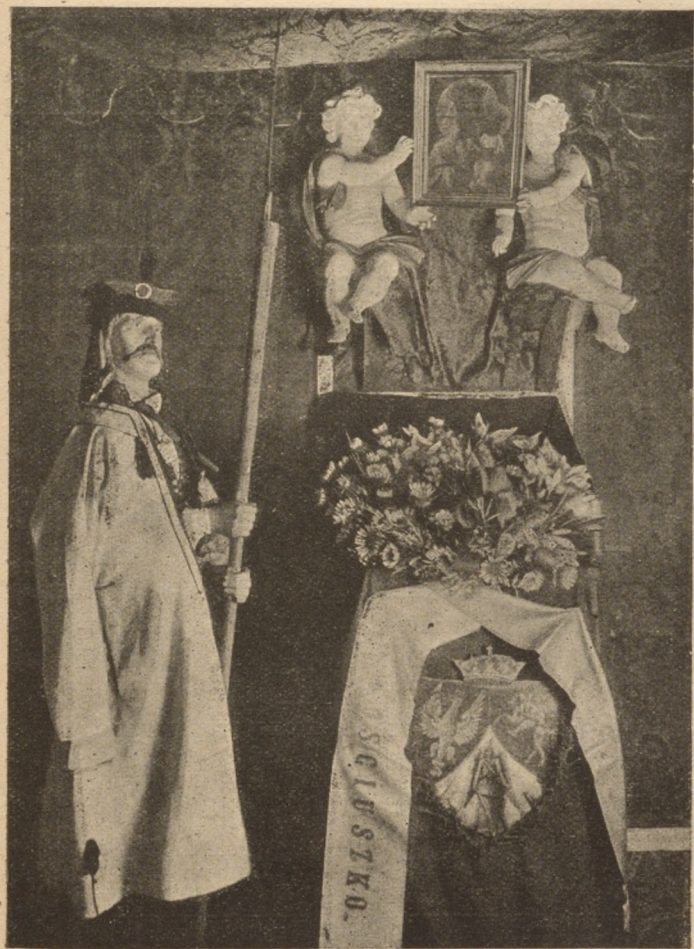
I gdy cały naród polski z zapalem oddawał się radości, z racji konstytucji, mającej odrodzić go do nowego życia, zbierały się nad nim czarne chmury, brzemienne piorunami. Uroczyście święcono rocznicę uchwalenia konstytucji, a tłumy ludu uczestniczyły przy położeniu przez króla kamienia węgielnego pod kościół Opatrzności Boskiej, mający upamiętnić ten dzień wiekopomny.

Niestety jednak, zarówno świątynię, jak i konstytucję zmiotła burza, płynąca z północy.

Pod świetną szatą promieniejącej szczęściem Rzeczypospolitej ukrywał się robak lat dawnych. Rosyjskie stronnictwo odżyło nanowo, w miarę, jak Bułhakow z bierności swej wychodził. Już na sesji dnia 7 czerwca r. 1791-go donosił poseł krakowski, Sołtyk, sejmowi, że według pewnych wiadomości sto tysięcy rubli poszło do Polski na przekupienie obywateli.

Patryjoci z przestraczem dowiadują się, że przed każdą sesją sejmową odbywają się u Bułhakowa sekretne konferencje. Od czasu do czasu, niby zapowiedź burzy, zjawia się to protestacja, to pismo ulotne przeciw konstytucji.

W lipcu adresuje Szczęsny Potocki, w Wiedniu bawiący, list do króla i marszałka sejmowego, że, nie chcąc żyć „w niewoli“, sprzedaje dobra i wynosi się za granicę. Wylazi z pod ziemi drukowany manifest Suchorzewskiego i Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, słysząc o krokach Szczęsnego Potockiego i Seweryna Rzewuskiego w Wiedniu czynionych, aby



Serce Kościuszki w muzeum Rapperswylskim.

cesarza Leopolda dla obrony dawnych instytucji pozyskać. Starania te nie powiodły się, gdyż Leopold w pewnej mierze sprzyjał nowej formie rządu.

Wtedy ruszyli Potocki i Rzewuski do Jass, gdzie się chcieli spotkać z księciem Potemkinem. Zanim stosunki z faworytem carycy zawiązać mogli, umarł on w dniu 15 października r. 1791-go. Zawiodło to ich nadzieje, pozostali jednak na miejscu, czekając na wynik rokowań pokojowych z Turcją, prowadzonych początkowo w Galaczu, a następnie w Jassach. Wkrótce zjawiał się tam i Branicki, który wyjechał z Warszawy pod pozorem, że ma spadek dla żony objąć po Potemkinie. Wszyscy trzej rozpoczęli rokowania pokojowe z Bezborodką, pełnomocnikiem rosyjskim do zawarcia pokoju z Turcją.

Na sesji sejmowej dnia 24 października postawił Zabiello, poseł inflancki, wniosek, aby Potockiego i Rzewuskiego zawezwać do powrotu w przeciągu trzech miesięcy, i pociągnąć do odpowiedzialności za czynione za granicą zabiegi. Stanęła uchwała, aby komisja wojskowa zawezwała Potockiego, jako generała artyleryi, a straż—Rzewuskiego, jako ministra. Lecz na wezwanie komisji wojskowej odpowiedział Szczęsny Potocki z Jass, że, jako protestujący przeciw konstytucji 3 maja, przysięgi na nią przed komisją wojskową wykonać nie może i dlatego za granicą bawi.

„Przyzna Ojczyzna — kończył Potocki — że nie ma przychylniejszego nade mnie syna“.

Branicki powrócił do Warszawy.

Po upływie trzechmiesięcznego terminu, wystąpił znów Niemcewicz przeciwko Rzewuskiemu i Potockiemu, domagając się, ażeby ich natychmiast usunięto od urzędów. Na wniosek Sołtyka, posła kra-

kowskiego, termin powrotu ich przedłużono do dnia 1 marca. Lecz bohaterowie wolności nie wrócili; urzędy ich ogłoszono za wakujące.

Tymczasem niecni zabójcy wolności Ojczyzny, pragnący pod pokrywką obrony wolności, narzucić jej pęta moskiewskie, po zawarciu przez Rosję pokoju z Turcją w Jassach, uzyskali od carycy pozwolenie na przyjazd do Petersburga. Pomknęli więc tam, a wkrótce zjawił się tam również i Branicki, który wydobył się z Warszawy pod pozorem sukcesji po Potemkinie, oraz Szymon Kossakowski, brat biskupa, wówczas generał w służbie moskiewskiej.

Wkrótce, przy pomocy carycy, ułożono cały zamach na odrodzoną przez konstytucję 3 maja Ojczyznę. Wypadki postępowały w szybkim tempie. Dnia 9 marca otrzymał Bułhakow instrukcję, aby przygotował swoje stronnictwo do bliskiego wystąpienia, zaś dnia 30 kwietnia wiadomość, że wojsko rosyjskie w połowie maja wkroczy do Polski, a jednocześnie przeciwna uchwale 3 maja konfederacja na ziemi polskiej się zawiąże. W dniu 7 maja wyjechał z Petersburga Potocki, a 10 t. m. wśląd za nim Rzewuski i Branicki, a 14-go już ogłoszono nikczemną, tak zwaną konfederację targowicką, datowaną z miasteczka tej nazwy, na Ukrainie położonego, lecz w rzeczywistości w Petersburgu opracowaną. W dniu 18 maja wręczył Bułhakow deklarację carycy z wypowiedzeniem wojny, a nazajutrz wkroczyła na Litwę i Ukrainę siedemdziesięciotysięczna armja rosyjska pod wodzą generała Kachowskiego.

Dla Kościuszki otwierało się pole do działania i możność zabłyśnięcia talentami wodza.

Pomimo iż był republikaninem, wieść o konstytucji przyjął z radością, gdyż rokowała ona, pomimo

swej formy monarchicznej, odrodzenie skołatanej Ojczyźnie. Bez wahania wypełnił otrzymany w Międzybożu rozkaz Komisji Wojskowej, by odebrał od podwładnych mu oficerów przysięgę na wierność nowej ustawie. Sam pierwszy się podpisał pod nadesłaną rotą przysięgi, a następnie kazał to uczynić 10 obecnym oficerom i wycisnąć pieczęcie herbowe, przedtem zaś odbył religijną ceremonję zaprzysiężenia.

Z zapalem również zabrał się do pracy, wiedząc dobrze, iż niedługo nadejdzie potrzeba bronienia sprawy ojczystej z bronią w ręku. A pracy mu nie brakło. Od dnia 1 września do 12 października odbywały się na polu pod Braclawiem, na miejscu dawnego wielkiego obozowiska Jana Sobieskiego, wielkie manewry dwóch dywizji, kijowskiej i braclawskiej. Dowodził nimi młody, gdyż zaledwie 28-letni generał-lejtnant, ks. Józef Poniatowski, świeżo ze służby austriackiej przeniesiony, a który po jej ukończeniu wrócił do Warszawy, by błyszczeć na dworze stryja, a komendę obu dywizji zdał na Kościuszkę.

Zadanie to było trudne i odpowiedzialne, gdyż oprócz komendy nad wojskami trzeba było jeszcze zwracać baczną uwagę na wypadki, rozgrywające się w Jassach, pilnować czynności przywódców gotującego się rokoszu, oraz zwracać uwagę na ruchy wojsk rosyjskich, wracających do kraju po zakończonej zwycięsko wojnie z Turcją.

Przesyłał też Kościuszkę do Warszawy raporty, ostrzegające o rozpościerających się nad granicą pułkach moskiewskich, budził czujność i zwracał uwagę, wzamian czego otrzymywał chaotyczne i śmieszne nawet rozporządzenia, jak np. dnia 3 lutego r. 1792-go, aby „komendy z luk ściągnąwszy i korpus uformo-

wawszy, granice Rzeczypospolitej ocalił, spokojność utrzymał, zamiary nieprzyjacielskie zniszczył“.

Prowadził też korespondencję z ks. Józefem Poniatowskim, przyczym porozumiewali się co do kombinacji strategicznych na wypadek wkroczenia nieprzyjaciela. Do układania jednak ogólnego planu działania nie był wzywany Kościuszko, nie wiedział również, co się działo na litewskim teatrze wojny. A mógł przecież w tej sprawie niejedną rzecz ciekawą a smutną powiedzieć, jak np. to, że wojsko Rzeczypospolitej, zarówno koronne, jak i litewskie, nie było ani pod względem liczby, ani pod względem zaopatrzenia, ani pod względem dowództwa gotowe do boju z armją rosyjską, wyrobioną w czteroletniej wojnie i dumną ze zwycięstw odniesionych, a dwakroć przeszło liczniejszą.

Według jego obliczeń siły polskie, mające stać opór armji Kachowskiego, liczącej 64,000 żołnierzy, wynosiły ogółem 17,086 żołnierzy. Prawda, dochodziła jeszcze dywizja wołyńska, licząca 4,635 żołnierzy, lecz dowództwo nad nią miał generał-lejtnant Michał Lubomirski, człowiek nieudolny, tchórzliwy, pozostający w niezgodzie z ks. Józefem Poniatowskim.

Miarą nieudolności, z jaką wojna ta z potężną wówczas Rosją prowadzoną być miała, może służyć i to, że gdy dowódcy rosyjscy, na rozkaz carycy, natychmiast stanęli na czele swych oddziałów, Stanisław August, chcąc świetnie obchodzić rocznicę 3 maja, zatrzymał generałów polskich w Warszawie, tak że ks. Józef Poniatowski zdążył do swej głównej kwatery dopiero w połowie maja, na kilka dni przed wkroczeniem nieprzyjaciela.

XI.

Wojna r. 1792-go.

Działania polskie podczas tej wojny znamionowały chaos i brak planu działania. Nie wiadzano narazie co począć, co przedsięwziąć przeciwko wkraczającemu do kraju nieprzyjacielowi.

Księżę Józef Poniatowski zbyt był młodym i mało doświadczonym wodzem, ażeby mógł od jednego rzutu oka objąć sytuację. Wobec tego, że nieprzyjaciel wkraczał do Polski trzema kolumnami, podzielił armję swoją również na trzy korpusy, oddając je pod wodzę Wielhorskiego i Grochowskiego, nad trzecią zaś sam wziął komendę. Brygada Kościuszki stanęła pod Fastowem, na spotkanie pułków ciągnących z Rosji pod Lewanidowem.

Kościuszko, doświadczony w bojach, zrozumiał odrazu całą niedorzeczność tego podziału „na trzy dywizje, aby każda z osobna czyniła operacje naprzeciw trzem dywizjom wojska rosyjskiego, z których każda tak mocna była, jak wojsko polskie całe. Zamiast użycia całej siły naprzeciw jednej z tych, która zapewnieby zbita była, przez coby wojsko bez doświadczenia jeszcze nabrało było śmiałości, a obywatel — zachęcenia i powodu łączenia się z nim“.

Wystąpił też do księcia Józefa Poniatowskiego z projektem, że trzebaby najprzód zbić jedną kolumnę nieprzyjacielską, nim się wszystkie złączą.

Odpowiedział mu jednak ks. Józef, że z powodu braku rezerw nic jeszcze przedsiębrać nie może.

Zajął się więc Kościuszko obraniem miejsca na obóz i wysyłaniem rekonesansu, gdy w dniu 22 maja nieprzyjaciel przekroczył granicę.

Odbyło się to w największej tajemnicy, w samo południe. Lewanidow, zwinąwszy obóz pod Wasilkowem, odbił roгатkę graniczną i wysłał na stronę polską majora z trębaczem.

Stojący tam na straży rotmistrz Żychliński uformował natychmiast przed roгатką swoich 50 ludzi i wysłał naprzeciwko nim swojego trębacza, pytając się:

— Co to za wojsko i za czyim przyzwoleniem wkracza?...

Na to major rosyjski doręczył mu manifest, podpisany przez Bułhakowa, a Żychliński, przeczytawszy go, usunął się ze swoją komendą i ruszył do Białocerkwi, posyłając jednocześnie zawiadomienie Kościuszcze.

Po otrzymaniu raportu tego w dniu 23 maja, wysłał Kościuszek natychmiast gońca do Poniatowskiego, sam zaś, nie mając żadnego korpusu przy sobie, podążył przez Pohrebyszcze do Tetjowa, gdzie znajdowała się dywizja jego.

Znalazł tam jednakże tylko 2 szwadrony kawalerji narodowej z brygady Lubowidzkiego, reszta zaś rozrzucona była w okolicy. W dniu 25 maja skoncentrował je pod Pohrebyszczami, poczym rozłożył się obozem za miastem, frontem do Pawołoczy, w której stanął już Lewanidow. Lecz nie mógł myśleć o stoczeniu bitwy, gdyż miał zaledwie 3,000 wojska przeciwko 12,000 nieprzyjaciela. Gdy zaś wieści o nadciągających coraz to nowych kolumnach nieprzyjacielskich nie przestały nadchodzić, zwłaszcza gdy zagroziło mu otoczenie przez nadciągającą od strony Humania kolumnę Derfeldena, pocichu zwinąć rozkazał obóz i wieczorem, dnia 26 maja, wyruszył w pochód.

W drodze otrzymał rozkaz Poniatowskiego, by w dalszym ciągu cofał się na Pików ku Ułanowu, poczym zetknąwszy się z dywizjami Wielhorskiego i Poniatowskiego, po jednodniowym wypoczynku, pomaszerowali już razem do Janowa. Miano zamiar zaatakować wroga pod Pawołoczą, lecz, wobec braku rezerw i przewagi nieprzyjaciela, musiano tego zaniechać.

Ruszono więc w dalszą drogę, aż wreszcie zatrzymano się pod Lubarem, gdzie dano wojsku dwutygodniowy wypoczynek.

Trudne i ciężkie zadanie miała przed sobą główna komenda. Nieprzygotowana do stoczenia bitwy, niedoświadczona, nie znając dokładnie sił przeciwnika, stała bezradnie wobec pytania: Dokąd się obrócić?... Co począć?...

Księżę Józef, już wyjeżdżając z Warszawy na teren walki, przekonany był o niemożebności stawiania oporu trzykroć silniejszemu i znacznie sprawniejszemu przeciwnikowi. Prosił Stanisława Augusta, ażeby powierzył dowództwo jakiemu bieglejszemu od niego, obcemu wodzowi, pod którym chętnie chciał służyć.

Kampanję miał prowadzić bez kwatermistrzostwa głównego, bez intendentury, bez sztabu generalnego, przyczym walki toczyć się miały w stronach, gdzie ohydna Targowica roztaczała swe wpływy, gdzie złą wolę napotykał w najżywotniejszych sprawach prowiantowych i wywiadowczych.

Niezależnie od tego toczyć musiał ks. Józef straszną walkę z niekarnością, panującą w szeregach. W obozie pod Tulczynem zmuszony był nawet osobiście przebić pałaszem jednego z żołnierzy z kolumny Lubomirskiego, który za wszystkich odpowie-

dział, że w ogień nie pójdą. Dołączało się do tego i wrogie usposobienie ludności, mającej jeszcze w pamięci krwawo stłumioną hajdamaczyznę. Brakło mu też szpiegów, donoszących o ruchach nieprzyjaciela, jak również i zaprowjantowania żołnierzy.

Przytym i zaopatrzenie bojowe szwankowało bardzo, gdyż brakło koni do zaprzęgów, namiotów i rekvizytów polowych, pieniędzy, mundurów; broń, jak również i uprząż były w stanie złym.

Sytuacja naprawdę rozpaczliwa, zwłaszcza iż ks. Michał Lubomirski, z rezerwowym korpusem swoim, pozostając w tajemnym porozumieniu z przeciwnikiem, ściągał w słabej liczbie, manewrując najwolniej i najopaczniej, i według słów Poniatowskiego więcej mu szkodził, niż sam nieprzyjaciół.

Cofał się też przed wrogiem, staczając za ledwie potyczki straży przednich, na Lubar, coraz bardziej tracąc otuchę, czując otaczającą go bezradność i beznadziejność. Dopominał się usilnie o instrukcję z Warszawy, naglił króla o posiłki, prosząc, by zlitował się nad tą garścią żołnierza, zapowiadając mu „w ostateczności szukanie tylko śmierci“.

Do obozu w Lubarze nadszedł niecny rozkaz hetmana polnego, Seweryna Rzewuskiego, nakazujący wojskom koronnym łączyć się z Targowicą, a na który ks. Józef Poniatowski z pogardą odpowiedział.

Tam również doszła go wieść o smutnym losie żołnierzy polskich, wziętych do niewoli w pierwszych potyczkach. Grożąc represjami wzajemnymi, zażądał dobrego ich traktowania i przesłał gen. Kachowskiemu na ich wygody 500 dukatów, za co skarcony został przez Stanisława Augusta, gdyż złota szkoda i łatwiej się dadzą brać, bo im w niewoli lepiej będzie.

I podczas gdy ks. Poniatowski stał w Lubarze, nie wiedząc co robić, nieprzyjaciół, kierowany przez zdolnego kwatermistrza, gen. Pistora, Niemca, ruszył dwiema kolumnami, ażeby obejść armję polską od południa i północy, odciąć ją od Połonnego, otoczyć i zmusić do złożenia broni. Na szczęście Poniatowski odgadł grożące mu z tego powodu niebezpieczeństwo i rozpoczął śpieszny odwrót.

Kościuszko otrzymał polecenie odwrócenia uwagi kolumny Lewanidowa i w tym celu, z dywizją zwiększoną do 5,000 żołnierzy, wyruszył pod Czartorję, o milę na północ od Lubaru. Z zadania tego wywiązał się bardzo dobrze, gdyż zagrożony przez niego Lewanidow stracił czas i korzyść bliższej drogi z Miropola.

Przez ten czas główna armja dokonywała śpiesznego odwrotu w dn. 15 sierpnia. Wszystko szło składnie, dopóki noc trwała, lecz skoro dzień zaczęło, na arjergardową kolumnę Wielhorskiego napadły oddziały gen. Tormasowa, ks. Łobanowa i Orłowa, zabierając przedewszystkiem tabory. Uciekający w popłochu wpadli na dywizję Wielhorskiego, w chwili gdy ta przebywała groblę Boruszkowską. Skorzystali z tego nieporządku Rosjanie i kolumna Wielhorskiego uległaby zupełnej zagładzie, gdyby w porę nie nadciągnął ze swoją Kościuszko i wroga nie odparł.

Straty polskie dnia tego poważne były, gdyż Rosjanie wzięli do niewoli 375 ludzi, zdobyli 7 dział i znaczną część taboru, z kasą XIII-go regimentu, liczącą 12,113 złp.

Po długim i przykrym marszu połączone wojsko polskie weszło do Połonnego, gdzie spotkał je przykry zawód. Według posiadanych relacji, miała to być forteca, upatrzona na skład prowiantów i wszelkich

zapasów. Wysłany tam pułkownik Sierakowski z dwoma oficerami, celem umocnienia fortyfikacji, w dniu 7 czerwca złożył raport, że spodziewa się wykończyć pracę za cztery tygodnie, t. j. w początkach lipca. Nic dziwnego też, że wojsko polskie, nadszedłszy tam 17 czerwca, nie wiedziało gdzie się obrócić, gdyż nawet miejsca na obóz nie wytknięto. Zatrzymano kolumny w marszu, szukając wygodnych stanowisk, aż wreszcie znużeni długim pochodem żołnierze, napróżno oczekując na jaki taki odpoczynek, bezładnie rzucili się do miasta, w którym noc w szemraniu przepędzili.

Bezład zapanował w kolumnach Poniatowskiego i Wielhorskiego, zwiększony jeszcze pożarem, który wybuchł w mieście. Jeden tylko Kościuszko, czujny i przytomny zawsze, utrzymał ład w szeregach swoich, przy ich pomocy ogień ugasił i dał czas Poniatowskiemu do przywrócenia porządku wśród wojska.

Następnego dnia ks. Józef, po obejrzeniu okopów, przyszedł do przekonania, że miejsce to nie-
dość jest obronne dla wstrzymania nieprzyjaciela, i postanowił cofnąć się, paląc magazyny, których z sobą nie mógł zabrać.

Na radzie wojennej zdecydowano się wojska poprowadzić dalej do Szepietówki, a lazare i kasę wysłać do Dubna. Z braku koni i wozów musiano pozostawić znaczne zapasy żywności, które spalono, i kilka armat zagwożdżonych.

Na Kościuszkę padł los osłaniania odwrotu, i przy największym pośpiechu mógł on wyruszyć za armją dopiero w cztery godziny. Nadciągnął wkrótce Lewanidow, lecz widząc wojska polskie stojące w szyku bojowym, nie ośmielił się ich atakować, tak że Ko-

ściuszko po dwóch godzinach mógł ruszyć dalej i na noc pomyślnie przybył do Szepietówki.

Stan ogólny poprawił się o tyle, że pod Szepietowem, w niedalekim Zasławiu, stała już dywizja ks. Michała Lubomirskiego, która wnet połączyła się z ks. Poniatowskim, przyczem dowództwo nad nią objęli gen. Trokin i Zajączek.

Jednak i stanowisko w Szepietówce, po uznaniu go za niedogodne, zdecydował się zmienić ks. Józef Poniatowski i, otrzymawszy wiadomość o zbliżaniu się generała Trokina, wysłał mu rozkaz udania się pod wieś Zieleńce, o ćwierć mili odległą od prawego skrzydła obozu. Ruszono tam po północy i, rozstawwszy na chybił trafił strażę, doczekano się w niepokoju świtu i wtedy dopiero generał Trokin i Zajączek, po zlustrowaniu okolicy, przekonali się o nadciąganiu nieprzyjaciela.

Dywizja polska, licząca 2,200 piechoty i 800 jazdy, zajmowała stanowiska na wzgórzu, przyczem piechota stała pośrodku, w lesie, konnica zaś zajmowała oba skrzydła. Nadbiegł też natychmiast zawiadomiony o wszystkim Poniatowski z regimentem konnicy Mokronoskiego, którym wzmocnił prawe skrzydło. Przyprowadził z sobą również 4 dwunastofuntowe i 8 sześciofuntowych armat, które po różnych baterjach rozstawiono. Generałowie Trokin i Zajączek mieli zamiar obsadzić wioskę Zieleńce kilkuset żołnierzami, lecz zamęt, spowodowany przybyciem wodza, oraz widok nadciągającego wroga, a zwłaszcza rozpoczęty ogień armatni, nie pozwoliły na to.

Rzuciła się do ataku przednia straż rosyjska, licząca 8 tysięcy żołnierzy, na tabor, licząc na to, że zagarnie tabor polski, jak na grobli Boruszkowskiej, lecz grad kul, sypany przez działa polskie,

nie pozwolił na to. Zaczęła się gwałtowna kanonada, trwająca aż do południa. Konnica polska na prawym skrzydle poniosła narazie znaczne straty, tak że zupełnie złamaną została, lecz posuwanie się naprzód wroga powstrzymał widok drugiej linii. Skorzystał z tego Mokronoski, przywrócił zachwiany przez chwilę porządek w swym pułku, uderzył na konnicę nieprzyjacielską, złamał ją i prawie w pień wyciął.

W czasie tej walki trzy bataljony piechoty Lubomirskiego, najbliższej jazdy stojące, poczęły pierzchać, z czego korzystając, piechota moskiewska ruszyła do ataku na środek reszty stojących Polaków. Lecz Poniatowski natychmiast wypełnił utworzoną lukę i odparł piechotę wrażą, zadając jej zarówno ręczną bronią, jak i ogniem kartaczowym 10-iu armat, dotkliwe straty.

Zwątpił o zwycięstwie generał Markow, widząc piechotę swoją odpartą, a konnicę złamaną i, utworzywszy czworobok, cofać się począł.

Łatwo można było otoczyć go i wszystkich zabrać do niewoli, zwłaszcza że Polacy mieli przeważające siły, a wróg pozbawiony był amunicji, lecz ks. Józef nie umiał skorzystać z tego i spokojnie patrzył na cofającego się wroga. W następstwie winę tego zwał na Kościuszkę, utrzymując, iż nic nie wiedział o jego obrotach. Lecz ten, jako dowódca arjergardy, zlecone miał pilnowanie czynności Lewanidowa, posłyszawszy zaś odgłosy strzałów, podążył czymprędzej w stronę placu boju, nadszedł jednak dopiero wtedy, gdy wojsko rosyjskie uciekać zaczęło. Kościuszko sam tłumaczy, że przyczyną niezabrania Rosjan do niewoli było ustawienie przez nich na skale mocnej artylerji, strzelającej bez prze-

rwy, a przytym nie mógł on tego dokonać sam, ze swymi czterema bataljonami piechoty i kilkunastu szwadronami jazdy, zwłaszcza że wódz naczelny o godzinie 6-ej wieczorem ruszył dalej drogą do Zasławia.

Straty polskie w bitwie tej wyniosły 800 ludzi, a rosyjskie dwa razy tyle. Z braku zaprzęgów, artylerja polska, sprawiająca się walecznie, zmuszona była zepsuć i zakopać jedną armatę. Wykopali ją Rosjanie, wracający, po odejściu Polaków, na plac boju, z okrzykami zwycięstwa i jako dowód tryumfu swego wysłali do Petersburga.

Ks. Poniatowski, jak już mówiliśmy, ruszył pod Zasław, gdzie się złączył z Michałem ks. Lubomirskim, Kościuszko zaś, celem zmylenia rekonesansów nieprzyjacielskich, skierował się w prawą stronę, udając, że idzie do Sławuty, lecz, po wejściu w las, skręcił na drogę, wiodącą do Zasławia, i o świtaniu złączył się z ks. Poniatowskim.

Celem zmylenia nieprzyjaciela, zdecydowano się, po krótkim wypoczynku, znów rozłączyć. Liczono, że uda się wziąć wroga we dwa ognie, lecz Rosjanie nie dali się złapać w te sidła.

Ks. Lubomirski udał się na Lachowce do Ku-niowa, ks. Poniatowski zaś skierował się do Ostroga, gdzie znalazł lepszą pozycję i miał nawet 10 dni czasu do przygotowania się do walnego boju.

Położenie Ostroga było bardzo dobre, lecz chcąc bronić go skutecznie przeciwko znacznie silniejszemu wrogowi, trzeba było mieć liczniejszą artylerję. A armja polska miała ledwie 4 dwunastofuntowe i 28 sześciofuntowych dział przeciwko rosyjskim 120 armatom wielkiego kalibru, oprócz dział polowych, będących przy każdym bataljonie. Niedbalstwu ks.

Poniatowskiego przypisuje Zajączek ten brak armat, gdyż dzięki jakimś powodom nie chciał wziąć z sobą 50-iu dział dwunastofuntowych.

Pod Ostrogiem zajął się ks. Józef natychmiast rozstawieniem wojsk, przyczym Kościuszko przesunięty został aż o 2 $\frac{1}{2}$ mili pod Bohuryn, ażeby bronił nieprzyjacielowi przejścia przez Horyń.

Do obozu tego nadchodziły z Warszawy przeróżne sprzeczne polecenia i rozkazy. Niegodny król, Stanisław August, który pod wpływem niecnej Targowicy już w dniu 22 czerwca zwrócił się do carycy Katarzyny z listem, poprawionym przez jej ambasadora w Warszawie, Bułhakowa, który nie wyjeżdżał ze stolicy pomimo działań wojennych, jednocześnie słał orderzy zasługi wojennej godnym towarzyszom Kościuszki: Mokronoskiemu, Wielhorskiemu, podpułkownikowi Grochowskiemu i Haumanowi, majorowi Łażnińskiemu.

Na skutek polecenia stryja, zwrócił się ks. Józef do generała Kachowskiego z prośbą o rozejm, lecz ten, po naradzie z przedstawicielem dyplomatycznym carycy, r. st. Bühlerem, odpowiedział odmownie.

Nadbiegający wciąż od króla i od rady wojennej gońce tworzyli zamęt, szerzyli popłoch i trwogę.

Znalazł się ks. Józef w nader smutnej sytuacji, zwłaszcza że w otoczeniu jego znajdowali się ludzie, pełni podłości i pozbawieni ducha obywatelskiego, głoszący, iż wojna ta jest wojną Potockich, Szczęsnego i Ignacego, i że, wobec przewagi rosyjskiej, najrozsądniejszymby było prosić carycę Katarzynę o zawieszenie broni.

Nie zważał na te tchórzowskie rady ks. Józef, gotów stoczyć bitwę. Pomyślnie odparł ataki czterech ba-

taljonów jegrów rosyjskich z kozakami i 11 działami, wspartych przez pułk grenadjerów kijowskich z 6 działami polowymi.

Następnego dnia, 26 czerwca, gen. Kachowski, widząc, że nie zdoła zdobyć pozycji od frontu, postanowił zaatakować je od skrzydeł. Zamiarów jego nie zrozumiał ks. Poniatowski, i choć przedmieścia dwa razy zapalały się od żywego ognia dział, niewiele na nie odpowiadał, oszczędzając amunicję, której mu braknąć zaczynało.

Wytrzymawszy tak do 12 w nocy, zwołał radę wojenną, na której, wobec przewagi wroga, wobec braku amunicji i żywności, zdecydowano znów cofać się...

Brak amunicji spowodowany był niedbalstwem Warszawy, która, nie zważając na słanych do niej gońców z prośbą o wysłanie jej choćby pocztą, zwlekała z tym.

Ani w walkach tych, ani w radzie wojennej, Kościuszko, stojący pod Horyniem, udziału nie brał. Ganił powzięte tam decyzje, przypisując zarówno brak prowiantu, jak i inne braki, wadom administracji wojskowej, a szczególnie kwatermistrzowi „wcale niezdatnemu, lub przekupionemu, a protegowanemu zawsze“. Toż sam przecież, stojąc z dywizją swą o milę zaledwie, miał poddostatkiem wszystkiego i naokoło wsie napełnione były chlebem, mąką, sianem i owsem.

Straty w utarczkach tych były niewielkie, gdyż wynosiły zaledwie 80 ludzi zabitych i rannych. Gorszą klęską była rozterka między ks. Józefem a ks. Lubomirskim, który coraz jawniej przychylność swą Targowicy okazywał.

O godz. 2 rano, dn. 27 czerwca, ruszył ks. Jó-

zef do Hulczy, gdzie połączył się z Kościuszką, a ks. Lubomirski pomaszerował do Mirocza. W przedniej straży szedł Kościuszko, lecz inne oddziały podążały tak szybko naprzód, iż go o mało co nie wyprzedziły. Podążano do Dubna, gdzie miano znaleźć wielkie magazyny odzieży, prowiantów i amunicji, oraz spodziewano się przyjazdu króla.

Lecz zawód ich spotkał. Magazyny okazały się niezaopatrzone należycie, amunicja daleko, aż nad granicą austryjacką, a gdy tego, co było, nie można było wywieźć z powodu braku podwód, znaczną część zapasów musiano pozostawić Rosjanom. I król Stanisław August nie przyjechał, gdyż nie spodziewał się, ażeby w obozie można było znaleźć kuchnię przyzwoitą.

Bez bitwy cofała się armja polska w nocy na 1 lipca, przyczym ks. Józef przyszedł do przekonania, iż obrona linji Buga możebną będzie między Dubienką a Opalinem.

W dn. 4 lipca stanął w Łokaczach, lecz brak furazu zmusił go do pomaszerowania do Włodzimierza. Uderzyli tam Rosjanie na armję polską, lecz Kościuszko tak zręcznie osłaniał odwrót, prowadząc arjergardę, że odparł ataki całego wojska rosyjskiego. Odwrót nie został przerwany ani na chwilę, a Rosjanie, poniosłszy straty dotkliwe, zwłaszcza w huzarach i kozakach, cofnęli się, nie mogąc przeszkodzić przeprowadzeniu armji polskiej przez Bug.

Dokonano jej w dniu 8 lipca pod Bindugą, po moście przez rzekę przerzuconym, i znów zawdzięczano to Kościuszcze, oraz zaleconym przez niego oficerom: majorowi Krasickiemu, dowodzącemu strzelcami przy arjergardzie, podpułk. Kamienieckiemu oraz szefowi Karwickiemu, który nietylko sam mężnie

i roztropnie postępował, ale również męstwo i posłuszeństwo w pułku swym zaszczerpił.

Tegoż dnia również zaatakowany został i korpus ks. Lubomirskiego. Nie wiedząc nic o ruszeniu w pochód Poniatowskiego, Lubomirski dzień cały przeznaczył na zaopatrzenie żołnierzy swoich w żywność, której im brakło dnia poprzedniego. Wyprawił on o godz. 10 zrana tabor swojego korpusu, celem ułatwienia i przyspieszenia odbyć się mającego dnia następnego marszu, gdy naraz około południa przybiegł do niego oficer jazdy od Kościuszki, zasłaniającego odwrót całej armji, z wieścią o nacieraniu wroga. Spóźnił się on, gdyż, nie znając miejscowości, zbłądził.

Natychmiast wyruszył w pochód Lubomirski, lecz ledwie tylko wyszedł z obozu, gdy dano mu znać, że wróg napada na tabor. Wysłano tam wnet Zajączka z kilku szwadronami konnicy, i Rosjanie zostali odparci i bagaże uratowane.

A jednak, gdyby zgoda panowała wśród wodzów polskich, z łatwością mogliby rozbić wroga, atakującego Włodzimierz, a tak nieprzyjaciel uszedł szczęśliwie z częścią zagarniętych bagaży.

Następnego dnia armja polska przeszła Bug i zajęto się umacnianiem stanowiska pod Dubienką, celem bronięcia nieprzyjacielowi przeprawy przez rzekę.

Dwa dni trwał wypoczynek wojska, poczym wojsko podzielono na trzy korpusy. Jednym z nich dowodził Kościuszko i pilnował rzeki od granicy Galicji aż do Dorohuska; na czele drugiego Poniatowski stał od Dorohuska aż do Świerzowa, a Michał Wielhorski dowodził trzecim, ciągnącym się aż do Włodawy.

Zajęte ppozycje były mocne, a ocalenie swe od

zupełnego rozbicia armja polska zawdzięczała Kościuszce, który, dowodząc oddziałem, zasłaniającym odwrót, potrafił wszędzie zapobiec oskrzydleniu lub otoczeniu przez wroga.

Nie pochwalał Kościuszko planu bronienia przeprawy przez rzekę, ułożonego przez Poniatowskiego.

„Osiem mil bronić rzeki wszędzie przechodniej dla małej wody — pisał — była rzecz niepodobna dla 15,000 ludzi do boju przeciw wojsku, więcej niż 40,000 liczącemu. Ale nie powinno było podpadać to żadnej wątpliwości, aby gen. Kachowski siłą swoją najmocniejszą nie atakował dywizji gen. Kościuszki, ze 4 tysięcy złożonej i odłączonej więcej jak mil dwie od sukursu, ile że przez pobicie onej wzięłby był armji polskiej i bagaże, i ogarnąłby ją wkoło“.

Lecz Poniatowski uwag takich nie uwzględniał, choć armja polska w oplakany znajdowała się stanie. Oprócz strat, poniesionych w bitwach, a sięgających 1,340 ludzi, ucierpiała wiele przez dezercję. Dawał się też jej porządnie we znaki głód, zniszczenie odzieży i obuwia, a choć straty w ludziach uzupełniano świeżymi zaciągami, ogólna liczba żołnierzy nie przekraczała 15,000 zdolnych do boju.

Otrzymał Kościuszko od Poniatowskiego polecenie dozoru sypania szanców na brzegu rzeki, lecz, rozważywszy sprawę tę gruntownie, przyszedł do przekonania, iż trudno było utrzymać się na stanowisku, przez te baterje zajęty, gdyż na wypadek cofania się pozostawała do przejścia jedna tylko grobla, którą nieprzyjaciel z łatwością mógł gradem kul zasypać.

Zmienił też plan obrony w tym sensie, iż widząc, że nieprzyjacielowi w żaden sposób nie przeszkodzi w postawieniu mostu, zdecydował się obrać sta-

nowisko na dwa wystrzały armatnie od pierwszego oddalone. Prawe skrzydło osłonił lasem, będącym na granicy Galicji, którą zawsze za niemogącą być zgwałconą uważał, lewe zaś przyparł do wioski nad samym Bugiem leżącej, którego brzeg był nader niedostępny w tym miejscu. Przód obozu obwarował; zabezpieczył cofanie sobie albo środkiem na Dorohusk, albo w prawą stronę na Kuniów, gdyż drogi prowadzące do obydwóch tych miejsc las okrywał. W takim położeniu na czele pięciu tysięcy wojska czekał na nieprzyjaciela.

Ostro skrytykował Poniatowski obydwie te zarządzenia, czemu nawet dał wyraz w korespondencji swojej. Przyszłość dowiodła, że zarzuty jego były niesłuszne.

Nawet po ukończeniu wojny ganił Poniatowski czynności Kościuszki, lecz ten wytłómaczył się z nich z wrodzoną sobie skromnością: „zostawiony sam sobie, chwycił się sposobu, który mu roztropność dyktowała — obrał miejsce najzdadniejsze na obóz, wzmocnił go baterjami i fleszami. Flank prawy jego dotykał się słupa Galicji, lewy — rzeki Bugu“.

Wróg nadciągnął i, przeprawiwszy się w dniu 17 lipca przez rzekę pod Kładniowem, przekonał się naocznie, że zadanie nie będzie zbyt łatwe, gdyż obóz polski pod Dubienką broniony był należycie przez umiejętnie zatoczone baterje, oraz przez nader dogodne położenie, broniące przeprawy przez Bug pod Opalinem i Dorohuskim.

O świtaniu, dnia 18 lipca, rozpoczęła się bitwa. W wykonaniu opracowanego przez gen. Kachowskiego planu, ruszył gen. Tormasow na czele znaczniejszych sił ku Bugowi pod Dorohuskim i szukać jął brodu, a znalazłszy ich kilka, wznosić zaczął

most pontonowy. Broniły mu tego słabe liczebnie wojska przedniej straży pułkownika Grochowskiego, lecz gdy nie mógł dać rady, cofać się zaczął. W płonącym od bomb rosyjskich Dorohusku spotkał ks. Józefa, dążącego mu na pomoc z bataljonem piechoty i kilkoma armatami. Po wysłuchaniu raportu, zamiast uderzyć na wroga całą siłą i nie pozwolić mu przeprawić się, mało doświadczony wódz, jakim był Poniatowski, zaczął się cofać również, śląc zarazem do Wielhorskiego rozkaz cofania się do Chełma. Jednocześnie prawie posłał do Kościuszki kartkę następującej treści:

„Zaklinam WPana, abys swoją pozycję jak najskuteczniej i jak najdłużej utrzymywał. Dziwuję się, żeś dziś rano Moskalów nie atakował“.

Runęła więc na Kościuszkę cała nawałnica nieprzyjacielska. Miał stawiać jej opór z garścią swych wojsk, gdyż Poniatowski nie nadsyłał mu nawet posiłków.

Kachowski tymczasem, po osobistym obejrzeniu pozycji polskich, o godz. 3 po południu ruszył trzema kolumnami do ataku, przywitany gorącą kanonadą z dział Kościuszki. Lecz cóż mogły zdziałać jego 2 armaty dwunastofuntowe, 6 sześciofuntowych i 2 haubice przeciwko 56 działom nieprzyjacielskim? Zmusiły te ostatnie do milczenia niektóre baterje polskie, poczym wojska rosyjskie ruszyły do ataku, uderzając na skrzydła i pragnąc otoczyć i zabrać do niewoli całą armję polską.

Lecz krew pradziadów odżyła w mężnych zastępach Kościuszki... atak za atakiem odparto, zadając coraz cięższe straty wrogowi, aż wreszcie, gdy trzy szanse zostały zdobyte, wydał Kościuszko rozkaz cofania się.

Wtedy, przejechawszy terytorjum austrjackie, runęła na Polaków kawalerja rosyjska, pod wodzą generała Palmenbacha, zdobyła dwie baterje, lecz przy trzeciej, gdy wódz poległ, uległa rozbiciu. Tak samo odparto następne ataki piechoty i kawalerji.

Kościuszko przebiegał od pozycji do pozycji, zachęcając do walki wiarusów swoich, gardząc niebezpieczeństwem, i dopiero ucieczka przed czasem pułku Biernackiego, nie biorącego nawet udziału w walce, skłoniła go do odwrotu w stronę Krasnegostawu, przy czym dokonano go w największym porządku, pod osłoną bataljonu fizyljerów, pod wodzą Kniaziewiczza. Wymieniano przez cały czas strzały karabinowe i działowe, zadające znaczne straty wrogowi, ścigającemu ich na przestrzeni dwóch mil.

Musiano przytym pozostawić dział siedem, resztę zdołano wywieźć dzięki przezorności generała Wielowiejskiego, który zaprzęgać kazał do armat konie kawalerji.

W ciemną noc odbywał się ten odwrót i to spowodowało taki zamęt w szeregach polskich, że Kościuszko, przybywszy do Kuniowa, odległego o trzy mile od placu boju, ujrzał przy sobie tylko dwa bataljony piechoty i regiment jazdy. W mniemaniu, że reszta wojska zginęła, wyprawił gońca z tą wieścią do ks. Poniatowskiego, lecz w godzinę potym generał Wielowiejski przyprowadził resztę dywizji.

Generał Kachowski, tryumfujący ze zwycięstwa, pośpieszył rozłożyć się obozem na pobojowisku i wysłać do carycy gońców z wiadomością o nim. Lecz sławą prawdziwą bitwa ta okryła tylko Kościuszkę, który wykazał w niej wielkie zdolności wojskowe, a co przyznawali mu nietylko swoi, lecz i obcy.

Legło Polaków zabitych 900, a więc prawie czwartą część, Rosjan zaś 2,000 z górą. Miarą zaciętości bitwy służyć może to, iż wzięli Rosjanie doniewoli tylko 91 Polaków, reszta wołała zginąć w walce.

Ze strony Stanisława Augusta spotkało „naszego wyśmienitego Kościuszkę“, jak go nazywał, wyróżnienie, gdyż mianował go generał-lejtnantem, obdarzając jednocześnie godnością tą i najmniejszych swoich przyjaciół: Arnolda Byszewskiego, Lubowidzkiego i Gorzeńskiego.

Godniej uczciła Kościuszkę Francja, gdyż Zgromadzenie Narodowe Prawodawcze, dekretem swoim z dnia 26 sierpnia r. 1792, na wniosek żyrondyisty Guadet'a nadało mu tytuł „obywatela Francji, zamieszczać na jednej liście z najznakomitszymi mężami świata: Washingtonem, Szyllerem, Pestalozzi'm i innymi.

Tymczasem uchodzący pod przemocą wroga Kościuszkę połączył się z kolumną Poniatowskiego i Wielhorskiego dopiero we wsi Piaski, o 7 mil od placu boju odległej.

W czasie tym armja, walcząca na Litwie, doznała podobnego losu. Dowodził nią ks. Ludwik Wirtemberski, który z wyraźnym ociąganiem, dopiero na rozkaz komisji wojskowej, podążył z Warszawy do armji na Litwę, by w Wołczynie udać chorobę. Zdrada jego wyszła na jaw, po przejęciu listu jego, pisanego do króla pruskiego, w którym donosił, że, stosując się do zleceń jego, pozostaje bezczynnym, że nie ściąga nigdzie korpusów polskich, owszem trzyma je rozproszonymi, aby tym łatwiej stały się zdobyczą wojsk rosyjskich.

Jak grom razila ta wiadomość Czartoryskich, których był zięciem. Stara księżna była w rozpacz,

a córka posłała natychmiast do zdrajcy list z żądaniem rozwodu i zamknęła się w klasztorze Sakramentek.

I król wreszcie, wobec tak jawnych dowodów zdrady, zdecydował się odebrać mu dowództwo w dn. 1 czerwca „z powodu słabego zdrowia“. Nie naprawiło to popełnionych błędów i niecnej zdrady ks. Wirtemberskiego. Rosjanie, wkroczywszy na Litwę trzema korpusami, znosili i wypierali z łatwością rozpierzchnięte i samopas chodzące oddziały polskie, a Szymon Kossakowski, mianujący się regimentarzem generalnym konfederacji litewskiej, organizował w powiatach, zajętych przez wojska rosyjskie, związki konfederackie pod hasłem Targowicy.

Takim sposobem dostały się Rosjanom bez wystrzału Połock i Bobrujsk, a Wilno przejęła trwoga; prezydent miasta, Antoni Tyzenhaus, słał do króla listy rozpaczliwe, prosząc o pomoc i zaręczając za wierność obywateli, którzy do ostatka bronić się są gotowi. Dowództwo nad wojskiem litewskim objął po ks. Wirtemberskim gen. Judycki, człowiek dumny i nieulubiany, nie umiejący dowodzić nawet kompanją, a cóż dopiero całą armją, znajdującą się w nader ciężkich warunkach. To też Rosjanie bez oporu zajęli Mińsk, a dn. 14 czerwca i Wilno.

Judycki zebrał w Świerzniu 6,000 ludzi i, cofnąwszy się pod Mir, stoczył tam bitwę nieszczęśliwą, zaczęłą i skończoną bez planu. Straciwszy kilkuset ludzi i 6 armat, cofnął się pod Grodno.

Wtedy król, na skutek skarg generałów litewskich, oddał komendę naczelną gen. Michałowi Zabiellem. Zawiódł on jednak pokładane w nim nadzieje, nie zdołał wprowadzić ładu wśród wojska, podburzanego potajemnie przez wysłanych przez króla intrygantów.

Stanisław August nienawidził Zabielly oddawna, a zazdrość i obawa, ażeby on nie okrył się większą sławą od synowca jego, potęgowała tę nienawiść. Unikał też Zabiello bitwy, lękając się zgubić zupełnie wojsko, tak intrygami zazdrosnego króla osłabione.

Bez walki też oddał Rosjanom Grodno, stoczył dwie potyczki pod Zelwą i Brześciem, zakończone „bardzo pięknym odwrotem“, pod Grannem wypuścił z rąk korpus rosyjski Denisowa i, stosownie do rozkazów królewskich, wycofał się wreszcie ku Warszawie, aby osłaniać stolicę, a w drodze dopiero wsparł go gen. Byszewski korpusem gwardji konnej i pieszej, liczącym 5,824 ludzi.

W czasie, gdy wypadki te rezgrywały się, na Kościuszkę sypnął się grad złota. Na skutek starań Stanisława Poniatowskiego, otrzymał szefostwo regimentu 4-go buławy polnej koronnej z jednoczesną nominacją na gen.-lejtanta. W dniu 6 sierpnia wypłacono mu odrazu płacę generał-lejtanta, pieniądze stołowe i furażowe na 26 koni, gażę szefowską i kapitańską za kwartał czerwcowy, razem w sumie 13,796 złp. Była to dla ubogiego właściciela obdłużonych Siechnowicz suma niemała. Lecz już następnych rat nie wziął, gdyż wyrzekł się ich wobec straszliwych ciosów, sypiących się na umiłowaną Ojczyznę.

Cofające się wojska pochłonięte były myślą o dalszych walkach z nieprzyjacielem. Książę Józef opracowywał plan przeniesienia pola walki za Wisłę i w dniu 23 lipca pisał do króla: „My bronić się będziemy ile możności“.

Tymczasem w stolicy, wśród dworu królewskiego, panowały trwoga i przerażenie na wieści płynące o posuwaniu się naprzód wojsk rosyjskich, oraz o topnieniu wojsk polskich. Słuchał ich tchórzliwy Sta-

niśław August, coraz bardziej ulegając podszeptom zwolenników Targowicy, aż wreszcie zaczął pocichu pertraktować z posłem carycy, Bułhakowem.

Przyjęty zimno, nieomal wzgardliwie, poddać się musiał wszelkiego rodzaju upokarzającym warunkom, z których głównym było żądanie, by przystąpił do konfederacji. Uległ im i podpisał swe przystąpienie do niecných Targowiczán, a wieść o tym lotem ptaka przedostała się do obozu pod Kunowem.

Oburzeniem przejęły się serca żołnierskie na wieść, iż podczas gdy oni krew leją, broniąc Ojczyzny, tam, w stolicy, ciemną knują intrygę, zaprzędając wrogowi Polskę. Wszyscy oficerowie zgłosili się do ks. Józefa Poniatowskiego, by z ust jego dowiedzieć się o prawdzie haniebnéj nowiny. Pod wpływem tych wieści odpisał ks. Józef ks. Czartoryskiej, która mu pierwsza tę wieść przysłała:

„Na wszystko byłem przygotowany, lecz nie na podobną nikičemność. Jestem zgnębiony, oszołomiony. Raczej należało bić się do zgonu, niż oddychać hańbą“.

I po naradzie z najbliższymi napisał list do króla, pełen goryczy i bólu, w którym czynił mu wyrzuty, iż „żeby wojsko nie pobite, żeby naród szlachetny, żeby król roztropny miał się poddać pod jarzmo kilku wyrodných obywateli, którzy chcą na nas kłaść kajdany i okryć nas cechą wiecznéj nieślawy. Podłość zníženia się aż do zdrajców Ojczyzny byłaby grobem naszym“...

Błagał też w nim króla, by stanął na czele wojsk i uderzył raczej na wroga, niż mu ulegał, by zginął, niż dał się upodlić.

Raportu swego i listu nie posłał ks. Józef do

Warszawy drogą zwykłą, lecz wyprawił je przez Mokronoskiego i Wielhorskiego. Pojechali oni w strojach cywilnych, nie w mundurach, gdyż dążyli nie w charakterze żołnierzy, z czynem niesubordynacji do głowy siły zbrojnej, lecz jako obywatele z pozwem do monarchy elekta.

A list, który wieźli, zakończony był wielemówiącym przypiskiem ks. Józefa, że będą mówić „w imieniu całego dotąd wiernego WKM-ci żołnierza“...

Lecz poselstwo ich spóźnionym było.

Pomimo przekładań ludzi, gorąco Ojczyznę miłujących, pomimo, że czcigodny Małachowski całe mienie swoje na potrzeby jej ofiarował, błagając, by król jechał do wojska, by obecnością swoją do wytrwania w walce o wolność Ojczyzny zachęcił, Stanisław August przyrzekał usłuchać ich, lecz następnie, gdy zdrajcy Polski nacisk na niego czynić poczęli, uległ im i wszystkie warunki carycy przyjął.

Właśnie goniec, wiozący rozkaz zawieszenia broni do ks. Józefa i w tej samej sprawie list Bułhakowa do Kachowskiego, minął się z delegatami wojska w drodze.

Choć z bólem serca Poniatowski posłuszny był rozkazowi i wysłał zaraz tegoż samego dnia swego oficera Chomętowskiego do nieprzyjaciela z listami z Warszawy.

Zapanowało zawieszenie broni, gdy naraz następnego dnia, z samego rana, rozległy się od przednich straży salwy strzałów karabinowych. Dosiadł ks. Józef konia i popędził tam, przyczym dowiedział się, że to kozacy nadchodzą i już się z widetami ucierają. Zaatakowani, umknęli kozacy, a natomiast ukazał się korpus gen. Markowa, który nie wiedział nic jeszcze o rozejmie. Posłał też księżę Józef doń

zawiadomienie, iż zaczepiać go nie będzie, lecz jest gotów do obrony.

Stały więc naprzeciw siebie dwie wrogie potęgi, gotowe do walki w każdej chwili, a w kilka godzin potem spotkali się niby wypadkowo w polu obydwa wódzowie. Zamieniono grzeczne pozdrowienia, nawet komplementy, poczym naradzano się nad dalszym posuwaniem się obydwóch armji, ażeby uniknąć spotkań i starć.

Gdy nie mogli się zgodzić na jedno, postanowiono wysłać do Warszawy kurjerów po wyraźniejsze rozkazy.

Lecz powróciwszy do kwatery swojej, znalazł tam ks. Józef list od króla, nakazujący mu cofnąć się ku Kozienicom.

Bez długiego namysłu, pojechał powtórnie do Kachowskiego, ażeby zawiadomić go o tym i zarazem skłonić do tego, aby armja rosyjska pomaszewowała do Warszawy prawym brzegiem Wisły, lecz Kachowski odmówił.

W wyprawie tej towarzyszył mu Kościuszko, który następnie wrażenia swoje z tego widzenia opisał w następujący sposób w liście do księżnej Czarторыskiej:

„Kachowskiego poznałem; jest to człowiek nie z pierwszego rzędu rozumnych ludzi, chwiejący się w opinji, trudności znajdujący w każdej rzeczy, irrésolu, słowem — mnie się podobał; a gdy widziałem innych oficerów, zacisnąłem ręce, pomyślawszy: jak łatwo ich można bić, gdyby kraj miał energję, byłbym czuł o wolność swoją, miał zapas prawdziwego obywatelstwa. Porzuciłem ich ze łzami wzgardy. Dziś ruszamy do Puław dla przejścia Wisły po obiedzie“.

Tymczasem ks. Józef w namiocie swoim odczy-

tywał list stryja, w którym, poza ogólnymi wiadomościami i rozkazami, w oddzielnym dopisku pisał do swego drogiego Pepi, pisał krótko i czule, jak-gdyby chodziło o drobnostkę; upewniał go, że rzeczy nie stoją tak źle, jak się pierwotnie wydawało. Polecał mu zdać komendę w ręce Kościuszki i udać się do Warszawy. „Przybądź — kończył — aby odebrać moje uściśnienie, na które sobie zasłużyłeś... Co do Twojej osoby urządzimy się w taki sposób, żebyś nie miał wcale zmartwienia...”

Z sercem przepełnionym bólem i goryczą siadł ks. Józef, by odpisać stryjowi na ten list niegodny.

„Najjaśniejszy Panie — pisał — gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie Ci rozpaczy, którą dusza moja napełniona została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z własnego Twego listu, że łączysz się z Targowicą... Wielki Boże, czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon...

Noc całą bezsennie spędził ks. Józef, a następnego dnia wypełnił najcięższy i najsmutniejszy swój obowiązek wodza naczelnego: zawiadomił wojska o zapadłych w Warszawie postanowieniach.

Rozległy się okrzyki oburzenia... Wojska, zdjęte gniewem, iż miast walczyć z wrogiem, ustępować przed nim muszą i otwierać drogę do samego serca kraju, nie mogły pohamować gniewu. Z trudem przyszło zaprowadzić w szeregach subordynację i porządek i poprowadzić wojska, zgodnie z rozkazem, przez Puławy ku Kozienicom.

A tymczasem w Warszawie wysłańcy ks. Józefa wręczali królowi raport jego wraz z listem. Zdjęło króla przerażenie, gdy przeczytał wiadomość o usposobieniu wśród wojska. Lęk go zdjął o własne ży-

cie i, padłszy — według generała Zajączka — na kolana przed wysłańcami, zaklinał na wszystko, ażeby starano się wojska uśmierzyć, rozżalił się przytym. rozszołał, ale projektu, by stanął na czele wojska i śmiało ruszył na wroga, nie przyjął. Pisał tylko do ks. Józefa, w ostrych słowach listu nie poznając swego łagodnego, posłusznego Pepi.

Zaklinał go na wszystko, by nie stawał się przyczyną śmierci jego i zguby państwa. Przypominał mu, że idzie tu o honor jego, o życie i o państwo...

Lecz walka obrońców wolności Ojczyzny z ogarniającą cały naród obojętnością i apatją trudna była. Brakło ofiarności wśród narodu, ofiary pieniężne na wojsko skąpo napływały, a ochotników zjawily się zaledwie setki. Natomiast niecni przedstawiciele Targowicy, dążąc wślad za wojskami rosyjskimi, wszędzie ustanawiali swe zarządy konfederackie, organizując zarazem pomoc w prowiantach i furazu dla wojsk nieprzyjacielskich, a nawet znajdowali się w ich szeregach podczas walk z braćmi toczonych.

A w Puławach, gdzie wojska zatrzymały się na postój, w umysłach wrzało. Snuto pomysły porwania króla z Warszawy, przywiezienia go do obozu i, pobudziwszy naród cały do powstania, ruszenia razem z nim na wroga. Opracowano nawet projekt tego, przyczym, według niego, Eustachy Sanguszek miał dla pozorów udać się z parkiem artyleryjskim z Koźienic do Warszawy, wystąpić z paradą pod Ujazdowem, prosić króla na przegląd, otoczyć go niespodzianie i zabrać przemocą do obozu, co ze względu na konwój królewski nie obeszłoby się bez krwi rozlewu.

Słuchał ks. Józef tych projektów, ważył się, a w trakcie tego armja polska przeszła z Puław do Sieciechowa. Tam przybyli z Warszawy Mokrono-

ski i Wielhorski i zdali relację z pobytu swego w stolicy. Oburzenie oficerów przeszło wszelkie granice. Tłumnie rzucili się do ks. Józefa, prosząc, by objął nad nimi władzę nieograniczoną, by wystąpił wbrew woli stryja. Lecz on wahał się, zmagał, wreszcie odrzucił wszelkie projekty i w dniu 30 lipca w obozie pod Sieciechowem podpisał następujące podanie o dymisję:

„Żołnierz nie zna tylko jedno słowo, a poczcwy człowiek jedną tylko przysięgę; i jedno i drugie nas wiązało do tej sprawy, której broniliśmy krwią i życiem naszym. Z tego powodu upraszam Waszą Królewską Mość o łaskawe przychylenie się do notu przyłączonych, jakoteż niemniej o akordowanie dymisji tym wszystkim oficerom, którzy równego z nami są przekonania“.

Na tym samym arkuszu napisał i Kościuszko następującą prośbę o dymisję:

„Nota do Najjaśniejszego Pana.

Gdy zmiana okoliczności krajowych byłaby przeciwną pierwiastkowej mojej przysiędze i wewnętrznemu przekonaniu, mam honor przeto upraszać Waszej Królewskiej Mości o łaskawe podpisanie mi dymisji. Dan w obozie pod Sieciechowem dn. 30 Julii 1792.

Tadeusz Kościuszko GM“.

Do podań tych dołączono 200 podobnych prośb o dymisję. Pojechał z nimi do Warszawy Kościuszko, który sam tłómaczył powód ich, jako zabezpieczenie przed pociągnięciem do przysięgi wbrew przekonaniu, oraz służeniu razem, pod jednym sztandarem z twórcami zdradzieckiej Targowicy. Gdyby zaś to się nie stało, prośby o dymisje miały być cofnięte.

W Warszawie, król, po otrzymaniu tylu podań o dymisje, natarł jak najmocniej na Kościuszkę, by

skłonić go do cofnięcia prośby, nasyłał nawet na niego damy, nalegał, przekonywał—wszystko na próżno. Kościuszko wytrwale stał przy swoim, zbijając argumenty jego, tak że czasem zaambarasowany król nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Nareszcie razu pewnego powiedział mu Kościuszko ze łzami w oczach:

— Zasłużyliśmy na wzgląd, bijąc się za kraj, za rząd, za Waszą Królewską Mość, i nigdy nie uczynimy przeciwnie naszemu przekonaniu i honorowi.

Że zaś nikt jeszcze nie znalazł się, ktoby głośno nazwał infamisami i zdrajcami tych łotrów, uczynił to Kościuszko w przytomności króla, na co mu ten odpowiedział:

— Zostawić im tę hańbę.

Nie ustępował król jednak. Specjalną sztafetą wysłał do obozu w Sieciechowie nowy „wywód przekonujących racji“, lecz wszystko nadaremnie. Książę Józef pozostał nieugięty.

Prosił tylko o podpisanie dymisji, gdyż wszystko: „powinność, przekonanie, przysięga, zaufanie publiczne, honor wojskowy, wszystko mnie wiąże, wszystko zmusza być stałym w powziętym przekonaniu“. I przyrzekał, po podpisaniu dymisji, „pośpieszyć ucałować dobroczynne ręce Waszej Królewskiej Mości, którego kocham więcej niż życie własne“.

Przywiózł wreszcie Kościuszko tak upragnioną dymisję, i ks. Józef wybrał się do Warszawy.

Serdecznie żegnało wojsko opuszczającego je wodza, który, być może, zbłądził nieraz przez niedoświadczenie, lecz umiał dbać o honor Ojczyzny i armji. Doręczono mu piękny adres, brzmiący:

„Dopóki imię żołnierza nie wygaśnie, dopóki cnota wdzięczności ludziom miła będzie, zaręczamy

Mu tym pismem naszą nieśmiertelną wdzięczność, głębokie uszanowanie i niczym niezatarte przywiązanie nasze. Aby zaś niniejszy hołd, który męstwu, cnocie, talentowi i szlachetności duszy Jego oddajemy, całemu światu był wiadomy, medal bić zalecamy, na którym z jednej strony ma być wyryty biust Jego, a na drugiej ten napis: *miles imperatori*“.

Jeden z pierwszych podpisał ten adres Kościuszko, składając tym największy dowód zapomnienia wszelkich przykrości, jakie od księcia doznał, a zarazem składając hołd miłości jego dla Ojczyzny i honoru. Za nim podpisali adres ten wszyscy najprzedniejsi oficerowie.

Udał się ks. Józef do Warszawy, by ostatecznie zdać dowództwo swoje, a z nim razem pojechał i Kościuszko.

Zawiązał on podczas bytności jeszcze w Puławach przyjazny stosunek z ks. Czartoryską, w której wielbił gorące umiłowanie Ojczyzny. Słuchał jej skarg na rabunkową gospodarkę wojsk rosyjskich i nawzajem zwierzał się jej w listach ze wszystkiego, co przeżywał.

A miał wrażeń, ból serdeczny uczuciom jego zadających, niemało. Warszawa zalana była przez wojska rosyjskie, a ambasador carycy z Kachowskim gospodarowali w niej, jak we własnym domu. Król spadł już tak nisko, że nie jemu lecz jego Kachowskiemu przedstawiał ambasador Bułhakow, a w zamku trzymany był pod tak ścisłym nadzorem, iż równał się on prawie aresztowi. A przytym caryca, dumna ze swego zwycięstwa, odniesionego nie na placu walki lecz dzięki srebrnikom judaszowskim i niecności Targowiczian, słała mu żądanie za żądaniem, a wszystkie mające na celu ostateczne osła-

bienie i zgnębienie Polski. Najgłówniejszym z nich była sprawa rozlokowania wojsk; caryca żądała, aby podzielone były one na jak najmniejsze komendy i rozrzucone tak, by w żaden sposób większa liczba wojska w jednym miejscu zebrać się nie mogła.

W tym planie dyzlokacji Kościuszcze powierzono dywizję III-cią, z kwaterą główną w Radomiu. Lecz nie pojechał tam Kościuszko, tylko całe dwa miesiące spędził w Warszawie, zabiegając u komisji wojskowej w sprawie wyjednania dla podwładnych mu oficerów awansów i odznaczeń.

Powietrze w Warszawie stawało się z każdym dniem duszniejszym. Zapełniali ją rozbitcy upadłego wielkiego dzieła sejmowego, dymisjonowani oficerowie rozbrojonej armii polskiej, mściwi pełnomocnicy tryumfującej Targowicy, oraz zwycięskie wojska obce a znienawidzone.

Opinia publiczna jawnie stawiała po stronie protestujących oficerów, a przedmiotem owacji ogólnej stał się zarówno ks. Józef Poniatowski, jak i wszyscy podkomendni mu oficerowie, z Kościuszką na czele.

Nie spodobały się Stanisławowi Augustowi te manifestacje, jako skierowane przeciwko niemu, potępiające żywo jego działalność. Zaczął więc karcić synowca, wzywając go, by wpłynął na kolegów, ażeby powstrzymali się od objawów niezadowolenia, a nawet kłaniać się Kachowskiemu zaczęli.

Lecz jakby w odpowiedzi na to, ks. Józef, rozpisując odezwę do wszystkich korpusów z podziękowaniem za adres pożegnalny, bez ogródek pisał o dymisji swojej, wyluszczając jej powody, bezwzględnie potępiał Targowiczán, żądał pamięci i wytrwania, zastrzegając w niedalekiej przyszłości prawo odwetu.

Tego już za wiele było Stanisławowi Augustowi.

Natychmiast po tym okólniku polecił mu wyjechać za granicę, zaopatrując na drogę sowicie.

Kościuszko pozostał, by walczyć dalej z ohydłą konfederacją, która z zawziętością godną lepszej sprawy tępiła wszystko, co sejm wielki zbudował, nienawiść swą rozciągając nawet i na oznaki wojskowe, przyznane za ostatnią kampanję... Wydano zakaz noszenia krzyżów, a Kościuszko tak żywo odczuł krzywdę całego wojska, że w dn. 6 września napisał list do samego Szczęsnego Potockiego, jako marszałka konfederacji generalnej koronnej.

Stawał w obronie kolegów swoich, prosząc o cofnięcie zakazu noszenia krzyżów zasługi, albo też o ograniczenie go do niego samego, Mckronoskiego i Eustachego Sanguszki. Zaznaczał wkońcu, iż uda się z bólem serca do Ameryki, by tam pręcić Opatrzność o wolny i dobry rząd w Polsce, o niepodległość narodu, o cnotliwych, oświeconych i wolnych jej mieszkańców.

Nader grzeczną, grzeczniejszą niż Stanisławowi Augustowi odpowiedź nadesłał Szczęsny Potocki, odmówił jednak uznania wszelkich orderów, gdyż wolna Rzeczpospolita znać ich nie powinna.

Chciał po raz drugi pisać w tej sprawie Kościuszko, lecz gorący gen.-major Karwicki, a za nim i inni oficerowie, pozrywali z swych piersi znieważone przez Targowicę orderzy.

Obrońcy tej oznaki zaszczytnej znaleźli gorliwe poparcie ze strony ks. Józefa, który, bawiąc w Wiedniu, otrzymał list od stryja z żądaniem zdjęcia zakazanej odznaki. Odpowiedział mu jednak na to ks. Józef, że tego krzyżyka nie pozwoli sobie zabrać, „chyba wraz z życiem, i jeśli będę miał kiedykolwiek dzieci, zostawię im ten znak jako najpiękniejsze dziedzictwo“.

Zdejmowano więc wstążki orderowe i cały pęk ich przesłano paniom do Puław, do noszenia na głowach lub zamiast podwiązek.

Wypadki, które kraj przeżywał, samowola Rosjan, natrzasających się czynami swymi ze wszystkiego, co naród polski umiłował, coraz bardziej zakrwawiały serca patryjotów. Odczuł je tak dalece Kościuszko, przemieszkujący w Błękitnym pałacu ks. Czartoryskich, że zachorował na febrę żółciową.

Przyczyniła się też do tego i niepewność, co ma czynić dalej. W żartobliwy sposób zwracał się do ks. Czartoryskiej, prosząc o miejsce ogrodnika i obiecując, że ogród w należytej pieczy trzymać będzie.

Zamierzał znów osiąść na roli w Siechnowiczach, i przysyłał siostrze, p. Estkowej, polecenia gospodarcze, zapowiadając swój przyjazd na zimę, albo prędzej.

Zwierzał się również z myślami, uczuciami i zamiarami swymi w liście, pisanym do niedawnego sąsiada, Michała Zaleskiego.

Oświadczał w nim, że wyjeżdża za granicę, lecz do służby obcej nie wstąpi, chyba tam, gdzie rząd jest wolny. Ubolewał, że nie może służyć dalej Ojczyźnie, lecz choć tracił rocznej intraty około 40,000 złp., nie chciał przykładąć ręki do nieszczęścia krajowego. Nie potępiał bezwzględnie Targowiczan, lecz pragnął, by znalazł się ktoś, ktoby mu wskazał drogę do najlepszego służenia Polsce.

Przebywał jednak jeszcze w Warszawie, czekając, jak się dalszy bieg spraw ułoży. Nie będąc politykiem, snuł przypuszczenia, iż może caryca Katarzyna pozostawi Polskę w całości i niepodległości pod rządem Targowiczan, a wtedy, w celu uratowania wielu dobrych rzeczy, przemyślał o po-

wrocie do służby. Lecz wkrótce gorzki go spotkał zawód. Targowica zawzięcie burzyła wszystko, co zbudowano dotychczas, nie dając nic wzamian. Mało tego, dawała kraj cały na pastwę wrogom, rozrzucając wojska drobnymi oddziałami, między armją nieprzyjacielską, przyczym odebrała mu artylerję. Zniesiono ustawy miejską i włościańską, odbierając wszelkie udzielone przez nie wolności, skrępowano prasę, zakazując wydawania czasopism, konfiskowano majątki osób innych zapatrywań, przyczym Rosjanie porywali osoby podejrzane i wywozili je w głąb Rosji.

Rozwiałły się wszelkie nadzieje i złudzenia jego, i wreszcie postanowił wyjechać z kraju. Otrzymaawszy dymisję, zrzucił z siebie mundur generalski, odpaśał pałasz i, biorąc go raz jeszcze w rękę, zawołał:

— Boże, pozwól raz jeszcze walczyć za Ojczyznę!...

Wyjeżdżał z kraju z niewielkimi zasobami pieniężnymi, ubogi prawie, gdyż miał przy sobie zaledwie 1,000 dukatów. Lecz towarzyszyły mu szczere współczucie i życzliwość ludzi. Ofiarowano mu ze wszech stron pieniądze: starościna małogoska dała mu 500, a pani Zamoyska 300 czy 400 dukatów, prócz tego pani Kossakowska z Potockich, kasztelanowa kamieniecka, ofiarowała mu dobra swoje, dające 20,000 złp. dochodu, lecz odmówił ich przyjęcia.

Uregulował również i wszelkie sprawy, związane z Siechnowiczami. Nie mógł, prawda, uregulować wszystkich obciążających je długów, gdyż zabierał z sobą zaledwie trzydzieści dwa tysiące złp., rzekł się też Siechnowicz na rzecz siostry i jej dzieci, żegnając ją przepięknym listem, będącym rodzajem testamentu jego:

„Pozwól mnie, moja siostrze, uściskać ciebie, a że może będzie to ostatni raz, który mi daje to ukontentowanie, życzylbym, abyś wiedziała moją wolę, że zapisuję tobie dziedzictwem Siechnowicze, a ty albo jednemu z synów swoich, albo wszystkim masz prawo pod warunkiem jednak: aby Zuzannę i Faustynę aż do śmierci z wygodą wszelką zachować; ażeby gospodarze w całej wsi z każdego domu nie robili jak tylko dwa dni męskiej pańszczyzny, zaś kobiecej wcale nie. Żeby w inszym kraju, gdzieby mógł rząd zabezpieczyć wolę moją, zapewniebym wolnymi ich uczynił, ale w tym potrzeba to zrobić, co można pewnie, ażeby ulżyć ludzkości cokolwiek i pamiętać zawsze, że w naturze wszyscy równi jesteśmy, że bogactwa i wiadomość czynią tylko różnicę; że powinniśmy mieć wzgląd na ubogich i oświecać nieświadomość, prowadząc do dobrych obyczajów. Posyłam ci przeto podpis mój, abyś w tej myśli mojej chciała prawnie zrobić, aby na potym albo ciebie, albo twoich synów nie kłócono. Bywaj zdrowa! Ścisnę cię z najczulszym sercem.

T. Kościuszko.

Zuzannę uściskaj ode mnie; dziękuję jej za oświadczoną dla mnie przyjaźń. Faustynowi się kłaniam i Stanisławowi, twemu synowi. Niech dzieciom dobrą da edukację republikańską z cnotami: sprawiedliwości, uczciwości i honoru...”

Ostatnie to było pożegnanie, które słał siostrze. Nie przewidywał co prawda tego, iż choć walczyć będzie za Ojczyznę, nie ujrzy jej już więcej.

Po uregulowaniu wszystkich spraw swoich, wyjechał w pierwszych dniach października do ziem polskich, objętych zaborem austrijackim.

Wyjeżdżał ubogi, jak przedtym, pod względem materjalnym, bogaty za to w sławę i szacunek zarówno swoich, jak i obcych.

XII.

Na tułaczce.

Nie opuścił jeszcze zupełnie ziemi polskiej Kościuszko. Parę miesięcy jeszcze bawił w Sieniawie, Lwowie i Zamościu, przyjmowany nader gościnnie przez ks. Czartoryskich i innych.

Szczególnie owacyjnie obchodzono imieniny jego, dn. 28 października, w Sieniawie. Córki ks. Czartoryskich, Marja ks. Wirtemberska i Zofja, podały mu wieniec dębowy, spleciony z liści dębów, sadzonych ręką króla Jana III w Wysocku, wraz z wierszami, na cześć jego napisanymi; do obiadu wszystkie damy ubrały się w barwy jego ulubione, białe z wstążkami błękitno-czarnymi. Śpiewano przytym na cześć jego wiersze, specjalnie przez Tadeusza Morskiego napisane.

Podobnież owacyjnie i życzliwie przyjmowano go we Lwowie, gdzie udał się wraz z całym towarzystwem z Sieniawy. Odwiedzał tam wiele osób mu życzliwych, a po odrzuceniu ofiarowanych mu przez panią Kossakowską dóbr, otrzymał od niej w darze na pamiątkę laskę.

Księżna Wirtemberska nakreśliła wtedy wprawna ręką sylwetkę jego, pod którą dała nader trafny podpis: „Tadeusz Kościuszko, dobry y waleczny, lecz nieszcześliwy“.

Zaniepokoiły licznych nieprzyjaciół jego, a szczególnie Rosjan, te wszystkie dowody uznania i sym-

patji, składane mu przez rodaków, a dające pewne ukojenie. Pomimo, że nie miał wojska pod swoją komendą, był dla nich jednako groźny, gdyż posiadał serca całego narodu.

A z Korony i Litwy coraz gorsze nadchodziły wiadomości, obawiano się też, by rozdrażnienie narodu nie dosięgło szczytu i nie spowodowało wybuchu. Strzeżono bacznie wszelkie ruchy Kościuszki, a gdy zjechał do bliskiego granicy Zamościa, zaniepokoił się tym dowódca oddziału rosyjskiego i wydał rozkaz szyldwachom, by pilnowali tego, aby Kościuszko nie przekroczył granicy. Przesądni wartownicy wyteżali całą uwagę, aż wreszcie przyszli do przekonania, że Kościuszko przemienia się w kota.

Nie zasypiali również Rosjanie sprawy i na drodze dyplomatycznej, i oto w dniu 5 grudnia przyszedł od komendanta Galicji, generała Wurmsera, rozkaz, otrzymany z Wiednia, ażeby Kościuszko w przeciągu 12-tu godzin opuścił terytorjum cesarstwa austriackiego.

Bólem przejęło się serce Kościuszki, gdy otrzymał ten rozkaz, wypędzający go z Ojczyzny, którą umiłował tak gorąco. Skarżył się w liście do ks. Czartoryskiej:

„Jutro wyjeżdżam z Zamościa, utracając gospodynię i kompanję miłą. Udeterminowałem się jechać za granicę... do Lipska, a stamtąd nie wiem gdzie?... Może do Anglii... Żał mi rzucić kochaną Polskę, przyjaciół i serca dla mnie łaskawe“...

I choć serce krajało się z bólu, trzeba było być posłusznym rozkazowi, gdyż inaczej groziło uwięzienie. Wyjechał natychmiast przez Koronę i Prusy, zatrzymując się na czas pewien w Krakowie. Narodził się przedtym z przyjaciółmi nad sposobem zabez-

pieczenia korespondencji przed przeglądaniem listów jego przez „czarne gabinety“, ustanowione przez tajną policję, szczególnie rosyjską.

Za pośrednika w tej korespondencji obrał sobie szambelana Wierzbickiego w Dzierzkowicach przez Opole, a zarazem przybrał pseudonim „Mr le Baron Bieda“.

Dwa dni spędził w Krakowie, spowiadając się z uczuć swoich ks. Czartoryskiej, w listach podpisanych „T. Bieda“, poczym, po nocy bezsennie na rozmyślaniach spędzonej, wyruszył w dalszą drogę przez Wrocław do Lipska.

Staął tam w końcu grudnia, lecz gdy zaszła obawa, iż wpływy rosyjskie, które wpłynęły na usunięcie jego z Austrii, rozciągną się i na Saksonję, zdecydował się jechać do Francji, której obywatelstwem był zaszczycony.

W Lipsku znalazł mnóstwo Polaków. Wszyscy prawie stronnicy konstytucji sejmu czteroletniego udali się tam, by w dalszym ciągu pracować nad ratowaniem Ojczyzny.

Najruchliwszym z tych wszystkich emigrantów był Hugo Kołłątaj, który prowadził wtedy nadzwyczaj ożywioną pracę pisarską, mającą na celu podniesienie upadającego ducha narodu, podtrzymania go, krzepienia i skierowania na drogę pracy dla odbudowy Ojczyzny.

Nie uznawał on Polski za zwyciężoną i z sił wycieńczoną, lecz przeczyły temu wieści z kraju nadchodzące. Już na Nowy Rok 1793-ci przyszedł Kołłątaj do przekonania: „żeśmy przez Targowiczán w jarzmo moskiewskie oddani, że za to zyskali oni moc rządzenia krajem, zdzierania, zbogacania siebie i adherentów swoich. Ale dla kraju ani najmniejszej

perspektywy poprawienia nie okazują. Wolność i niepodległość jest w uściech; niewola domowa i obca w rzeczy samej“.

Znalazłszy się w gronie tych zacnych a gorących patryjotów, Kościuszko z zapalem rzucił się w wir pracy nad ratowaniem Ojczyzny. Prowadził ciągle tajemne narady z Ignacym Potockim, któremu najwięcej zaufał ze wszystkich, i innymi zaufanymi, wśród których wybitne miejsce zajmował Weyssenhoff.

Dwa tygodnie trwały te narady, aż wreszcie wynikiem ich było to, iż w dniu 19 stycznia wyjechał Kościuszko z Lipska do Paryża, w towarzystwie Eustachego Kołłątaja.

Podczas jego nieobecności, w dniu 23 stycznia, przysłała do Lipska piorunująca wieść o tym, iż król pruski zajął Gdańsk, Toruń, Wielkopolskę. Kołłątaj wieść tę odchorował.

A za nią szły wiadomości coraz straszniejsze. „Opiekunowie“ rosyjscy wcielali pułki polskie do wojsk swoich, a gdy naród rwał się do broni, gdy nawet Targowiczanie pozornie o zbrojnym oporze przebąkiwać zaczęli, przyczym jednak hetmani ich wszystko czynili, by ruch wśród wojska stłumić, nie narażając się na podejrzenie, iż tylko zgodnie z rozkazami carycy działają, a wojska rosyjskie, na mocy tajnej konwencji między Rosją a Prusami, siłą wzbroniły pułkom polskim pochodu.

Zrozumieli wtedy nawet najbardziej ograniczeni z pośród przywódców Targowicy, całą grozę położenia i w dniu 11 lutego ogłosili uniwersał, zwołujący pospolite ruszenie. Wtedy wystąpił na jaw „opiekuńczy“ wpływ carycy Rosji — i Sievers, jej ambasador, ostrą notą powstrzymał te niewczesne zapawy.



Благославление перед битвою.

Wyszła wtedy na jaw nędza i ohyda Targowicy. Szczęsny Potocki odwołał wtedy ów akt nieszczęśliwy i, złożyłwszy całą nadzieję swoją i Rzeczypospolitej w „wielkomyślności Katarzyny“, uznał, że rola jego skończona i na pierwsze wezwanie carycy, ratującej go z przykrego położenia, wyjechał do Petersburga, i mianowany generałem rosyjskim, powrócił stamtąd po ostatnim rozbiorze kraju. Godny współnik jego, Ksawery Branicki, na rozkaz carycy złożył buławę i przyjął poddaństwo moskiewskie. Rzewuski napisał list z wyrzutami do carycy i wyjechał za granicę, zostawiając komendę nad wojskiem Ożarówskiemu, zaprzędanemu w zupełności Rosji.

Tymczasem wypadki postępowały szybko i już w dniu 25 marca ukazał się patent okupacyjny pruski, a w parę dni później takż sam rosyjski. Na mocy jego pod panowanie pruskie przechodziły: Gdańsk z Toruniem, województwa poznańskie, gnieźnieńskie, kaliskie, sieradzkie, Częstochowa z ziemią wieluńską, województwa łęczyckie, kujawskie, ziemia dobrzyńska, województwo rawskie i płockie; Rosja zabierała: Inflanty, województwo mińskie, Polesie, większą część Wołynia, Ukrainę i Podole.

Ażeby usankcjonować te zabory, postanowiono zwołać sejm nie do patryjotycznej i zrewolucjonizowanej rzekomo Warszawy, lecz do potulnego Grodna, gdzie pod bagnetami rosyjskimi łatwiej można było dokonać gwałtu na zdeptanym i skrepowanym narodzie.

Podczas gdy w Grodnie zaprzędani Rosji magnaci, wśród szalonych orgji, pod kierownictwem ambasadora, grzebali resztki niepodległości Polski, zebrani w Lipsku patryjoci pracowali gorliwie nad uzyskaniem jej wolności, zwracając się w stronę republikańskiej Francji.

Nadzieje swe opierali na sympatji, jaką we Francji cieszyła się Polska, zwłaszcza po ogłoszeniu konstytucji 3 maja. Zapewniał o tym nieraz poseł francuski, Descorches, wydalony z Warszawy na rozkaz Katarzyny II-iej, a otaczający w Konstantynopolu swą opieką wszystkich emigrantów, oraz podmawiający Turcję do walki z Rosją. Nawet w planie rządu francuskiego, toczącego rozpaczliwą walkę z koalicją, leżało podburzenie Polski i Turcji do wojny z Rosją, a Węgrów i Czechów przeciwko Austrii.

Wydelegowano więc do Paryża, celem przeprowadzenia rokowań z rządem francuskim, Kościuszkę, co było wielkim błędem. Miał on tam zasięgnąć u ministra spraw wewnętrznych wiadomości co do przebiegu rokowań z Turcją i Szwecją w sprawie wypowiedzenia wojny Rosji, gdyby zaś była ona pewną, domagać się pomocy dla Polaków, którzy pragną podnieść powstanie.

Miał się domagać protestu przeciw wydaleniu Descorches'a z Warszawy, a zarazem oświadczenia, iż konwent uzna i uznawać będzie tylko Polskę wolną i niezawisłą, a nie konfederację targowicką i uzurpatorów władzy naczelnej, Szczęsnego Potockiego i Sapiehę.

Miał przytym wybadać siły i zamiary rządu francuskiego, na czym znów miano oprzeć cały dalszy plan działania. Lecz zacny, prawy i czysty charakter Kościuszki nie nadawał się wcale do intryg dyplomatycznych, gdyż obce mu były kręte drogi, jakimi polityka wówczas kroczyła. Brak tych właśnie zdolności a zarazem nieznajomość stosunków i ogólnego położenia Europy nie pozwalały na należyte spełnienie powierzzonej mu misji.

Przybył przytym do Paryża w chwili jak naj-

nieodpowiedniejszej do prowadzenia układów dyplomatycznych. Rozgrywał się tam właśnie straszliwy dramat, gdyż rząd rewolucyjny kładł kres władzy monarchicznej we Francji przez stracenie króla Ludwika XVI-go. Kościuszko, choć sam republikanin z krwi i ducha, potępiał ten sposób działania, połączony z mordem, i nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż nie był obecny przy egzekucji.

Niewielkie też nadzieje można było opierać na pomocy republikańskiej Francji, która przez ten akt terrorystyczny zrywała wszelkie mosty między sobą a monarchicznymi mocarstwami Europy, a zarazem wzniewała w samym kraju straszną i zaciętą wojnę domową, zbyt też wiele sama miała zajęcia, ażeby mogła zajmować się sprawami obcymi.

Wszystkie wysiłki swoje skierowała dyplomacja francuska do rozerwania koalicji, głównie przez odłączenie się od niej Prus, rozporządzających potężną i dobrze zorganizowaną armją, pod dowództwem generałów ze słynnej szkoły Fryderyka II-go. Ażeby dopiąć tego celu, gotowi byli republikanie francuscy do poświęcenia wielu spraw, a przede wszystkim opuszczonej przez wszystkich Polski.

Wiedzieli dobrze o zaborczych zamiarach Fryderyka Wilhelma II-go i nie myśleli nawet im się sprzeciwiać. Generał Kellerman, zwycięzca z pod Valmy, wyraźnie oświadczył, iż rząd francuski „z przyjemnością będzie widział zwiększenie tą drogą sił tego mocarstwa, które musi wcześniej lub później stać się jego sprzymierzeńcem“.

Stojący wtedy u steru spraw zagranicznych Lebrun, człowiek ograniczony, o sądzie nader powierzchownym, zachwycał się więcej pustą i beztreściwą frazeologją Wojciecha Turskiego, występującego pod

imieniem Alberta Sarmaty przed kratkami konwencji z piorunującymi mowami przeciwko tyranom, niż poświęceniem i cnotą republikańską Kościuszki.

Prawda, ofiarowywał on bohaterowi z pod Dubienki służbę w armji francuskiej w randze generała, lecz Kościuszko nie myślał wcale o służbie obcej w chwili, gdy Ojczyzna lada chwila mogła go na służbę swoją powołać, i na tym się urwały układy z ministrami francuskimi.

Jedynie wyjednać zdołał od ministra Lebrun przyrzeczenie udzielenia Polsce zasiłków pieniężnych w razie wybuchu powstania. Lecz i to zostało niespełnionym, gdyż Lebrun został uwięziony, a we Francji pod kierunkiem Robespierre'a rozpoczęły się rządy teroryzmu.

Pozostał Kościuszko czas dłuższy w Paryżu, przyglądając się krwawym orgjom terorystów, rządowi Marata, który zginął z ręki Karoliny Corday, był świadkiem wybuchu rokoszu w Wandei i krwawych zarządzeń, mających na celu stłumienie go. Potępiał to wszystko w głębi duszy, i to, zdaje się, było przyczyną, że nie prowadził rokowań ani z Maratem, ani z Dantonem lub Robespierre'em, wiedząc dobrze, że na pomoc tych ludzi nie ma co Polska rachować.

Zajęty był wtenczas pisaniem pamiętników z wojny r. 1792-go. Rozpamiętywał w nich wszelkie uchybienia i błędy, przedstawiał szczerze wszelkie straty, wkońcu zaś doszedł do wniosku, że „były jeszcze sposoby zbicia wojska rosyjskiego. Zgromadziwszy wojsko całe za Wisłą z wolontarjuszami i mieszczanami z miast Warszawy i Krakowa, wynosiłoby 60,000, a na czele mając króla, bijąc się za swój kraj i dependencję, jaka moc-by go zwyciężyła — pytam się“.

Wyjeżdżał do Brukselli, lecz od podróży do An-

głji i Szwecji powstrzymała go wieść o nowym rozbiórze Polski przez Prusy i Rosję. Wobec tego, iż państwa te, w poszukiwaniu sojuszników przeciwko Francji, sprzymierzyły się z Rosją, próżnym więc było szukanie u nich pomocy. Od wyjazdu do Anglii powstrzymał go również następujący list Kołłątaja z Karlsbadu:

„Mam ważne ostrzeżenie, aby pan nie pokazywał się w tych czasach w Anglii, bo król tamtejszy ma na to baczność, a choć wiem, że tego projektu nie masz, należy do mego przywiązania ostrzec go o tym, co wiem“.

Wrócił więc wobec tego z Brukselli do Lipska w połowie sierpnia, i nie zastawszy tam Kołłątaja, który leczył się na podagrę w Karlsbadzie, Eger i Cieplicach Czeskich, czas spędzał na naradach z Ignacym Potockim, prowadząc przytym ożywioną korespondencję z Kołłątajem.

Nazywał on Kościuszkę nieoszacowanym, troszczył się o jego potrzeby, nadsyłając pieniądze, a list jego, pisany z Karlsbadu dnia 18 lipca r. 1793-go, przepełniony jest wyrazami uwielbienia.

W trakcie tego, w pierwszych dniach września, stanęli w Lipsku wysłańcy z Polski, Aloe i Walichnowski, ofiarując Kościuszcze dowództwo naczelne w przygotowującym się powstaniu.

Gdyż w Polsce panująca pozornie cisza nie była ciszą grobu... Wypadki r. 1792-go, haniebne rządy Targowiczan, połączone z uciskiem, przemocą i zdzierstwem wojsk „przyjacielskich“ carycy, oburzały wszystkich do najwyższego stopnia. Toż przecież w samej Warszawie znajdowała się 7-tysięczna załoga, na ulicach rozstawione były armaty, a patrole gęsto krążyły. Raz nawet, gdy na maskaradzie

ukazało się kilkanaście masek, przybranych we wstążki trójkolorowe, zaalarmowane wojsko wystąpiło w pogotowiu bojowym na ulicę.

Przedewszystkim jednak burzył się żołnierz, skazany na rozbrojenie i wcielenie do pułków rosyjskich, burzyła się drobna szlachta, ożywiona gorącym patryjotyzmem, narzekało mieszczaństwo, pozbawione praw świeżo nabytych, a nawet lud wiejski, na wieść o drugim rozbiorze, uchodził gromadnie z zaboru rosyjskiego, aby uniknąć ciężkiego jarzma niewoli i pod łagodniejszym rządem polskim korzystać z opieki, jaką konstytucja majowa włościanstwu zapewniała.

Władze rosyjskie położyły przedewszystkim nacisk na zorganizowanie służby policyjnej, a zwłaszcza szpiegowskiej. Biada temu, kto został przez nią zadenuncjowanym. Dostawał się wnet do lochów pałacu ambasadora rosyjskiego na ulicy Miodowej, a stamtąd wysyłany bywał w głąb Rosji, a nawet i na Sybir.

Pierwsi opór zarządzeniom Targowicy stawiać zaczęli wojskowi. Stosowano do nich silne represje za odmawianie składania przysięgi. Całe wojsko wypowiedziało konfederacji posłuszeństwo i oburzenie, że widzi na czele tych, których imiona niedawno oglądano na szubienicy.

A następujące potem wypadki, jak drugi rozbiór, sceny sejmu grodzieńskiego, zmniejszona liczba wojska w stosunku do zmniejszonych granic kraju, wcielenie wojsk, konsystujących poza nową linią graniczną do armji rosyjskiej, i wiele, wiele wypadków, wywołało rozpaczliwe postanowienia u wszystkich, ożywionych choćby najslabszym poczuciem obywatelstwa...

Głośnym się stał wypadek rzucenia się pułkownika Dobraczyńskiego z dobytą szablą na gen. Lubowidzkiego, gdy ten zawezwał go do złożenia przysięgi na wierność carycy. Z trudem rozbrojono desperata, który następnie w trzy dni potym rzekomo umarł z obłąkania...

W Hołochwastowie, gdy oficerowie pod grozą wywiezienia na Sybir złożyli przysięgę, o mało co nie zostali rozsiekani przez podoficerów i żołnierzy.

Rozpoczęła się następnie praca ludzi, gorąco Polskę miłujących, nad przywróceniem utraconej niepodległości.

Myśl spisku tajemnego rzucił szef pułku, Ignacy Działyński, zamieszkały w Trojanowie, o parę mil od Żytomierza, a poparty przez Karola Prozora, oboźnego wielkiego ks. litewskiego, pana możnego i gorącego patryjotę, zaczął prowadzić rozległą agitację wśród szlachty z Wołynia i Kijowszczyzny. Zorganizowawszy tam spisek, podążył do Warszawy, gdzie w pałacyku swoim „pod sfinksami“ na Lesznie naradzać się począł z kolegami swoimi, Madalińskim, Czapskim, Niesiołowskim i innymi, oraz z rzemieślnikami i mieszczaństwem warszawskim, wśród którego również gorliwie pracował gorący patryjota, bankier Kapostas. Stali oni na wszystkie strony emisarjuszów do wojsk, nie szczędząc na to pieniędzy z własnej szkatuły.

I na Litwie, pod bokiambasadora i odbywającego się w Grodnie haniebnego ostatniego sejmku, prowadzono rozległą agitację. Czynnym tam był głównie pułkownik Jakób Jasiński, mający do pomocy szereg towarzyszy.

Przylączające się do spisku pułki wysłały deputację oficerów do Warszawy, gdzie po nocach pro-

wadzono tajemne narady. Szykowano się też energicznie do rewolucji, gromadząc fundusze, zakupując konie i broń, aż wreszcie określono termin wybuchu na dzień 19 listopada r. 1793-go. Na nocnych naradach w Warszawie uchwalono jednomyślnie powołać na naczelnika Kościuszkę, z czym wysłano do niego do Lipska delegatów, o czym wspominaliśmy wyżej.

Bez najmniejszego wahania przyjął ten wybór Kościuszko, gotowy życie poświęcić dla dobra Ojczyzny. Udał się natychmiast do Drezna, gdzie odbył długą naradę z Ignacym Potockim i Kołłątajem i przyszedł do przekonania, że wszystko musi być do wybuchu należycie przygotowane, ażeby uniknąć bezładnej ruchawki, która tylko szkodę przynieść krajowi może.

Radził również odłożyć termin wybuchu do wiosny roku przyszłego, a gdy wywierano na niego nacisk, odpowiadał:

— Jeżeli mam wojnę prowadzić, to regularną, a bynajmniej nie puszczę się na jakąś kozaczyznę...

Uchwalono też tam zupełną dyktaturę, jednocząc w rękach Kościuszki władzę cywilną i wojskową.

Opracował tam jeszcze Kościuszko instrukcję organiczną dla przywódców powstania, nakazując im budzić świadomość narodową ludu, szykować broń, odzież, żywność, oraz ćwiczyć zebranego rekruta.

Wyjechał następnie do Polski z Rafałem Kołłątajem i Zajączkiem, celem dokładniejszego zbadania sytuacji. Przybywszy do Ojczyzny, znalazł przytułek w okolicy Niepołomic, pod Krakowem, u kogoś z krewnych brygadjera Jana Henryka Dąbrowskiego, gdzie rozpoczął nadzwyczaj energiczną działalność rewolucyjną. Rozpisał listy do wszystkich województw, ziem i powiatów, rozdał je emisarju-

szom z dodanymi do nich instrukcjami, dając im wolność powierzenia rzeczonych listów każdemu, ktoby się roboty podjął.

Nadto w Warszawie ustanowił Kościuszko Małą Radę, celem łączenia wojskowych z cywilnymi członkami związku, do której należeli Kapostas, Walichnowski i Jelski. Otrzymując raporty ze wszystkich województw, wysłał prócz tego do Warszawy Zajączka, ażeby na miejscu przekonał się o biegu spraw.

Sześć dni bawił Zajączek w Warszawie, a gdy wrócił, złożył Kościuszcze raport, iż członkowie związku pełni byli zapału i najlepszych chęci, lecz niedość przygotowani; iż do powstania włościan nic nie przygotowano, opierając wszystko na nienawiści ich ku Moskałom; iż brakowało planu; iż wojska jeszcze nie wszystkie były wtajemniczone, i że cała siła jego wynosiła 4,000 do 5,000 ludzi, rozrzuconych po różnych garnizonach, i że wiele trudności stanowić będzie zebranie go w jedno miejsce.

Opuszczając Warszawę, zaklął Zajączek przywódców ruchu, ażeby strzegli się przedwczesnego wyjawienia swych zamiarów, by jak najwięcej pozyskiwali sobie stronników, zwłaszcza wśród włościan. Dał im do zrozumienia, jak wielce powodzenie sprawy od tego zawisło, i że w ludzie tylko prawdziwą siłę Polski widzieć należy.

Rady te nie spodobały się zbyt zapalonym zwolennikom wybuchu, którzy pragnęli rozpoczęcia jak najprędzej wojny. Prawda, położenie ich było nader krytyczne, gdyż, otoczeni ze wszech stron szpiegami, każdą zwłokę uważali jako krok, grożący im niebezpieczeństwem.

Dreńczył więc niepokój i niecierpliwość umysły spiskowych w chwili, kiedy się Zajączek ze stolicy

oddalał. W powrotnej drodze porozumiał się jeszcze z Madalińskim, który mu przyrzekł czekać aż do ostatniej chwili, zapewniając zarazem, że chwyci się ostatecznych kroków, gdyby Moskałe brygadę jego rozbijać chcieli.

Starał się również Zajączek wybadać sposób myślenia ludu, lecz w twarzach jego i rozmowach widniał tylko wyraz strasznego cierpienia, będącego wynikiem niewoli i braku oświaty. Zaklinał więc w imieniu Kościuszki wszystkich komendantów korpusów, aby starali się w wieśniakach rozbudzać ducha wolności i aby wybierali najrozsądniejszych żołnierzy i rozsyłali ich po kraju celem tajemnej agitacji.

Przybycie Kościuszki do kraju, choć w największej tajemnicy trzymane, nie dało się jednak utaić do tego stopnia, ażeby głucha wieść o nim nie rozszła się po kraju całym. Wszędzie szeptano, że przybył w celu oswobodzenia Ojczyzny swojej z uciśkającego ją jarzma niewoli. Komendanci, którzy o pobycie jego zawiadomieni byli, udzielili tej nowiny niższym oficerom, celem ożywienia ich męstwa i nadziei. Oficerowie powiedzieli o tym swoim przyjaciółom, ci znowu innym, i tak połowa kraju o sekrecie wiedziała. Jak zaś powszechnie rewolucja upragnioną była a Kościuszkę kochanym, najlepiej dowodzi to, że z pośród mnóstwa osób do udziału w tajemnicy przypuszczonych nikt wodza nie zdradził.

W czasie bytności Zajączka w Warszawie Kościuszkę rozmówił się z Wodzickim, komendantem korpusu z 2,000 ludzi złożonego, a stojącego w okolicach Krakowa. Nie zredukował on swego pułku w myśl uchwał sejmu grodzieńskiego, lecz zatrzymał żołnierzy dymisjonowanych, płacąc im żołd z własnej szkatuły.

Tam na wspólnej konferencji z Barssem i Zajączkiem ułożyli cały plan działania, aż do najdrobniejszych szczegółów, jak umundurowanie i uzbrojenie powstańców. Ruch miano rozpocząć w chwili, kiedy wojska nieprzyjacielskie zajmą kwatery zimowe.

Podobnie zapatrywał się na powstanie Kołłątaj, który widział jedyną nadzieję w zajęciu Rosji przez wojnę turecką, jednak w jakiekolwiek wystąpienie niedołącznej Szwecji nie wierzył. Tymczasem wieść o pobycie Kościuszki doszła do pułkownika wojsk rosyjskich, Łykoszyna, który przedsięwziął kroki celem ujęcia jego. Zawiadomiony o tym Wodzicki uprzedził Kościuszkę, i ten, nie chcąc niebacznie narażać sprawy, postanowił puścić się w daleką podróż, celem zmylenia uwagi wroga, tymbardziej, iż nadchodzące od Zajączka listy donosiły o niemożności rozpoczęcia rewolucji przed wiosną.

Za cel podróży obrał sobie Włochy, przedtym jednak zaklął Zajączka, by się z Warszawy nie oddalał, by stanął na czele dobrych obywateli i dalszymi ich czynami kierował.

Lecz wysłany w tej sprawie list spotkał Zajączka w drodze, który, pochwalając w zupełności zamiar Kościuszki wyjazdu do Włoch, uznawał, iż udzielone mu zlecenie zbyt trudnym było do wykonania, choćby ze względu na znaczne koszty, których nie mógł czynić ze względu na brak pieniędzy. Wobec tego puścił się Zajączek w podróż do Drezna, gdzie zobaczywszy się z Ignacym Potockim i Kołłątajem, wyłożył im cały stan rzeczy w Polsce.

Nieszczęśliwa Polska w zupełności pozostawiona była sama sobie, gdyż jedyne mocarstwo, które jej z jaką taką pomocą przyjść mogło, republikańska

Francja, zbyt było własną a groźną walką z koalicją państw pochłonięte.

Gdy tak spiskowi wszelkich sił dokładali, ażeby doprowadzić do skutku powstanie, mające przywrócić wolność Ojczyźnie, król Stanisław August powrócił do Warszawy, wraz z ambasadorem, po nieszczęsnym sejmie w Grodnie. Wzmogły się też zaraz potym prześladowania, liczba szpiegów powiększoną została, a na czele donosicieli stanął ukoronowany niewolnik, pragnący w ten sposób odzyskać względy carycy.

Krwawo cierpieli Polacy z powodu nieznośnej pychy Rosjan, zwłaszcza gdy nie mogąc zapomnieć utraconej niepodległości, przypominali sobie owe czasy, gdy Polak zgnębiłemu Moskwiciniowi prawa dyktował. Przewyższając Rosjan znacznie kulturą od wieków nabytą, na każdym kroku okazywali im wzgardę, dając poznać, iż uważają ich za ludzi z podłego motłochu, dziwnym zrządzeniem losu na wyższy jakiś szczebel wyniesionych.

To znów gniewało srogich ciemężycieli, prześladowających zacnych ludzi za prawdziwe cnoty. Wystarczało mieć poważanie narodu, by być o najstraszniejsze zbrodnie oskarżonym.

Oficerowie i żołdactwo moskiewskie, oddane rozpuszcieniu, popełniało wszelkiego rodzaju bozprawia, trudne nawet do opisania. Znaleźli się też i niektórzy z Polaków, którzy, idąc za przykładem króla swojego, występowali jako oskarżyciele współziomków swoich, używali języka gnębicieli narodu i do tego podłość swoją w czynieniu im przysług posunęli, że już nawet sami Rosjanie gardzić nimi zaczęli.

Właśnie w chwili tych najohydniejszych prześladowań Zajączek opuścił Drezno i przybył do Warszawy. Zmieszał się bardzo Stanisław August, zawi-

domiony o przybyciu jego i, patrząc podejrzliwie na to przybycie, zwrócił na niego uwagę Rosjan. Uprzedzony przez przyjaciół swoich, Zajączek, celem zapobieżenia grożącemu mu niebezpieczeństwu, postanowił przedtem rozmówić się z ambasadorem carcy, Igelströmem. Rozmowa ta była bardzo żywa, a wszechwładny ambasador okazał się pełnym srogości i pychy. Wynikiem jej było danie Zajączkowi rozkazu do niezwłocznego opuszczenia kraju. Wygnanie to po części przerwało działania związkowych, lecz jednocześnie było dowodem, iż Rosjanie nie jeszcze o czynionych przygotowaniach nie wiedzieli i że ustne ich postępowanie było tylko czynem ostrożności.

Tymczasem gorętsi z pośród patryjotów, którym nie podobał się wyjazd Kościuszki do Włoch i wywołana tym zwłoka w czynionych przygotowaniach, zaczęli szukać sobie innego dowódcy i wybrali wreszcie na naczelnika Prozora.

Zacny i patryjotyczny umysł oboźnego nie dał się jednak obalamucić i porwać ambicji. Przekonany, że tylko skupienie wszystkich sił narodowych pod wodzą Kościuszki może rokować powodzenie powstaniu, wysłał Jelskiego do Włoch, aby skłonić do powrotu Naczelnika, sam zaś, wiedząc, że na rozpoczęcie walki brakuje pieniędzy, zastawił całą swoją ojcowiznę, dobra poniemuńskie, i zebrawszy w ten sposób około 1,000,000 złp., podążył pod przybranym nazwiskiem Dąbrowskiego do Dreżna, dokąd niebawem nadjechał i Kościuszko, zwrócony przez Jelskiego z Włoch, gdzie zwiedzał Rzym i Neapol.

W Dreźnie, w „Hotelu Polskim“ odbyła się stanowcza konferencja. Prozor, ks. Dmochowski i Jelski padli do nóg Naczelnikowi, zaklinając go na wszystkie świętości, aby powstanie rozpoczął, równocześnie

zaś nadszedł od Madalińskiego raport, że, chcąc uniknąć rozbrojenia, rusza ze swoją hrygadą na nieprzyjaciela, oraz z Warszawy wiadomość o aresztowaniu Działyńskiego i o ucieczce Kapostasa do Krakowa.

Wobec takiej sytuacji, Kościuszko, nie czekając nawet na raporty z województw, wyruszył natychmiast w drogę z Drezna do Krakowa, by przystąpić do czynu.

A w Polsce, gdzie oczekiwali na przybycie jego wszyscy zacni patryjoci, z upragnieniem wyglądający tej chwili, by zrzucić jarzmo rosyjskie, gen. Madaliński, któremu groziło rozbrojenie i rozbięcie brygady, w rozpaczonym zamachu, by bronić się, wyruszył z Ostrołęki z 700 ludźmi wzdłuż granicy pruskiej do Mławy, stamtąd zaś zwrócił się nagle ku południowi, unikając zręcznie pogoni rosyjskiej, zdążył do Krakowa.

Wszechwładny w Polsce Igelström, otrzymawszy wieść o tym, nakazał koncentrację rozproszonych oddziałów rosyjskich w Radomiu, aby przeciąć drogę zuchwałemu partyzantowi. Ruszyli też różni dowódcy rosyjscy z kwater swoich, między nimi zaś podążył z Krakowa pułkownik Łykoszyn. Wyszedł on zrana dn. 23 marca do Pińczowa, a w kilka godzin później w prastarej stolicy Jagiellonów stanął Kościuszko i zamieszkał w pałacu Wodzińskich, u wylotu ul. Św. Anny.

XIII.

Insurekcja.

Dzień 24 marca 1794-go r. nazawsze pamiętnym w dziejach Polski zostanie, jako jeden z największych wypadków.

W przeddzień jego, około południa, tajemnie, bez żadnego orszaku, przybył do Krakowa Kościuszko, i wnet zabrał się do pracy nad wywalczeniem wolności Ojczyźnie.

Zamieszkawszy w pałacyku Wodzińskich, odbył zaraz naradę z miejscowymi organizatorami powstania, przyczym poprawiono opracowany już przedtym akt powstania obywateli mieszkańców województwa krakowskiego. Wydawał już wtedy rozkazy do straży granicznej, aby nie drażniła Austryjaków, oraz wysłał gońca po Ossolińskiego, posiadającego rozległe stosunki w Wiedniu i bliższą znajomość z ministrem austrijackim, Thugutem.

Następnego dnia rano posterunki przy bramach zajęły warty z bataljonu Czapskiego, i nikogo nie wypuszczały z miasta, wpuszczając natomiast wszystkich.

Tymczasem w pałacyku Wodzińskich Naczelnik ostatnie odbywał narady, poprzedziwszy je wysłuchaniem o świtanie mszy świętej w pobliskim kościele OO. Kapucynów, po której w kaplicy loretańskiej zakonnik poświęcił szable i jego i Wodzińskiego.

Zawezwano przed oblicze jego prezydenta miasta, imć pana Filipa Lichockiego, jegomością o nader górnym mniemaniu o swym stanowisku i trochę przychylnego Rosjanom. Oburzony takim lekceważącym godność jego zawezwaniem, posłuszny był jednak pan prezydent i, stawwszy się, gładkim komplementem powitał Kościuszkę. Wpadł na niego z łajaniem gen. Wodziński za przychylność dla Rosjan, i wybawił go z tego sam Kościuszko, który podszedł do niego i, ująwszy za pas, rzekł:

— Mospanie prezydencie! nie wchodzę ja w to, jakim byłeś względem Moskali, ale się spodziewam,

że i dla mnie będziesz grzecznym. A jakże! kazałeś WPan obchodzić urzędników i lud, aby stawali przed ratuszem?

Odpowiedział mu prezydent, iż już kazał i że już zgromadzają się, tak że się spodziewa, iż wszyscy wkrótce się zejdą.

— No, idźże WPan na ratusz — rzekł wtedy Kościuszko — a ja też za panem pójdę.



Przysięga Kościuszki na rynku krakowskim.

Jakoż o trzy kroki za nim szedł Naczelnik narodu, otoczony orszakiem skromnym, w którym nie było ani jednego człowieka o świetnym nazwisku, ani jednego z tych magnatów, którzy sobie tylko prawo rządzenia Polską przypisywali.

Tłok już na rynku, na schodach ratusza i w sali posiedzeń panował taki, iż pan prezydent nie mógł się przecisnąć do jednego godności jego odpowied-

niego miejsca, to jest do fotela prezydenckiego, ani też zdać relacji radnym z poselstwa swego, ani z afrontów, jakie go spotkały.

Wszędzie było pełno młodzieży, postrojonej w sylwetki Naczelnika lub bandolety z napisami: „Wolność lub śmierć“, „Równość, Wolność“, „Jedność i Niepodległość“, „Vivat Kościuszko“, „Za Prawa i Wolność“, „Za Kraków i Ojczyznę“. A z ust ich pan prezydent niejedno gorzkie słowo dosłyszał, wręcz aż do żądania gilotyny na niego.

Gromkimi okrzykami przywitany Kościuszko stanął na rynku, na miejscu, na którym obecnie tafla pamiątkowa widnieje.

W uroczystej ciszy i skupieniu zaczęło się składanie przysięgi przez wojsko. Powtarzali wszyscy z głębin duszy:

„Ja N. przysięgam, że będę wierny narodowi polskiemu i posłuszny Tadeuszowi Kościuszce, Naczelnikowi Najwyższemu, wezwanemu od tego narodu do bronienia wolności, swobód i niepodległości Ojczyzny. Tak mi Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego“.

A potem, wśród głębokiej ciszy, dały się słyszeć dźwięczne, pełne przejęcia słowa Kościuszki, wygłaszającego następującą przysięgę:

— Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego.

Rozgłośnie okrzyki radości rozbrzmiały potem, a Kościuszko wraz z generałem Wodzińskim, wieloma

oficerami i tłumem ludu, udał się do ratusza, gdzie wygłosił następującą przemowę:

— Mości Panowie, w obronie Ojczyzny równość u mnie popłaca, i dlatego tak żyd, chłop, szlachcic, ksiądz i mieszczanin równego u mnie są szacunku, który od wielu wezwany i zaproszony od różnych obywateli i magnatów listami w dzisiejszym dziele mam uczynić usługę WPanom. Nie będę ja tu wzywał nikogo do przysięgi, bo ten interes równie jest tak moim jak WPanów interesem wspólnym; ale niech akt insurekcji naszego narodu przeczyta Imé P. szambelan Linowski.

I szambelan Linowski wśród uroczystej ciszy rozpoczął odczytywanie tego wiekopomnego aktu, który zasadniczo określał prawa i obowiązki Naczelnika, oraz wyjaśniał przyczyny ogłoszenia insurekcji.

Następowały pod tym aktem, obejmującym wszystkie stany, bez wyjątku, tysiączne podpisy, między nimi zaś i nieszczęsnego prezydenta Lichockiego, sfukanego, zganionego i ze stanowiska usuniętego.

W ten sposób ubogi, znany tylko ze swej prawości i czynów wojennych, Tadeusz Kościuszko otrzymał od narodu władzę większą, niż ta, którą niegdyś piastowali królowie polscy... władzę, która uczyniła go niekoronowanym monarchą, a którą ofiarowała mu całkowita choć tajemna reprezentacja prawdziwych i szczerych patryjotów.

A że z nimi łączył się naród cały, najlepiej świadczą objawy radości, które w całym kraju zapanały po ogłoszeniu wieści, że „Kościuszko jest z narodem“.

W ten sposób okazywano bezgraniczne zaufanie, jakie w nim pokładano, wyrażano pewnik, że gorliwie pracować będzie dla dobra Ojczyzny, że

uzyskanej władzy na zło nie użyje, i że wszystkie siły i zdolności wyteży, byle tę Ojczyznę wolną widzieć.

Sam Kościuszko pisał wkrótce potem:

„Niech nikt, kto cnotliwy, nie pragnie władzy. Złożono ją w moich ręku na ten moment krytyczny. Nie wiem, czy na tę ufność zasłużyłem, ale to wiem, iż ta władza jest dla mnie jedynie narzędziem do skutecznej obrony Ojczyzny mojej, i wyznaję, że jej końca tak szczerze pragnę, jak samego zbawienia Narodu“.

Łącząc zapal z czynem ofiarnym, mieszkańcy województwa krakowskiego uchwalili cały szereg powinności na rzecz powstania. Otworzono również listę składek dobrowolnych, na które składano wszystko, od koni, bydła, armat, aż do pasów karabinowych i bębnow.

Z poddaniem wziął Kościuszko na barki swoje ciężkie brzemię, jakie włożył na niego cały naród. Zabrał się natychmiast do opracowania całego szeregu odezw, które, w tysiącnych rozrzucone egzemplarzach po całym kraju, budzić miały ducha narodu, krzepić i do nowych zachęcać czynów. Tego samego jeszcze dnia 24 marca rozesłane zostały przez niego odezwy do wojska polskiego i litewskiego; „do obywatelów całego kraju z powołaniem się na tylkrotne wezwania do ratowania kochanej Ojczyzny; do duchowieństwa polskiego; do kobiet polskich, „ozdoby rodzaju ludzkiego“.

Wobec konieczności zachowania neutralności z Austrią, gdyż wystarczało i tak wypowiedzenie wojny dwom potężnym mocarstwom, jak Rosja i Prusy, wysłał do komendanta austrijackiego zapewnienie, iż zalecił wszystkim swoim komendantom i urzędnikom ceł szanowanie granicy cesarstwa.

Zaczął się też okres ciężkiej pracy i dla imię pana prezydenta Lichockiego, który ustawicznie musiał wydawać paszporty dla różnych osób, wysyłanych już to na przesłpiegi, już to z odezwaniami i rozkazami.

Zebrała się również Komisja Porządkowa Cywilno-Wojskowa, która przedewszystkiem przejrzała papiery prezydenta Lichockiego i oczyściła go z ciążących na nim podejrzeń.

Praca wrzała gorączkowa. Sam Kościuszko dawał jej przykład, przyjmując interesantów już o godzinie 6 rano. Niemniej pracowała kancelarja pod kierunkiem Linowskiego, oraz Kołłątaj, zajmujący się sprawami skarbu i tworzeniem sądu kryminalnego.

Podczas gdy utworzona tymczasowa Rada Najwyższa zajmowała się sprawami cywilnymi, Kościuszko oddał się w zupełności organizacji wojskowej. Ogłoszono pobór rekruta, zarządzono dostawę furazu, oraz podatków tymczasowych na koszt wojenne. Siłę zbrojną podzielono na trzy kategorie: 1) rekruta dymowego, zbrojnego karabinem lub piką; 2) milicji z reszty mieszkańców od lat 18—28 oraz 3) pospolitego ruszenia z pozostałych mężczyzn od lat 18—40, powoływanych w razie gwałtownej potrzeby.

Rozpoczął też Kościuszko i działania wojenne, gdyż największą troską jego było ratowanie rozproszonych oddziałów polskich od zagarnięcia przez koncentrujące się wojska rosyjskie. Przed ogłoszeniem jeszcze aktu insurekcyjnego wysłał gońca do wicebrygadiera Mangeta, z poleceniem uderzenia na cofającego się z Krakowa pułkownika Lykoszyna. Odesławszy z powrotem przysyłanych mu przez Wodzickiego 100 piechurów, uderzył Manget w dniu 25 marca pod Kozubowem na Rósjan. Nie powiodło mu się jednak dzięki niezręcznym zarządzeniom, gdyż po niespodziewanym

ataku na uchodzących Rosjan pozwolił im się sformować w kolumnę, cofającą się po utracie tylko bagaży w określonym kierunku. Po trzech dniach spotkali się Rosjanie w Opatowie z korpusem Rachmanowa, i wtedy uderzywszy na Mangeta, wyparli go z Opatowa i ścigali aż do Pińczowa, gdzie połączył się z Madalińskim.

Mogli znieść ten słabszy liczebnie oddział, lecz nie skorzystali z sytuacji, tylko zajmując stanowiska pod Skalmierzem, bronili przeprawy przez Nidzicę generałowi Tormasowowi, dążącemu do połączenia się z innymi oddziałami.

A tymczasem z Warszawy biegł po kraju całym „Uniwersał Najjaśniejszego Pana ze zdaniem Rady przy Boku Jego Nieustającej w ostrożności przeciwko okazującym się w kraju rozruchom“.

Akt ten, wymuszony przez Igelströma na Stanisławie Augustie, rozpatrywał kwestję: „Jakież przyniosły nam dotąd pożytki zapaly nasze i formowane w nich związki?“ W powstaniu krakowskim widział on „intrygę obcą, intrygę, której ten nowy cel przedajnym być może narzędziem“, poczym zwracał się król Jegomość do wszystkich stanów z czułymi przestrokami, a wszystkim magistraturom krajowym zalecał przesyłanie wszelkich akt i pism rewojucyjnych do Rady Nieustającej, a to „w celu postępowania sobie z przestępnymi, jako buntownikami, podług rygoru praw“.

Lecz odezwa ta, rzucając hańbę na króla, nie mogła wywrzeć najmniejszego wpływu na przebieg działań wojennych, na wojska, które po ogłoszeniu wezwania Kościuszki biegły tłumnie pod jego sztandary, by walczyć za wolność Ojczyzny.

A sposobność do tego zdarzyła się w niedługim czasie.

Wojska rosyjskie, skoncentrowane pod Skalmierzem pod wodzą Denisowa, liczyły z górą 5,000 żołnierzy.

Należało jak najprędzej wyruszyć przeciwko nim, ażeby osłonić Kraków i nie dopuścić do zajęcia go przez wroga. Nie namyślając się długo, podążył na ich spotkanie Kościuszko na czele 4,000 żołnierzy, zebranych z różnych, rozwiązanych przez Rosjan brygad, a następnie w dniu 3 kwietnia powiększonych w Koniuszy przez przyprowadzenie przez Jana Ślaskiego 2,000 chłopów, uzbrojonych w piki i kosy na sztorc osadzone.

Pośpiesznie dążąc naprzód, stanął Kościuszko naprzeciwko nieprzyjaciela, na polach wsi Raclawice.

Zająwszy możebnie dogodne stanowisko, usypał Kościuszko dwie baterje, przyczem na lewym skrzydle umieścił Zajączka, na prawym zaś Madalińskiego.

Pewien czas obydwie wojska stały naprzeciwko siebie nieruchomo, przypatrując się sobie. Wreszcie gen. Tormasow, nie czekając na nadciągnięcie z posiłkami gen. Denisowa, nie słuchając odradzań innych oficerów, postanowił uderzyć.

Około godziny 3 po południu zawrzała bitwa. Rosjanie najpierw uderzyli na lewe skrzydło, pozostające pod wodzą Zajączka. Lecz przywitani gęstym ogniem armatnim, cofnęli się zaraz. Trzykrotnie rzucali się do ataku, i trzykrotnie cofać się musieli, a kolumna Zajączka tak znaczne straty poniosła, że Kościuszko musiał tam na pomoc posyłać Madalińskiego.

Widząc Tormasow, iż nie przełamie lewego skrzydła, uderzył na środek, lecz tu znów Kościuszko przyjął go tak gęstym ogniem armatnim i karabinowym, że, nie nie wskórawszy, musiał się cofnąć.

Zwycięstwo chyliło się już na stronę polską, gdy naraz ukazał się przed prawym skrzydłem z świeżymi siłami gen. Denisow. Spostrzegł to w porę Kościuszko i, nie tracąc ani na chwilę przytomności, wydał wnet zarządzenia, celem odpowiedniego przyjęcia zbliżającego się wroga. Madaliński jak najśpieszniej wrócił na poprzednią pozycję, i szykował się do odparcia ataku.

Chwila była decydującą, to też Kościuszko postanowił postawić wszystko na kartę. Widząc, że Tormasow, w oczekiwaniu posiłków, formuje się pod osłoną swych armat, zdecydował się uderzyć na niego jeszcze przed nadejściem Denisowa. W tym celu wydał odpowiednie rozkazy, a sam, poskoczywszy do stojącej poza pagórkiem gromady krakusów, gromkim głosem zawołał:

— Zabrać mi, chłopcy, te armaty!... Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!...

Jak wichur ruszyli naprzód krakusi, zbrojni tylko w kosy, i z okrzykiem zapалу, z nawoływaniem:

— Szymku, Maćku, Bartku — a dalej!... — z Kościuszką konno na czele, zagrzewani przez niego i słowem i gestem, rzucili się na armaty rosyjskie, zdobywając je... A jednym z pierwszych między nimi, który skoczył na baterję i czapkę przykrył zapal armatni, był Wojtek Bartos, gospodarz ze wsi Rzędowic, poddany starosty kniazia Szujskiego.

Zdobywszy armaty, rzucili się na grenadjerów, w krótkim czasie zapelniając ich trupami rów wielki a długi. Straszni byli w tym natarciu, nie uznając słowa: „Pardon!“ Kosami swymi kosili wroga, jak łan zboża dojrzałego, nikogo nie biorąc do niewoli. Zdobyli też jeszcze 5 armat cięższego i 3 lżejszego kalibru, poczem, dokonawszy swego, odpoczęli... A im-

pet ich był tak wielki, iż z 320 idących do ataku legło tylko 13.

Za uciekającym wrogiem rzuciła się setka jeźdźców — ochotników. Zdobyli sztandar, lecz nie więcej dokazać nie mogli... Dostali za to naganę od Naczelnika, gdyż puścili się w pogon bez rozkazu.

Skończywszy ze środkiem, rzucił się Kościuszko na lewe skrzydło, gdzie Zajączek odpierał zaciekle ataki kolumny Pustowałowa. Uderzył na niego i w krótkim czasie zniósł go zupełnie, przyczym Pustowałow



Racławice.

legł zabity, a ostatnia armata rosyjska dostała się w ręce polskie.

Trzecia kolumna rosyjska nie dotarła nawet do Madalińskiego, gdyż, widząc pogrom swoich, uformowała czymprędzej czworobok i zabrała się do odwrotu, stehórzywszy — jak się wyrażał następnie sam Denisow — zwłaszcza wobec tego, iż nie spodziewała się znikąd posiłków.

Bitwa skończyła się o godz. 8-ej wieczorem zupełnym zwycięstwem Kościuszki.

Straty polskie w tej pierwszej a tak chwalebnej bitwie wyniosły 100 ludzi w zabitych i tyłuż w rannych. Rosjanie stracili z górą 2,000, przyczym do niewoli nie zabrano wielu, gdyż porwani zapalem bitewnym żołnierze nikomu nie dawali pardonu. Wzięto też tylko jednego pułkownika—Muromcewa, 3 oficerów i 18 szeregowców. Cenną zdobyczą było 12 armat większego i mniejszego kalibru z zaprzęgami i amunicją.

Noc zapadła. Uradowane zwycięstwem wojska zajmowały stanowiska, gromkim okrzykiem powtarzając za wodzem:

— Vivat naród! Vivat wolność — do czego już od siebie dodali:

— Vivat Kościuszko!...

A Naczelnik?... Skromny jak zawsze, składał w raporcie swoim chlubne świadectwo „niezmordowanej waleczności żołnierzy“, z pogardą śmierci po raz pierwszy w bój idących, męstwu generała Zajączka i Madalińskiego, brygadiera Mangeta i majora Lukkego, oraz bohaterstwu krakusów.

Wynagrodził też męstwo Wojtka Bartosa, awansując go na chorążego i nazywając Wojciechem Głowackim. Rekrutów-kosynierów nazwał Regimentem Grenadjerów Krakowskich i, celem większego jeszcze uczczenia ich, przywdział sukmanę ich zamiast munduru.

O swoich tylko zasługach przemilczał w tym raporcie, a przecież trudno było odnieść większe zwycięstwo z wojskiem tak mało wyćwiczonym i niekarnym. Wkradł się też do niego pewien nieład zaraz po bitwie, tak że Kościuszko, nie decydując się na

dalsze ściganie Rosjan, rozpoczął pochód do Słomnik, oddalonych o trzy mile, zasłaniając drogi, wiodące do Krakowa, przytym obawiał się też zapewne uderzenia większych sił rosyjskich.

Ścigały posiłki do Denisowa, który, wzmocniony nimi, wrócił do Skalmierza, gdzie rozłożył się obozem, lecz przez cały miesiąc nie nacierał na Kościuszkę, który, rozłożywszy się obozem o milę od Krakowa, pod Bosutowem, organizował i powiększał swe siły, poczym ruszył w dniu 25 kwietnia pod Igołomię, skąd przez Koszyce, Opatowiec i Winiary podążył pod Połaniec, gdzie przed obozem jego ukazał się wreszcie Denisow.

Tymczasem wieść o zwycięstwie racławickim głośnym echem rozległa się po kraju całym, krzepiąc ducha, dodając otuchy. Uczyniło ono więcej, niż tysiące najpłomienniejszych odezw, i we wszystkich stronach kraju wojskowi i ludność cywilna chwytali za broń i dążyli do Kościuszki, by pod wodzą jego walczyć o wolność Ojczyzny.

Jednym z pierwszych był podpułkownik Jan Grochowski, który do powstania pociągnął całą piechotę i jazdę, stojącą między Bugiem a Wisłą. Żołnierze innych pułków, nie zważając na pułkowników swoich, ba, nawet i generałów, uznali go za dowódcę swego, wołając, by prowadził ich do Kościuszki, który wkrótce przysłał Grochowskiemu patent na generał-majora.

Wślad za tym poszła ziemia chełmska i część województwa ruskiego, nie przyłączona do Austrii. Najgorliwszą działalność okazał tam Tomasz Wydźga, którego też Kościuszką mianował generał-majorem wojsk ziemi chełmskiej, polecając formowanie i prowadzenie pospolitego ruszenia.

Jednocześnie wszczął się ruch w Lubelskim, gdzie generałem ziemiańskim został Piotr Potocki.

I w Sandomierskie wyjechało z Krakowa wielu obywateli, celem utworzenia tam związku i zbrojenia chłopów, lecz gdy w ciągu tygodnia nie było widać owoców ich pracy, przesłał im Kościuszko list z gorzkimi wyrzutami.

Odniosło to pożądaný skutek i Sandomierzanie energicznie zabrali się do zbrojenia, a generałem ziemiańskim ich został Strasz.

Nie zapomniał i o Litwie Najwyższy Naczelnik. Znając jej patryjotyczne usposobienie i zapał, wyprawił tam jeszcze z obozu pod Bosutowem generał-majora Morawskiego, jako komenderującego wojskiem litewskim. Zaopatrzył go w plikę odezw, nawołujących Litwę do powstania, oraz wzywających oficerów wszystkich stopni i szeregowców, ażeby natychmiast łączyli się z Morawskim, przyczem tym, którzy najwcześniej wystąpią, przyrzekał wyższe rangi. Polecał również formować powstanie województw, ziem i powiatów, oraz uzbrojenie ludu, z którym łaskawie postępować nakazywał. Wszelkich informacji udzielić miał Morawski, który jednak, niestety, powierzonego mu zadania spełnić nie mógł, gdyż z całą korespondencją schwytyany został przez Rosjan.

Jednocześnie i w innym miejscu poniosła insurrekcja dotkliwą klęskę. Jak wiemy, Kościuszko wybuch powstania odkładał na czas późniejszy, tymczasem przyspieszony ruch Madalińskiego popsuł wszystko i zmusił Naczelnika do rozpoczęcia działania. Odbiło się to dotkliwie przeważnie na oddalonych częściach Polski, gdzie organizacje powstańców, nieuwiadomione wcześniej o wybuchu, zwlekały z nim do określonego terminu, a przez ten czas wła-

dze rosyjskie, które wiedziały o wypadkach zaszłych w Krakowie i wietrzyły spisek, miały czas ochłonać z przerażenia i stłumić ruch cały w zarodku.

Przedewszystkim dokonali tego na Polesiu, gdzie oboźny Prozor, powróciwszy z Drezna z nominacją na naczelnika powstania ukraińskiego, napróżno oczekiwał wraz ze swoim szefem sztabu, Amilkarem Kosińskim, rozkazu do rozpoczęcia walki i doczekał się wreszcie... Rosjan, którzy we wtorek wielkanocny napadli na dwór w Chojnikach i omal oboźnego nie schwytali.

Aresztowanie kapitana Olszewskiego, wiozącego z Warszawy nader ważne papiery na Polesie, odsłoniło władzom rosyjskim wszystkie tajemnice spisku. Natychmiast zarządzili gromadne aresztowania; ujęto szereg osób, które wywieziono do Smoleńska, gdzie niebawem komisja śledcza rozpoczęła pierwsze swoje na ziemiach polskich działania, skazując „buntowników“ na wygnanie do odległych gubernji rosyjskich lub w mroźne stepy sybirskie. Równocześnie wydano rozłożonym w tych stronach pułkom polskim rozkaz udania się na Krym.

Tym sposobem zdławiono odrazu cały ruch powstańczy na Ukrainie i Polesiu, i tylko energiczniej szym dowódcom oddziałów wojskowych polskich udało się uratować z ogólnego pogromu. Pierwszy, w dn. 22 kwietnia, wyruszył z kwater swoich w ziemi owruckiej brygadjer Kopeć, a pobłogosławiony w Uszomierzu przez ks. Marka, znanego i świętobliwego Karmelitę z wojen barskich, słowami:

„Idźcie w imię Boga i wynidziecie“, — utorował sobie orężem drogę do Bugu. W kilka dni potem w ślady jego poszedł Wyszkowski, który w pięciogodzinnej walce pod Pohorylą pobił Rosjan, zastępu-

jących mu drogę i, zdobywszy siedem dział i kasę wojskową z 365,000 złp., przedostał się szczęśliwie do swoich. Ostatni z tych straceńców, Łażniński, przybył z jedenastoma szwadronami daleką drogą przez Wołoszczynę i Galicję.

Wreszcie, idąc w ślady Krakowa, powstała przeciwko ciemierzcom stolica Polski — Warszawa.

Sprawował tam rządy wszechwładny ambasador carycy — Igelström. Do współpracy z wielkim marszałkiem koronnym, Moszyńskim, urządził on system szpiegowski, ufny w pomoc hetmana Ożarowskiego i licznych służalców rosyjskich, jak również w bezwzględną powolność niedołężnego i do reszty złamanego Stanisława Augusta. Zamiarem jego było dokończyć dzieło, na sejmie grodzieńskim rozpoczęte, a mianowicie Polskę rozbroić, ruch patryjotyczny stłumić i uczynić z Rzeczypospolitej to, czym *de facto* już była, t. j. prowincję rosyjską, zarządzaną nominalnie przez króla.

Na przeszkodzie w wykonaniu tych planów stało mieszczaństwo warszawskie i garść wojska polskiego, pełne zapału, wierne konstytucji 3 maja i wrogo dla najazdu usposobione.

Poradził sobie jednak i z tym Igelström, gdyż i król i Rada Nieustająca byli w rękach jego powolnymi narzędziami, czujna policja, zwłaszcza tajna, śledziła bacznie każdy ruch patryjotów, a komisja wojskowa trzymała na wodzy wojsko. Mimo jednak tych wszystkich zarządzeń, ruch, wszczęty przez Działyńskiego i Kapostasa, nie ustał wcale, choć pierwszego uwięziono, a drugi uciekł. Opuszczone przez nich z musu stanowiska zajęli inni, a związek krzepł i odradzał się, sięgając aż do najbliższego otoczenia ambasadora.

W komisji wojskowej, obok kreatur królewskich

i rosyjskich, zasiadali dzielni patryjoci, jak gen.-major Jan August Cichocki i wice-brygadjer kawalerji narodowej, Jan Dąbrowski, którzy, uczęszczając pilnie na sesje w pałacu Krasińskich, posiadali dokładne informacje o wszelkich zamysłach Igelströma i Ożarowskiego. Prócz tego Cichocki, mianowany komendantem garnizonu warszawskiego, układał razem z gen. Apraksinem plany dyzlokacji wojsk, na wypadek powstania w stolicy.

Miedzy mieszczaństwem i rzemieślnikami znów rej wodził i ducha podtrzymywał Jan Kiliński, majster szewcki, rodem z Poznania, pod względem gorliwości patryjotycznej i miłości do Ojczyzny w niczym nie ustępujący Kapostasowi.

Próżno Igelström starał się siłą i brutalnością przełamać wszelkie, spotykające go niespodzianki, więząc podejrzanych w podziemiach pałacu swego na ulicy Miodowej, lub wysyłając ich za pośrednictwem Tutolmina w głąb Rosji. Wrzenie w Warszawie rosło, potężniało, przybierając coraz widoczniejsze formy.

Naraz jak grom spadła na przerażonego ambasadora wieść o powstaniu krakowskim. Nie wiedząc narazie co czynić, pobiegł czymprędzej do króla i wymógł na nim znany już uniwersał, który nikogo ani przekonał, ani nawrócił, a tylko całą opinię skierował przeciwko Stanisławowi Augustowi.

Spisek rozszerzał się coraz bardziej między wojskowymi i rękodzielnikami, obejmując coraz szersze koła, a tajemnica zachowaną była tak ściśle, że chociaż około stu osób brało udział w naradach i pracach komitetu kierowniczego, Igelström żadnych wiadomości o przebiegu jego nie posiadał. Nie uszło jednak uwagi jego wzburzenie, panujące wśród ludu, i idąc za radą kwatermistrza Pistora, zdecydował się

w Wielką Sobotę opanować nagle podcz as rezurekcyj arsenał i rozbroić wojsko polskie.

Zdawało mu się to nadzwyczaj łatwym do wykonania, gdyż liczące zaledwie 2,000 ludzi wojska polskie z łatwością mogły być pokonane przez 6,000 załogi rosyjskiej. Na szczęście spiskowi wcześniej zostali zawiadomieni o złowieszczych zamiarach ambasadora i, zagrożeni utratą wolności lub wywiezieniem na Sybir, zdecydowali się uprzędzić zamach rosyjski.



Jan Kiliński.

niem na Sybir, zdecydowali się uprzędzić zamach rosyjski.

W dniu 17 kwietnia, w Wielki Piątek, o godz. 4 zrana powstała Warszawa. Hasło dał strzał armatni pod arsenalem, a wśród za nim odezwały się dzwony kościelne, zawarczały bębny, jazda z koszar Mirowskich rozbiła posterunek rosyjski koło Żelaznej Bramy, zagwoździła dwie armaty, a lud, pod wodzą Jana Kilińskiego, popłynął

szeroką falą ku arsenałowi i, zaopatrzwszy się w broń, rzucił się na wroga, idąc z pomocą wojsku. Zawrzała walka w całym mieście; zaskoczeni niespodziewanie Rosjanie zajęli wprawdzie natychmiast wskazane im zawczasu stanowiska, ale rażeni ogniem z okien i piwnic i odcięci zręcznie przez powstańców, którzy kurjerów i adjutantów Igelströma po drodze chwyтали, bili się bez planu i komendy.

Trwało to tak do godz. 10 rano. Wtedy pod kościołem Św. Krzyża stał się pułk Działyńskich

pod wodzą pułk. Haumana z przeważającą liczbą Rosjan i po zaciętej walce stanowcze odniósł zwycięstwo. Wiadomość o tej potyczce, w której i lud męźnie stawał, lotem ptaka obiegła miasto i dodała męstwa powstańcom, a spóźniony rozkaz Kościuszki, przywieziony akurat w czasie tego przez porucznika Biegańskiego, zagrzał wojsko do nowych wysiłków.

Wtedy komendę naczelną nad wojskiem i powstańcami objął gen. Stanisław Mokronoski, którego umiejętnemu kierownictwu zawdzięczać należy właściwie ostateczne zwycięstwo. Nad wieczorem już wynik walki był wiadomy, choć bój trwał jeszcze całą noc.

Wreszcie Igelström zwątpił o możliwości utrzymania się w Warszawie i choć walczył jeszcze w Wielką Sobotę do południa, to tylko w obronie własnego życia. Dalszy opór był zgola niemożliwym, gdyż gen. Nowicki z niedobitkami rosyjskimi opuścił Warszawę, a pomoc pruska, pod wodzą gen. Wolcký'ego, nie bardzo kwapiła się z odsieczą. Wobec tego ambasador nie miał innej drogi przed sobą, jak poddanie się lub ucieczkę. Niepewny życia, chwycił się tego ostatniego środka i na czele 400 ludzi uszedł ku Powązkom.

Radość w mieście zapanowała trudna do opisanie. Dzwony rezurekcyjne zwiastowały ujarzmionej stolicy wolność, święto Zmartwychwstania Pańskiego w roku tym zdawało się być prawdziwym świętem wyzwolenia narodu. Obchodzono je też uroczystie wśród łez radości. Z ust do ust biegła treść kartki, doreczonej pułkownikowi Haumanowi od Kościuszki przez porucznika Biegańskiego po zwycięstwie pod Św. Krzyżem:

„Masz serce i cnotę; stań na czele roboty; Ojczyzna zwłoką zginie; zaczynaj, a żałować nie będziesz. T. Kościuszko“.

Wyprawiono też wnet ze stolicy do Naczelnika pułkownika Sokolnickiego z wiadomością o uwolnieniu od wroga, lecz wobec przeciętych komunikacji stanął on w obozie pod Igołomią dopiero dn. 25 kwietnia.

Natychmiast prawie zawiązała się w Warszawie Rada Zastępcza Tymczasowa, następnie Komisja Porządkowa Księstwa Mazowieckiego i Sąd Kryminalny tegoż Księstwa. Komendę nad wojskiem objął Mokronoski, a władzę nad miastem ujął jednogłośnie powołany na prezydenta Ignacy Zakrzewski.

Nie zaschły jeszcze kałuże krwi na ulicach Warszawy, gdy w nocy z dn. 22 na 23 kwietnia wybuchło powstanie w Wilnie. Na czele jego stanął Jakób Jasiński, patryjota pełen ognia, zręcznie ukrywający swe zamiary przed czujnym okiem szpiegującej go policji moskiewskiej. Zdołał on wciągnąć do spisku generała Chlewińskiego i pułkowników Niesiołowskiego i Giedrojcia, poczym nagłym napadem opanował stolicę Litwy, zabrał do niewoli gen. Arsenjewa wraz z całą załogą i uwięził hetmana Kossakowskiego.

Na tydzień przedtym przyłączyła się do powstania Żmudź za przyczyną Antoniego Prozora, Zawiszy i współników Jasińskiego. Z wyjątkiem zatym Ukrainy, Wołynia i Podola, gdzie ruch został skrepowany przez wroga, powstały wszystkie prowincje Polski i raźnie zabrały się do dzieła wyswobodzenia Ojczyzny.

Za przykładem Warszawy utworzyła się w Wilnie Najwyższa Rada Zastępcza i t. zw. Deputacja Bezpieczeństwa. Jasiński, ogarnięty zapałem oczyszczenia Ojczyzny od wrogów i zdrajców, nie czekając na rozpoczęcie działalności sądów rewolucyjnych, rozkazał natychmiast, na mocy wyroku sądu wojennego, powiesić hetmana Kossakowskiego.

Surowy ten krok usprawiedliwiony był w zupełności zdradzieckim postępowaniem Kossakowskich i udziałem ich w Targowicy, wywarł też potężny wpływ na umysły ludności w Warszawie.

Drżał z trwogi Stanisław August, opuszczony przez swych przyjaciół Rosjan i pozostawiony na łasce zrewolucjonizowanych tłumów. Zaznał już gorczy tego w pamiętny dzień 17 kwietnia. Już o godzinie 5 zrana dnia tego opuściła go gwardja piesza koronna z kilku młodymi oficerami i bez wiedzy głównego sztabu ruszyła na miasto. Posłał więc po swoją gwardję koronną i ułanów, lecz i ich też nie znaleziono na kwaterach. Widząc, że go kolejno opuszczają wszyscy, zeszedł sam na dziedziniec zamkowy, aby się upewnić chociaż co do wierności tych, którzy nocy tej na warcie stali; przyrzekli mu ją oni, lecz w kilka minut potem, gdy na placu Zamkowym ukazał się tłum uzbrojonego ludu i dały się słyszeć wystrzały, ciż sami żołnierze rzucili się w walki z taką gwałtownością i zapalem, że o mało co nie przewrócili gestykulującego i nawołującego ich króla.

Przerażony, wysłał starszego brata swego, ekspodkomorzego, do Igelströma, aby go namówił do opuszczenia stolicy; następnie wysłał do niego swego faworyta Byszewskiego, lecz ten odniósł ciężką ranę, eskortując młodego Igelströma, synowca ambasadora, a który zginął z rąk ludu.

O godzinie 5 po południu znów, pomimo szalejącej jeszcze wrzawy bitewnej, upojony zwycięstwem lud poniósł na rękach z dziedzińca zamkowego Zakrzewskiego i Mokronoskiego do ratusza, gdzie ogłoszono pierwszego prezydentem, a drugiego komendantem miasta.

Utworzona następnie Rada Zastępcza wysłała z pośród siebie dwóch członków z oświadczeniem, iż „zachowają dla króla poszanowanie i miłość, ale posłuszeństwo zupełne dla Kościuszki“.

W odpowiedzi swej Jego Królewska Mość „zalecał przedewszystkim, aby czynami dowiedli, że szanują religję, prawo własności, różnice stanów i tron—słowem, iż nie mają nic wspólnego z zasadami jakobinów“.

W pierwsze święto Wielkiej Nocy, w katedrze, w obecności króla, prymas musiał zaintonować „*Te Deum*“, a następnego dnia odbierano uroczystą przysięgę na posłuszeństwo Kościuszce od wszystkich wojskowych, nawet od Korpusu kadetów, a paszporty królewskie okazały się niewystarczającymi do przepuszczenia statków galicyjskich Wisłą i Bugiem.

Z łatwością kameleona zmieniający zapatrywania swe król zaczął, na podobieństwo r. 1791-go, odgrywać rolę gorącego patryjoty. I tak w dniu 29 kwietnia przybył na uroczyste egzekwie za poległych w boju, a gdy kaznodzieja doń mowę zwrócił, że zapewne „jako łagodny i szlachetny, nie odstąpi sprawy narodu“, powstał i zawołał głośno:

— Nie zawiedziecie się; żyć będę i umrę z narodem.

Nazajutrz zaś wyszedł list pasterski jego brata, prymasa Michała, nakazujący modły za sprawę narodu polskiego.

Tymczasem stronnictwa skrajne, podniecone nadchodzącymi z Wilna wiadomościami o powieszeniu hetmana Kossakowskiego, oraz znalezionymi w papierach zabranych z pałacu Igelströma dowodami zdrady względem Ojczyzny wielu z pośród magnatów, rozpoczęły aresztowania, przyczem od boku króla

zabrano hetmana Ożarowskiego i biskupa Massalskiego, pomimo protestów Stanisława Augusta.

Trwoga przejęła króla. Widmo nieszczęsnego Ludwika XVI-go stało mu przed oczyma, i on, król, osiwiwały na tronie, dumny ze swego rodu, faworyt imperatorowej Rosji, upokorzył się przed ubogim szlachcicem litewskim z Siechnowicz, dawnym wychowalcem swoim, i napisał do niego list, pełen pokory, równający się abdykacji.

Odpisał mu natychmiast Kościuszko w sposób nader grzeczny, z pewnym jednak odcieniem cierpkości. W liście jego, pomijając tylko ironiczne napomknienia o przychylności Stanisława Augusta dla Targowicy, przebijał pewien odcień szacunku, choć mocen był Kościuszko stawieć króla przed sąd i surowego nań domagać się wyroku. Pełen względów dla upadłej władzy, nie uczynił tego, a nie dając mu żadnego udziału w rządzie, gdyż narażałoby to na szwank sprawę narodową, składanie raportów przez Radę Najwyższą Narodową uważał za zupełnie dostateczne ubezpieczenie czci jego i osoby.

Tymczasem w Warszawie względem Stanisława Augusta coraz większa budziła się nieufność. Gdy w dniu imienin swoich, 8 maja, obchodzonych bez najmniejszej uroczystości, wyjechał w celu użycia przejażdżki na Pragę, lud zatrzymał go zaraz za mostem, wołając, że chce uciekać. Rada zastępcza warszawska przestrzegła króla, aby za rogatki nie wyjeżdżał, a odebrawszy mu straż gwardyjską, dała mu straż z pośród obywateli warszawskich.

Następnego dnia lud miejski, podniecony przez Konopkę, kopistę z kancelarji Kołłątaja, i ks. Mejera, obległ zamek, a wzniosłszy w różnych punktach miasta szubienice i, uzbrojony, zebrałszy się przed ra-

tuszem, gdzie odbywała swe posiedzenia Rada Tymczasowa, domagał się głośno i zuchwale ukarania zdrajców.

Zbyt słabi liczebnie, by stawiać opór, członkowie Rady Zastępczej usiłowali zażegnać burzę, i powiodło się im o tyle uratować powagę władzy, że sąd kryminalny, zwołany natychmiast, ogłosił wyroki śmierci na obwinionych.

Na rynku Starego Miasta i na Krakowskim Przedmieściu wzniesiono szubienice z napisem: „Śmierć zdrajcom Ojczyzny!“ i powieszono na nich hetmana Ożarowskiego, marszałka Rady Nieustającej Ankwicza, biskupa Kossakowskiego i Zabiełłę.

Po ugaszeniu swej żądzy krwi, tłum uspokoił się, a przerażony król odetchnął lżej. Prezydent miasta Zakrzewski wydał natychmiast zarządzenia, ażeby na przyszłość podobnych zaburzeń uniknąć.

Doszła wieść o tym i do Kościuszki, lecz zajęty był on wtedy zbyt ważnymi sprawami, ażeby na podobne zajścia zwracać uwagę.

W obozie lub w pochodzie zajęty był formowaniem rządu, układaniem praw i ustaw tymczasowych, przyczym szczególną uwagę zwracał na wolność ludu i wyznania.

Jakby chcąc za jednym pociągnięciem pióra zmazać odwieczny błąd, popełniany przez Rzeczpospolitą, ogłosił odezwę do duchowieństwa prawosławnego, w której wykazywał różnicę pomiędzy rządem rosyjskim, utrzymującym je „w nędznej niewoli“, gorszącym cały świat „bezprawiami i nieludzkim ludzi i narodów prześladowaniem“, a rządem słodkim prawa i wolności, którego się krwią swoją dobijają Polacy.

Największą jednak troskę Kościuszki stanowiła wówczas sprawa włościańska. Nie mogąc zgodnie

z aktem insurekcji zmienić konstytucji i nowych praw stanowić, starał się chociaż o przyznanie im pewnych ulg.

Widząc w chłopie znakomitą siłę zbrojną, wydał polecenie opiekowania się rodzinami włościan, do walki za Ojczyznę powołanymi, z zakazem ucieżniania i z zaleceniem, aby od robocizn wolnymi byli.

Następnie wobec usiłowań wojsk rosyjskich podburzenia ludu wiejskiego przeciwko panom i podma-
wiania ich do wspólnego rabunku dworów, ogłosił nową odezwę, w której polecał jak największą względem ludu łagodność, zwłaszcza iż Rosjanie uwiedzionych gwałtem w mundury swoje ubierali.

Polecał również opiece szlachty rodziny tych, którzy poszli do pospolitego ruszenia.

Wreszcie w dn. 7 maja, z obozu pod Połańcem, ogłosił „Uniwersał urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwości“.

Występował w nim przeciwko uciskowi ludu, a zarazem wskazywał, iż ludzkość, sprawiedliwość i dobro Ojczyzny domaga się naprawy tych stosunków, celem obrony przed obcą intrygą.

Urządzenie włościan, zalecone Komisjom Porządkowym, ujęte zostało w 14 artykułów, oddających włościan pod opiekę rządu krajowego i czyniących znaczne ulgi w dotychczasowym ich losie.

Widział Kościuszko niemożność przeprowadzenia całej reformy włościaństwa tak, jak on ją rozumiał, podczas powstania, chciał więc choć w części ulżyć niedoli ludu, wydając przepisy tymczasowe, być może, niezadowolające w zupełności ogółu, lecz choć w części czyniące zadość potrzebom chwili.

Zajmował się również i sprawami porządnie nad-

szarpniętego skarbu Rzeczypospolitej. Sięgnął wtedy do niewyczerpanej skarbnicy bogactw kościelnych, domagając się, by oddano wszystkie kosztowności, nawet depozyty prywatne, z wyjątkiem tych, które do obrzędów religijnych niezbędnie są potrzebne, przyczym zaręczał najuroczyściej, że wartość tych skarbów natychmiast zwróconą zostanie, gdy tylko Ojczyzna od wroga będzie uwolniona.

Wydał również Radzie Tymczasowej rozkaz zabrania mennicy, usunięcia dyrektora Unruga i bicia złotych, półzłotków, groszy podług zniżonej stopy, przyczym stempel miał z jednej strony przedstawiać zwykły herb Rzeczypospolitej z wyrażeniem wartości monety, po drugiej zaś następujące wyrazy: „Wolność, Całość, Niepodległość Rzeczypospolitej. 1794“.

Srodze się zmartwił Stanisław August, gdy przeczytał o tym rozporządzeniu, zwłaszcza o opuszczeniu portretu i herbu jego na monetach, przyczym ostrzegał przed zniżeniem stopy, niebezpiecznym dla całego kraju. Wyszły też na jaw i prywatne jego interesy, gdyż przez odebranie mennicy tracił przyznane mu przez sejm dochody. Upominał się więc o uwieziony w gmachu kapitał 10,000 czerw. zlot., 2,000 w metalach i wreszcie o wartość wszystkich narzędzi, skarżył się przytym, że przetapiać musi srebra stołowe swoje, byle mieć z czego żyć, ale delegowani urzędnicy Rady słuchali grzecznie narzekania jego, odpowiadali na nie niemniej uprzejmie, lecz w dniu 13 maja przyszli do mennicy z municypalności Nieborowski i Gautier i wzięli ją imieniem rządu rewolucyjnego w posiadanie.

Tak Stanisław August z goryczą w sercu patrzeć musiał na upadek swej władzy, na który pracował gorliwie przez cały ciąg swego panowania,

wszystkimi czynami swymi dowodząc, iż był raczej uniżonym sługą carycy Rosji, niż Polski, której ta na króla przemocą go narzuciła.

Obdarzony przez naród władzą, równą królewskiej, Kościuszko okazał skromność i prawosć w każdym czynie swoim, w każdym zarządzeniu. Zasady swe, a zarazem i pragnienia na przyszłość wyłożył w następującym liście do ks. Czartoryskiej:

„Bóg widzi, że nie francuską zaczynamy rewolucję. Czynię niektóre dyspozycje tymczasowe, a zostawuję stanowienie prawa Narodowi. Niech ustano-
wi taki rząd, jaki się jemu podobać będzie. Rzuć broń w Izbie Sejmowej bez żadnego interesu osobistego, tylko abym użył w domku małym spokojności i bawił się ogródkiem“.

Skończyła się też wkrótce wyteżona praca organizacyjna, gdyż w dniu 29 maja została otwarta Rada Najwyższa Narodowa, w której obok ministrów, generałów i dawnych posłów sejmowych zasiadło dwóch księży katolickich, prezes konsystorza Grecko-Orjentalnego, ks. Saba Palmowski, bankier Kapostas, kupcy i szewc Kiliński.

Wszyscy oni, bez względu na stan i rangę, nosili jednakowy tytuł „obywatela“, przyczym każdy kolejno prezydował na posiedzeniach ogólnych. Zorganizowano też rodzaj ministerjów, które zarządzały: Skarbem, Bezpieczeństwem publicznym, Potrzebami wojskowymi, Żywnością, Sprawiedliwością, Instrukcjami i Interesami Zagranicznymi, a na których czele stali poszczególni członkowie Rady Narodowej.

Przeciw władzy, jaką posiadał Kościuszko, nikt nie protestował, nawet najbardziej bezczelni z przywódców Targowicy, choć była ona wyższą nawet nad królewską. Chylił przed nią czoło w liście do-

browolnym Stanisław August, skłaniał się przed nią ks. Józef Poniatowski, który, w końcu maja przybywszy z zagranicy do obozu w Jędrzejowie, prosił, by przyjęto go jako prostego żołnierza, by mógł służyć Ojczyźnie pod komendą niedawnego podwładnego swego. Stawił się również przed tym wodzem Narodu dumny magnat, jeden z marszałków sejmu czteroletniego, Kazimierz Nestor Sapieha, i jak o łaskę prosił z pokorą, rezygnując z dawnego stanowiska generała artylerji, by pozwolono mu służyć w randze kapitana, i odbył całą kampanję, dowodząc czterema armatami.

Blask potęgi i władzy, jaką obdarzył naród Kościuszkę, a zarazem i wielkość cnoty jego, były tak olbrzymie, że zwyrodniali magnaci, którzy do ostatecznego upadku Polski się przyczynili, ukryli się w przerażeniu w stolicach państw rozbiorowych, Berlinie, Wiedniu i Petersburgu, skąd w tajemnicy zabiegali nad ocaleniem swych fortun, zagrożonych konfiskatą.

Natomiast masa szlachecka, a co najważniejsza, cały tłum ludowy, rwał się do boju z wrogiem, tak że gubernator rosyjski z Mińszczyzny, Tutolmin, żądał przysłania 10,000 Baszkirów z knutami, celem stłumienia wybuchłych tam wśród ludu zamieszek.

Prócz wielu innych zalet duchowych, posiadał Kościuszko olbrzymią moc wzbudzania posłuszeństwa wśród podwładnych w najwyższym stopniu. Zda się, że miłość Ojczyzny, jaką pałał, przelewał na wszystkich i tym zachęcał ich do największego poświęcenia.

Umiał zdobyć serca ludu; i tak np., gdy kawalerja narodowa pierzchła w bitwie pod Racławicami, podzielił ją na dwa korpusy, jeden ze szlachty złożony, a drugi z włościan, chcąc między nimi obudzić

szlachetne współzawodnictwo. Zdobyecz bojową oddawał żołnierzom i chłopom kazał zanosić ją żonom, co znów zachęcało ich do wracania w znacznie większej liczbie. Zapał dla jego osoby rósł w narodzie i wśród wojska wprost nie do uwierzenia.

Ciężkie i trudne zadanie miał przed sobą Kościuszko, zwłaszcza z formowaniem wojska. Brak broni, zwłaszcza karabinów i dział, stał temu na przeszkodzie. Prawda, zachwalał wielce, dowiedzione skutkami, użycie kos na sztorc osadzonych, lecz przecież trudno było z tym orężem iść na działa i karabiny. A broni z zagranicy dostać nie było można.

Drugą sprawą była kwestja szeregowców. Wszystko to byli rekruci, po raz pierwszy w boju stawający, nie obeznani jeszcze z użyciem broni i dyscypliną wojskową. Toż przecież po bitwie pod Racławicami dzielni krakusi najspokojniej w świecie wrócili do chat swoich, tak że Komisja Porządkowa musiała nakazać rządcom, aby ich drogą łagodności do powrotu zachęcali. Zdarzały się przytym zajścia z szlachtą okoliczną, która albo dostarczała do obozu ludzi swoich, powiązanych jak baranów, lub też przyjeżdżała zabierać tych, którzy zgłosili się dobrowolnie, jako ochotnicy.

Zajęto się też energicznie formowaniem oddziałów, przeznaczonych do obrony Krakowa, który fortyfikowano na gwałt, przyczym do sypania okopów chodzili wszyscy mieszkańcy, nie wyłączając nawet i prezydenta Lichockiego.

Rozkazem swoim z dnia 14 kwietnia powołał Kościuszko pospolite ruszenie wszystkich mieszkańców, mające za zadanie chwyatanie przednich straży i kozaków rosyjskich, wychodzących na rabunek i popełniających nieraz ohydne okrucieństwa

„przeciw ludzkości“. Na znak, dany uderzeniem w dzwony na gwałt, wszyscy mieszkańcy obowiązani byli stawić się z kosami, pikami i siekierami do wsi parafjalnej i pod komendą specjalnych oddziałów wojskowych iść na dni pięć z własną żywnością.

Rosły siły polskie w liczbę, rósł również i duch bojowy wśród nich, lecz mimo to jednak dalecy byli oni od ideału regularnego żołnierza. Ćwiczono też ich usilnie we wszelkich obrotach wojskowych, oszczędzając przytym o ile się tylko dało prochu. Toż nawet obchodu radosnego z powodu uwolnienia Warszawy z pod przemocy wroga, odbytego w obozie pod Igołomią, nie uświetniły salwy działowe, natomiast wszędzie rozlegało się warczenie bębnow i odprawiano nabożeństwa.

Przesuwał się Kościuszko z miejsca na miejsce, wszędzie zachowując ostrożność jak największą. Szlak jego prowadził z Igołomi przez Wawrzyńczyce, Brzesko Słomiane pod Stare Brzesko, a potem przez Witów, Koszyce, Opatowiec do Winiar. Po krótkim wypoczynku tam, ruszył dalej i przez Wojczę i Pacanów doszedł do Połańca, gdzie na dłuższy czas rozłożył się obozem. Dla zabezpieczenia się przed atakami wroga urządził szereg linii obronnych.

A zabezpieczenie to koniecznym było, gdyż Denisow, po otrzymaniu posiłków, szedł wślad za nim, i ukazawszy się pod Połańcem w dniu 12 maja, zaatakował prawe skrzydło, lecz został odparty.

Nie próbując więc dalszej walki, rozłożył się naprzeciwko Kościuszki obozem, na wszystkie strony rozsyłając oddziały rabunkowe, nie dopuszczając do wozu żywności do obozu polskiego. Z cierpliwością znosił to Kościuszko, czekając, aż wzmoże się na siłach o tyle, by pomścić to wszystko. Z bólem pa-

trzał na płonące wokoło wioski, wysłuchiwał skargi zrujnowanych obywateli i dzierżawców. Przytym żywność z trudem dochodziła z Galicji, żołnierze przymierali głodem, a oficerowie nawet widzieli mięso raz na dwa tygodnie.

Lecz za to siły rosły. Przybył z dywizją swoją generał-major Grochowski, który przedarł się przez Rosjan i przyprowadził z sobą jeszcze i inne pułki, a właściwie szczątki ich, ocalone od rozbicia przez Rosjan. W ten sposób siły polskie wzrosły o 6,408 ludzi, lecz z tego 1,000 żołnierzy pod komendą Wedelstetta oraz gen. Zajączka musiał wysłać za Wisłę, przeciwko ciągnącemu z Podola korpusowi rosyjskiemu gen.-lejt. Derfeldena.

Jednocześnie prowadzono z rządem austrijackim i pruskim rokowania dyplomatyczne. Celem porozumienia się z Austrią, zaprosił Kościuszkę Józefa Ossolińskiego, mającego wpływy i znaczenie w sferach dworskich w Wiedniu. W dn. 19 kwietnia przyjechał on do obozu pod Basutowem, gdzie naradzał się z Kościuszką i Ignacym Potockim, poczym wyjechał do Wiednia, by sprawę całą przedstawić ministrowi Thugutowi.

Kościuszkę oświadczył mu szczerze i otwarcie, że przeciw Austrii występować nie myśli, że mniemanie, jakoby insurekcja polska naśladowała wzory rewolucji francuskiej, jest mylne, żądał wreszcie pozwolenia na zakupno amunicji i broni w krajach cesarskich; na wysyłanie kurjerów i listów przez Galicję i prosił o poparcie cesarza u dworów zagranicznych w drodze poufnej.

Nie zastawszy Thuguta w Wiedniu, przesłał mu Ossoliński wszystkie te życzenia Naczelnika w obszernym liście, dodając od siebie pogląd na sprawę

polską, bardzo zręcznie i przychylnie dla sprawy polskiej ułożony.

Wszystkie te zabiegi jednak spóźnione były. Thugut wyjechał do głównej kwatery cesarskiej z zdaniem co do Polski już wyrobionym. Niepomyślny przebieg wojny francuskiej i przykre doświadczenia, jakie gabinet wiedeński zebrał podczas drugiego rozbioru, utwierdzały go w przekonaniu, że Austria za straty, poniesione w wojnie koalicyjnej, powinna szukać wynagrodzenia w Polsce. Mając przed oczyma przykład Prus i obawiając się nowego upokorzenia, wolał on oczywiście w porozumieniu z gabinetem petersburskim i berlińskim zabrać część ziem polskich, niż popierać powstanie, które, pomimo zapewnień Ossolińskiego, uważał za drugie wydanie rewolucji francuskiej, za dzieło, jeżeli nie przez jakobinów poczęte, to duchem jakobińskim prześląknięte.

Zgodnie z tymi poglądami ministra zajęły też władze austriackie w Galicji odrazu nieprzyjazne względem insurekcji stanowisko. Wyszło też od rady narodowej wojennej polecenie uwięzienia Kościuszki i Madalińskiego, gdyby się pojawili na terytorjum cesarskim i rozbrajania oddziałów powstańczych; arcyksiążę Leopold wzmocnił siły zbrojne Galicji do 10,000, a hr. Gallenberg, wiceprezydent gubernjalny we Lwowie, zwracał poufnie uwagę rządu wiedeńskiego, że „Austria ma w swojej mocy bez armji, tylko za pomocą zarządzeń policyjnych, tak zamknąć Polskę, że będzie jakby odcięta od reszty Europy, a w takim razie przymierza francuskie i tureckie staną się niemożliwe“. Zrozumiałym też jest, że Thugut, mając ułożony projekt działania w sprawie polskiej, rzucił list Ossolińskiego do kosza i uchylił się od konferencji z Ignacym Potockim.

Jeszcze bardziej niepomysłny obrót wzięły rzeczy w Berlinie, gdyż tam, po pewnym wahaniu się, powrócono natychmiast do dawnej, wypróbowanej już polityki z czasów czteroletniego sejmu. Kiedy Lucchesini, posłujący wtedy w Wiedniu, bałamucił pocziwego Sołtyka nieokreślonymi nadziejami pomocy pruskiej, a Buchholtz, w Warszawie ciągle przesiadujący, zapewniał Ignacego Potockiego, że dwór berliński zachowa się neutralnie względem powstańców, uległ Fryderyk Wilhelm II wpływowi Mannsteina i dał rozkaz generałowi Favratowi do przekroczenia granicy polskiej. Favrat uderzył też dnia 18 maja na pospolite ruszenie, zbierające się w obozie pod Skalą, rozproszył je z łatwością, bez walki prawie, ale bezpośrednio potem wrócił na dawne stanowisko swoje.

Spacer ten pruski, łącznie z zapewnieniami Buchholtza, utwierdził główną kwaterę polską w mniemaniu o neutralności gabinetu berlińskiego. Rozumowano tam tak, że jeżeli Favrat, zabiwszy jednego kosyniera polskiego pod Skalą i straciwszy sam jednego konia, nic ważniejszego zresztą nie przedsiębrał i po tym łatwym tryumfie wnet się usunął, to musiał chyba działać z polecenia swojego dworu.

Dowodzenia tego rodzaju popierały raporty Ignacego Potockiego.

Uspokojony w ten sposób Naczelnik postanowił rozbić korpus Denisowa, który pomaszerował w kierunku północno-zachodnim, ku granicy pruskiej. Podążył wślad za nim Kościuszko, aż wreszcie w dniu 26 maja zatrzymał się pod Jędrzejowem, gdzie obozował aż do 4 czerwca.

Przez cały ten czas pracował gorączkowo za-

równy nad organizacją administracyjną, jak i wojskową. Nie brakło zajęć, choć sprawa przedstawiała się pomyślnie. Powstanie ogarnęło kraj cały, wojsko nie dało się rozbroić ani zredukować, a z za kordonu rosyjskiego przebijały się coraz silne oddziały wojskowe, tak że Kościuszko miał pod rozkazami swymi około 31,000 zorganizowanego żołnierza, co stanowiło już naówczas siłę poważną.

Lecz i Rosjanie nie zasypiali gruszek w popiele. Rozgniewana na Igelströma caryca Katarzyna II-ga usunęła go, a na miejsce jego mianowała wodzem wojsk rosyjskich ks. Repnina. Wnet ruszyły wojska rosyjskie z Inflant i gubernji wewnętrznych Rosji.

Wypędzone z Warszawy wojska tymczasem gromadziły się w okolicach Łowicza, dochodząc do 7,000 ludzi.

Osiadłszy tam, wysłał Igelström kwatermistrza swego, generała Pistora, do pruskiego generała Favrata, który po owej utarczce pod Skałą cofnął się do Pilicy i Żarnowca, z propozycją połączenia się z Denisowem. W zasadzie zgadzał się na to Favrat, lecz nie chciał ruszać się narazie z kwater swoich, gdzie oczekiwał przybycia króla, któremu należało pozostawić sławę zwycięstwa.

Denisow, natychmiast po otrzymaniu od Igelströma rozkazu połączenia się z Prusakami, wyruszył w drogę i w trzy dni przebył kilkunastomilową przestrzeń i stanął w Szczekocinach, o dwie mile od Żarnowca.

Byli z nim razem generał Chruszczow i Rachmanow, że zaś każdy chciał mieć korpus swój pod swoją komendą wyłącznie, więc rozłożyli się na trzech stanowiskach, Rachmanow na lewym skrzydle, Denisow w samych Szczekocinach, Chruszczow zaś zaj-

mował prawe skrzydło, w odległości mili od Żarnowca, głównej kwatery pruskiej.

W dniu 3 czerwca przyjechał król Fryderyk Wilhelm II-gi i stanął kwaterą we dworze Woli Libertowskiej pod Żarnowcem, a syn jego, następca tronu, pojechał do Piotrkowa, ażeby przyprowadzić korpus generała v. Bonnina.

Tymczasem Kościuszko, celem rozbicia Deniso-wa, wyruszył dnia 4 czerwca zrana z Jędrzejowa, a pod Szczekocinami stanął dopiero późnym wieczorem. Oddziały wojsk nadciągały powoli, poczym dopiero formowały się w szyk bojowy, co miało fatalne skutki. Bawiący w Szczekocinach kwatermistrz wojsk rosyjskich, generał Pistor, miał możność nietylko odrysować sobie plan ustawienia wojsk polskich, ale i obliczyć je, poczym podążył do Żarnowca, do króla pruskiego, by przedstawić mu konieczność połączenia się wojsk pruskich z rosyjskimi, celem wspólnego działania.

Zupełnie słusznie obawiał się, że dywizje Deniso-wa, stojące bez ładu, nie oprą się atakowi wojsk polskich.

Kościuszko ze swej strony chciał uderzyć natychmiast do ataku, lecz zapadająca noc i dzielące go od wroga błota nie pozwoliły mu na to. Cofnął się więc na miejsce obozu.

Stały zatem naprzeciw siebie dwie zbrojne potęgi, gotowe do stoczenia śmiertelnego boju. Na wynik jego zdawały się dość wskazywać liczebne dane. Armja Kościuszki liczyła około 9,000 regularnego żołnierza i 5,000 uzbrojonych pikami i kosami chłopów, ogółem 14,000 ludzi z 24 działami, połączona zaś armja rosyjsko-pruska liczyła 26,500 żołnierzy ze 124 działami.

Wojska polskie pełne były zapału i rwały się do boju, lecz znaczna ich część, zwłaszcza kosynierzy, ani manewrować, ani bronią władać nie umiała.

Kościuszko jednak pełen był najlepszej nadziei na dzień jutrzejszy. Sam w raporcie swoim pisał:

„Nieprzyjaciół stał całą noc pod bronią; my w najmilszej nadziei zwycięstwa czekaliśmy poranku“.

Było to złudzenie!...

Wojska Denisowa stały pod bronią, a od 1 godziny po północy dążyła na wojska polskie cała armja pruska, gdyż Pistor z łatwością nakłonić zdołał króla pruskiego do przyjęcia swojego planu.

Pewne zamieszanie spowodowało cofanie się armji Kościuszki, lecz gdy sytuacja wyjaśniła się, generał Pistor przystąpił do wykonania swojego planu, przy czym wioski na terenie boju zostały przez Rosjan spalone.

Armja polska zajmowała stanowiska na niewielkiej wyniosłości, prawym skrzydłem dotykając wsi Hebdzie, lewym zaś Rawki. Na lewym skrzydle dowodził Eustachy Sanguszko, świeżo mianowany generał-majorem za ucieczkę od boku Igelströma i przywiezienie kasy z Galicji do Pińczowa. Był tam również i Adam Poniński, który na sejmie grodzieńskim oczyścił z hańby nazwisko ojca, a teraz przybył, by krew lać za Ojczyznę. Był również i generał Wodzicki, który dla słabego zdrowia pozostawiony w Krakowie, jako gubernator, złożył urząd, swój w ręce pułkownika Wieniawskiego i przybył w dniu 5 czerwca, by na polu walki zmierzyć się z wrogiem, i otrzymał komendę nad własnym regimenterem.

Otrzymaawszy wiadomość, że Rosjanie namioty zabrali i że w prawo i w lewo maszerują ku armji polskiej, Wodzicki wyjechał na wzgórek przed front i przyglądał się pochodowi przez lunetę, przyczem zdumiał się nad ilością idącego naprzód wojska.

— To niepodobna—zawołał—aby Denisow miał takie siły; chyba mnie oczy mylą, ale ja przecież poznaję Prusaków. Patrz, kapitanie—dodał, zwracając się do Usielskiego—ta długa linja piechoty to Prusacy, a jest ich więcej niż bataljon, chociaż Naczelnik upiera się, że z Moskalami jest jeden tylko bataljon Prusaków.

Ledwie to wyrzekł, gdy rozbrzmiały hukiem armaty pruskiej awangardy Elsnera; za czwartym wystrzałem kula urwała głowę Wodzickiemu, a kapitana Usielskiego przecięła na dwoje.

Tu dopiero spostrzegł Kościuszko błąd, jaki popełnił, zbyt lekko sobie traktując siły przeciwnika. Napróżno jednak Sanguszek i Poniński wystawiali mu nierówność sił. W odpowiedzi na to posłyszeli:

— Chcę się obeznać z manewrami pruskimi!—i przyjmując bitwę, kazał odpowiedzieć nieprzyjacielowi strzałami z baterji lewoskrzydłowej.

Wszczął się tumult bitewny. Kule z dział pruskich przenosiły kolumny polskie, a w ślad za nimi posuwał się naprzód nieprzyjaciel. Zbliżyła się piechota pruska do stanowisk polskich, lecz mężny odpór jej dali kosynierzy krakusi z pułkownikiem Krzycim na czele. Również mężnie prowadził do boju regiment 2-gi major Lukke, który po śmierci Wodzickiego komendę nad nim objął. Zmieszał on zupełnie infanterję pruską, wpadł na armaty, jedną z nich zagwoździł, kilka zaś, w braku gwoździ, piaskiem zasypał.

Zmieszały się pod mężnym naciskiem dwa bataljony pruskie, aż król sam porządek wśród nich zaprowadzać musiał. Ruszył do powtórnego ataku jeden z nich i wtedy w zaciętej bitwie legł generał Grochowski, a zarazem rozeszła się pogłoska, że Kościuszko został zabity.

Pomimo iż pułk dragonów Bibersteina rozpoczął ruch oskrzydłający, los bitwy nie został rozstrzygnięty. Między wojskami wrażymi wytworzyła się luka szerokości 500 kroków, z powodu, że Rosjanie pozostali w tyle za Prusakami.

Skorzystał z tego Kościuszko i zaatakował kraniec lewego skrzydła pruskiego. Na pomoc przybiegła pruska konnica i 14 szwadronów rosyjskiej rezerwy, lecz spotkał je Krzycki i odparł kosami. Legł w tym starciu niedawną sławą okryty bohater z pod Racławic, Bartosz Głowacki.

Próżne były wysiłki szalone. Siły wrogów rosły, potężniały i groziły otoczeniem frontu. Już wojska pierzchać zaczęły, rany odnieśli generałowie Granowski i Poniński, a pod Kościuszką padł koń.

W takich warunkach, zwłaszcza gdy jazda pruska ukazała się pod Rawką, koniecznym stał się odwrót. Jedne oddziały przechodziły przez wieś Hebdzie, inne korzystały z osłony lasu, przyczym odwrót zasłaniała jazda pod wodzą Madalińskiego i Kamieńskiego, którzy na chlubną wzmiankę w raporcie Najwyższego Naczelnika zasłużyli.

Na jeszcze większą sławę zasłużył Sanguszko, który od niechybnej śmierci ocalił Kościuszkę. Już prawie po skończonej bitwie ujrzał on przejeżdżającego pod wsią Hebdzie człowieka, na małym, wilczątym podjezdku, z pałaszem w pochwie, w ciemnej czujce, obojętnie patrzącego na harcujących na polu

huzarów nieprzyjacielskich. Zrazu wziął go za kapelana wojskowego i dopiero po bliższym przyjrzeniu się poznał Kościuszkę. Zwrócił się do niego z zapytaniem, na co posłyszał odpowiedź:

— Chcę być zabitym!..

Wtedy, bez najmniejszego namysłu, porwał go za rękaw i pociągnął do kołowrotu wioski Hebdzie, za którą były przeprawione niedobitki polskie. A musiał trzymać go silnie, gdyż w ścisku mu się wyrывał.

Wtym padła między nich kula armatnia, która, oderwawszy zad koniowi, raniła lekko Kościuszkę w nogę. Wtedy Sanguszko przesadził go na swego konia i Kościuszko, jakby oprzytomniawszy, dał mu polecenie dokończenia sprawy, a sam pojechał do opatrunku.

Zasłaniał też on odwrót w największym porządku, wraz z 600 kawalerzystami, aż do późnego wieczora. On też jeden, wraz z generałem Kamieńskim, wyszli z pośród wszystkich generałów bez rany.

Niewielkie straty poniosła liczebnie armja polska, gdyż według obliczeń Kościuszki legło na placu boju 1,000 zabitych, a 500 jeńców, przeważnie rannych, zabrali Prusacy. Dział zabrali tylko 8.

Gorszą była strata moralna przez śmierć generała Wodzickiego i Grochowskiego, gorliwych pomocników Kościuszki i znawców sztuki wojennej, oraz Bartosza Głowackiego, który miał wielki wpływ na lud.

Nie stracił też ducha, pomimo klęski, Naczelnik, i już w dniu 7 czerwca, z pod Małogoszczy, wysłał energiczną odezwę do Rady Najwyższej Narodowej, zalecając „nateżenie republikańskiego męstwa“ i nakazanie pospolitego ruszenia.

Po rozwianiu się złudzeń co do polityki przy-

chylnej dla Polski Fryderyka Wilhelma II, gdy stało się jasnym, iż dąży on do dalszego rozszerzania swych posiadłości przez nowy podział Polski, wystąpił Kościuszko z wypowiedzeniem wojny przez „Ordynans Generalny do całej siły zbrojnej narodowej względem wkraczania w kraje nieprzyjaciół naszych“, datowany z Kielc dnia 10 czerwca, a zrywający ostatecznie z dyplomacją, rzucający rękawicę nie tylko jawnym wrogom, lecz i fałszywej przyjaciółce, jaką była Austria. Już na kilka tygodni przedtem cesarz Franciszek II zgodził się na referat ministra Thuguta i, udawszy się do Wiednia, zaczął popierać jak najusilniej sprawę podziału Polski. Wtedy już wydał rozkaz, ażeby wojska austriackie obsadziły sandomierskie i posuwały się wgląd województw lubelskiego i chełmskiego, bez narażania się sprzymierzeńcom, Rosjanom i Prusakom.

Stosunek armji tej do powstańców był również poprawny, gdyż ani jednej nawet utarczki nie stoczyli, lecz i tak przynosili wielką szkodę Kościuszcze przez odebranie możności zaopatrywania się w żywność z najżyźniejszej części kraju, przez zabieranie przemocą rekrutów polskich do swoich szeregów, oraz przez konieczność zużycia pewnej części sił bojowych na obserwację poruszeń tej kolumny okupacyjnej.

Pozostawała tylko Polsce nadzieja na pomoc Turcji, o którą zabiegał wysłany specjalnie z Warszawy Piotr Krutta, oraz poseł francuski Descorches.

Zabiegi te dyplomatyczne jednak okazały się spóźnionymi.

Zresztą jedna tylko Szwecja zwróciła się do powstańców z wyrazami sympatji, lecz zarówno pomoc jej, jak i Francji, miotanej wewnętrznymi za-

burzeniami rewolucyjnymi, musiała pozostać plato-niczną.

W ten sposób Kościuszko został otoczony przez przemagające siły wrogów, bez nadziei na jakąkolwiek pomoc zewnątrz.

Lecz nie ugiął się pod ciężarem brzemienia, które spadło na jego barki. W dalszym ciągu pełnił ofiarnie służbę swoją, walcząc nie tylko z przeciwnikami zewnętrznymi, ale i wewnętrznymi.

Już w Małogoszczy stanęła przed nim deputacja z Warszawy, z protestem przeciwko składowi Rady Najwyższej Narodowej, mianowanej przez niego bez przypuszczenia do wyborów mieszczan warszawskich.

Odpowiedział na niego z powagą i godnością:

„Głos ludu i jego potrzeby będą zawsze pilnie uważane ode mnie. Na to broń wziąłem do ręki, abym wszystkich ziem polskich mieszkańców widział prawdziwie szczęśliwymi.

Inaczej jej nie złożę, aż ujrzę skutek rzetelny szczerego żądania mego i to zaręczenie, przed Bogiem i światem zrobione, niech wszystkie troskliwości każdego obywatela uspokoi i niech go obroni od kroków nieregularnych, Rządowi ustanowionemu przeciwnych, do których go zręcznie a przewrotnie prowadzą intryganci, ukryci nieprzyjaciele nasi i chciwi znaczenia dobrego ludu pochlebcy.

Bracia i Współ-Obywatele, odebrałem przełożenie Wasze przez zacnych delegatów, którzy mnie widzieli w pocie czoła Wam i krajowi służącego.

Odpowiedź moja jest krótka: pierwszej wypędźmy nieprzyjaciela, a potem założymy fundamenta niezmienne szczęśliwości naszej. Rząd tymczasowy nie może podpadać w tym momencie odmianie. Nie myl-

cie się na tym; składają go obywatele cnotliwi, za-
tym przyjaciele ludu, a kiedy ich nominowałem, nie
chciałem nie pamiętać o tym, czy są włościanie, czy
mieszczanie, czy szlachta.

Opowiedzą Wam Delegowani resztę powodów
odmówienia Wam żądań Waszych. Ale ręczę, że od-
mawiam dla własnego dobra Waszego. Wierzcie przy-
jacielowi Waszemu. Bracia, do broni! Do broni! Te-
raz o tym jedynie myśleć wszyscy mamy.

Dan w Obozie pod Mołogoszczą dnia 7 czerwca
r. 1794-go. T. Kościuszko“.

Dążył też wytrwale do utrzymania ładu i po-
rządku wśród wojska i władz administracyjnych. Do-
prowadzał do porządku uszczuplone szeregi, a jedno-
cześnie słał Radzie Narodowej polecenia, aby nie
zaniedbywała względem utrzymania spokojności umy-
słów w Warszawie i w narodzie; owszem niech ich
wzywa do podwojenia gorliwości i natężenia repu-
blikańskiego męstwa. Przypominał nakazanie pospo-
litego ruszenia wszędzie i wydanie stosownych do
tego uniwersałów z tym dodatkiem, aby się ta siła naro-
dowa natychmiast łączyła z najbliższymi korpusami.

Wydał też cały szereg zarządzeń, mających na
celu zabezpieczenie odwrotu wojsk przed możebnym
atakem nieprzyjaciela.

Nie tał również wielkości strat w raporcie swo-
im o przebiegu bitwy pod Szczekocinami, wzywając
naród cały w następujący sposób do wytrwałości:

„Narodzie! pierwsza to stałości ducha twojego
próba, pierwszy to dzień twego powstania, w którym
ci się zasmucić, ale nie przerażać wolno. Poprawia-
się winni twej szkodzi w najpierwszej okazji, a ci,
co w swej odwadze nigdy się nie zawiedli, zemścić
się pragną momentalnej twej niepomysłności. Byłże-

byś godnym wolności i samowładztwa, gdybyś odmian losu znosić nie umiał? Podłe i nikczemne wyrodkie twoje zechcą korzystać z tego momentu, aby cię trwożyć: ale oni się ze zwycięstw twoich smućą, udając radość, a z klęsk się twoich cieszą, udając smutek“.

Jednocześnie, przejęty obawą o Warszawę, ażeby nieprzyjaciół go nie ubiegł, śpieszył forsownymi marszami do stolicy, wysyłając jednocześnie rozkaz do Zajączka, ażeby z nad Bugu cofnął się ku Wiśle.

Lecz ten się już cofał i bez tego, uchodząc przed następującym nieprzyjacielem po przegranej w dniu 8 czerwca bitwie pod Chełmem. Okazał przytym wielką niendolność i niezaradność, tak że nawet oficerowie jego, zrażeni tym wszystkim, zbuntowali się przeciwko niemu, obierając na dowódcę swego brygadiera Wyszkwowskiego.

Wpłynęło to na zmianę marszruty Kościuszki, który podążył na spotkanie cofającej się dywizji, przyczym załatwiać musiał nieporozumienia, wynikłe w szeregach Zajączka.

Rozsyłając na wszystkie strony oddziały, mające na celu albo wzniesienie powstania w różnych dzielnicach kraju, albo też osłanianie drogi przed natarciem korpusu rosyjskiego, posuwał się Kościuszko powoli ku Warszawie, i w dniu 19 czerwca stanął w Warce. Tam otrzymał wiadomość o haniebnym poddaniu Krakowa Prusakom w dniu 15 czerwca przez pułkownika Wieniawskiego.

Prastary gród, macierz Polski, poddany został bez jednego nawet wystrzału, bez próby nawet bronięcia się, z pogwałceniem pozostawionej przez Kościuszkę w zamkniętej kopercie instrukcji. Tchórzliwy czy zdradziecki komendant, zamiast prowadzenia

do boju milicji, sam ją straszył i z okopów odsyłał do miasta. Dużo więcej waleczności i odwagi od niego okazał kupiec Manderle, który z gromadą mieszczan wszedłszy do zamku, strzelaniem odpierać zaczął zajmującego miasto nieprzyjaciela. Uznał to ich męstwo komendant pruski, nakazując oddać im honory wojskowe przy wyjściu.

Zdobyczą zwycięzców stały się najcenniejsze rzeczy Polski, gdyż klejnoty koronne, oraz cały skarbiec, zamykany na 7 kluczy senatorskich.

Utrata Krakowa nie miała wielkiego znaczenia strategicznego, lecz za to olbrzymie znaczenie moralne, gdyż cały naród uważał go za swoją stolicę duchową.

Wydał też Kościuszko wnet odezwę, krzepiącą ducha, w której nawoływał: „Niech nie mówi Europa: Polak prędki jest do zapalenia, przędszy do zrażenia się. Niech raczej powiedzą narody: Polacy mężni są w przedsięwzięciu, nieustraszeni w przygodach, stali w dokonaniu“.

Jakby pociecha w tych strasznych chwilach klęsk dotkliwych, nadchodziły wieści o wzrastającym powstaniu na Litwie. Województwo za województwem, prowincja za prowincją powstawały przeciwko wrogowi, bijąc go, zmuszając go do cofania się. Walczyli tam z powodzeniem: Wawrzecki, Jasiński, Wielhorski i inni. Zdobyto Libawę i zajęto Kurlandję, która połączyła się z powstańcami.

Zwycięstwa te wywarły wrażenie i na królu pruskim, który przyszedł do wniosku, że Kościuszko uda się tam z głównymi siłami.

Dzięki temu też zaszła dłuższa zwłoka w działaniach wojennych Prusaków, którą należycie wyzyskał Kościuszko, dążąc przez Goszczyn, Lewiczyn

i Grójec pod Warszawę, gdzie stanawszy w dniu 28 czerwca, zajął pozycje pod Pracką Wolą, Gołkowem i Piasecznem, w ten sposób tamując Prusakom możliwość zajęcia Warszawy.

Niezbyt przyjemne przyjęcie zgotowała Naczelnikowi Warszawa. Na wieść o poddaniu Krakowa Prusakom, tłumy czerni, podburzonej przez zapaleńca Konopkę, zaczęły się dobijać do pałacu Brühlowskiego, gdzie siedzieli Targowiczanie, oraz do innych więzień, wznosząc zarazem na różnych ulicach 7 szubienic.

Lęk zdjął króla Stanisława Augusta, uciekł się więc pod opiekę Kołłątaja, który go uspokoił dość szorstkim listem.

Lecz lud nie dał się uspokoić przełożeniom prezydenta Zakrzewskiego, w porywie gniewu wydarł wymiar sprawiedliwości z rąk sądu i, wyciągnawszy z więzień biskupa wileńskiego, Massalskiego, kasztelana Czetwertyńskiego, Boscampa Lasopolskiego, Roguskiego, Piętkę i Grabowskiego, o zdradę Ojczyzny i szpiegostwo obwinionych, oraz niewinnych zupełnie: Wulfersa i Majewskiego, wszystkich powiesił.

Prezydentowi Zakrzewskiemu udało się uratować tylko jednego Fr. Moszyńskiego, który przez Igelströma wprowadzony na marszałkostwo w. kor., gorliwie mu służył w wyłapywaniu patryjotów.

Rada Najwyższa, przejęta obawą przed tym żywiołowym wybuchem gniewu ludu, zganiła go nader łagodnie, lecz za to Kościuszko potępił go w odezwie swojej nader ostro, zakazując surowo wszelkich gwałtów i grożąc za nie karami, jako za bunt. Nawoływał też wszystkich, tak gorących przy pracy szubienicznej patryjotów do obozu, do broni.

Odezwe swą poparł czynem, chcąc uratować powagę rządu. Weszły niezwłocznie do Warszawy znaczniejsze siły wojskowe, schytano przywódców wynikłych rozruchów i 7 z nich, tych, co funkcje katów pełnili, powieszono. Również śmiercią ukarano dwóch szpiegów, Fergusona i żyda Heymana, a Kiliński, na skutek rozkazu Kościuszki, tylko w ciągu jednej nocy wybrał w mieście 6,000 próżniaków i posłał ich do obozu. Zaczął też werbunek do swego regimantu ochotników.

Pomimo nader groźnych odez w, wielce powściągliwym był Kościuszko w podpisywaniu wyroków śmierci. Zatwierdził przez cały czas pełnienia rządu Najwyższego Naczelnika tylko dwa wyroki śmierci, i to zaoczne, wydane na Wieniawskiego i Kalka za poddanie Krakowa. W sprawie zaś rozruchów warszawskich, po ukaraniu głównych winowajców, nakazał dla pozostałych wyrozumiałość.

Ciężką musiał staczać walkę z toczącymi się wokoło niego intrygami i waśniami stronnictw i pojedynczych osobistości. Zwalczał energicznie wpływy Kołłątaja, którego pomawiano o chęć wprowadzenia teroru do rządu.

Nie ulegał też wpływom postronnym, wciągając do pracy dla dobra Ojczyzny wszystkich, kto tylko pożytek sprawie mógł przynieść. Tak więc ks. Józefa Poniatowskiego mianował generałem, Kołłątajowi powierzył ważny urząd, a synów zdrajców, Ożarowskiego i Ponińskiego, nie odepchnął od siebie, pozwalając na polu walki zmyć hańbę ojców.

Ustanowiony przez niego sąd wojenny, z Zajączkiem na czele, rozpoczął czynności swoje od skazania na śmierć twórców Targowicy: Szczęsnego Potockiego, Branickiego i Rzewuskiego, których po-

wieszono *in effigie*, gdyż bezpiecznie przebywali sobie za granicą. Wytoczono również sprawę i biskupowi Skarszewskiemu, oskarżonemu o zdradę, na sejmie grodzieńskim popełnioną, skazując go na karę śmierci. Król, nuncjusz papieski i Zakrzewski wstawili się za biskupem.

— Dosyć jest ten wyrok przepisać na moje imię — mówił król — aby i mnie na śmierć skazać.

Zmienił też Kościuszko wyrok śmierci na wieczne więzienie, co znów obraziło stronników Kołłątaja.

W opublikowanych w gazecie rządowej aktach, znalezionych u Igelströma, nazwisko króla pomieszczono na liście tych, którzy brali pensję od Rosji, z czego Stanisław August usprawiedliwiał się publicznie.

Gdy wypadki te rozgrywały się w Warszawie, armje nieprzyjacielskie zbliżały się ku stolicy kilku drogami, otaczając ją coraz ciasniejszym pierścieniem.

Przesuwał się też coraz bliżej do Warszawy Kościuszko, staczając z przeciwnikami pojedyncze utarczki. Tak Mokronoski w dniu 9 lipca zaatakował pod Błoniem brygadę pruską, która szybko cofnęła się za to miasto.

Pod Gołkowem znów zaatakowaną została dywizja Zajączka przez Rosjan. Walka trwała do późnej nocy, i wznowiła się ze świtem dnia następnego, i dopiero, gdy nieprzyjaciel próbować zaczął oskrzydlenia, rozpoczął Zajączek, wobec przemagających sił, odwrót pod Warszawę, gdzie pod Królikarnią połączył się z Kościuszką.

W pełnym powagi milczeniu zajmowały wojska polskie pozycje swoje, a łączył się z nim w ordynku zbrojny lud warszawski, z wyżyn okopów przyglądający się manewrującemu w oddali nieprzyjacielowi.

Sygnal alarmowy z okopów i strzał armatni z placu Zamkowego dały znać mieszkańcom Warszawy, iż zbliża się chwila stanowcza w ich życiu, że rozpoczyna się oblężenie Warszawy.

Spokojnie, ufni w moc Kościuszki, przyjęli to, biegnąc tłumnie na wały, by piersią własną zasłaniać gród ukochany. Odczytywano wszędzie odezwę Naczelnika, kończącą się słowami:

„Wszędzie potężne ramię Boga Zastępów wspierać zdaje się sprawę ludu, tak długo uciskanego niewinnie. Nie przestawajmy wznosić modłów naszych do Niego, a da nam ducha ufności, jedności i męstwa i krwawe boje nasze chwalebnym i szczęśliwym uwieńczy zwycięstwem“.

Pełne ufności też i spokoju stały na pozycjach zastępy polskie, przez dzień i noc całą, raczone obficie i darmo piwem przez piwowarów.

A nieprzyjaciół tymczasem rozchodził się w dwie strony, przyczym Rosjanie pociągnęli na prawo, do Służewa, a Prusacy w lewo, pod Opalin.

A moc wraza potężna była swą liczbą i zapamiętaniem bojowym. Połączone obydwie armje, rosyjska i pruska, liczyły razem 41,000 głów, a dział posiadały 235.

Dużo słabsze siły mógł przeciwstawić Kościuszko tej potędze. Według najściślejszych obliczeń rozporządzał on 26,000 żołnierzy, przyczym w tym było zaledwie 16,000 regularnego wojska, resztę zaś stanowili kosynierzy i pikinierzy z włościan, jako tako obyci ze służbą wojskową.

Do tego dochodzi 9,000 mieszczan warszawskich, zupełnie w służbie wojskowej nie wyćwiczonych, a pełniących służbę w okopach i biorących udział w walkach.

Dział posiadał Kościuszko 178, lecz nie miał ani jednego tak wielkiego kalibru, jak Prusacy.

Szańce warszawskie również nie należały do wyborowych. Sypane ofiarnymi lecz niewprawnymi rękoma mieszkańców Warszawy, bez różnicy płci i wieku, tysiącami pełniącymi ochoczo tę pracę dla dobra narodu, pomimo nadsyłanych przez Kościuszkę rysunków i wskazówek, nie były wykończone jeszcze wtedy, gdy nadciągnął nieprzyjaciół.

Na szczęście, król pruski, zamiast uderzyć od razu do szturm, czynić począł przygotowania do regularnego oblężenia, sypiąc wały, przysposabiając faszyny i kosze, oraz oczekując na nadejście ciężkich dział oblężniczych z Grudziądza.

Korzystał z tego Kościuszko, niezmordowanie konno objeżdżając wszelkie pozycje, dokonywając poprawek i sypiąc nowe fortyfikacje. Czynione roboty okryte były wielką tajemnicą i strzeżone tak bacznie, że badający je generał Denisow nie widzieć nie mógł, a wysłanego na przeszpiegi w ubraniu chłopskim oficera rosyjskiego ujęto i powieszono.

W trakcie tego, w dniu 23 lipca otrzymano wiadomość o odparciu Rosjan od Wilna i zawiadomiono o tym mieszkańców trzykrotnym strzelaniem z dział.

Wreszcie nadeszła chwila stanowcza. W dniu 27 lipca o świtaniu ruszyły naprzód zastępy pruskie, atakując przednie straże polskie. Zaczęła się strzelanina, po której wojska polskie cofnęły się, a Prusacy zajęli Wolę. Zaczęła się walka działowa, przy czym artylerja polska dzielnie odpowiadała pruskiej. Próby odebrania Woli nie powiodły się, przyczym bitwa toczyła się do późnej nocy, aż przerwały ją ulewa i wichur.

Prusacy przystąpił do robót oblężniczych, w czym przeszkadzała im artylerja polska. Kulami ognistymi zapalił Kościuszko wieś Szczęśliwice, tak że Prusacy musieli zaniechać tych robót, uchodząc w popłochu.

Zaczął się bombardowanie miasta, na szczęście nie przynoszące większych strat. Żołnierze polscy stali w milczeniu pod ulewą deszczową i kul działowych, odpowiadając na nie dopiero wieczorem.

Król pruski, Fryderyk Wilhelm, powołując się na litość swoją nad miastem, napisał list do Stanisława Augusta, doradzając mu kapitulację. Z podobną propozycją wystąpił do komendanta Warszawy, Orłowskiego, generał Schwerin. Obydwa te listy odniesiono Kościuszcze, który odpowiedział, że „miasto Warszawa nie jest w przypadku potrzeby poddania się“. Podobnie odpowiedział i Stanisław August, powołując się przytym na uczucia ludzkości.

Atakowano pomyślnie również i pozycje rosyjskie.

I tak dzień za dniem schodziły na ustawicznej kanonadzie z dział, przyczym działa pruskie i rosyjskie niewielką szkodę wyrządzały Polakom.

Powodzenie sprzyjało orężowi polskiemu. Kościuszko coraz bardziej przedłużał linję obronną, sypiąc coraz nowe reduty. Ks. Józef Poniatowski, objawszy komendę pod Marymontem, posunął się znacznie naprzód, obsadzając Wawrzyszew i Młociny, przyczym zajmując Szwedzkie Góry, ustawił tam baterje, wyrządzając z nich znaczne szkody Prusakom.

W czasie tego, w nocy z dnia 11 na 12 sierpnia zmarł nagle brat królewski, prymas, Michał ks. Poniatowski. Przyczyną śmierci jego było przejęcie listu jego do króla pruskiego z różnymi wiadomościami. Obawiając się haniebnej kary, otruł się. Jak mówiono, truciznę doręczył mu Stanisław August.

O świtaniu dnia 18 marca dokonał wycieczki na pozycje rosyjskie pod Zbarzem Poniński, opanowując jedną baterję.

Zbliżała się chwila stanowcza i najcięższa w oblężeniu. Prusacy otrzymali wreszcie oczekiwane ciężkie działa oraz posiłki. Zaczęli sypać nowe szance, na których ustawiono 36 ciężkich dział, lecz kule z nich nie dosięgały Szwedzkich Gór, a wszelkie wysiłki rekonesansu niweczyła czujność wedet polskich.

Dnia 26 sierpnia rozpoczął się atak stanowczy. Ruszyły do szturmów zastępy pruskie, popierane przez silny ogień działowy i uderzyły na całą linję od Woli do Marymontu, z szczególną zaciętością atakując Szwedzkie Góry i Wawrzyszew. Nie był wtedy na stanowisku ks. Józef i Prusakom udało się wyprzeć piechotę polską z jej stanowisk. Próżno starał się ratować sytuację nadbiegły ks. Józef. Prusacy zwycięsko posuwali się napród, zajmując wszystkie stanowiska od Powązek do Marymontu. Gdyby król pruski poparł atak świeżymi kolumnami, napewno udałooby mu się wkroczyć do miasta.

Bitwa skończyła się późno w noc, a Wawrzyszew i Góry Szwedzkie pozostały w rękach Prusaków, a znajdujące się na nich baterje polskie obrócono przeciwko Polakom.

Po pierwszym dniu odpoczynku zaczęły się znów zacięte walki, przyczym Prusacy przypuszczali szturm za szturmem, atak za atakiem. Z początku sprzyjało im powodzenie, zdobyli trzy szance, wyparli Polaków z barku powązkowskiego i zapalili kilka domów. Lecz wtedy już dowództwo nad obozem marymonckim zamiast ks. Poniatowskiego objął dzielny generał Dąbrowski, który wnet wydał rozkaz odebrania lasku Prusakom, co uskutecznił z powodzeniem.

Znów ruszyły wzmocnione zastępy Prusaków na Powązki i Marymont, lecz jednocześnie nadesłał Kościuszko pomoc Dąbrowskiemu, i nieprzyjaciela odrzucono.

Około godziny 7 wieczorem nadeszła chwila wypoczynku dla wyczerpanego walką, wygłodzonego wojska polskiego. Skorzystali z tego Prusacy i przypuścili nowy atak, odparty jednak z wielkimi dla nich stratami.

Obok wojska regularnego mężnie stanął i lud warszawski, w największym ogniu nawet nie tracący fantazji.

W dniu 1 września zamierzali Prusacy przypuścić szturm generalny do szanów Warszawy, lecz Kościuszko uprzedził ich. W dniu 31 sierpnia, przed świtem jeszcze, wystąpiły z obozu niespodziewanie wojska polskie i, rzuciwszy się na Prusaków, wyparły ich z Wawrzyszewa.

Odebrało to wojskom pruskim chęć do dalszych prób szturmów, zwłaszcza iż brak żywności poważnie im zagrażał, podczas gdy Warszawa, mająca otwartą komunikację z Pragą, miała jej pod dostatkiem.

Zamiast też kolumn szturmujących, zjawił się przed forpocztami polskimi generał Mannstein, z żądaniem rozmowy. Przeprowadzono go do Zajączka, którego prosił o pozwolenie widzenia się z jeńcem, pułkownikiem Traufels. Zwrócił się Zajączek z zapytaniem w tej sprawie do Kościuszki, a zanim załatwiono wszelkie formalności, bawił gościa rozmową. Posłyszawszy huk wystrzału z ciężkiego działa, rzekł:

— Oto piękna muzyka, którą nas wielmożni panowie od kilku tygodni bawicie.

— Okoliczności przymuszają nas do tego—od-

rzekł mu generał Mannstein—ale chyba się nie znalazł jakiś sposób, żebyśmy się z sobą ułożyli.

Nie zrozumiał myśli zawartej w tym pytaniu Zajączek i w dość niegrzeczny sposób wyrażać się zaczął o stosunku Prus do Polski, tak że generał Mannstein, gdy nadeszła odpowiedź od Kościuszki, nie wyjawiawszy prawdziwego celu przybycia, odjechał.

Zbliżał się kres oblężenia. Zdawało się, że oblegający wyteżą wszystkie siły, ażeby dopiąć swego, tak że Kościuszko szykował się do dania należytego odporu.

Jeszcze dnia 4 września pisał kartkę do prezydenta Zakrzewskiego następującej treści:

„Zakrzewski kochany! Dziś przededniem zapewne będziemy atakowani, a zatem proszę i zaklinam na miłość Ojczyzny, aby połowa dziś szła do linii obywateli, a gdy będą atakować, aby wszyscy wyszli. Powiedz mnie szczerze: słyszałem, że obywatele nie chcą iść do księcia; jeżeli to prawda, oddalę go, gdyż Ojczyznę nad wszystko przekładam“.

Lecz oczekiwania zawiodły. Na kilkanaście godzin przedtym przybył goniec z Wielkopolski z wiadomością o rozszerzeniu się powstania na wszystkie powiaty i o rozpoczętej tam walce z Prusakami. Donoszono i o tym, że kasztelan Mniewski zabrał do niewoli załogi pruskie w Brześciu Kujawskim i Włocławku, oraz że zabrał cały transport amunicji, prowadzony Wisłą, wybiwszy eskortę.

Lotem błyskawicy radosna wieść obiegła Warszawę, a tłumy ludu podnieciła jeszcze odezwa Kościuszki, nawołująca wszystkich do gotowości bojowej: „Do mnie, bracia, do mnie! skoro wam dam znak do boju!“.

Tymczasem działa pruskie grzmiały bez prze-

rwy, nie wyrządzając jednak najmniejszej szkody obleżonym. Właściwie były one demonstracyjnym osłonięciem odwrotu, jaki chciał dokonać król pruski z najmniejszymi stratami. W zmrokach wieczoru dnia 5 września zaczęto ściągać z pozycji działa obleżnicze i wysyłać je końmi chłopskimi, a wślad za nimi ruszyła cała armja pruska przez Michałowice i Falenty do Raszyna. Za jej przykładem poszła armja rosyjska z Fersenem i cofnęła się na Piaseczno.

W cichej radości obchodzili ten tryumf Polacy, zaznaczając tylko w artykułach gazeciarskich, „jak trudno jest zawojować lud wolny“...

Rada Najwyższa Narodowa projektowała urządzenie jakiej wspaniałej uroczystości, w której główną osobą miał być Kościuszko, lecz otrzymała od niego odpowiedź, iż „zatrudnienia moje nie pozwalają mi ukontentowania być z wami, godni mężowie; śmiem ufać, że ten Bóg, który stolicę uwolnił, uwolni i Ojczyznę: wtenczas już jako obywatel, nie jak urzędnik, i Bogu dzięki składać, i powszechną ze wszystkimi radość dzielić będę“...

Z właściwą sobie skromnością wymówił się Kościuszko od uroczystego obchodu, jako jedyną nagrodę po tylu miesiącach trudów pozwalając sobie na zbytek wyspania się w łóżku rozebranym.

Gdyż przez cały czas obleżenia nie rozbierał się, rzucając się na krótki sen w ubraniu, gotów każdej chwili na wezwanie, czuwając bez przerwy nad biegiem wypadków. Pracował przytym niezmordowanie, troszcząc się o wszystko, zwłaszcza o wygodę żołnierzy. Z pod pióra jego wychodziło mnóstwo ordynansów, instrukcji i listów, wskazujących wyraźnie na to, że obejmował umysłem swoim wszystkie strony życia narodu, że był nietylko wodzem, ale

i głową, duszą rządu, prawdziwym monarchą, choć bez korony.

Przejęty ideą, sam dawał przykład prawdziwie spartańskiej prostoty pod każdym względem, chociaż mógł być otoczony wykwintem i zbytkiem. Nie chciał tego jednak, pochłonięty jedną wielką sprawą wolności Ojczyzny.

Podczas gdy Warszawa święciła uroczyscie i z powagą tryumf z powodu cofnięcia się wojsk obłąnnych, z innych dzielnic Polski, zwłaszcza z Litwy, nadchodziły wiadomości niezbyt pomyślne.

Dowodzili tam Sierakowski i Wielhorski, którzy nie umieli czy też nie chcieli wykonać przesyłanych im instrukcji Kościuszki, rządząc się własnymi, błędnymi rozumowaniami.

Jeszcze dnia 20 lipca przysyłał Kościuszko polecenie Sierakowskiemu, by przeszedł pod komendę Wielhorskiego, by następnie razem uderzyli na armję rosyjską pod wodzą Derfeldena i starali się ją znieść.

Lecz nie wykonali tego generałowie, gdyż Wielhorski zachorował, a Sierakowski, po stoczeniu potyczki pod Słonimem ze słabym oddziałem rosyjskim, stał bezczynnie w miejscu.

Próżno zaklinał go Kościuszko, by uderzył na Derfeldena, by zniósł go w połączeniu z generałem Chlewińskim. Z uporem trzymał się on planu swego, niezaakceptowanego przez Naczelnika, i bez bitwy cofnął się do Berezy, tłumacząc się potrzebą zasłaniania trzech ważnych punktów: Wilna, Brześcia i Grodna.

Rzeczywistość zadała kłam jego przypuszczeniom i w dniu 11 września Rosjanie zaatakowali Wilno, bronione przez generała Chlewińskiego, i po krótkiej walce zdobyli je. Zaciętą była ta walka, gdyż

armja polska rozpaczliwie broniła grodu, a klęska byłaby daleko większą, gdyby nie Kazimierz Nestor Sapieha, który, uprowadziwszy ciężkie działa, skutecznie bronił nimi odwrotu armji, zmuszając baterje nieprzyjacielskie do cofnięcia się.

Upadek Wilna był ciosem wielkim dla powstania, cięższym niż strata Krakowa, gdyż otwierał wrota armji rosyjskiej do Polski. Rozumiał to dobrze, choć nie zdradzał się z tym, Kościuszko, i w parę dni potym pisał do Mokronoskiego w liście pełnym zakłęb:

„Wilno już jest wzięte, jak słyszałem. Urządź teraz, aby można było wstrzymać iście do Warszawy Moskałów i razem pobić onych“.

Sierakowski po upadku Wilna miał za zadanie bronić Brześcia, osłaniać Warszawę i obserwować Austriaków w Lubelskim. Nie atakował on jednak nadciągających oddziałów rosyjskich, krążąc bezczynnie od Berezy do Prużanny, Kobrynia i t. d.

Po zachorowaniu Wielhorskiego, komendę nad wojskami litewskimi objął generał Mokronoski, patrijota dobry i gorący, lecz zarządzenia jego cechował brak energii. A nawet dał się zupełnie pobić pod Kobyłką Suworowowi.

Również niepomysłne wieści nadchodziły i z innych stron Litwy. Tak w Mińskim Stefan Grabowski, nie wykonawszy rozkazu Kościuszki połączenia się z Mokronoskim lub Chlewińskim, rozbity został zupełnie pod Lubaniem.

Na Żmudzi znów Wawrzecki, zdobywszy powtórnie Libawę, musiał z niej ustąpić po zajęciu Wilna przez Rosjan.

Po odstąpieniu od Warszawy Prusaków, największą troską Kościuszki było osłonięcie stolicy

od nadciągających ze wschodu i północy sił rosyjskich.

Po kilku dniach wypoczynku, w czasie których odwiedził Radę Najwyższą Narodową i był obecnym przy rozpatrywaniu kwestji pieniężnej, nader doniosłej ze względu na dalsze prowadzenie walki, zabrał się energicznie do dalszej pracy.

Z czasów też tych jest jego pozwolenie, wydane Berkowi Joselowiczowi i Józefowi Aronowiczowi, starozakonnym, którzy, pamiętni na ziemię, w której się urodzili, pamiętni, że z oswobodzenia jej wraz z drugimi wszystkie korzyści czerpać będą, przedłożyli mu żądanie i ochotę swą formowania pułku starozakonnego lekkiej jazdy. Pochwaliwszy tę ich gorliwość, dał im pozwolenie na werbowanie rzeczzonego korpusu, aby jak najrychlej pod żołąd Rzeczypospolitej przyszli i jak najlepiej z nieprzyjacielem walczyli.

Niestety, wspaniały ten czyn równouprawnienia wszystkich w walce o wolność Ojczyzny, dzięki następującym w szybkim tempie wypadkom, nie mógł być w czyn wprowadzony.

Ażeby powiększyć uszczuplone przez ciągłe walki wojska polskie, nakazał Kościuszko ogłoszenie pospolitego ruszenia, pomimo trudności wyżywienia i umundurowania żołnierza.

Rozumiał on dobrze, iż teraz właśnie nadszedł czas czynienia nadludzkich prawie wysiłków. Armja pruska, odstąpiwszy od Warszawy, oblegała ją, tylko w znacznie szerszym promieniu. Rosja znów, prowadząc narady z ambasadorami w sprawie nowego podziału Polski, słała nowe wojska pod wodzą Suworowa.

Czynił więc Kościuszko wszelkie wysilenia, aże-

by wystawić odpowiednią armję, zaopatrzyć ją w broń i amunicję, zabierając na potrzeby wojska nawet kiry kościelne, nawet dachy miedziane i dzwony.

Dokonano też rzeczy niebywalej, doprowadzając liczbę wojska na całym obszarze Rzeczypospolitej, wraz z luźnymi oddziałami pospolitego ruszenia, do 149,000 ludzi.

Lecz armja ta miała do zwalczenia armje przeciwników, przewyższające ją prawie że dwukrotnie, a mające jeszcze wzmóc się przez nowe siły rosyjskie, ciągnące pod wodzą Suworowa.

Kościuszko i w tym wypadku dowiódł, iż był genialnym wodzem.

Siły swoje podzielił jak następuje:

Dywizję księcia Józefa Poniatowskiego przeznaczył do pilnowania Prusaków nad Bzurą.

Do Wielkopolski, celem podtrzymania tamtejszego powstania, wysłał gen. Henryka Dąbrowskiego, oddając pod komendę jego Madalińskiego. Dąbrowski gwałtownymi marszami posuwał się szybko naprzód, bijąc rozproszone oddziały pruskie, a wzmocniwszy swe siły drużynami powstańczymi, w dniu 2 października zdobył Bydgoszcz, zagrażając przez to głównym siłom pruskim i Gdańskowi. Wyprawą tą złożył dowody wielkiego talentu wojskowego, mianowany też został przez Kościuszkę generał-lejtnantem, a naród cały składał mu wyrazy uwielbienia.

Wojska litewskie, po zajęciu Wilna przez Rosjan, cofały się na linję Grodno i Warszawa, naciskane przez nieprzyjaciela. Pod Grodnem połączył się z nimi Wawrzecki z pod Libawy, przyczem kompletowanie uszczuplonych sił nowymi szło z wielkim trudem, wobec ciągłych walk z wrogiem. Również i pod względem moralnym wojska te stały bardzo

źle, dzięki niezaradności dowódców, tak że Kościuszko, zjechawszy do Grodna, zagrozić musiał, iż, w razie dezercji lub szerzenia popłochu, winnych karać będzie surowo, aż do rozstrzelania.

Celem obserwowania dywizji Fersena, który posunął się aż do Kozienic, posłał tam Kościuszko Ponińskiego z nieznacznymi siłami.

Sierakowski znów razem z Mokronoskim ściągnął do Brześcia, gdzie szykował się do spotkania z Suworowem.

Na czele 5,000 ludzi wyruszył on w dniu 15 września przeciwko znacznie liczniejszej armji Suworowa. Do spotkania przyszło pod Krupczycami, nieopodal Kobrynia, w dniu 17 września. Próżno wojska polskie walczyły jak lwy z przemagającymi siłami wraźymi. Gdy Rosjanie otaczać ich zaczęli, Sierakowski nakazał odwrót, cofając się do Terespoła. Lecz tam następnego dnia dopadli go Rosjanie, i po zaciętej walce w dniu 19 t. m., po poniesieniu znacznych strat, garść wojsk polskich z Sierakowskim na czele, po utracie wszystkich armat, ratowała się ucieczką do Konstantynowa.

Pomimo takich klęsk nie stracił Kościuszko głowy. Przeciwnie, rozwinął jeszcze więcej ożywioną działalność, śląc do Brześcia posiłki i pisząc do Mokronoskiego:

„Dodaj ducha patryjotycznego, odwagi, męstwa i wprowadź subordynację; Sierakowski teraz wzmocniony i pójdzie naprzód“.

Troszczył się o wszystko, ufając w bezpieczeństwo Warszawy, byleby tylko w żywność dla ludności i wojska zaopatrzoną była.

Organizował też na gwałt nowe siły, z którymi podążyć miał do Sierakowskiego, by zadać stanowczy

cios wrogowi i nie dopuścić do połączenia się armji Fersena z Suworowem.

W tym celu wydał cały szereg zarządzeń, między innymi nakazując Sierakowskiemu posuwać się aż do Kocka. Sam również puszczał się w dość ryzykowną, z racji uwijających się po drodze kozaków, podróż do Grodna, celem zbadania stanu dywizji Mokronoskiego, lecz wnet potym przyszedł do przekonania, iż zbyt słabe są one, by mogły zaatakować Suworowa.

Sierakowski tymczasem, stojąc w Kocku, obserwował ruchy Austriaków, śląc brygadiera Kopcia do Lublina. Byłby on tam zabrał znaczną ilość rekruta, wielkie zapasy żywności, sukna i t. d., gdyby go z drogi nie cofnął rozkaz Sierakowskiego. Powodem tego był wypadek nadzwyczajnej wagi, mianowicie przeprowadzenie się Fersena z całym korpusem przez Wisłę.

Otrzymawszy wiadomość o tym, Kościuszko w jednej chwili zrozumiał, iż cały los wojny zawisł od zniesienia Fersena i niedopuszczenia do połączenia się jego z Suworowem. Wydał też odpowiednie rozkazy Mokronoskiemu, oświadczając przytym, iż sam stanie na czele zastępów polskich.

Wieczór spędził w gronie przyjaciół, rozmawiając z nimi o oczekującej go bitwie. Odradzali mu oni stoczenie jej, ze względu na słabość liczebną wojsk, lecz był on pełen najlepszych myśli, obliczając siły, jakie miał użyć przeciwko Fersenowi na 14,000 żołnierzy, co mogło być wystarczającym.

Lecz rachuby te zawiodły... zawiodły dzięki niedbalstwu generałów, nie wykonywających ściśle rozporządzeń Naczelnika.

Porozumiewał się on z nimi zrazu piśmiennie, następnie zaś dokonywał tego ustnie.

W dniu 6 października o godzinie 5 rano wyjechał Naczelnik konno, w towarzystwie jednego Niemcewicza, z Mokotowa, i pomknął galopem w stronę, gdzie los jego miał się rozstrzygnąć.

Pędzili galopem, bez chwili wytchnienia, zmieniając zmęczone rumaki na chłopskie konie, w siodłach bez strzemion, z uździenicami bez munsztuków, i po dwunastu godzinach tak wyczerpującej jazdy, stanął o godz. 5 po południu w głównej kwaterze Sierakowskiego, w Okrzei.

Natychmiast nakazał wymarsz, i wojska polskie, w wesołym nastroju ducha, ze śpiewami, ruszyły przez Żelechów do Korytnicy. Tam też otrzymał Kościuszko raport Dąbrowskiego o zdobyciu Bydgoszczy, co znacznie podniosło ducha wśród wojska.

Przybyły jeszcze posiłki, i Kościuszko śpieszyć się zaczął, licząc na to, że zastanie Fersena nieprzygotowanego.

W dniu 6 października wojska wyruszyły w pochód o godz. 9 rano, a o 4 po południu zbliżać się zaczęły do wsi Oronne. W oddali ujrzały one obóz nieprzyjacielski, ciągnący się nad Wisłą, a biegł od niego głuchy pogwar pomieszanych głosów ludzkich i rżenia koni.

Wnet puścili się Kościuszko z Niemcewiczem i kilku ułanami na rozpoznanie pozycji nieprzyjacielskich, przyczym doszło do utarczki z kozakami. W milczeniu, z powagą, w przeddzień stanowczego boju, zajmowały oddziały piechoty i jazdy wskazane im stanowiska, przystępowano również do sypania szańców dla baterji, lecz noc przeszkodziła ich wykonaniu.

Całą noc przestały wojska pod bronią, w uroczystym milczeniu szykując się do krwawej rozprawy.

Stały naprzeciwko siebie dwie wrogie armje, gotowe do stoczenia decydującej walki. Tu dopiero okazała się słabość liczebna sił Kościuszki. Wojska jego wynosiły zaledwie 7,000 żołnierzy przeciwko 16,000, jakimi rozporządzał Fersen.

Szczupłe swe siły rozstawił Kościuszko na płaskowzgórzu, panującym nad bagnistą równiną, na linji od wsi Oronne ku zamkowi Maciejowickiemu. Prawym skrzydłem dowodzić miał Kamieński, lewym Kniaziewicz, a środkiem Sierakowski.

W ten sposób siły polskie były liczebnie o połowę słabsze od rosyjskich, przytym zmęczone i wygłodzone. Nie miała im dać możności do tego noc przedbitewna, spędzona na czuwaniu, z bronią w rękę.

Kościuszko, urządziwszy sobie kwaterę w zamku, wysłał przed wieczorem ordynans do Ponińskiego, poczym położył się na krótki wypoczynek. Zerwał się zaraz po północy, obudził Niémcewicza, któremu polecił napisać drugi ordynans do Ponińskiego, z rozkazem jaknajszybszego przybycia do Tyrzyna.

Podobnież noc całą spędziła na czuwaniu i armja rosyjska. Fersen przekonany był, iż po spaleniu mostu przez Wisłę nie pozostaje mu nic innego, jak umrzeć lub zwyciężyć.

W ciągu całej nocy odbywały się poruszenia wojenne, połączone z drobnymi utarczkami, przyczym armja rosyjska starała się zająć pozycje najdogodniejsze, dążąc do oskrzydlenia Polaków.

O wschodzie słońca armja rosyjska stała już w szyku bojowym, a wystrzał działowy dał sygnał do rozpoczęcia bitwy.

Nie spano również i w zamku Maciejowickim... Kościuszko na długo przed świtem otrzymał od adjutanta Kuniewskiego wiadomość, iż nieprzyjaciół w szy-

ku bojowym postępuje naprzód, wydał też odpowiednie rozkazy, i armja polska wkrótce do przyjęcia bitwy gotowa była. W jednej chwili Kościuszko dosiadł konia, a rzuciwszy rozkaz, by podpalono wioskę Oronne, o którą opierało się lewe skrzydło, by jej Rosjanie nie zajęli, pomknął do szeregów.

Wzniosły się do nieba czarne kłęby dymu, ludność z lamentem i płaczem uciekać poczęła, a było akompanjowało jej rykiem.

Rosjanie uderzyli przedewszystkim na lewe skrzydło. Działał tam przeważający liczbą korpus Denisowa, lecz ze strony strzelców Dembińskiego, bataljonów Szuszkowskiego i brygady Pińskiej napotkał dzielny odpór. Odrzucono go dwukrotnie w ataku na bagnety, lecz wkrótce przybył mu z pomocą gen. Chruszczow z artylerją, prażąc z dział zastępy polskie, a jednocześnie śląc znaczne posiłki. W ten sposób znalazł się w ogniu i środek armji polskiej.

Zawrzała też walka i na prawym skrzydle. Działał tam Fersen, zajmując przedewszystkim wieś Maciejowice i oczyszczając las nad rzeczką ze strzelców. Szarżowała go jazda polska, lecz, przywitana kartaczami, pierzchnęła w popłochu.

Głuchym basem rozbrzmiewały wielkie działa rosyjskie, a pociski ich z głuchym warczeniem przedzierały się przez drzewa i krzewy, łamiąc gałęzie i odłamkami ich zasypując cały sztab polski.

Dały się wreszcie słyszeć i dużo mniejsze armaty polskie. Strzałami z nich kierował sam Kościuszko, a tak skutecznie, że wyraźnie widać było chwiejące się szyki wraże.

Próżną jednak była bohaterska walka garści wojsk polskich z przemocą wroga. Coraz świeże za-

stępy rzucał Fersen w wir walki, nie mogąc zmóc ich, nie mogąc pokonać.

Była nawet chwila taka, iż Sierakowski rzekł do Kościuszki:

— Zdaje się, że Moskaluszki zabierają się do odwrotu.

Lecz było to złudzenie. Tormasow wprowadził po deskach działa na bagnistą równinę, zasypując gradem kul prawe skrzydło polskie, lecz nie zrządził nim wielkich szkód, gdyż działa jego, z powodu blizkiej odległości, górowały. Jednocześnie Rachmanow szykował się do przeprawy przez rzekę Okrzejkę, a hrabia Tołstoj śpieszył z rezerwą by, zająć tyły.

Trzy godziny już trwała walka, trzy godziny stawiała bohaterski opór armja polska, stojąc pod gradem kul i granatów, padającym z gwizdaniem przeraźliwym w szeregi walecznych wiarusów i czyniącym w nich dotkliwe szczyrby. Wszyscy jednak stali wytrwale na stanowiskach swoich, choć już ziemia zasłana była trupami, choć jęk rannych zagłuszał nieraz huk dział. Padły od kul wszystkie konie od dział, amunicja wyczerpała się, a Kościuszko niezmordowanie przebiegał od szeregu do szeregu, krzepiąc ducha, dodając odwagi, błagając o wytrwanie zapewnieniami, iż wkrótce nadciągnie Poniński z posiłkami.

Lecz godzina mijała za godziną... a posiłków widać nie było.

A pułki rosyjskie jeden za drugim idą do ataku, na bagnety. Zbrakło jednemu z bataljonów polskich ładunków, i nie chcąc bez walki ginąć, ruszył on na bagnety. Lecz kule działowe wała nań bez przerwy, mieszają, zaścielając pobojowisko trupami, a w wy-

tworzoną przez to szczerbę jak piorun rzuca się kawalerja moskiewska.

Chciał ją powstrzymać Niemcewicz z szwadronem kawalerji litewskiej, lecz kula z pistoletu przeszła mu prawą rękę, a kawalerzyści jego pierzchnęli w popłochu.

Za ich przykładem poszedł i pułkownik Wojciechowski, wołając, iż musi ocalić swoich ułanów Mirowskich dla króla. O 700 żołnierzy zmniejszył się bohaterski zastęp Polaków.

Nic to jednak. Tchórzliwy przykład nie porywa innych. Walka wre zacięta, a oczy wszystkich z upragnieniem patrzą w dal, czy nie ukażą się wreszcie tak oczekiwane posiłki Ponińskiego.

Nie widać ich jednak, więc bój wre dalej. Brygadjer Kopeć na lewym skrzydle usiłuje torować drogę Kościuszce, lecz ranny trzykrotnie wpada w ręce wroga. Artylerja, pozostawiona bez osłony, strzela do ostatniego naboju, a gdy konie padły, żołnierze własnymi rękoma przeciągali działa wśród napierającego ze wszystkich stron wroga.

Legli też co do nogi i dzielni Działyńczycy, a różowe i żółte rabaty i naramienniki rozkwitały na łące, jak smutne kwiecie jesieni. Nie ustąpili jednak wrogowi ani kroku.

Zamęt, przechodzący w rzeź straszliwą, rósł, potężniał. Bronił się jeszcze zamek, lecz wkrótce wróg go opanował, mordując wszystkich bez litości.

Kościuszko trwał na posterunku do ostatka. Przebiegał konno od stanowiska do stanowiska, zbierał niedobitków, usiłując uformować z nich czworobok, lecz napróżno. Skupiali się na głos jego żołnierzykowie polscy, formowali nowy front, gdy naraz rozległ się przeraźliwy krzyk trwogi. Obejrzeli się na

poza siebie i ujrzeli nacierającą na siebie liczną konnicę wroga.

Zrozumieli, że wszystko było stracone, że los bitwy rozstrzygnięty został. Przejęci panicznym lękiem o życie, poczęli rzucać broń, wołając o łaskę... uciekali w popłochu, szukając schronienia przed morderczym orężem. Napróżno jednak.

Rozwścieczona piechota moskiewska w dzikim szale rzuciła się na nich, mordując bez litości z okrzykami:

— To za Warszawę!... pamiętaj Warszawę!...

Za uciekającymi puściła się w pogoń kawalerja, siejąc wśród nich śmierć, nie zważając na prośby o życie.

Szukali też zapamiętale i wodza zwyciężonej armji. Wszakże caryca Katarzyna obiecała sowitą nagrodę temu, kto żywym lub martwym weźmie Kościuszkę.

Przebiegał też pobojowisko w poszukiwaniu jego kornet Łysienko, dopytując się rannych: dokąd uciekł Kościuszko?

— Musi być gdzieś niedaleko—posłyszał odpowiedź—Kościuszko opuszcza plac boju zawsze ostatni; zapewne ukrywa się w najbliższym borku.

Zabiło serce w Łysience, błysnęła mu przed oczyma przyobiecana nagroda, i namówiwszy sobie do pomocy 7 kozaków, puścił się z nimi na poszukiwania.

Podjechali do gaju, leżącego nieopodal pola bitwy, i spostrzegli tam, iż skrajem przejeżdża kilka osób w bogatych mundurach.

Zaproponował więc Łysienko kozakom, by uderzyć na nich, lecz dwaj stchórzyli, z pozostałymi więc pięcioma puścił się za uchodzącymi w pogoń. Pościg

trwał dość długo, aż wreszcie uciekający zatrzymali się, stanęli w szyku bojowym i, przypuściwszy kozaków na odległość strzału pistoletowego, dali do nich ognia.

Kule chybiły jednak, a kozacy, spiąwszy konie ostrogami, uderzyli na nich z rozpędu. Na drodze Łysienki stanął poważny oficer w prostym ubraniu, który, dobywszy szabli, zasłonił się nią przed cio-sami.

Lecz czy znużenie wyczerpało siły jego, czy też determinacja jakaś kazała mu szukać śmierci z ręki wroga, dość, że zasłona ta niedostateczną była, i Łysienko ciał go dwa razy po ciemieniu i po grzbiecie szablą, tak że runął z konia. Porzuciwszy go, pogonił za oficerem w bogaty mundur przyodzianym, licząc na korzystną zdobycz, i zapędził go w błoto.

Oficer, widząc, że nie ma ratunku, że nie ujdzie śmierci, zwrócił się z prośbą o pardon.

— Tyś Kościuszko?—spytał go Łysienko.

— Nie! — odpowiedział — jam adjutant jego, a Kościuszkę tyś oto tam powalił.

Pobiegł więc wnet tam Łysienko i, przy pomocy kozaków związawszy z pik nosze, poniósł na nich nieprzytomnego Naczelnika do zamku, który zajmował tryumfujący wróg.

Tak się przedstawia fakt ujęcia Kościuszki według opowieści Łysienki, któremu jednak historycy zarzucają kłamliwość, jak również i wyrzeczonym rzekomo przez Naczelnika słowom „Finis Poloniae“.

Stwierdzone jest tylko, że Kościuszko ujęty został w pościgu, w bagnie pod wsią Krępa, o pół mili od Podzamcza, o paręset kroków od drogi, w dolinie porosłej zrzadka drzewami, koło płotu z żerdzi,

o kilką kroków od wzniesionego tam krzyża pamiątkowego.

Faktem jest również, iż zacięcie walczył o wolność swoją, gdyż całą pierś miał okrytą ranami, nogę poszarpaną bagnietem, a głowę poranioną trzema krzyżującymi się z sobą cięciami.



Kościuszko ranny w niewoli pod Maciejowicami.

Bitwa skończoną została o godz. 1 po południu. W zamku Maciejowickim, zajętem przez wroga, znaleźli się znów, niestety, jako jeńcy: Sierakowski, Kniaziewicz, Kamiński, brygadjer Kopeć, adjutant Naczelnika Fiszer i sekretarz jego, Niemcewicz.

Lęk ich przejmował, co się stało z Naczelnikiem, czy ująć zdołał z ogólnego pogromu, lecz po niedługim czasie wątpliwości te zostały rozproszone. O godz. 5 po południu czterech kozaków przyniosło na pikach zbroczonego krwią z ran, nieprzytomnego, śmiertelną bladością okrytego Kościuszkę.

Tryumf wroga był zupełny.

A jednak wynik bitwy z łatwością mógł być inny, gdyby Poniński był się słuchał rozkazu Kościuszki: uderzyć na Fersena z tyłu na Turzyn. Wtedy, wzięta we dwa ognie, armja wroga uległaby rozbićciu i zwycięstwo byłoby po stronie polskiej.

Lecz Poniński przez dziwną niedbałość czy też nieudolność dążył do wskazanego punktu okólnymi, a więc dalszymi drogami, tak że na wskazanym stanowisku stanął dopiero po rozstrzygnięciu się bitwy.

Rozpacz i zamieszanie zapanowały w Warszawie po otrzymaniu wieści o klęsce maciejowickiej, oraz o niewoli ciężko rannego Naczelnika.

Prezydujący Tadeusz Dembowski natychmiast w dniu 12 października zwołał sesję ekstraordynaryjną Rady Najwyższej Narodowej, „z powodu smutnego nader zdarzenia, że obywatel Tadeusz Kościuszko, naczelnik Siły zbrojnej Narodowej, w krwawej akcji z dnia 10 życie swoje za całość narodu ważąc, ranami okryty, dostał się w niewolę—pierwsze momenta łzom nad losem żałosnym obrońcy wolność i Ojczyzny poświęcił“.

Dokonano też potym wyboru następcy jego, a był nim zdobywca Libawy, a dawniej poseł sejmowy i twórca komisji porządkowych, Tomasz Wawrzecki.

Nie był to wybór zbyt szczęśliwy, gdyż choć Wawrzecki gorącym był patryjotą i mężnym wojow-

nikiem, lecz lotnością umysłu i zdolnościami wojennymi nie dorównywał Kościuszce.

Rozumiejąc dobrze cały ciężar, włożony na barki jego, czując braki swoje, wymawiał się, jak mógł, od narzuconego mu urzędu, lecz błagania i zaklinania radców, oraz wołania zgromadzonego przed pałacem tłumu, opór jego przemogły, i w dniu 16 października wybór przyjął.

Do jeńca wysłano z decyzji Rady list pod datą 15 października, z podpisem Ignacego Potockiego, jako prezydującego, z adresem: „Do Obywatela Tadeusza Kościuszki, Najwyższego Naczelnika“.

Oprócz wyrazów poważania i uwielbienia, donosiła w nim Rada, że „zdanie Rady, aby w zamianę osoby Twojej uwolnić wszystkich jeńców nieprzyjaciela, aby wolność swoją każdy z nas za Twoją poświęcił, jest głosem ludu całego“.

Postanowiła też Rada w sali obrad zawiesić portret jego, by zawsze mieć go na oczach.

Największy jednak dowód czci i uwielbienia Kościuszki złożył lud prosty, gdy, na wieść o wzięciu go do niewoli, tłumem biegł aż pod Jeziornę, ażeby go odbić wrogowi.

Inni wierzyć wcale nie chcieli temu, uważając to za kłamliwe pogłoski, inni znów pomsty za niewolę jego szukać chcieli na jeńcach rosyjskich.

Aż Rada musiała wydawać odezwę, uspokajającą ich i głoszącą, że „kiedy o zemście na nieprzyjacielu mówi, nie rozumie przez nią zachęcać do zemsty na ludziach kraju moskiewskiego bezbronnych, w pojmaniu lub zabezpieczeniu narodowym zostających: los ich szanować należy. Idzie o zemstę godną cnoty Polaka z walczącym w boju nieprzyjacielem, a to

przez środki z naszej strony odwagi, waleczności, rycerstwa i powolności rządowi“.

Wymagała też tego poszanowania pamięć Kościuszki, który całą powagą swoją ochraniał jeńców, a na żądanie generała Chruszczowa odesłał mu żonę i dzieci.

Wypełniano też gorliwie przykazanie Kościuszki co do dalszej obrony. Praca w warsztatach, przygotowywujących broń, szła bez przerwy, dzień i noc; formowano nowe regimenty, uzbrajano w piki milicję miejską, a tysiące mieszczan pracowało gorliwie nad sypaniem szaniców wokoło Pragi.

Walka wrzała na całym terenie Polski, walka bez nadziei zwycięstwa, a wojska ożywione były pragnieniem umrzeć z honorem.

Pierścień nieprzyjacielski, otaczający Warszawę, zacieśniał się coraz bardziej. Austriacy podsuwali się pod Radom, odcinając dowóz żywności do Warszawy. Suworow, połączywszy się z Derfeldenem i Fersenem, posuwał się naprzód pod stolicę. Kolumna, działająca nad Narwią, została rozbita przez Prusaków; Dąbrowskiego musiano odwołać z wyprawy bydgoskiej, a dywizja litewska Meyena została rozbita przez Rosjan pod Kobyłką.

Rosjanie tymczasem próbowali układów. W dniu 14 października doręczył kurjer rosyjski list Fersena do Stanisława Augusta. Odzywał się w nim generał w tonie nader wyniosłym i żądał uwolnienia i odesłania wszystkich jeńców rosyjskich płci obojga, zresztą wyrażał nadzieję „zbawiennego i trwałego pokoju“. Król, po porozumieniu się z Radą Najwyższą, odpowiedział odmownie, godząc się jednak na wymianę jeńców. Na tym skończyły się układy. Nie potrzebowali ich zresztą Moskale, gdyż Suworow,

połączywszy wszystkie siły, w dniu 26 października stanął pod Warszawą.

W głównej kwaterze polskiej z początku zamierzano stawiać czoło wrogowi w otwartym polu, lecz w końcu zdecydowano się bronić w okopach praskich. Obwarowano też Pragę szanćcami i baterjami, zaopatrzone w dziesięcioletnią załogę i artylerję ze stu dział złożoną i czekano na rozzuchwalonych zwycięstwem maciejowickim wrogów. Naczelne dowództwo nad obroną Pragi objął generał Zajączek.

W dniu 2 listopada Moskale pokazali się pod Pragę, tej samej nocy, kiedy się podsunęli, usypali baterję, a wkrótce zaciągnawszy na nią baterję z 15 armat, przez cały dzień 3 listopada silny ogień na Warszawę sypali.

Następnej nocy doniósł Zajączek Wawrzeckiemu, że oddziały mieszczan nie stanęły na wyznaczonych sobie pozycjach, i że zbiegowie moskiewscy zapewnili, że atak tej samej nocy miał być rozpoczęty.

Wawrzecki natychmiast przybiegł na Pragę. Zajączek i Jasiński obejrzel postępnki, a tylko co się z sobą o godzinie 6 zrana rozjechali, gdy wystrzały z ręcznej broni na lewym skrzydle, dowodzonem przez Jasińskiego, dały się słyszeć.

Zajączek pobiegł tam natychmiast i ujrzał rozpoczęty ogień na całym łańcuchu wzgórków piaszczystych, leżących przed okopem, obsadzonym przez strzelców.

Zbliżając się coraz bardziej do okopu lewego skrzydła, spotkał kilka plutonów żołnierzy polskich, które już z placu pierzchały, zawrócił je i naprzód z nimi pobiegł, gdy znowu ujrzał inne.

Przekonany, iż to byli pierzchający żołnierze polscy, poskoczył ku nim, celem zawrócenia ich do

okopu, lecz w tej chwili wymierzony ku niemu wystrzał dał mu poznać, że to byli Moskale, którzy, przedarłszy się przez okop, w tej stronie się szykowali.

Za drugim wystrzałem Zajączek otrzymał ciężką ranę, miał jednak tyle siły, że przedarł się przez szeregi nieprzyjacielskie, lecz udawszy się w prawą stronę, wpadł na drugi bataljon Moskali, który go również wystrzałem przywitał. Wtenczas posunął się jeszcze dalej w prawą stronę i napotkał swoich, uciekających w nieładzie.

Wszelkich sposobów użył i on i oficerowie, ażeby powstrzymać pierzchających, lecz nic wskórać nie mogli. Wreszcie, gdy się już rozwidniło, spostrzegł Zajączek, że wszelkie usiłowania na nic się nie zdadzą.

Żołnierze polscy strwożeni i z głodu prawie umierający, a do tego znękani intrygami, które męstwo ich osłabiały, opuszczali stanowiska swoje i ze wsząd uciekali. Próżno Wawrzecki dokładał wszelkich starań, ażeby ten bezład powstrzymać.

Suworow, nieprzyzwyczajony do oszczędzania ludzi, pędził pułki swoje w ogień z bezwzględnością azjatyckiego despoty; po trupach towarzyszy darli się następni na wały, padały setki, tysiące, ale przewaga liczebna zwyciężyła wkońcu, chociażby siłą ciężkości.

Po kilkugodzinnej walce zdobyli Moskale szanice na lewym skrzydle polskim i teraz rozpoczął się bój straszny i krwawy, z niesłychaną zaciętością z obu stron.

Legli w tym krwawym boju generałowie Jasiński i Grabowski i zacny poseł sejmowy, Tadeusz Korsak.

Potężna liczbą armja moskiewska posuwała się

naprzód, aż wreszcie doszła do mostu, przerzuconego przez Wisłę.

Wtedy dziki i okrutny wódz Suworow rzucił godnym siebie żołnierzom rozkaz:

— Dity, pohulajcie sobi!...

W jednej chwili rzuciło się żołdactwo na bezbronną ludność i mordować ją zaczęło. Nie darowano nikomu: kobiety i starcy padali pod nożami dzikich zwycięzców, dzieci obnoszono na pikach, wielka liczba spłonęła w podpalonych domach, a nie mniejsza utonęła w Wiśle podczas przeprawy przez nią. Jęk mordowanych ofiar rozlegał się na milę wokoło.

Pijani gorzałką i okrucieństwem żołnierze rosyjscy wymordowali dnia tego 15,000 niewinnych ofiar.

Okrucieństwa bezmyślnego i podobnie dzikiego nie notowały do czasu tego dzieje.

Spalenie mostu uratowało Warszawę. Przeprawy przez Wisłę broniły dwie baterje, więc tego dnia Rosjanie przedrzeć się do miasta nie mogli.

Nazajutrz Ignacy Potocki przeprowił się przez rzekę, celem traktowania ze zwycięskim Suworowem o poddaniu miasta, lecz otrzymał wyniosłą odpowiedź, że z buntownikami traktować nie może.

— Ukarz mnie, a szanuj naród — odrzekł mu szlachetny Potocki.

Po powrocie Potockiego wysłała Rada Narodowa trzech członków magistratu za Wisłę, król zaś poparł żądanie kapitulacji pismem odręcznym.

W dniu 5 listopada podał Suworow warunki kapitulacji, żądając złożenia broni i odbudowania mostu, zaręczając własność i bezpieczeństwo mieszkańców. Warunki te uzupełnił Suworow następnego dnia pozwoleniem, że niechęący złożyć broni mogą miasto opuścić.

Skorzystały z tego skwapliwie niedobitki wojska polskiego w liczbie 19,000, opuszczając z Wawrzeckim oraz Kołłątajem i Dąbrowskim na czele stolicę w dniu 8 listopada, podczas gdy wkraczał do niej zwycięski Suworow.

W mieście pozostali: Ignacy Potocki, Zakrzewski, Mostowski i Mokronoski, zdając się na łaskę zwycięzcy.

Na czele niedobitków pociągnął Wawrzecki w województwo krakowskie, przekonał się jednak wkrótce, że z wojskiem podupadłym na duchu nic się nie da dokonać. Rzucił Dąbrowski plan, by z bronią w rękę przedrzeć się do Francji, lecz jako niewykonalny upadł on. Bezradne, znękanie klęskami, złożyło wreszcie wojsko polskie broń pod Radoszycami w dniu 17 listopada. Ks. Józefa Poniatowskiego rozbroili Prusacy wcześniej, dnia 10 listopada.

Wodzów odstawiono do Warszawy. Generał Madaliński rozpuścił swoich żołnierzy, a sam dostał się do niewoli pruskiej.

Wślad za jeńcami z pod Maciejowic wywieziono w głąb Rosji Ignacego Potockiego, Mostowskiego, Wawrzeckiego, Zakrzewskiego, Kapostasa i Kilińskiego.

Kołłątaj i Zajączek, udawszy się pod opiekę Austrii, dostali się do więzienia w fortecy Szpilberg.

Tak skończył się rozpaczliwy poryw narodu polskiego w sprawie odzyskania wolności, poryw, który położył kres jego niezależności politycznej i na długie, długie czasy oddał go w okrutną niewolę.

Próżno Stanisław August słał błagalne listy do protektorki i przyjaciółki swojej, carycy Katarzyny.

Odpowiedzią był rozkaz, by pod strażą rosyjską udał się do Grodna, gdzie aż do śmierci Katarzyny

jako więzień pozostawał. Dopiero następca jej, car Paweł, powołał go do Petersburga, by nowy policzek dodać do poprzednich ciosów. Zdetronizowany, nieszczęsny, schorzały król osobą swoją musiał uświetniać koronację jego. Zmarł też w Petersburgu w dniu 12 lutego 1798 r.

Jednocześnie rozpoczęły się targi między zwycięzcami o podział Polski. Nie mogły się co do tego pogodzić Rosja z Prusami, aż wreszcie wmieszanie się Austrii doprowadziło do zgody. Podzielono się zniszczonymi resztkami Polski, której byt polityczny został zakończony.

XIV.

W niewoli.

Tymczasem Kościuszko, pozostający w niewoli moskiewskiej, odzyskał przytomność dopiero dnia następnego, 11 października. Otworzył oczy, jakby z ciężkiego budząc się letargu, a ujrawszy leżącego przy sobie na słomie Niemcewicz, zapytał:

— Co to znaczy? Gdzie jesteście?

— Niestety! jesteśmy ranni, jeńcami Moskali; jestem przy tobie i nie opuszczę cię — odpowiedział mu Niemcewicz.

— Jaka pociecha w nieszczęściu mieć tak wernego przyjaciela! — rzekł jeszcze Kościuszko i łzy popłynęły mu z oczu.

Rozmowę ich przerwali specjalnie wyznaczeni do pilnowania jeńców oficerowie.

Odwiedził jeńców około godziny 10 rano generał Fersen i rozmawiał z nimi uprzejmie po niemiecku, przyczym Niemcewicz służył za tłumacza, gdyż

Kościuszko nie władał ani niemieckim, ani rosyjskim językiem.

— Ubolewam nad stanem waszym — rzekł zwycięski generał — ale taki jest los nasz, ludzi wojennych.

W południe trzykrotna salwa z dział i karabinów wstrząsnęła murami zamku. To radowali się zwycięzcy, odprawiając dziękczynny „molebien“.

Rozbrzmiały potym sale zamku Maciejowickiego brzękiem szkła i toastami, przy uczcie wspaniałej na sto osób. Zaprosił na nią Fersen nieranionych generałów polskich, Sierakowskiego, Kniaziewicza i Kamińskiego, i wznosił po rycersku toasty za ich zdrowie. Nie zabezpieczyło to ich jednak od późniejszych udręczeń i znęcania się wroga.

Pozwolono im wysłać do Warszawy gońców po niezbędne rzeczy i z listami.

Odpoczywano dzień jeden, poczym w dalszy wyruszono pochód, prowadząc z sobą tryumfalnie jeńców.

Kościuszkę, pomimo ciężkich ran jego, umieszczono w małym powozie wraz z chirurgiem, który miał pilnować, by opatrunki z ran jego nie spadły i by z upływu krwi nie skonał. Niemcewicza i Fiszera ulokowano na większej teledze, pod silnym dozorem.

Bólem przejmował ich serca widok ciągnących drogą sznurów wozów, wyładowanych nagrabionym po różnych dworach dobytkiem... krajały się one z bólu na widok wiezionych w tryumfie sztandarów polskich, z orłami białymi, pysznie srebrem haftowanymi.

Lecz najstraszniejszym był obraz pędzonych do niewoli pieszo 2,000 jeńców polskich, mijających ich z narzekaniami i złorzeczeniami:

— A gdzież te grunta i domy, gdzież to szcze-

śliwe życie, któreście nam obiecywali? Znajdziemy je na Sybirze!

Wspaniałomyślnie odplacił Kościuszko za te zniewagi małodusznym żołnierzom. Gdy w Korytnicy otrzymał od Rady Najwyższej Narodowej dar 4,000 dukatów, wnet połowę oddał żołnierzom i oficerom swoim.

Cierniową iście była ta droga, którą przebywał, i coraz stawać musiał w obronie honoru wojska.

W Okrzei zawiadomiono go, iż 9 oficerów jeńców, cieszących się względną wolnością na słowo honoru, uciekło w nocy z obozu rosyjskiego.

Oburzony tym, napisał zaraz do Rady Najwyższej Narodowej, piętnując zbiegów mianem „podłych, niepamiętnych na świętość danego słowa, na honor oficerski, na skutki nieprzyjemne dla pozostałych (stu kilkudziesięciu) współkolegów“. Prosił też, „iżby ci niegodni natychmiast przytrzymani“, w łańcuszki okuci i do obozu generała Fersena pod eskortą jak najprędzej odesłani byli; gdyby zaś w Warszawie nie znajdowali się, aby ich wszędzie szukać i przystawić, w wojsku ich kasować, imiona zaś do gazet podać.

Pociechą wielką w tym nieszczęściu dla Kościuszki był adres pełen słów uwielbienia Rady Najwyższej Narodowej i list jej do Fersena, ofiarujący wolność wszystkim jeńcom rosyjskim, w liczbie z górą 2,000, za jedną tylko osobę Kościuszki. Pokrzepiały go też ze wszystkich stron płynące wiadomości o niezliczonych objawach żalości i uwielbienia całego narodu.

Dzięki też zabiegom Rady mógł dalszą podróż odbywać wygodniej, gdyż we własnym kocz, ze służącym murzynem i kucharzem Jean'em i z dostatecznym bagażem.

Rozstał się też z Fersenem, który, otrzymawszy rozkaz połączenia się z Suworowem, dalsze eskortowanie jeńców zlecił gen. Chruszczowowi, dając mu dla ich ochrony 2,000 wojska i wytykając dalszą marszrutę przez Wołyń do Kijowa.

Posuwano się powoli naprzód, wypoczywając często po drodze, gdyż Kościuszko, choć jechał w powozie, otoczony jazdą, nie mógł wyprzedzać piechoty.

Dogonił go też w Radzynie sztabschirurg wojsk polskich, Megnau, wysłany przez Radę Najwyższą. Lecz pozwolono mu tylko na opatrzenie ran, wręczenie szarpi, bandaży i książek, poczym nakazano wracać do Warszawy. Rany jego powoli goiły się, lecz noga lewa stała się bezwładną, tak że go trzeba było na rękach wnosić i wynosić z powozu. Mimo to jednak, w obawie ucieczki, strzegło go nieustannie czterech oficerów i kilku żołnierzy.

W dniu 11 listopada pochód cały stanął dopiero we Włodawie, skąd napisał Kościuszko dwa listy do wojewodziny Zybergowej, z wyrażeniem wdzięczności, jeden od siebie, drugi od Niemcewicza, który z powodu rany nie mógł ręką władać.

Znać w nich spokój i panowanie nad sobą, choć gorętszy znacznie i młodszy Niemcewicz nie mógł ukryć oburzenia z powodu bezmyślnego i dzikiego postępowania przewodników, Titowa i generała Chruszczowa.

Bo czyż można było wynaleźć bardziej okrutny sposób zaradzenia krążącej wśród ludu pogłosce o tym, że prawdziwy Kościuszko uszedł nietknięty z pola maciejowickiego? We wszystkich znaczniejszych miastach i miasteczkach wprowadzano do pokoju nieszczęsnego jeńca znaczniejszych mieszkańców i pozwalano im oglądać go i zadawać mu pytania.

Zupełnie słusznie pisał Niemcewicz z oburzeniem: „Dotychczas wiedziano, że ludzie wystawiali dzikie zwierzęta na widowisko; tu dzikie zwierzę pokazywało człowieka“.

A przecież Chruszczow miał dla Kościuszki dług wdzięczności, za odesłanie mu z niewoli żony i dzieci.

Los wogóle nie szczędził ciosów nieszczęśliwemu Naczelnikowi. W Zasławiu dopiero, w dn. 17 listopada, otrzymał wiadomość o szturmie Pragi, połączonym z okrutną rzezią. Bolesć, tym spowodowaną, łagodziły mu w ciągu trzydniowego postoju objawy żywego współczucia, okazywanego jeńcom przez mieszkające w okolicy panie: księżną Sanguszkową, Czacką i inne.

Dogoniły go też i tu echa niewygasłej miłości Ludwika z Sosnowskich Lubomirskiej, która przysłała do niego syna z pakietem garderoby i książek.

W Zasławiu również odbyło się bolesne rozstanie z gen. Kniaziewiczem, Sierakowskim, Kamieńskim i brygadjerem Kopciem, którzy mieli dalej maszerować z całą gromadą jeńców pod komendą Chruszczowa, podczas gdy Kościuszko z Niemcewiczem i Fiszerem miał być wieziony oddzielnie pod dozorem Titowa i silnej eskorty żołnierzy.

Nie wiedziano dokładnie celu podróży, gdyż olbrzymim kołem objeżdżano ziemię polską, objętą ogniem powstania. Oddalano się też coraz bardziej od Petersburga, do którego jednak nakazywał wieść jeńców tajemny rozkaz Katarzyny.

Pod Kijowem przeprowadzono się przez Dniepr, przyczem jeńców umieszczono w małym, ubogim domku popa, gdzie odwiedzili ich dwaj generałowie z lekarzem Francuzem. Z rozkazu prokuratora generalnego, Samojłowa, wzmocniono nadzór nad jeńcami.

Mimo to jednak, wszędzie, na całym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej spotykały jeńców oznaki czci i uwielbienia. Tak w Czernihowie przyszli do nich dwaj starzy oficerowie kozaccy, niosąc w darze tacę z pięknymi jabłkami i, zapewniając, że w żyłach ich płynie krew polska, w tej mowie wyrazili swe współczucie.

W Mohylowie znów zebrała się przed domem pocztowym duża kupa ludzi, a jakiś starzec w kontuszu podbiegł z płaczem ku powozowi, lecz odpędził go nahajem Titow.

W Witebsku grupa włościan, świeżo wziętych w rekruty, z szacunkiem odkryła przed nim głowy, ogolone od czoła do wierzchu czaszki.

Coraz szybciej odbywała się teraz podróż, gdyż major Titow, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, budził jeńców o godzinie 4 rano, i pędził z nimi aż do późnej nocy, zatrzymując się tylko na krótkie wypoczynki.

Mimo to jednak droga, ciągnąca się przez Wielkie Łuki, Psków i ponure lasy północy, trwała aż do dnia 10 grudnia. W dniu tym, późną nocą, stanęli w Petersburgu i, pomimo gęstej kry i nieprzenikniętych mroków, łodzią zostali przewiezieni przez Nową do twierdzy Petropawłowskiej, będącej wielkim więzieniem rosyjskim, a zarazem i grobowcem ich carów.

Niemcewicza i Fiszerę wprowadzono pod ręce do wielkiej sali, a Kościuszkę wniesiono do ubocznego gabinetu.

Rozstał się on tu z towarzyszami niedoli, rozstał na długo, gdyż aż do śmierci carycy Katarzyny II.

I tu jednak nie dano zaznać wypoczynku niešťczęsnemu bohaterowi naszemu. Ze względu na sła-

bość zdrowia jego, pozwoliła mu caryca zamieszkać u komendanta, lecz prawie że natychmiast odwiedził go prokurator generalny Samojłow, zasypując pytaniami, według instrukcji, danej przez samą Katarzynę.

Musiał na nie odpowiadać własnoręcznie, w wielkim kajecie, przyczym zasadnicze pytania brzmiały:

„Na czym zasadzał się plan powstania polskiego? Jaki był jego cel? W jakich stosunkach pozostawali powstańcy z państwami zagranicznymi, a szczególnie z Francją, Turcją, Szwecją i innymi mocarstwami obcymi, jakoteż z Austrią i Prusami? Na które z mocarstw najwięcej rachowano? Jakich środków użyto do pociągnięcia Polaków? Kto był głównym sprawcą powstania przeciw Rosji w Warszawie? Co przedsięwzięto, aby wywołać powstanie w prowincjach, do Rosji należących?“

Samemu Kościuszce zadano 20 pytań szczegółowych, odnoszących się do jego działalności podczas insurekcji, oraz do różnych osób, udział w nim biorących.

Z wielką godnością i spokojem, nie poruszając żadnych spraw, które innym szkodę przynieśćby mogły, odpowiedział Kościuszko na te pytania.

Nie poprzestali okrutni inkwizytorzy na jedno-razowym badaniu. Nie zważali zupełnie na zmęczenie i wyczerpanie Kościuszki skutkiem ran.

Jeszcze przed końcem r. 1794-go dokonano pierwszej indagacji, następną zaś w parę tygodni później.

Uciekali się przytym urzędnicy rosyjscy do różnych wstrętnych sposobów, jak straszenie, podchodzenie, wymuszanie zeznań. Nie oszczędzano też Kościuszce różnych upokorzeń i udręczeń, byle tylko wydobyć z niego korzystne dla siebie zeznania.

Pomimo jednak ran niezagojonych, pomimo ogólnego wyczerpania organizmu, nie uległ tym pogrożkom Kościuszko i na wszystkie pytania odpowiadał z powagą i godnością.

Ta siła moralna jego odniosła skutek. Podziała też na Rosjan, mimowoli chylących czoła z czcunkiem przed siłą ducha tego wodza narodu polskiego.

Jedna tylko Katarzyna czuła do niego dziką, żywiołową wprost nienawiść. Jej zła, przewrotna, do gruntu zepsuta natura nie mogła znieść prawości jego, szacunek i cześć ogólna, jaką go otaczano, drażniły ją, i wszelkimi sposobami starała się upokorzyć go. Nazywała go też „głupcem“ i irytowała się srodze, że nic go z równowagi wyprowadzić nie może.

Lecz i na nią wreszcie podziałały łagodność i słodycz jego. W parę miesięcy potym pisała już, że jest łagodny jak baranek, a że był chory, kazała go umieścić w domu Stegelmana, gdzie był ogródek, w którym mógł używać przechadzki.

Był nawet czas pewien, gdy przy podziale łupu, który stanowiła Polska, doszło do nieporozumienia z Prusami, że myślała zupełnie serjo puścić z więzienia Kościuszkę, by rzucił się na króla pruskiego.

Następnie umieszczono go w pałacu Orłowa, w samym mieście i otoczono wszelkimi możebnymi wygodami... pozwolono na powrót służących, wożono po ogrodzie na fotelu, dano mu do rozporządzenia powóz, którym mógł wyjeżdżać na spacer w towarzystwie urzędnika. Pozwolono mu też zajmować się tokarstwem, a kuchnię jego zaopatrywano tak obficie, że mógł żywić ze swego stołu uwięzionych w twierdzy towarzyszy.

Przeżyte jednak cierpienia ślad swój na stanie moralnym jego zostawiły. Mówił głosem przytłumionym, a w myślach jego czuć było wielki nieład. Unikał też wszelkich tajemnych sposobów porozumiewania z towarzyszami, choć Niemcewicz tą drogą próbował nawiązać z nim stosunki.

Upłynęły tak dwa lata. W dniu 17 listopada 1796-go r. bicie w dzwony cerkiewne i głuchy gwar zebranych tłumów dały do zrozumienia nieszczęsnym więźniom, iż zaszedł jakiś wypadek, który może wprowadzić w ich życiu wielką odmianę.

Dowiedzieli się też wkrótce, iż umarła caryca Katarzyna. Umarła ta, która była przyczyną nieszczęść i upadku Polski. Umarła śmiercią nagłą na sprofanowanym przez nią cynicznie tronie Stanisława Augusta...

Kościuszko z niecierpliwością oczekiwał, co mu ten zgon przyniesie.

Wreszcie w dn. 26 listopada następca jej, car Paweł, z starszym synem Aleksandrem i liczną świtą, zajechał przed pałac Orłowa i, wszedłszy do pokoju Kościuszki, rzekł:

— Przyszedłem, mój generale, aby ci wolność przywrócić!

Słowa te wywarły na Kościuszkę tak silne wrażenie, że nie mógł ani słowa wymówić.

Wtedy car usiadł przy nim, i zawiązała się między nimi rozmowa, którą wiernie według ówczesnych notatek podajemy.

— Czyli mnie nie poznajesz, kto jestem?

— Uznaję w osobie Pawła imperatora, a w darrze przywróconej wolności wyższego nad zaszczyt tronu, który posiadasz.

— Ubolewałem zawsze nad losem W Pana, ale

za rządów matki mojej nic mu pomóc nie mogłem. Teraz zaś wziąłem za najpierwszy mej władzy obowiązek udarować W Pana wolnością. Wolnym już W Pan jesteś.

— Najjaśniejszy Panie!—rzekł Kościuszko z ukłonem.—Nigdy nie ubolewał nad losem własnym, ale nigdy ubolewać nie przestanę nad losem Ojczyzny mojej.

— Zapomnij W Pan o Ojczyźnie. Przyszła na nią kolej, jaka spotkała tyle innych państw, których



Car Paweł I-szy odwiedza Kościuszkę w więzieniu.

pamięć tylko w dziejach została, a w tych W Pan zawsze piękne wspomnienie mieć będziesz.

— Obym był raczej zapomniany, a Ojczyzna moja została wolną. Upadło zapewne państw wiele, ale upadek Polski nie ma podobnego przykładu.

— Dlaczego, mój generale? Wszakże greckie i rzymskie państwa podzielone zostały.

— Prawda, Najjaśniejszy Panie, ale były pokonane bronią i wprzód wolność, niż egzystencję strą-

ciły. Lecz Polska w samym powstaniu swoim i wtenczas, gdy do rządnej wolności przychodzić chciała, wtenczas, gdy najwięcej energii i patryjotyzmu pokazała, upadła. Państwa tamte, gdyby tylko na swych przestawały granicach, gdyby ich ambicja ograniczona była żądzą świetności i potęgi, jaka zależy od dobroci wewnętrznego rządu, gdyby chciały być tak spokojne, jak Polska od wieków zawsze być chciała: stałby jeszcze zapewne mogły.

— Ale przynajmniej WPan, że ta wasza wolność nie zgadzała się z interesami państw sąsiednich i że wasi rodacy sami służyli za narzędzie do zguby swej Ojczyzny.

— Uwolnij mnie, Wasza Imperatorska Mość, od dalszego tłumaczenia się w tej mierze, albowiem o upadku mej Ojczyzny bez żywego poruszenia ani myśleć, ani mówić nie mogę.

— Nie uraża to mnie, owszem, dla tego więcej WPana szacuję, bo pierwszy raz zdarza mi się mówić z obywatelem, w którym uznaję, że prawdziwie kocha Ojczyznę. Gdyby tak większa przynajmniej część Polaków myślała, jak WPan, jeszczeby się Polska utrzymać była mogła.

— Ta część większa, Najjaśniejszy Panie, była z pewnością. Gdybyś, Wasza Imperatorska Mość, mógł być świadkiem tylu cnót, tylu patryjotyzmów, których dali dowody niepospolite w czasie powstania! Wiem, jak starano się fałszywe i najgorsze dać Waszej Imperatorskiej Mości wyobrażenie o narodzie naszym, wystawiono go bowiem w oczach całego świata, jako horde łotrów niespokojnych, niecierpiących rządu i prawa, a przeto niewartych egzystencji. Cnotliwy i powszechny zapal do ulepszenia jedynie losu Ojczyzny, wydobyć się z ucisku i nieładu buntem na-

zwano; chęci najlepsze dobrego obywatelstwa poczytano za winę i za skutek rozhukanego jakobinizmu; nakoniec nie tylko przeciwko wszelkiej słuszości, ale przeciwko prawdziwym interesom Rosji zniszczenie tej nieszczęśliwej Ojczyzny przez rozbiór zupełny jej kraju za najzbawienniejszą radę podano. Ile stąd zgorszenia niebezpiecznego dla losu państw wszystkich, ile okropnych skutków, ile nieszczęścia powszechnego ofiar! Gdyby ich razem zebrany widok mógł się zbliżyć do Waszej Imperatorskiej Mości, gdyby go nie zasłaniali ci, którzy wszystko za nic wąż, byle własnym posłużyli pożytkom i dlatego tylko tron otaczają, aby do niego prawda i ludzkość przystępu nie miały: tak wspaniałe, tak dobre serce Waszej Imperatorskiej Mości wzruszoneby zaiste zostało losem narodu naszego.

— Patrzcie, co za żywość!—rzekł Paweł, zwracając się do generałów swoich.

— Daruj, Najjaśniejszy Panie, mozem się uniść za daleko... może...

— Ale dałeś mi do myślenia, mówiłeś do serca mego. Pożegnaj WPana; teraz proszę nie myśleć o niczym więcej, jak tylko o zdrowiu swoim. Dałem rozkazy, aby mu na niczym nie zbywało, co do wygody jego należy. Jeżeli masz co żądać, mów śmiało i zwierz się, jako przyjacielowi, bo jestem prawdziwym przyjacielem WPana i chcę, abyś wzajemnie był moim.

— Szacunek najwyższy i najczulsza wdzięczność będą zawsze moim obowiązkiem.

Wstawiał się następnie Kościuszko za współbraćmi, którzy nie byli jeszcze wolnymi, na co mu cesarz odpowiedział zaraz:

— Będą wolni, ufaj słowu mojemu.

I od tego czasu car często odwiedzał Kościuszkę, i nieraz zaraz po przywitaniu wchodził z nim do osobnego pokoju, gdzie sam na sam długo rozmawiali. Jednym z głównych przedmiotów tych rozmów była sprawa uwolnienia wszystkich jeńców polskich.

Co do Niemcewicza i Potockiego robił car zastrzeżenia, że wielki był opór w radzie ministrów, gdyż uważano ich za „niebezpiecznych“.

— Chceszże ręczyć za nich?— spytał car wręcz Kościuszki.

— Za Niemcewicza ręczę— odpowiedział ten — lecz za Potockiego nie dam słowa, nim się z nim wprzód nie rozmówię.

— Podobą mi się— rzekł Paweł— ta ostrożność wasza. Możesz więc natychmiast jechać do Potockiego i rozmówić się z nim.

Zaraz też następnego dnia skorzystał z tego pozwolenia Kościuszko i udał się do Potockiego na naradę, i obydwaj zgodzili się na jedno, że niepodobna jest targować się i że na wszystko przystać należy, ażeby wyzwolić 12,000 jeńców.

Na trzeci dzień dopiero powieziono ich listę do pałacu Zimowego, gdzie przemieszkiwał car Paweł, i uzyskano jego podpis. Jednym pociągnięciem pióra uwolnieni zostali z twierdz i Sybiru wszyscy wojownicy polscy bez wyjątku. Wielu z nich jednak, zwłaszcza z tych, co, osiadłszy w ziemi wygnania, zagospodarowali się lub poženili, nie wróciło do kraju, i ci nazawsze dla Polski straceni zostali.

Z pośród jeńców, przebywających w Petersburgu, najwięcej znienawidzony przez ministrów był Niemcewicz, któremu nie mogli oni darować ani jego mów sejmowych, ani pism satyrycznych, obrażających Rosję. Przywieziono go po uwolnieniu z twierdzy

wprost do Mostowskiego, zamieszkałego razem z Zakrzewskim i Sokolnickim, poczym udał się on już bez eskorty do Ignacego Potockiego, a następnie do Kościuszki.

Zastał go w stanie strasznego wyczerpania moralnego i fizycznego. Ucieszył się bardzo Naczelnik, ujrzawszy go, i zażądał od niego wielkiej przysługi, mianowicie, ażeby towarzyszył mu do Ameryki.

— Widzisz, w jak niedołęznym jestem stanie; ni moralnie, ni fizycznie rady sobie dać nie mogę.

I począł przytym rzewnie płakać.

Łzy te wzruszyły poetę. Ażeby pocieszyć przyjaciela, wyrzekł się widzenia sędziwego ojca, braci, siostr i przyjaciół, odzyskania majątku, a nawet świetnej może przyszłości, i rzekł:

— Nie chcę cię do końca opuszczać; pojedę z tobą.

Kościuszek uściskał go kilkakrotnie.

Nieszczęsnym jeńcom pozostawał jeszcze do wychylenia ostatni kielich goryczy, jakim uwarunkowane było ich uwolnienie. Mianowicie złożenie przysięgi na wierność carowi Pawłowi, jako Imperatorowi i Samodzierzcy Wszech Rosji.

Wszyscy uwolnieni mieli ją złożyć tegoż jeszcze dnia wieczorem przed prokuratorem generalnym, Samojłowem, do Kościuszki zaś przyjechał w tym samym celu Jerzy Wielhorski, marszałek dworu, jeden z tych nikczemnych Polaków, który, zdradziwszy Ojczyznę dla świetnej kariery przy dworze petersburskim, sam skalany, chciał obryzgać błotem, w którym się nurzał, dwóch najprzedniejszych przedstawicieli narodu polskiego.

On to podsunął carowi Pawłowi projekt, ażeby wystąpiwszy z hojnością iście monarszą, nadał nie-

którym z jeńców dobra lub pensje, przymuszając ich do zostania w ten sposób Moskalami. Podkopać to miało popularność ich w Polsce i zmniejszyć zaufanie narodu.

Spodobał się bardzo ten projekt Pawłowi, który nadał Kościuszcze i Ignacemu Potockiemu dobra ziemskie z 1,000 dusz, t. j. z tysiącem poddanych, w głębi Rosji, nakazując im przytym, jako właścicielom ich, złożyć przysięgę.

Zapatrywania swe na podział Polski najlepiej wyłożył Paweł w rozmowie z Potockim.

— Byłem zawsze przeciwny podziałowi Polski, uważałem go za równie niesprawiedliwy, jak i niepolityczny. Żeby powrócić Polskę, trzebaby zgody trzech mocarstw: zezwolił na to Austria, mniej jeszcze Prusy? Mamże dla Polski wypowiadać im wojnę? Państwo moje po tak ciągłych niepotrzebnych wojnach aż nadto potrzebuje pokoju. Trzeba więc wam poddać się smutnej konieczności.

Słowom tym szczerym trzeba przyznać słuszość. Polska straciła swój byt niezależny, nie miała też siły zbrojnej, przy pomocy której Najwyższy Naczelnik mógłby obronić lud polski przed groźnym wybuchem gniewu cara.

Od ofiarnego poświęcenia się Kościuszki zależał ratunek tych tysięcy żołnierzy, którzy z różnych zakątków Rosji i Sybiru napróżno go wyglądali.

Straszną w głębi duszy stoczył walkę Kościuszko, zwłaszcza podczas rozmowy z ministrami rosyjskimi, którzy, przynosząc mu hojne dary i łaski cara, jednocześnie z okrutną bezwzględnością stawiali mu różne warunki. Nie wyjawiał rozmowy swej z nimi nikomu, tylko w czas jakiś potym przyznał, iż postępowanie ich z nim wydało mu się okrutnym, że

czuł nad sobą ich „gwałt i przemoc i przewrotność“.

Czyniąc więc z siebie ofiarę dla nieszczęśliwych braci, złożył przysięgę w ręce odstępcy, targowicznina Wielhorskiego.

Zrozumieli to jego poświęcenie nie tylko swoi ale i obcy, otaczając go czcią i uwielbieniem.

Urokowi, jaki budził wszędzie, ulec musieli i carscy urzędnicy, a nawet i cała rodzina carska.

Paweł zasypywał go darami. Oprócz bowiem owych 1,000 dusz, które na skutek jego prośby zamieniono na 60,000 rb., ofiarował mu 12,000 rb., pyszną karetę, zbudowaną tak, że można było w niej leżeć, futro sobolowe i czapkę, buty futrzane, kuchnię podróżną i bieliznę stołową wysokiej wartości.

Obowiązek grzeczności wprost nakazywał Kościuszce złożyć podziękowanie carowi za tyle darów. Dokonał tego osobiście, łącząc z tym jednocześnie pożegnanie.

Przybrany w mundur amerykański, z białymi wyłogami, przybył do pałacu Zimowego, gdzie czekało na niego już krzesło na kołach, — o ironjo, należące do carycy Katarzyny II. Umieszczono go na nim, poczym carscy gwardziści przyboczni zatoczyli go przez cały szereg wspaniałych komnat, wśród tłumów dworaków, do sypialnego pokoju, w którym car, otoczony rodziną, przyjął go bez żadnego ceremonjału urzędowego.

Zasypano go grzecznościami. Carowa prosiła go, by darował jej sukmanę krakowską, w której walczył, i prosiła o przysłanie nasion ogrodniczych z Ameryki. Wzamian ofiarowała mu warsztat tokarski nader kosztowny i zbiór kamei z portretami całej rodziny.

Doznał też wiele uprzejmości ze strony w. książąt i księżniczek, którzy prosili go, by jak najczęściej pisywał, a następca tronu Aleksander całował go serdecznie.

Wywdzieczył się Kościuszko za to wszystko skromnym darem, tak ubogim, jak sam był, lecz bezcennym ze względu na wartość pamiątkową. Ofiarował mianowicie carowej tabakierkę własnego wyrobu, którą ona następnie trzymała w ręku przy koronacji i, pokazując obecnym, mówiła:

— Przypomina mi ona wielce pouczający morał.

Zimno i obojętnie przyjął Kościuszko te wszystkie dowody łaski carskiej. Wspaniały przepych dworu carskiego nie działał zupełnie, a nawet raził jego spartańsko-republikańską naturę. Darów część tylko przyjął, nie chcąc odrzuceniem ich urazić cara, a samej carowej tylko wywdzieczył się skromnym podarunkiem, składając tym dowód grzeczności dla dam.

Względem cara Pawła trzymał się ściśle granic obowiązkowej grzeczności. Czuł do niego urazę, że za wolność, jaką uzyskał i on i rodacy jego, w niewoli będący, car wcisnął mu szyję w obrozę niewolnika. Urazy tej nie zapomniał nigdy, i z pierwszej skorzystał sposobności, ażeby zrzucić z siebie to jarzmo przymuszone, czym wywołał znów szalony wybuch gniewu carskiego.

XV.

Znów na tułaczce.

Skorzystał Kościuszko czymprędzej z odzyskanej wolności, ażeby porzucić duszne mury Petersbur-

ga, w których dławilo go coś, dusiło, i odetchnąć pełną piersią.

Wyjechał zaraz następnego dnia po pożegnalnej wizycie u cara, 19 grudnia r. 1796-go. Towarzyszyło mu niewiele osób. Oprócz Niemcewicza, przyłączył się do niego młody, hoży i silny oficer polski, Libiszewski, który już przedtym dobrowolnie towarzyszył Wawrzeckiemu na wygnanie. Sam jeden przenosił on niemocnego Kościuszkę do powozu lub na sofę, zabawiał go przytym grą na waltorni i śpiewem. Kamerdynier murzyn i kucharz Jean dopełniali świętę jego.

Z ramienia rządu rosyjskiego towarzyszył Kościuszcze major Udom, który miał polecenie nieopuszczania go aż do Sztokholmu.

Jechano drogą okólną, przez Finlandję, omijając Polskę, której widok mógł dotkliwie ranić serce wygnańca, budząc smutne wspomnienia, a zarazem i z ostrożności rządu rosyjskiego, by nie wywoływać wśród ludności polskiej niepożądanego fermentu.

Powolnie posuwano się naprzód z powodu wielkich śniegów, jak i krótkiego, 4-godzinnego dnia zimowego. Zato droga cała, od przekroczenia granic Rosji, stała się jedną wielką manifestacją czci i uwielbienia dla Kościuszki ze strony ludności.

Już w Abo, stolicy Finlandji, gdzie zabawili dni kilka, gazeta miejscowa pisała:

„Miasto nasze, dumne, że chociaż chwilowo będzie gością jednego z największych mężów naszego wieku, przemyślało, jakim sposobem mogłoby należny mu okazać szacunek. Słabość zdrowia nie dozwalała mu użyć szwedzkiej gościńności; większa też część mieszkańców nie miała szczęścia oglądać tego, który czynami swymi wywoływał we wszystkich podziw i boleść. Oczekując na sposobność prze-

prawienia się do Sztokholmu, zatrzymał się tutaj aż do dnia wczorajszego i, jak Achilles pod namiotem, najwięcej krzepił się tonami cytry, na której grywał młodzieniec, należący do jego towarzystwa, siadając przy łożu chorego bohatera, jakoteż koncertem, urządzonym na cześć jego przez najznakomitszych amatorów muzyki z naszego miasta. Z łatwością wybaczył on tłumom słuchaczy, których ciekawość ściągnęła na tę uroczystość“.

Odwiedzali też go poeci, piszący na cześć jego poezje, wygłaszano mowy, sławiąc bohaterstwo, męczeństwo i poświęcenie jego.

Ciężką i trudną była przeprawa przez zatokę Botnicką. Nie zamarzła ona zupełnie, dlatego też przodem biegli ludzie, próbujący bosakami, czy lód jest dość mocny, by utrzymać ciężar podróżników. Gdzie morze nie zamarzło, przeprawiano się otwartymi łodziami.

W dniu 13 stycznia stanął Kościuszko na wyspie Ekerö, należącej do grupy wysp Alandzkich, skąd telegraf optyczny, dopiero co wynaleziony, poniósł wieść o nim do Sztokholmu.

Musieli się zatrzymać tam podróżni na dłuższy poniewolny wypoczynek, gdyż spadłe olbrzymie śniegi zawaliły dom aż po dach, tak że aż kominem musiano spuszczać im żywność, białe zające i jarząbki.

Po wydobyciu się z tej niewoli, mknęli podróżni dalej aż do Sztokholmu. O milę od stolicy Szwecji Niemcewicz pomknął saneczkami naprzód, ażeby znaleźć wygodne mieszkanie dla chorego Kościuszki.

Znalazł je też w pobliżu pałacu królewskiego, w hotelu francuskim Robinot'a.

Wiadomość o przyjeździe „patryjotycznego bohatera i męczennika stanu“ natychmiast podaną została

przez gazety. Zaraz też cisnąć się do hotelu poczęli najwybitniejsi mężowie szwedzcy i zagraniczni, w stolicy wtedy przebywający, od ministrów począwszy, by złożyć mu wyrazy hołdu i uwielbienia.

Przybywali piechotą, by stukiem kół karet nie mieć mu spokoju. Proszono go, by pozwolił sportretować się, lecz stanowczo odmówił temu, pragnąc uniknąć reklamy.

Nie uniknął jednak tego, iż sztycharz nadworny, Martin, przychodząc do niego kilka razy, wpatrywał się bacznie w jego rysy, a następnie z pamięci odtwarzał je na blasze w domu.

Przedstawił on Kościuszkę leżącego na szezlon-gu, z wyrazem cierpienia wrytym na twarzy.

Odwiedzał go też codziennie poseł rosyjski, lub jego sekretarz, celem dowiedzenia się o stanie zdrowia jego. Milszymi mu jednak zapewne były wizyty mężów stanu szwedzkich, przejętych głęboką sympatją dla wycieńczonego ranami męczennika wolności, bohatera narodu polskiego i ofiary nienawistnej dla Polski polityki Katarzyny.

Pragnął również widzieć się z nim król szwedzki, Gustaw IV, lecz Kościuszko wręcz odmówił.

Szczupłe grono osób stanowiło tylko towarzystwo jego, przyczym w liczbie ich znajdowali się i dawni znajomi jego z Warszawy, poseł szwedzki Toll i angielski Hailes. Zaszła też zmiana i w otoczeniu jego, gdyż ze względów oszczędności odprawił i murzyna kamerdynera i kucharza Jeana, przyjmując na ich miejsce jednego służącego, Stanisława.

Po miesięcznym prawie pobycie w Sztokholmie, wyjechał Kościuszko w dniu 23 lutego do Götheborga, będącego jednym z najruchliwszych portów Szwecji,

ażeby znaleźć tam okręt, na którymby mógł udać się do Anglii.

Obserwował też warunki życia ludowego w Szwecji, i porównywając je z polskimi, uznać musiał wyższość jego, stwierdzając, że nie żyje on w niewoli.

Długo musiał czekać na okręt w Götheborgu, gdyż prawie półtrzecia miesiąca, choć zima była łagodna. Miejscowi dygnitarze wraz z przedniejszymi z pośród mieszkańców starali się uprzyjemnić mu chwilę oczekiwania, uważając za zaszczyt dla miasta przebywanie tak znakomitego gościa.

Zajmowała się nim również gorąco i prasa szwedzka, zamieszczając wiele artykułów o nim, lecz Kościuszko prosił, ażeby o nim nie drukowano, unikając starannie wszelkich wywiadów.

Nie szukał sławy, wyższy był ponad wszelką reklamę i uważał, iż wielkość sprawy i świętość jej nie potrzebują tego i nie pozwalają na to.

Starął się też czymprędzej uciec od składanych mu hołdów i w dniu 15 maja wyjechał z Götheborga na małym i niewygodnym okręcie kupieckim.

Całe dwa tygodnie trwała ta podróż męcząca, połączona z wieloma brakami, które szkodliwie odbiły się na stanie zdrowia Kościuszki.

Wylądowano wreszcie w Gravesand i Niemcewicz, jak zwykle, podążył naprzód do Londynu, ażeby tam znaleźć wygodny lokal dla Naczelnika.

Znalazł go w Tablions hotel.

I w Londynie jednak nie był Kościuszko wolny od składanych mu hołdów. Gdy tylko w pismach pojawiła się wiadomość, że Kościuszko, bohater wolności, stanął w stolicy Anglii, tłumy ludzi tłoczyć się zaczęły do hotelu, ażeby mu hołd złożyć,

lub choćby przelotnie go zobaczyć. Świetny interes zrobił też na tym właściciel hotelu.

Wszystkie najznakomitsze osoby Angli śpieszyły do mieszkania Kościuszki z wyrazami czci i uwielbienia, zapominając o tym, iż przed niedawnym przecież czasem walczył on przeciw niej w Ameryce.

Otrzymał od księżny Devonshire piękny pierścień, a klub whigów ofiarował mu szablę honorową.

Pojawiła się też wielka ilość portretów Kościuszki, kupowanych przez wszystkich, choć większość z nich była nader fantastyczna, gdyż wyobrażała go np. z wąsami.

Wiadomo dobrze, iż Kościuszko nie cierpiał pozować do portretów, lecz słynny malarz angielski Cosway, odwiedzając często chorego bohatera, ukradkiem wykonał jego portret, nadzwyczaj podobny.

Zajął się też Kościuszko i kuracją. Najznakomitsi lekarze Angli opatrzyli należycie ranę jego od pałasza, nieumiejętnie leczoną przez rosyjskich chirurgów.

Car Paweł jeszcze i w Angli okazywał mu swą łaskę i przychyłność. Codziennie dowiadywał się o stanie zdrowia jego poseł rosyjski Woroncow, i obszerne raporty o tym słał do Petersburga.

Dwa tygodnie trwał pobyt w Londynie Kościuszki, który szukać już zaczął okazji do udania się do Ameryki, gdy naraz zgłosił się do niego osobiście kapitan okrętu handlowego, Amerykanin Fryderyk Lee, prosząc jak o łaskę największą o możność przewiezienia bohatera za ocean, do drugiej Ojczyzny.

Propozycję tę skwapliwie przyjął Kościuszko, i przez miasto Bath udał się do Bristolu, w którego porcie oczekiwał na niego okręt.

Zamieszkał tam w domu starego znajomego i przyjaciela jeszcze z Ameryki, Eljasza Vanderhorma, a wszyscy przedstawiciele władz oraz arystokracji miejscowej śpieszyli do niego znów z wyrazami największego uwielbienia. Przed domem stała warta honorowa, a co wieczór orkiestra wojskowa grała pod jego oknami.

Miasto Bristol złożyło mu w darze wspaniały serwis srebrny.

Nadchodził czas odjazdu. Okręt „Adriana“ gotów był do odjazdu i Kościuszko przeniesiony został w lektyce na brzeg, do portu, otoczony wspaniałą świtą z oficerów wielkobrytańskich w galowych mundurach i hełmach. Umieszczono lektykę z odjeżdżającym bohaterem na łodzi, a wtedy, jakby na skinienie, odsłoniły się wszystkie głowy i powiały tysiące chustek.

Tysiączne tłumy zebrały się na całym wybrzeżu, zegnając jak tryumfatora tego, którego przed niedawnym czasem generał Chruszczow wystawiał na widowisko, jak dzikie zwierzę, nad którym z całą dziką bezwzględnością i okrucieństwem znęcali się ministrowie i siepacze Katarzyny.

Dziesiątki łodzi, przybranych kwieciami, odprowadzały Kościuszkę aż do przystrojonej we flagi amerykańskiej „Adriany“.

Składano mu w darze kwiaty i owoce, a wiele osób, zwłaszcza dam, odprowadzało go daleko na morze, na pokładzie okrętu.

Podobnież uroczyste, wprost tryumfalne przyjęcie zgotowano mu na ziemi amerykańskiej, na której stanął po dwóch miesiącach podróży.

Na wieść o tym, że do portu Filadelfji zawinął w dniu 18 sierpnia okręt „Adriana“, poczyniono od-



Mauzoleum Kościuszki w Rapperswilu.

powiednie zarządzenia. Na przywitanie okrętu wyjechała łódź z ośmiu kapitanami okrętów i prezes Towarzystwa opieki nad wychodźcami, H. A. Heins, przywitał Kościuszkę w imieniu obywateli, za których wolność mężnie obecny gość walczył.

— Uważam Amerykę — odrzekł mu na to Kościuszko — za drugą moją ojczyznę i czuję się szczęśliwym, gdy do niej powracam.

Zniesiono go potym na krzesło do łodzi, a załoga okrętowa pożegnała go trzykrotnym okrzykiem:

— Niech żyje Kościuszko!

Okrzykowi temu wtórował wielotysięczny lud, zgromadzony na brzegu.

Przybiła łódź do lądu i Kościuszkę wniesiono do oczekującej karety. Entuzjazm ludu doszedł do szczytu. Otoczono ją zwartym kołem, wyprężono konie i wdzięczni Amerykanie pociągnęli go własnymi pierściami wśród niemilknących okrzyków:

— Hura!... Niech żyje Kościuszko!... — aż do wynajętego dla niego mieszkania przy ulicy Czwartej.

Nawiązał wnet Kościuszko dawne znajomości i stosunki, pisząc listy do Adamsa, będącego wtedy prezydentem Stanów Zjednoczonych, i do dawnego wodza swego, Jerzego Washingtona.

Adams odpowiedział mu serdecznym powitaniem i życzeniami, by znalazł w Ameryce pocieszenie, spokój i zadowolenie po sławnych wysileniach, dokonanych na większej widowni.

Washington zaś, oprócz wyrazów szczerej czci i szacunku, przesyłał mu zaproszenie do swojej siedziby w Mount Vernon.

Nie skorzystał jednak z tych zaprosin Kościuszko, przebywając prawie cały czas w Filadelfji i wy-

jeżdżając tylko na krótki pobyt do Nowego Jorku, z powodu wybuchłej tam żółtej febry.

Wszędzie odwiedzali go liczni znajomi, przyjmując gościnnie, wzamian za co czynił im dary z prezentów, otrzymanych od cara Pawła.

Jedną z największych bolączek Kościuszki była suma, otrzymana od cara Pawła. Pragnął mu ją zwrócić, lecz na przeszkodzie w tym stał mu brak wprost środków do życia.

Z pomocą przyszedł mu kongres amerykański, w którym poruszono sprawę niewypłaconego mu dotychczas żołdu i procentów od niego. Po naradzie zdecydowano wypłacić mu ów kapitał i procent od niego za szereg lat w poważnej sumie 18,940 dolarów.

Dawało mu to możność wykonania zamiaru, z którym zwierzył się Niemcewiczowi. Lecz ten odradzał mu odesłanie pieniędzy carowi Pawłowi, wyrażając obawę, że ściągnie to zemstę cara na Polaków w zaborze rosyjskim.

Wywołało to pewne ochłodzenie stosunków między nimi, doprowadzając nawet do zerwania przyjaźni.

W liczbie odwiedzających Kościuszkę nie brakło i osób królewskiego pochodzenia, jak przebywający w Ameryce na wygnaniu ks. Orleanu, późniejszy król Francji Ludwik Filip, z braćmi swoimi, ks. Montpensier i Beaujolais.

Zawarł też wtedy ścisłą przyjaźń z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, Tomaszem Jeffersonem, człowiekiem prawym i rozumnym, którego nawet uczynił wykonawcą testamentu swego w Ameryce, testamentu, będącego wyrazem dążności jego do uszczęśliwiania ludzkości.

Bo oprócz sumy pieniężnej posiadał Kościuszko

w Ameryce i spory szmat ziemi. Posiadłością tą rozporządził w testamencie swoim jak następuje:

„Ja, Tadeusz Kościuszko, będąc na wyjeźdźnym z Ameryki, oświadczam przez to i stanowię, iż na wypadek, gdybym nie miał inaczej rozrządzić w testamencie moją własnością w Stanach Zjednoczonych, upoważniam niniejszym mego przyjaciela, Tomasza Jeffersona, ażeby całkowicie je użył na wykup Murzynów, czy z pomiędzy swoich własnych, czy też innych, i na obdarzenie ich wolnością w moim imieniu, na udzielenie im nauki rzemiosł lub innej, na wdrażanie ich w obowiązki moralności, co może uczynić z nich dobrych sąsiadów, dobrych ojców lub dobre matki, mężów lub żony—w obowiązki obywatelskie, ucząc ich, aby byli obrońcami swojej wolności, swego kraju i dobrego porządku społecznego, i na ich wychowanie w tym wszystkim, co ich może uszczęśliwić i uczynić pożytecznymi. Mianuję wyżej wzmiankowanego Tomasza Jeffersona egzekutorem niniejszego zapisu.

T. Kościuszko, 5/5 1798“.

Wykonano po śmierci Kościuszki ten testament, choć nie mógł się podjąć tego Tomasz Jefferson z powodu podeszłego wieku. W r. 1826-ym otwarto w Newark szkołę dla dzieci murzynów „Kosciusko-School“, a fundusz na nią legowany wynosił 13,000 dolarów.

Kościuszko, sporządzając ten testament, przysłuchiwał się jednocześnie odgłosom z dalekiej, a zawsze gorąco umiłowanej Ojczyzny.

A działały się tam rzeczy interesujące go bardzo i obchodzące żywo.

Po klęsce na polu maciejowickim i wyrznięciu Pragi nie upadła zupełnie sprawa polska. Żyła ona

wiecznie w sercach najlepszych synów narodu, żyła też wśród współczującej niedoli ludu polskiego a dobijającej się własnej wolności republikańskiej Francji.

Początkowo zamieszki wewnętrzne nie pozwalały rządowi francuskiemu na czynne poparcie powstania, lecz gdy tylko względny spokój zapanował, natychmiast oświadczone się z nim, niestety, jednak było to spóźnione.

Pomimo to jednak nie wyrzeczono się dawnego planu i z nakazu Komitetu Ocalenia Publicznego rozpoczęto podmawiać Turcję do wojny z Rosją, a w Jassach i Bukareszcie czyniono przygotowania do wybuchu powstania w Polsce.

Myśli tej odbudowania Polski przez Francję chwycili się ogarnięci rozpaczą emigranci insurekcyjni, jak Łaźniński, Nagurski, Wyszkowski, Tremo, Prozor, Wybicki i inni, szczególnie zaś przebywający stale w Paryżu poseł Rzeczypospolitej Barss i Michał Ogiński. Znaleźli oni poparcie u kilku wybitnych Francuzów, szczerze gotowych przyjść z pomocą Polsce, i oto w salonach jednego z nich, Kazimierza de la Roche, odbywać się zaczęły narady z wybitnymi mężami stanu francuskimi, a wynikiem ich były legjony.

Plan ten przedłożono rządowi francuskiemu w r. 1796, a de la Roche i Tremo udali się do Saksonji, by na wodza pozyskać zasłużonego już generała Jana Henryka Dąbrowskiego, który propozycję tę przyjął bez namysłu.

Błyszczeć już poczyniała wtedy sława młodego generała, Napoleona Bonaparte, który, objawszy dowództwo nad armją włoską, odnosił zwycięstwo za zwycięstwem. Zapaleni entuzjaści polscy zwracali się do niego za pośrednictwem Józefa Sułkowskiego, jego adjutanta. Na gorący list Ogińskiego w tej spra-

wie Bonaparte dał Sułkowskiemu odpowiedź ustną, w znacznym stopniu ochładzającą zapale patryjotów polskich:

— Sułkowski, cóż mam ci odpowiedzieć? Cóż mogę obiecać? Napisz do swego ziomka, że kocham Polaków i bardzo ich cenię; że rozbiór Polski jest czynem nieprawości, który utrzymać się nie może; że, ukończywszy wojnę we Włoszech, ja sam pójdę na czele Francuzów, żeby zmusić Rosjan do oddania Polski. Ale powiedz mu także, że Polacy nie powinni polegać na pomocy cudzoziemców, że powinni zbroić się sami, niepokoić Rosjan, utrzymywać stosunki wewnątrz kraju. Wszystkie piękne słówka, jakie im będą prawione, nie prowadzą do niczego. Ja znam język dyplomatów i niedołęstwo Turków. Naród, zgnieciony przez sąsiadów swoich, nie może się podźwignąć inaczej, jak z bronią w rękę.

Te trzeźwe słowa genjalnego wodza i polityka nie podziałały jednak na podnieconych zapalem patryjotów polskich. Opanowani niepohamowaną chęcią odbudowania Ojczyzny przy pomocy Francji, czynili zabiegi u Dyrektorjatu o uzyskanie pozwolenia na nie, i w początkach stycznia r. 1797-go wydał Dąbrowski płomienną odezwę, głoszącą nadzieję odbudowania Polski przy pomocy Francji i wzywającą Polaków pod sztandary legionów.

Niestety, miały one służyć zrazu sprawie francuskiej, miały pozostawać na żołdzie francuskim i od Republiki otrzymać broń i umundurowanie. Słowem miały one być rodzajem wojsk cudzoziemskich, pozostających na służbie obcej i dla celów Francji walczących.

Mimo to jednak wieści te porwały zapalem pozostałych w Polsce. Tłumnie biegli ci straceńcy do Francji

i Włoch, by zapisywać się pod sztandary legjonów, by walcząc za sprawę obcą, jednocześnie wolność umiłowanej Ojczyźnie wywalczać.

Nie wiodło się jednak legjonom tak, jak myśleli ich przywódcy i twórcy. Ciernistym zaiste był szlak, którym dążyli do oswobodzenia Ojczyzny, przyczym spotykali przeszkody również i ze strony Francji. Bonaparte chwalił ich męstwo i gorliwość, lecz zarazem zalecał cierpliwość i wytrwanie.

Otwarciej wypowiedział się minister spraw zagranicznych w Paryżu, mówiąc:

— Francja nie potrzebuje Polaków; jeśli nie mają do niej zaufania, niech się gdzieindziej udadzą. Wreszcie wychodźcy mogą sobie postąpić, jak sami uznają za dogodne dla siebie, ale po upływie trzech dni będzie już za późno wracać do omawianego projektu.

Odmowa też spotkała wszelkie żądania Dąbrowskiego, a pokój w Campo Formio z Austrią zadawał cios marzeniom Polaków.

Legjony polskie, marząc o tryumfalnym marszu przez Austrię do Polski, musiały iść w służbę do nowoutworzonej przez Bonapartego Rzeczypospolitej Cyzalińskiej.

Wszystkie wiadomości o tym otrzymywał Kościuszko w Ameryce, wzburzały one jego i niepokoiły.

Czuł, iż tworzy się tam w Europie coś, co sprawę Polską ma na celu, coś, co wymaga jego obecności i kierunku. Nosił się już dawniej z myślą powrotu do Europy, by osobiście wziąć udział w rozgrywających się tam wypadkach, gdy naraz otrzymane w końcu marca 1798-go r. listy z Europy przyśpieszyły decyzję jego.

Musiały one być nader ważne, skoro po prze-

czytaniu ich bez niczyjej pomocy wyskoczył z łóżka. Treść ich zatrzymał w tajemnicy, tylko generałowi White oświadczył krótko:

— Muszę wracać zaraz do Europy.

Przygotowania do podróży czynił również w tajemnicy, nie zwierając się nikomu, aż wreszcie w dn. 5 maja wyjechał sam, za paszportem, wyrobionym przez Jeffersona na nazwisko Tomasza Kanberga, pozostawiając Niemcewiczowi i służącemu Stanisławowi 100 dolarów i wszystek swój dobytek.

Myśl, że jedzie służyć Ojczyźnie, jakby dodała nowych sił Kościuszce. Całą podróż przez ocean odbył bez służącego, chodził, co prawda, z pewnym trudem, a rany zagoiły się.

Przyjęcie, zgotowane mu przez Francję, było nie mniej tryumfalne od tych, jakie spotykały go w Szwecji i Anglii.

Zaraz na wstępie, w Bajonnie, gdy tylko wyjawiał swe prawdziwe nazwisko, złożyli mu wizyty powitalne dygnitarze miejscowi i oddano mu honory wojskowe. Zaproszono go do udziału w festynie rolniczym, sadzając na miejscu honorowym i składając dowody czci i uwielbienia.

Wszystkie gazety poumieszczały obszernie artykuły o nim, pisząc, iż nie zobowiązywał się nie walczyć nigdy z Rosjanami; że ma odesłać Pawłowi dar, otrzymany od niego w Petersburgu i t. d.

Po krótkim pobycie w Bajonnie puścił się w drogę do Paryża, gdzie przybył dn. 14 lipca. W czasie podróży obserwował zmiany, zaszłe we Francji pod wpływem idei republikańskich, i smutek go przejmował na myśl, że i w Polsce mogłoby być podobnie, gdyby zły los go nie zdradził.

Przyjęcie w Paryżu było nie mniej gorące. Był

obecny na galerji podczas posiedzenia Rady Pięciuset, a następnego dnia uczestniczył w bankiecie, wydanym z powodu zdobycia Malty przez płynącego na wyprawę egipską Bonapartego.

Wzniesiono też tam toast:

— Za walecznych Polaków, którzy w Ojczyźnie swojej bronili świętej sprawy wolności, i za nieustraszonego ich generała!

Zajął się też energicznie sprawą polską. Odwiedził ambasadorów, przesłał legjonom zawiadomienie o przybyciu swoim, poczym wkrótce stawił się przed nim Tremo ze szczegółową relacją o dotychczasowej ich działalności.

Spełnił też i to, co oddawna troską tajemną dręczyło duszę jego: wypowiedział poddaństwo carowi Pawłowi, oświadczył zamiar służenia znowu Ojczyźnie swojej i odesłał mu 12,000 rubli w dniu 4 sierpnia 1798-go r. z Paryża.

List jego do cara Pawła utrzymany był w tonie cierpkim i wyniosłym.

„Najjaśniejszy Panie!

Korzystam z pierwszych chwil wolności, której używam pod opiekuńczymi prawami największego i najszlachetniejszego narodu, ażeby Ci odesłać dar, do którego przyjęcia zmusiły mnie pozory dobroci Twojej i okrutne zachowanie się Twych ministrów. Jeżeli przyjąć go się zgodziłem, to niech Najjaśniejszy Pan przypisze to jedynie nieprzepartej sile przywiązania, które mam dla rodaków, towarzyszy nie-szczęść moich, oraz nadziei usłużenia jeszcze Ojczyźnie. Tak, powtarzam Ci to, Najjaśniejszy Panie, i pragnę Ci to oświadczyć. Zdawało mi się, że nie-szczęsne położenie moje wzruszyło Twe serce, ale

ministrowie Twoi i ich satelici nie postąpili ze mną stosownie do Twych życzeń. To też, gdyby się ośmielili przypisywać memu dobrowolnemu postanowieniu czyn, który na mnie wymusili, odsłonię ich gwałt i przewrotność przed Tobą i przed wszystkimi ludźmi, którzy znają cenę honoru, i oni tylko niech będą odpowiedzialni przed Tobą, Najjaśniejszy Panie, za rozgłoszenie ich niegodziwości.

Racz, Najjaśniejszy Panie, przyjąć wyznanie mego szacunku. Kościuszko“.

List ten, drogą nader krętą, gdyż ambasador francuski w Berlinie, Sieyès, nie chciał doręczyć go posłowi rosyjskiemu, Paninowi, dostał się wreszcie do rąk cara Pawła, który, przejęty gniewem, odpowiedział hr. Razumowskiemu, który mu przesyłkę przesłał, co następuje:

„Petersburg, d. 2 grudnia 1798 r.

Z zadziwieniem odebrawszy za pośrednictwem waszem, panie Hrabio, pakiet od Kościuszki i wyrażając moje niezadowolenie, odsyłam go nazad, rozkazując, jakim zechcecie sposobem, zwrócić ten list Kościuszcze i uwiadomić, że ja od zdrajców nic nie przyjmuję“.

Nazwa zdrajcy odnosiła się do złamania przez Kościuszkę przysięgi na wierność poddańczą, oraz do zapowiedzi blizkiej walki z Rosją o przywrócenie wolności Polsce.

Nic dziwnego, iż zdradziecką, łamiącą wszelkie przysięgi i przyrzeczenia z bizantyjską i tatarską przewrotnością Rosję przejmowało oburzenie na wieść o szlachetnym postępku Kościuszki. Czuli oni dobrze, iż w sprawie Polski zaczyna się coś robić,

że pod wpływem wieści o działalności legionów, o pomocy Francji, w całym kraju ferment się budzi, że naród cały rwie się do czynu, do dzieła, nie zważając na żadne przeszkody... że Kościuszko sam jeden stanowi potęgę, która urokiem imienia swego pociągnąć może za sobą naród cały.

Czuli to dobrze, i gdy tylko przyszła wieść o przyjeździe Kościuszki, zarządzili daleko idące środki ostrożności. Zaczęli natychmiast konferencje z ministrami państw rozbiorowych celem przedsięwzięcia środków zaradczych, które po otrzymaniu listu Kościuszki znacznie obostrzono.

Zarządzający ziemiami polskimi w zaborze rosyjskim książę Repnin wydał w dniu 13 listopada 1798-go r. ogłoszenie, obiecujące sowite nagrody tym, którzy ujmą Kościuszkę w razie pojawienia się jego w dawnych ziemiach polskich. Podobne zarządzenia wydały i rządy austriacki i pruski.

Zapanował straszliwy zamęt wśród czynowników rosyjskich, znęconych wysoką nagrodą. Szukane na wszystkie strony Kościuszki, aresztowano szereg osób, podobnych trochę do niego, a nawet jednego chłopca z Borun wożono do Petersburga.

Pieniądze, odesłane carowi, złożył hr. Razumowski w Londynie, w Banku Baring Crothers et C^o, na imię Kościuszki, lecz ten ich nie tykał aż do śmierci, gdy rozporządził nimi w testamencie.

Powód do tego zaniepokojenia dało owacyjne przyjmowanie Kościuszki w Paryżu, zwłaszcza toasty wznoszone na bankietach, w których brał udział.

Podczas obchodu rocznicy 10 sierpnia Kościuszko znajdował się na bankiecie w liczbie najznakomitszych osobistości francuskich owego czasu, przy czym hucznie przyjęto następujący toast:

— Za wolność Polski! Niech przybycie Kościuszki na łono Wielkiego Narodu ożywi nadzieje patryjotów polskich! Oby naród francuski dopomógł im do pomszczenia i do wyzwolenia ich Ojczyzny!

Wzruszyło to aż do łez Kościuszkę, a wtedy Bonneville wykrzyknął:

— Cześć łzom Kościuszki!

Podobnież owacyjnie przyjmowano go w Radzie Pięciuset, gdy ukazał się na galerji. Prezydujący zaczął wtedy mówić o nieszczęściach Polski i wyraził nadzieję:

— Te nieszczęścia nie będą wiecznymi, ponieważ znakomity obrońca wolności sarmackiej wrócił do Europy.

Ba, nietylko w Paryżu witano podobnie Kościuszkę. Powrót jego radosnym echem odbił się i we Włoszech, gdzie w Medjolanie, w ogrodzie Belgiojoso, przy obchodzie rocznicy 10 sierpnia, zebrani licznie wojskowi, Francuzi, Włosi i Polacy, wznosili toasty:

— Za znakomitego i nieszczęśliwego Kościuszkę, aby prędko mógł wrócić do Ojczyzny, wyzwolonej z więzów teraźniejszych jej tyranów.

Nie dziwnego też, że zainteresowane w tym rządy państw otoczyły go całą siecią szpiegów, donoszących o każdym kroku bohatera.

Doniesienia ich obfitowały w całą masę szczegółów, niezgodnych z prawdą. Alarmowano rządy pruski i rosyjski wiadomościami o nigdy nie byłym wyjeździe jego do Hamburga, z wielką sumą pieniędzy, celem prowadzenia rozległej agitacji.

Prawdziwym w nich jest tylko doniesienie o zamiarze jego wyjazdu do Włoch, do głównej kwatery legjonów. Pozostawał w ciągłych stosunkach z nimi,

prowadząc rozległą korespondencję, otrzymywał sprawozdania z działalności ich i zmian, zaszłych w ich składzie.

Wielką też radość sprawiło mu przybycie Kniaziewicza ze zdobytymi sztandarami, przyczym przy uroczystości wręczania wygłaszano uroczyste przemówienia, wychwalające męstwo Polaków, lecz nie poruszano sprawy niepodległości ich Ojczyzny.

Dużo skromniej odbyło się wręczenie szabli Sobieskiego, przywiezionej przez Kniaziewicza, odbyte w mieszkaniu Kościuszki. Przyjął ją z rozrzewnieniem, winszując rodakom męstwa.

Nowe nadzieje odżyły w nim, gdy wybuchła wojna między Francją a Austrią i Rosją. Ożywione nowym duchem biegły w bój zacięty legjony polskie, a kadry ich zwiększały się wciąż.

Organizowano coraz nowe legje, a Kościuszko dawał im poparcie swoje, zwracając się w ich sprawie do prezydenta rzeczypospolitej helweckiej, oraz do Dyrektorjatu.

Sam jednak nie ogłaszał żadnych odezw i nie zamierzał, przynajmniej narazie, stawać na ich czele. Rozumiał dobrze swe zadanie i, pomagając rodakom w walce o ile mógł, szykował się do tego, by dobyć szabli tylko w walce o wolność Ojczyzny, pod własnym, narodowym sztandarem, na jej ziemi.

Tymczasem walki we Włoszech przybierały zły obrót dla Francji. Powrócił z Egiptu młody wódz, Napoleon Bonaparte, noszący się z wielkimi celami i zamiarami, i składając wizyty różnym znakomitościom, nie pominął i Kościuszki.

— Chciałem usilnie poznać bohatera Północy— rzekł Bonaparte po przywitaniu.

— I ja jestem szczęśliwy z widzenia zwycięzcy

Europy i bohatera Wschodu — odrzekł komplementem na komplement Kościuszko.

Krótką była ich rozmowa, lecz Kościuszko nawskroś przejrzał ambitne dążenia bohatera Francji. Na odbytym w niedługim czasie bankiecie ostrzegał niektórych członków rządu, by strzegli się tego młodego człowieka, gdyż może on im szyki popsuć.

Przewidywania jego nie zawiodły, gdyż w dniu 10 listopada, po zamachu stanu, młody człowiek został pierwszym konsulem.

Przewidział również i jego stosunek do Polaków. Bonaparte zgadzał się chętnie na wszelkie projekty Dąbrowskiego w sprawie powiększenia kadrów polskich, na wszelkie zmiany, mogące przynieść korzyść Francji, lecz milczeniem pomijał plany takie, jak marsz Polaków przez kraje austrijackie do Galicji, by tam wzniecić powstanie, lub też stworzenie ze wszystkich oddziałów polskich jednej potężnej jednostki bojowej, zaprojektowane przez Kościuszkę.

Odsuwał się też nasz bohater coraz bardziej od stosunków z władzami francuskimi, utrzymując tylko bierne, prywatne stosunki z legjonami. Na zaproszenia konsula Lebrun, by wziął udział w uroczystościach i obchodach, odpowiedział:

— Jesteście wszyscy teraz tak świetni, iż ja w tym moim lichym ubiorze nie godzien jestem między wami się mieścić, ani też roszczę sobie żadnego prawa do świata.

Wieszczym duchem przewidział on cios, jaki dla Polaków szykował Bonaparte. Pokojem, zawartym w Luneville, zburzył on wszelkie ich nadzieje, a nawet wydał wyrok śmierci dla legjonów, zamieszczając w traktacie punkt trzeci, głoszący:

„Obie strony umawiające się obiecują sobie

wzajemnie nie tolerować, aby ich poddani, nieprzyjaciele innego państwa, utrzymywali jakiekolwiek stosunki pośrednie lub bezpośrednie z nieprzyjaciółmi obecnego rządu obu państw, aby szerzyli zasady przeciwne ich ustawom organicznym i aby wzniecali tam zamieszki, a wskutek takiej ugody każdy poddany jednego mocarstwa, któryby w posiadłościach drugiego czynił zamachy na bezpieczeństwo, ma być natychmiast wydany z rzeczzonego kraju i odstawiony poza granice bez prawa odwoływania się do opieki swego rządu“.

Rozpacz bezgraniczna zapanowała wśród nieszczęsnych legjonistów. Grożono buntem, lecz Bonaparte poradził z nim sobie w ten sposób, iż część oddziałów wysłał do południowych Włoch, gdzie włączono je do wojsk neapolitańskich, a pozostałe, pod grozą zatoczonych dział, zmusił do udania się na wyspę San Domingo, przeciwko zbuntowanym murzynom, gdzie prawie wszyscy w walkach i od żółtej febry wyginęli.

Kościuszko z rozpaczą przyjął ten ohydny wyrok śmierci na swoich, czując się bezsilnym, by mu przeciwdziałać. Chciał wrócić do Ameryki, by tam służyć wojskowo, pisał w tym celu do przyjaciela swego, Jeffersona, lecz otrzymał odpowiedź, iż z powodu redukcji wojsk liczba oficerów została ograniczona.

Cios, zadany legjonom, odbił się dotkliwie na stanie zdrowia Kościuszki, tak że szerzyły się pogłoski, że zdziecinniał, że umysł jego został osłabiony. Zamknął się w samotni swojej, przyjmując tylko rodaków, składających mu, zwłaszcza w dniu imienin, powinszowania i wyprawiających na cześć jego ucztę.

Z pośród dygnitarzy francuskich najdłużej utrzymywał stosunki z konsulem Lebrun. Lecz gdy ten razu pewnego rzekł:

— Czy wiesz, generale, że pierwszy konsul mówił o tobie?

— Ja nie mówię nigdy o nim — odrzekł porywczo Kościuszko i przestał u niego bywać.

Jednocześnie minister policji, Fouché, w sposób przyjacielski zawiadomił go, że śledzony jest przez szpiegów.

Zaprzyjaźnił się wtedy z rodziną Zeltnerów, Szwajcarów, tak że przeniósł się do ich domu, na lato zaś wyjeżdżał do willi ich w Berville, w pobliżu Fontainebleau.

Szukał wtedy samotności i oddalenia od rodaków, pragnąc uniknąć wszystkiego, coby mu przeszłość niedawną, a tak przykrą przypominać mogło. Podobnież unikał wszelkich wspomnień o Napoleonie, który szybko piął się coraz wyżej po drabinie sławy i zaszczytów. Z pierwszego konsula stał się on cesarzem, otoczył się świetnym dworem, a zrzucając pozory republikańskie, stał się despotą, dławiącym wszelkie porywy wolnościowe. A jednak lud francuski i wojsko wielbili go jak Boga.

Staczał on wtedy walki z mocarstwami, winnymi rozbioru Polski, odnosząc zwycięstwo za zwycięstwem. Znając dobrze zapalność Polaków i ich nieczym niepohamowaną chęć służenia wolności Ojczyzny, postanowił znów użyć ich za narzędzie w swych ambitnych dążeniach.

W tym celu wydał w r. 1806-ym ministrowi Fouché polecenie wyprawienia w najściślejszej tajemnicy Kościuszki i wszystkich Polaków, znajdujących się wtedy we Francji, do głównej kwatery.

W wykonaniu tej misji zjawił się Fouché w Ber-ville, u Kościuszki, i oświadczył mu, że cesarz ma zamiar przedsięwziąć wyprawę przeciw Rosji, i że naród polski może mu być w tym razie bardzo pomocnym. Znając zaś dobrze urok imienia Kościuszki dla Polaków, zwłaszcza zaś zaufanie, jakie mają do niego, nie chce nic przedsięwziąć bez jego zdania, a nawet pragnie, by mu Kościuszko towarzyszył w tej wyprawie.

Spokojnie i obojętnie przyjął to oświadczenie Kościuszko i, traktując trzeźwo rzecz całą, odrzekł, że wie dobrze, że Polska w znacznym stopniu przyczynić się może do powodzenia zamierzeń cesarza, lecz on sam mógłby wziąć odpowiedzialność za naród w tym wypadku, jeśli cesarz przekona go do-
wodnie, że wywdzieczy się Polsce za jej pomoc; ośmiela się zatem uniżenie zapytać jego cesarską mość, co zamierza uczynić dla Ojczyzny jego.

— Generale, muszę wyznać otwarcie — rzekł Fouché — że odpowiedź, a raczej zapytanie pańskie zadziwia mnie. Pozwól mi przypomnieć to, co wie każda istota, że najłagodniej wyrażone życzenie mojego Najjaśniejszego Pana jest uznawane przez każdego, a nawet przez monarchów, za rozkaz. Jego Cesarska Mość może rozkazać panu, abys towarzyszył mu gdziekolwiek bądź, może zrobić wszelki użytek z usług pańskich, a ja nie widzę nic dobrego ani dla pana, ani dla ziomeków pańskich w opieraniu się życzeniom mojego wielkiego i najdostojniejszego władcy.

— Ekscelencjo — odpowiedział z godnością Kościuszko — racz zapewnić jego cesarską mość, że doskonale rozumiem stanowisko swoje; przebywam obecnie w krajach jego cesarskiej mości, a zatem

uwazam się obecnie za poddanego. Jego cesarska mość może rozporządzać mną według swej woli, może wlec mnie za sobą, lecz wątpię, żeby w takim razie naród mój świadczył mu jakiekolwiek usługi. Przy wzajemnych zaś odpowiednich usługach mój naród, jakoteż ja sam, gotowibyśmy byli usłużyć. Niech Opatrzność broni, aby pański potężny i najdosłojniejszy monarcha nie żałował, jeśli wzgardzi naszą dobrą wolą.

Podrażniła ta spokojna i rozumna odpowiedź Fouché'go, który rzekł:

— Ja zaś życzę, generale, abys nie żałował nigdy swojej odmowy.

— Najwyższym interesem jego cesarskiej mości — odpowiedział mu spokojnie Kościuszko — jest traktować nas jako przyjaciół i sprzymierzeńców.

Napoleon, przewidując odmowną odpowiedź Kościuszki, już na parę tygodni przedtem nawiązał rokowania z Dąbrowskim i Wybickim, którzy, porwani zapałem odrodzenia Ojczyzny, zaręczyli mu śmiało: „Polak krew i byt swój cały odda dla odzyskania niepodległości Ojczyzny“.

Nie było przytym mowy o jakichkolwiek gwarancjach i zapewnieniach.

Z rozkazu cesarza napisał Wybicki płomienną odezwę, w której lekkomyślnie zamieścił:

„Wkrótce Kościuszko, wezwany przez Wielkiego Napoleona, przemówi do Was z Jego woli“.

Nie protestował przeciwko takiemu nadużyciu nazwiska swego wielki starzec, gdyż skrępowany był ostrą cenzurą, lecz serce jego przejął ból i gorycz, że naród cały tak lekkomyślnie dał się wciągnąć w służbę ambitnego i genjalnego egoisty.

Zapał, wywołany odezwą, rósł w całym narodzie.



Kościuszko w wieku późniejszym.

Rzucano wszystko na ofiarę w wielkiej sprawie, a zastępy polskie rosły, rosły potężnie.

Wkraczające wojska francuskie witano wszędzie z entuzjazmem, jak zbawców, ofiarując im wszystko najcenniejsze, płacząc z radości, że nadchodzi chwila wybawienia z krótkiej lecz ciężkiej niewoli.

Napoleon, po otrzymaniu od Fouché'go relacji z rozmowy w Berville, odpisał mu:

„Jeśli Kościuszko chce przyjechać, to dobrze; jeśli nie—obejdziemy się bez niego. Byłoby jednak dobrze, żeby przybył“.

Nie chciał jednak dać żadnej rękojmi co do możliwej zmiany w losie Polaków, i gdy Murat przedstawił mu żądania narodu w tej sprawie, odpowiedział wyniośle:

— Wielkość moja zasadza się nie na pomocy kilku tysięcy Polaków. Niech okażą mocne postanowienie stania się niepodległymi, niech się zobowiążą utrzymać króla, jaki im będzie dany, a wtedy obaczę, co mam uczynić.

Zaprzeczał w ten sposób danej przez siebie obietnicy odbudowania niepodległej Polski, potrzebnej dla pociągnięcia nowych tysięcy walecznego i wiernego wojska polskiego.

Lecz naród polski wierzył mu, z entuzjazmem podejmował go, witając jak zbawcę.

Z lekceważącym uśmiechem patrzył na to Napoleon, i gdy Fouché sfabrykował i ogłosił w gazecie „Publiciste“ odezwę w imieniu Kościuszki do współrodaków, zganił mu to, pisząc:

„Czytam w „Publiciste“ z dnia 18 umieszczony list Kościuszki. To są sposoby bardzo mizerne, mogące tylko dyskredytować. Po co kłamać, kiedy tak dobrą jest do wypowiedzenia prawda? Na co nam

potrzebny Kościuszko, skoro chce zostać w pokoju? Naród polski nie jest takim narodem, który się porusza proklamacjami. Wszystko to, patrząc z Warszawy, wygląda bardzo lichy. Pisałem już o tym do Pana.

Napoleon“.

Jednocześnie doszły do Kościuszki z kraju jakieś zarzuty, gdyż w dniu 22 stycznia r. 1807-go napisał do Fouché'go list następującej treści:

„Kilku Polaków powtórzyło mi to samo, co przed niejakim czasem p. Mostowski powiedział, iż wierzą, jakoby cesarz pozostawił mi wolność podania moich warunków wyjazdu mojego do Polski, ale że ja nie chciałem żadnych podać“. Następnie oświadczył, że pojedzie, jeżeli cesarz raczy zapewnić na piśmie i potym publicznie: 1) że forma rządu w Polsce będzie taka, jak w Anglii; 2) że chłopci będą wolni i otrzymają na własność swoją posiadłość teraźniejszą; 3) że granice Polski będą się rozciągały od Rygi do Odessy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony z zamianą na Galicję“.

Lecz na to odpowiedział Napoleon:

„Nie przywiązuję żadnego znaczenia do Kościuszki; nie używa on wcale takiego poważania w kraju, jak sobie wyobraża. Zresztą postępowanie jego dowodzi, że jest poprostu głupcem. Trzeba więc mu pozwolić: niech robi, co chce, nie dbając o niego wcale“.

Wobec takiego postępowania, wobec znieważającego odwrócenia się od niego rodaków, upojonych szumnymi obietnicami zwycięskiego cesarza Francuzów, usunął się Kościuszko w zacisze domowe, przebywając w Berville i zajmując się uprawą ogródka, tokarstwem i wyrobem chodaków drewnianych. Pragnął wyjechać do Szwajcarii, lecz odmówiono mu

wydania paszportu, a dozór policyjny trwał nad nim bez przerwy.

Pociechą w tych strapieniach było uznanie, jakie spotkało w Ameryce dzieło jego, p. t. „Manewry artylerji konnej“, uznane za najlepsze w swoim zakresie.

Ukojenie też znajdował w rodzinie Zeltnerów, nie szczędzących mu oznak żywej miłości rodzinnej, otaczających go szczerą sympatją, a których najmłodszą córkę, Tadeę Emilję, trzymał do chrztu i kochał, jak rodzone dziecko.

Tak upłynęło lat parę. Armja francuska, w roku 1812-ym, prowadząc wojnę z Rosją, pod hasłem odbudowania Polski, poniosła w odwrocie z Moskwy sromotną klęskę. W śniegach Północy, z porażką Francuzów, runęły i nadzieje narodu polskiego, na zwycięstwie ich budowane.

Dotychczasowy tryumfator i zwycięzca, Napoleon Bonaparte, przybiegł bez wojska do Paryża, ażeby nowe gromadzić siły do walki z postępującym za nim nieprzyjacielem. Ofiarne, mężne i wierne wojska polskie stały mu się tymbardziej drogimi, gdyż bohaterstwem swoim ocalić mogły tonący okręt cesarstwa.

Przyprowadził mu je rycerski ks. Józef Poniatowski, lecz w straszliwej klęsce pod Lipskiem w nurtach Elstery utonął, niosąc przed tron Boga honor Polaków. Niedobitki polskie towarzyszyły cesarzowi aż do Francji, gdzie czekała go detronizacja i abdykacja, upadek z dotychczasowej wysokości.

Wtedy też w Berville po raz pierwszy od pewnego czasu spotkał się Kościuszko z żołnierzami polskimi. Stało się to jak następuje:

Pewnego dnia szwoleżerowie gwardji, wysłani na szukanie furazu, zaszli do Berville, niedaleko

Fontainebleau. Tam, w jednej ze stodół znalazłszy siano, zabrali się do pakowania go na konie. Na to nadszedł staruszek niskiego wzrostu, z głową siwizną okrytą, odziany w kapotę szarą z pętlcami polskimi, prowadzony przez dwoje dzieci, które niemal że go ciągnęły do miejsca, gdzie żołnierze polscy siano ładowali.

Po chwili, gdy starzec posłyszał, że żołnierze po polsku mówią, odezwał się do nich również po polsku, ażeby siana tego nie brali, gdyż jest ono całym majątkiem biednych ludzi, że byli tu już kozacy i zlitowali się nad nimi i zostawili siano, a tym więcej rodacy nie zechcą mu tego smutku robić.

Zastanowili się żołnierze, a jeden z nich spytał się:

— A któż pan jesteś?

— Jestem generał Kościuszko — odpowiedział staruszek.

W jednej chwili zerwali żołnierze czapki z głów, i po chwili jeden z nich, śmielszy, rzekł:

— Lecz jaśnie wielmożny generale, nasze konie są bez paszy, nie możemy wracać bez furażu!

— Znajdziecie go gdzieindziej, moje dzieci, ale nie bierzcie w tej wsi, gdzie mi dali przytułek i gdzie mieszkam—odrzekł Kościuszko.

— A to niech nam jaśnie wielmożny generał wskaże, gdzie jest furaż!

— Tego nie mogę uczynić, bo i zresztą nie wiem.

Żołnierzykowie spojrzeli na siebie i w jednej chwili siano z koni zrzucili i chcieli próżno odjechać. Kościuszko zaprosił ich wtedy do siebie i przed swym domem winem poczęstował.

Opowiedzieli żołnierze po powrocie oficerom

o spotkaniu swoim, a wówczas generał Krasiński zebrał oficerów i przedstawił im, że należałoby odwiedzić Naczelnika, który tak blisko mieszka. Przytali na tę propozycję wszyscy oficerowie i liczny orszak oficerów polskich, wraz ze szwadronem szwoleżerów gwardji, wyruszył do Berville.

Generał Krasiński przemówił do Kościuszki nader wymownie, poczem przedstawił mu kolejno wszystkich oficerów. Tu gdy Kościuszko przypomniął sobie jakie nazwisko, nadmieniał, że znał ojca lub dziada.

Przy przedstawianiu pułkownika Madalińskiego rozrzewnił się Kościuszko.

— A!—rzekł—znałem twego ojca, był to prawy Polak i odważny żołnierz.

Pułkownik Madaliński pokazał mu pierścień, który Kościuszko dał ojcu jego podczas insurekcji 1794-go r. Uściskał serdecznie Kościuszko Madalińskiego, a następnie kolejno wszystkich oficerów. Zapłakany był i rozrzewniony tym spotkaniem, przypominającym mu tak drogą Ojczyznę.

Lecz niedługo miał mieć spotkanie z osobą, znaczącą o wiele więcej, z osobą, dzierżącą w swych rękach losy Polski.

W liczbie tryumfujących monarchów, którzy wkroczyli do Paryża, znajdował się car Aleksander I, który przypomniął sobie, że tu mieszka Kościuszko.

Wydał rozkaz oficerom polskim, by złożyli mu wyrazy hołdu i szacunku, co głęboko wzruszyło starca.

Pomimo wieku podeszłego, gdyż Kościuszko liczył lat 68, umysł jego był jasny, przeczuł też, iż z carem mówić będzie o Polsce, do której miłość w piersi jego niewygasła, którą czcił i wielbił nad wszystko.

Bez długiego też namysłu napisał do Aleksandra I-go list treści następującej:

„Berville, dn. 9 kwietnia 1814-go r.

Najjaśniejszy Panie!

Jeśli z mojego cichego zakątka ośmielam się zanieść prośbę do wielkiego monarchy, wielkiego wodza, a przede wszystkim do opiekuna ludzkości, to dlatego, iż znane mi są dobrze jego szlachetność i wspaniałomyślność.

Upraszam Cię o trzy łaski:

Pierwszą jest, abys udzielił amnestję ogólną dla Polaków bez wszelkich zastrzeżeń, a włościanie, rozproszeni w krajach obcych, aby uważani byli za wolnych, gdy wrócą pod strzechy swoje.

Druga, abys Wasza Cesarska Mość ogłosił się królem Polski z konstytucją wolną, zbliżoną do angielskiej, i abys kazał utworzyć szkoły na koszt rządu do nauczania włościan, aby niewola ich była zniesioną w ciągu lat dziesięciu, i aby używali oni swojego mienia z prawem zupełnej własności. Jeżeli prośby moje będą wysłuchane, przyjdę osobiście, lubo chory, paść do nóg Waszej Ces. Mości dla podziękowania Mu i złożenia hołdu pierwszy, jako mojemu monarsze. Gdyby moje słabe zdolności mogły się jeszcze przydać na coś, pojechałbym natychmiast do moich współobywateli, aby służyć Ojczyźnie mojej i mojemu monarsze z honorem i wiernie.

Trzecia prośba moja, Najjaśniejszy Panie, jakkolwiek prywatna, wielce obchodzi serce i czułość moją. Mieszkam od 14-tu lat w szanownym domu p. Zeltnera, Szwajcara rodem, niegdyś ambasadora swojego kraju we Francji. Mam dla niego mnóstwo obowiązków, lecz obadwaj jesteśmy ubodzy, on zaś

ma liczną rodzinę. Upraszam dla niego o posadę zaszczytną, bądź to w nowym rządzie francuskim, bądź w Polsce. Jest on wykształcony, a za prawość jego wypróbowaną rękę.

Jestem z najgłębszym uszanowaniem W. Ces. Mości etc.

T. Kościuszko“.

A więc nie wspomniał nawet o sobie czcigodny starzec, choć na zbytek środków pieniężnych nie mógł narzekać. Gdyby nie zasoby z Ameryki, nędzaby mu nieraz dokuczyła.

Lecz myśl jego skierowana była tylko w stronę Ojczyzny umiłowanej, w stronę uciśnionego ludu i wier-
nego przyjaciela.

Odpowiedź na list nie nadchodziła, więc Kościuszko udał się do Paryża, prosząc cara o posłuchanie. Aleksander I natychmiast posłał po niego powóz dworski, przyjął nader serdecznie, ścisnął i całował wobec wielu osób, poczym na osobności zapewnił go o swych najlepszych zamiarach względem Polski.

Potym na rozkaz jego złożył mu wizytę w. ks. Konstanty i wielu dygnitarzy rosyjskich. Car składał mu publicznie hołdy; na wieczorze u księżny Jabłonowskiej, ujawszy go pod ramiona wraz z w. księciem Konstantym, prowadził go przez tłum gości, wo-
lając:

— Miejsca, miejsca!... oto wielki człowiek!...

Nie wystarczały jednak te hołdy Kościuszcze i nie zaspokajały jego pragnień, domagał się odpowiedzi na piśmie i wreszcie w dniu 3 maja otrzymał ją.

Brzmiała ona:

„Paryż, 3 maja 1814-go r.

„Doznaję wielkiego zadowolenia, generale, odpowiadając na Twój list. Najdroższe Twoje życzenia

będą spełnione. Przy pomocy Wszechmocnego spodziewam się dokonać odrodzenia walecznego i szanownego narodu, do którego należysz. Wziąłem na siebie zobowiązanie uroczyste, a zawsze pomyślność jego zajmowała myśli moje. Okoliczności tylko polityczne kładły tamę wykonaniu zamiarów moich. Te przeszkody już nie istnieją. Uprzątnęła je dwuletnia walka straszna, lecz chlubna.

Jeszcze trochę czasu i rozsądnego postępowania, a Polacy odzyskają ojczyznę swoją, imię swoje, ja zaś będę miał przyjemność przekonać ich, że ten, którego mieli za nieprzyjaciela, zapominając przeszłości, ziści ich pragnienia.

Ileż dogodnym mi będzie, generale, widzieć Cię pomocnikiem moim w tych zbawiennych pracach. Imię Twoje, charakter i talenty będą najlepszymi moimi podporami!

Przyjm, generale, zapewnienie mego całego szacunku.

Aleksander“.

Odżył Kościuszko w wirze tylu zajęć w sprawie odrodzenia Ojczyzny. Odbywał ciągle narady to z carem Aleksandrem, to z w. ks. Konstantym przy organizowaniu wojska polskiego. Z uradowaniem powtarzał obietnicę cara Aleksandra o powróceniu Polski do Dźwiny i Dniepru, dawnych granic Królestwa Polskiego.

Lecz jakby w odpowiedzi na te szczytne rojenia w. ks. Konstanty drwił sobie z niego po salonach petersburskich, powiadając, że Kościuszko zdzieciniał na starość i plecie nedorzecznosci o jakiejś całej i niepodległej Polsce.

Car Aleksander z czarującym uśmiechem czynił przeróżne obietnice, dawał nawet ministrom rozkazy

odpowiednie, tak że uspokojony i pokrzepiony na duchu Kościuszko wrócił na wieś, dziękując listownie carowi za tak wspaniałe, wielkie i wzniosłe zamiary względem Polski.

Lecz wkrótce miał go spotkać gorzki zawód...

Car Aleksander, zapominając o uroczystych przyrzeczeniach swoich, na kongresie wiedeńskim wystąpił z planem utworzenia Królestwa Polskiego w granicach szczuplejszych, niż te, jakie miało Księstwo Warszawskie. Zawiadomił o tym Kościuszkę ks. Adam Czartoryski i ten popędził czymprędzej do Wiednia, pod przybranym, ze względu na rozgrywające się wypadki, nazwiskiem: Polski.

Przełamał wszelkie trudności i gdy go na granicy szwajcarskiej zatrzymano z powodu braku pewnych formalności, zawołał do woźnicy:

— Woźnico! zacinaj konie! — i przebył ją bez przeszkód.

Pokonał też i inne trudności i w Braunau spotkał się z carem Aleksandrem. Uściskany przez niego serdecznie, rozmawiał z nim przez kwadrans sam na sam, przyczym rozmowa ta wywarła na nim niekorzystne wrażenie.

Mimo to jednak pojechał do Wiednia i tam spędzał czas na konferencjach z ministrami rosyjskimi. Nie były one jednak pomyślne, gdyż odbiły się fatalnie na jego zdrowiu.

Pisał do cara Aleksandra w sprawie Polski, lecz ten jeszcze w czasie rozmowy w Braunau z całą przewrotnością bizantyńczyka wyrzekał się wszelkich poprzednich obietnic, tłumacząc się trudnościami, jakie napotykał w urzeczywistnieniu swego planu, oraz oświadczał, że dla Polaków pozostaje jedna droga — połączyć swe losy ze słowiańszczyzną.

Naskutek proklamacji cara Aleksandra o utworzeniu a raczej o nowym podziale Królestwa Polskiego, pisał raz jeszcze do niego w dn. 10 czerwca z gorącą podzięką za dobrodziejstwa, gotowane dla narodu polskiego, i wynurzeniem obaw co do Litwy, która mu jest drogą, gdyż się w niej urodził. Kończył list wiarą w spełnienie wspaniałomyślnych obietnic Jego Cesarskiej Mości, lecz dla spokojności sumienia swego błagając o jedno słówko łaskawego zapewnienia.

Ale odpowiedź, jaka nadeszła od cara dn. 25 czerwca była takiej treści, iż Kościuszkowski porzucił wszystko i tegoż jeszcze dnia wyjechał przez Tyrol do Szwajcarji, do Solury.

Powody tego postąpienia wyjaśnił w liście do księcia Adama Czartoryskiego, pisany tegoż dnia.

Zaznaczał w nim pewną różnicę w sposobie myślenia, oraz oświadczał wręcz księciu, że nie chce nic robić w niepewności i zadowalać się samymi tylko nadziejami, więc nieodpisanie cara na ostatni list staje się dlań przeszkodą do połączenia w jego duszy interesu ojczystego z cesarskim. Życie swoje poświęcał całemu narodowi, ale nie tej małej części, którą pompatycznie nazwano Królestwem Polskim.

„Winniśmy wieczną wdzięczność cesarzowi — pisał — za wskrzeszenie imienia polskiego, już zgubionego, ale imię samo nie stanowi narodu“. Dowodził następnie, że tylko przywrócenie kraju do Dźwiny i Dniepru mogło wytworzyć „równowagę i przyjaźń stateczną z Rosjanami“. A przy liberalnej konstytucji „Polacy byłiby szczęśliwymi być pod berłem tak wielkiego monarchy z Rosjanami. Jak teraz rzeczy idą i z samego początku Rosjanie posiadają z naszymi pierwsze miejsca rządowe, zapewne to nie

może ująć Polaków do zaufania wielkiego, owszem, z bojaźnią każdy uczyni wniosek takowy, że imię polskie z czasem w pogardzeniu zostanie i że Rosjanie traktować nas będą, jak podległych im, gdyż tak szczupła garstka populacji nigdy się nie zdoła obronić intrydze, przewadze i przemocy Rosjanów. Mamyż zamilczeć o pozostałych braci naszych pod rządem rosyjskim! Serce nasze wzdryga się i ubolewa, że nie są z drugimi złączeni. Bez nich proszę znaleźć 11 lub 10 milionów ludzi, co miały składać Królestwo Polskie podług słów świętych samego cesarza? I które miało tak jak Królestwo Węgierskie z konstytucją oddzielną i ze swoimi prawami łączyć się z cesarstwem pod jednym berłem. Tu oddzielam serce czule, pełne ludzkości i duszę tak wspaniałą, dobroczynną, z nikim nie porównaną Wielkiego Aleksandra od gabinetu wykonawczego. Jemu ja aż do śmierci mieć będę wdzięczność za wznowienie imienia polskiego; chociaż w szczupłych obrębach uczyni się dobrze Polakom. Niech Opatrzność kieruje wami, a ja jadę do Szwajcar, nie mogąc zdalnie usłużyć Ojczyźnie. Wiesza sam, że z duszy i serca chciałem dopomóc do powszechnego dobra. Ściskam Ciebie, mój Książę, ze szczerą przyjaźnią i stałym przywiązaniem. T. K.“

Jakby wieszczym duchem przewidział Kościuszko przyszłe losy Polski, przyszłe dążenia sfer biurokracyjnych rosyjskich do unicestwienia konstytucji polskiej, do utopienia wolności narodu polskiego w morzu państwowości rosyjskiej.

I winę wszystkich zawodów, jakie Polskę spotkały przypisywał nie carowi Aleksandrowi, lecz ministrom jego, i dał nawet dowód tego, przesyłając w roku następnym 1,000 fr. jako składkę na wzniesienie bramy tryumfalnej dla niego.

Pogrzebawszy wszystkie nadzieje co do odbudowy Polski, puścił się Kościuszko w dłuższą podróż po Szwajcarji, zwiedzając różne miejscowości słynne w dziejach, poczym w październiku r. 1815-go osiadł w małym miasteczku Solurze.

Władze miejscowe chciały mu wyprawić uroczyste przyjęcie, lecz wymówił się od tego. Osiadł tam w domu Franciszka Ksawerego Zeltnera, poprzestając na jednym pokoju.

W rodzinie tej znalazł troskliwą opiekę, delikatność w stosunkach codziennych i cześć głęboką, prawie religijną dla osoby jego.

Życie pędził tam nadzwyczaj skromne, prawie ubogie, odmawiając sobie wszystkiego, co zbytkiem być mogło. Sam sobie przyrządzał kawę na śniadanie, obiad zaś jadał przy wspólnym stole, a wieczory spędzał w gronie przyjaciół przy grze w wista.

Zalecili mu lekarze przejażdżki dla ruchu, więc pozwolił sobie na jedyny zbytek i kupił konia i powozik. Jeździł konno stępą, gdyż dzięki skurczowi nogi nie mógł się tżymać mocno na siodle.

Ubranie nosił zniszczone, reperowane przez krawca miejscowego, a ozdabiał je różą lub fijołkiem, zatkniętym w klapę surduta.

Był oszczędny bardzo w wydatkach na siebie, lecz za to nie żałował pieniędzy na jałmużnę dla biedaków. Przed drzwiami domu jego gromadzili się zawsze wszyscy biedacy z okolicy i każdy z nich otrzymywał po parę groszy. Byli między nimi tacy filuci, którzy, raz otrzymawszy jałmużnę, na przełaj biegli na spotkanie jego, by otrzymać ją po raz drugi. Poznawał ich Kościuszko, groził palcem i jałmużnę dawał po raz wtóry.

W przejażdżkach swych odwiedzał wsie okolicz-

ne, zaglądał do chat wiejskich, wyszukiwał ubogich, i wspierał ich. Był prawdziwą Opatrznością całej okolicy podczas wielkiego nieurodzaju w r. 1817-ym. Gdy zbrakło mu pieniędzy na zaspokojenie wielkich potrzeb głodnej ludności, a procenty nie nadchodziły, zaciągnął pożyczkę.

Nawet koń jego tak przywykł do czynów miłosierdzia swego pana, że sam stawał na widok biedaków i nie ruszał z miejsca dotąd, dopóki nie zobaczył ruchu ręki dającej jałmużnę.

Razu pewnego dwom rodzinom w Solurze groziła licytacja z powodu niezapłacenia podatków i pozbawienie dachu nad głową. Z płaczem udali się do pani Zeltnerowej, prosząc o pomoc i wstawienie się do generała polskiego. Nie śmiała tego uczynić wprost wobec i tak ustawicznego oblegania Kościuszki przez biedaków, lecz wieczorem, po wieczerzy, spytał się on sam o powód smutku, którego ukryć nie umiała. Wyjawiła mu go, a wtedy on, dając jej potrzebną sumę pieniędzy, rzekł:

— Nie zwłócz dłużej, droga przyjaciółko, i choćby ci ludzie spali, obudź ich, gdyż spokojniej spoczywać będą, gdy będą mieli pewność, że ich jutro nie pozbawią ubożego mienia i nie wydadzą z miasta.

Czyny dobroczynne Kościuszki trudno byłoby wyliczyć wszystkie, tyle podają ich wspomnienia z owych czasów, a czynił je on przeważnie wtajemniczy przed innymi, by nie nabrały rozgłosu. Tak pewien lekarz dowiedział się, iż starym panem z Solury, odwiedzającym i wspierającym codziennie jednego z pacjentów jego najuboższych, był Kościuszko.

Stosował przy tym zasadę swą o równości stanów i nigdy nie dał jałmużny proszącemu, gdy ten stał z odkrytą głową, dopóki jej nie nakrył.

Pamiętając o biedakach kraju, w którym na schyłku życia przytułek znalazł, nie zapomniał jednak i o nędzarzach własnej Ojczyzny. Napewno, gdy dawał jałmużnę biedakom szwajcarskim, przed oczyma jego stawał widok znędniałego chłopka litewskiego i polskiego.

Chciał wynagrodzić im tyle lat krzywd i nędzy, i na schyłku żywota, w dn. 2 kwietnia 1817-go r. u notariusza Amieta sporządził akt, nadając nim wszystkim włościanom siechnowickim wolność osobistą oraz prawo własności posiadanych gruntów i zagród, przekazując wdowie po siostrzanie, Tadeuszu Estce, Katarzynie, i jej dzieciom, dwór z gruntami do wsi nie przydzielonymi.

Akt ten, stanowiący wielki dowód jego umiłowania ludzkości, nie był ważny z punktu widzenia prawnego, gdyż, jak wiemy, Siechnowicze były w zastawie u Estków i obciążone były długami, których do tego czasu nie spłacił. Było to tylko jakby idealne pożegnanie, przesłane z dalekich stron tak gorąco umiłowanym przez niego chłopkom.

Przecież jedną ze spraw, którą się najgoręcej zajmował, która go najżywiej obchodziła, była kwestja szerzenia oświaty wśród szerokich mas ludowych. Stawiał ją zawsze na pierwszym planie przy projektowaniu różnych reform dla Polski. W tym też celu zwiedzał z licznym gronem osób słynny zakład wychowawczy Pestalozzi'ego, którym się zachwycił, i wyraził pragnienie, aby podobnych zakładów w Polsce powstało jak najwięcej.

Pomimo zamknięcia się Kościuszki w samotni, zdala od ludzi, urok, jaki budziła postać jego, nie tylko nie przygasał, lecz przeciwnie, rósł i potężniał.

Ze wszystkich stron zwracają się do niego naj-

wybitniejsi ludzie owych czasów, przesyłając dary przeróżne, lub prosząc o rady, wskazówki, a nawet protekcję.

Dziwnie przykro przy tym wszystkim wygląda szczupła garść Polaków, pamiętających o wielkim samotniku. Niewielką ilość nazwisk osób odwiedzających go lub prowadzących z nim korespondencję możnaby przytoczyć. Na czele ich stoi wierna w miłości swej ks. Lubomirska z Sosnowskich, a za nią idzie poczet niedługi. Z rodziny prawie nikt go nie odwiedzał, a jeden tylko generał Paszkowski spędził przy jego boku czas dłuższy, gdyż kilka miesięcy.

Czy powodem tego były zmiany zachodzące wtedy w Polsce po kongresie wiedeńskim, czy upojenie pozorną wolnością, którą niósł car Aleksander, wyjaśnić trudno, gdyż całą swoją korespondencję polską polecił spalić Kościuszko, co po śmierci jego skrupulatnie wykonano.

Nadszedł wreszcie fatalny dzień 1 października 1817-go r. Wielki starzec zachorował poważnie, a wezwany doktor Schürer określał chorobę jego, jako epidemiczną gorączkę nerwową, przewidując odrazu zły koniec.

Otoczony gorliwą, serdeczną i staranną opieką Zeltnerów, szykował się Kościuszko spokojnie do śmierci. W dn. 10 października sporządził drugi testament, którym rozrządził swym mieniem jak następuje:

1) Fundusz przechowywany w Anglii w banku Thomson, Bonard et C^o, wynoszący 100,000 franków, a powstały z owych 12,000 rb., nieprzyjętych przez cara Pawła, a których następny serdeczny stosunek z carem Aleksandrem nie pozwalał mu już nie przy-

jąc, przeznaczył do równego podziału między generała Paszkowskiego a pannę Emilję Zeltner, córkę byłego prefekta kantonu Solury;

2) fundusz, złożony w Solurze u negocjanta Bettina, a wynoszący około 5,000 franków: dla panny Wagnery, córki komendanta z Monges, 2,000, dla notariusza Zawitz Amieta 2,000, dla służącego 500 franków, reszta dla panny Urszuli Zeltner, drugiej córki eks-prefekta;

3) fundusz, złożony w Zurychu u Gaspara Eschera: 3,000 franków dla pani Edwardowej Zeltner, żony byłego negocjanta, i dla jej dzieci; z pozostałości, wynoszącej około 3,000 franków: na pogrzeb 1,000 franków, z warunkiem, aby ciało było niesione przez ubogich, resztę zaś, jaka wypadnie, do podziału między ubogich;

4) Zeltnerowi eks-prefektowi i jego małżonce powozik z koniem;

5) szkatułkę z całą zawartością pannie Emilji Zeltner;

6) wszystkie papiery pisane w języku polskim do spalenia.

Umierał wielki starzec, największy bohater Polski, a przy zgonie jego nie było żadnego z rodaków, nie czuł przy sobie żadnych ech Ojczyzny, którą tak gorąco a potężnie miłował.

Do ostatniej chwili, mimo rosnącej gorączki i osłabienia pulsu, zachował zupełną przytomność umysłu. Kazał włożyć sobie do trumny swoją szablę bojową, a pamiątkową po Sobieskim zwrócić narodowi.

Ostatnie słowa jego były o Ojczyźnie, o niej marzył w gorączkowych majaczeniach, wygłaszał jakieś przepowiednie w języku polskim, których, niestety, obcy słuchacze zrozumieć i powtórzyć nie umieli.

Wreszcie nadszedł dzień 15 października 1817 r. O godzinie 10-ej wieczór zbrakło mu już głosu; pełnym słodczy wzrokiem z uśmiechem spojrzął na stojącą w rogach łóżka jego Emilkę Zeltnerównę, podał jedną rękę Zeltnerowi, drugą Zeltnerowej, uścisnął je, opadł na poduszki i skonał.

Smutek i żalność zapanowały w Solurze na wieść o śmierci wielkiego starca. Ze wszystkich stron napływały tłumy mieszkańców, by wziąć udział w skromnym, prawie ubogim pogrzebie.

Ze wszystkich wież kościelnych rozległo się bicie dzwonów żałobnych, gdy sześciu ubogich starców, uginając się pod drogim ciężarem, niosło mary ze zwłokami Kościuszki.

Orszak poprzedzały dzieci z zakładu sierot, w żałobę ubrane, niosące wieńce i bukiety, za nimi szła młodzież szkolna z nauczycielami, a następnie duchowieństwo. Zwłoki spoczywały na marach w otwartej trumnie, ukazując po raz ostatni zebranym szlachetne i tak umiłowane rysy wielkiego starca.

Obok mar postępowało sześciu młodzieńców, niosących na czarnych poduszkach kapelusz generalski, buławę, pałasz, order Cyncynata i dwa wieńce: dębowy i laurowy. Za trumną szedł Zeltner z rodziną i tłum ludności. W kościele złożono zwłoki w trumnach ołowianej i dębowej, i zniesiono do sklepu pod wielkim ołtarzem.

Wieść o śmierci Kościuszki lotem strzały obiegła świat cały, budząc wszędzie wielką żalność. Wszystkie rządy narodów cywilizowanych wyraziły swe ubolewanie narodowi polskiemu, a poeci opiewali ją w natchnionych rymach.

Doszła wieść o tym i do Polski, pograżając naród cały w żałobę. Wszędzie odprawiano uroczyste

obchody żałobne i jednogłośnie postanowiono upomnieć się o wydanie zwłok tego najlepszego, najszlachetniejszego i największego syna Polski.

Wydobyte z tymczasowego grobowca zwłoki Kościuszki złożono na rydwanie żałobnym i pod osłoną honorowego oddziału kawalerji szwajcarskiej powieziono do Ojczyzny.

Po wielu, wielu latach tułaczki wrócić miał do niej trupem, gdy duch jego oddawna tam przebywał.



Kopiec Kościuszki pod Krakowem.

Złożono je początkowo na przedmieściu Krakowa, w kościele św. Florjana, na obchód żałobny przeznaczając dzień 23 czerwca r. 1818-go.

W przeddzień wieczorem oficerowie na barkach swoich przenieśli trumnę do kościoła katedralnego, gdzie złożyli ją na wspaniałym katafalku, ozdobionym obrazami z najwybitniejszych czynów Kościuszki.

Wspaniałym a zarazem wielce żalosnym był ten obchód pogrzebowy, poczym zwłoki zniesiono do podziemi katedry na Wawelu, gdzie złożono je obok trumien Jana III i ks. Józefa Poniatowskiego.

W grobach królewskich spoczął ten nieukoronowany król Polski, przewyższający jednak wielu z królów wielkością i prawością serca i gorącym umiłowaniem Ojczyzny.

Naród polski uczcił pamięć jego wzniesieniem pomnika wiecznotrwałego, usypanego rękoma ludu. Jest nim kopiec Kościuszki pod Krakowem, nad którym pracowano przez lat trzy. Wysoki na 300 stóp, wznosi się naprzeciwko mogił Wandy i Krakowa i po wieczne czasy świadczyć będzie o gorącym umiłowaniu ludu polskiego dla swego Naczelnika.

Na cześć Kościuszki Franciszek Jakubowski napisał wtedy wiersz żałobny, który przytaczamy:

Jakże ponury odgłos przerwał cisze!
Czemu w pomroce drży światel tysiące?
Pehnięty dzwon śmierci zwolna się kołysze
I roni jęki w powietrzu mdlejące.

Żałobne pienia wznoszą się w obłoki,
Lice schylone łza boleści rosi; —
A sława, zimne poprzedzając zwłoki,
W grodzie Krakusa zgon Kościuszki głosi.

Bracia! otrzyjcie zwilżone powieki,
Chwała jest tarczą dzieł wielkich od zgonu;
Zdumionym wiekom przesyłają wieki
Laury poległych w polach Maratonu.

Niezgoda, iskrząc zniszczenia pochodnie,
Srogiej zawiści wyzionęła hasło;
Z tą na Ojczyznę sprzysięgły się zbrodnie,
I słońce lubej swobody przygasło.

Przezuliś chwilę Ojczyzny zagłady;
Chcąc ją ratować od smutnego zgonu,
Szedłeś, Kościuszko, w bohaterów ślady,
Którzy złamali przemoc Albionu.

Próżno ci grożą oceanu wały,
(Polak dla kraju nie szczędzi ofiary),
Wzniosłeś pomniki dla Ojczystej chwały,
Gdzie Washingtona zatknięte sztandary.

Wtym się na czarnej wysunęły chmurze
W krwawe zniszczenia brzemienne pioruny,
Grożące wściekłą nawałnością burze;
Świat zadrżał, ziemi wstrząsły się bieguny.

Jękła wieść chyża w polach Ameryki,
Że jarzmo podłe kruszy Polak dzielny;
Wraca Kościuszko, ściąga bratnie szyki,
Wszędzie wolności brzmi odgłos weselny.

Do srogich bojów mąż waleczny stawia,
Już nieprzyjaciół doznał jego męstwa;
Niestety! sama została mu sława,
Gdy już miał szalę przechylić zwycięstwa.

Lecz dalsze dzieje zamilecz, Muzo czuła,
Zamilecz ostatnie bohatera chwile:
W więzach niepewność dni mu nędzy snuła,
Nadzieja znikła w Ojczyzny mogile.

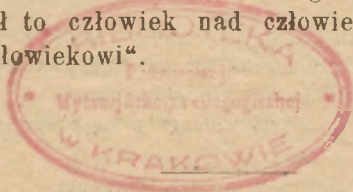
Przejęty bólem i losy srogiemi,
We łzach mąż wielki szukał mąk ulżenia;
Do Polski wzdychał w oddalonej ziemi,
Polskę ostatnie powtórzyły technienia!...

Kościuszko! twojej niewoli kajdany
Były dla ciebie wśród cierpień ozdobą;
Bo kto je dźwigał za kraj ukochany,
Łzami pociechy zlewał je wraz z tobą.

Dzisiaj w Ojczyźnie spocznij, synu miły!
Tu twoja chwała, tu twoje wawrzyny,
Późne im wnuki będą się dziwiły,
A wieki wiekom prześlą twoje czyny.

Tak żył, działał i walczył za wolność umiłowanej Ojczyzny największy po wiek wieków mąż Polski — Tadeusz Kościuszko, o którym śmiało można powiedzieć słowami Montekukulego o Turenjuszu:

„Był to człowiek nad człowieka, czyniący zaszczyt człowiekowi“.



WYDAWNICTWA KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH

	Mk.
Baczyński St. Miecz i Korona. Myśl o duszy polskiej	2.25
Choiński-Jeske T. Ludzie Renesansu. Sylwetki	3.75
Daniłowski G. Epilog	4.50
— Fragmenty	3.75
— Lili. Powieść	3.50
— Marja Magdalena. Powieść. Wydanie nowe uzupełnione. Z rysunkiem Marji Magdaleny i portretem autora	6.25
Gąsiorowski W. (Sclavus). Babilon	5.50
— Rok 1809. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej, w opracowaniu dla młodzieży. Z 6 rysunkami St. Batowskiego. Karton Mk. 5.—, w ozdobnej oprawie	6.—
— Szwoleżerowie gwardji. Powieść historyczna, w opracowaniu dla młodzieży. Z 6 rysunkami J. B. Rüdiger'a. Karton Mk. 4.50, w ozdob. oprawie	5.50
— Thalitha Kumi. O prawach kobiety i jej stanowisku społecznem	4.—
Gide Karol. Zasady ekonomji społecznej. Czwarte polskie wydanie według 13-go wydania francuskiego ponownie opracowane i rozszerzone przez D-ra Włodzimierza Czerkawskiego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego	11.25
Gomulicki W. Na rozłogach białoruskich. Powieść	3.—
Gruszecki A. Kandydat. Powieść	3.75
— Przebudzenie. Powieść współczesna	4.50
— U źródła wiedzy. Powieść	4.50
Gutzman Z. Królik, jego rasy, pomieszczenie, rozmnażanie, wychów, żywienie, higiena i choroby. Z 30-ma rysunkami w tekście. (Poradnik dla hodowców)	2.—
Iwanowska M. (Theresita). U źródeł. Powieść	3.75
Jastrzębska N. Kłamstwo. Powieść	4.—
Konar A. Jesień. Powieść. Wydanie drugie	4.—
— Młodość panny Mani. Powieść	5.—

Kotarbiński Józef. Pogrobowiec romantyzmu. (O Stanisławie Wyspiańskim)	4.50
„Krwawe dni kwietniowe 1794 r. w Warszawie“. Z portretem Jana Kilińskiego	1.25
Modelski J. Podręcznik do powlekania metalami za pomocą elektryczności i do robienia odbitek (Galwanostegja i galwanoplastyka). Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione. Z 24 rycinami. Mk. 1.90	Karton 2.25
Noyszewski-Płotun St. Powstańcy. Powieść	4.50
Olkiewicz A. Rozdźwięki	4.50
Rapacki W. Król Husytów. Powieść.	3.—
Romocki L. Mazowsze. Powieść.	5.—
Szamota A. Orły. Powieść. Wydanie drugie	3.—
— Popielisko. Powieść współczesna	4.—
— W płomieniu życia. Powieść	3.50
Szczęśny A. Baśnie wiosenne. Z 5 barwnymi ilustr. według obrazów Z. Plewińskiej. W ozdobnej kartonowej okładce	6.50
Tetmajer K. Gra fał. Powieść fantastyczna. Wyd. nowe	4.50
Tokarzewski Sz. Zbieg. Wspomnienia z Sybiru	3.—
Walewska C. Błąd. Powieść	4.50
— Flirt. Małżeństwo, Opinia	4.—
Wielowieyska E. Złota podkowa. Powieść	4.50
Żeromski Stefan. Andrzej Radek czyli Syzyfowe prace. Powieść. Wydanie nowe	4.50
— Duma o hetmanie. Wydanie III	5.—
— Dzieje grzechu. Powieść. Wydanie IV, przejrane i poprawione przez autora. 2 tomy	7.50

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.





107

